

JUSTIN SOMPER

FALA TERRORU

Przełożył Piotr W. Cholewa

*Mojej mamie, Thelmie Somper,  
która zawsze szuka czegoś ciekawego do czytania.  
Mam nadzieję, że ta książka spełni jej oczekiwania.  
Z miłością i wdzięcznością za to, że mnie wspierałaś.*

# Prolog

## Nocny surfer

Zachód słońca. Opuszczona zatoczka. Fale łakomie sięgają ku piaskowi, który zmienia kolor od białego przez miodowo żłocisty po ognście bursztynowy, w miarę jak zmęczone słońce opada ku ciemnym wodom. Żarłoczne fale wkrótce pochłaniają kulę światła.

Teraz jest to świat cieni wśród cieni. Żadne ludzkie oko nie zdołałoby rozróżnić granicy między lądem a wodą ani między wodą a niebem. Żadne ludzkie oko nie mogłoby zobaczyć bezustannego ruchu i falowania oceanu. Gdyż nie jest to bezbarwna ciemność miast i miasteczek. To ciemność prawdziwa - głęboka, całkowita i aksamitnie czarna.

Gdzie się podział księżyc? Całkiem jakby postanowił nie pokazywać się tej nocy, nie chcąc być świadkiem wydarzeń nadchodzących godzin. Gdzie są gwiazdy? One także wolały chyba zachować dystans.

Bez gwiazd. Bez księżyca.

W taką noc można uwierzyć komuś, kto sądzi, że świat zaraz się skończy. Dla kogoś z was może to być prawdą.

Albowiem mroczne wody skrywają pewien sekret. Człowiek - a przynajmniej ktoś do człowieka podobny - sunie na desce surfingowej. Nie jest to łatwe zadanie. Czarne fale są równie wysokie, co spienione, jakby wystawiały surfera na ostateczną próbę siły i wytrzymałości.

Nie traci równowagi mimo wzburzonego morza, mimo braku światła, które wskazywałoby drogę. Umięśnione ciało wygina się i sunie jak przymocowane do deski. Toczy z drwiącymi falami walkę o szacunek. I nie cofa się.

Wreszcie fale wydają się zmęczone tą zabawą i nagradzają determinację surfera, przenosząc go na płyciznę. On jednak wciąż sunie z dużą szybkością, a ostra jak nóż deska prześlizguje się po opalowej wodzie. Zeskakuje z niej na piaszczyste dno. Woda próbuje po raz ostatni żartobliwie porwać deskę, ale on sięga w pianę i wyrywa ją z mokrego uścisku. Wsuwa pod pachę i wchodzi na suchy piasek.

Nie zatrzymuje się nawet na chwilę, mimo ciężaru deski. Nie odczuwa chłodu nocnego powietrza. I - co dziwne - choć wyszedł z wody, na skórze i włosach nie ma śladu wilgoci. Odzież jest sucha jak pieprz. Nie nosi pianki, ale zwykłe ubranie - spodnie i koszulę z rękawami urwanymi przy ramionach, by pozwalały na pełną swobodę ruchu. Stopy ma bose.

Podchodzi do urwiska, opiera deskę o skałę i rozpoczyna wspinaczkę. Z początku podąża ścieżką, ale wyżej musi już podciągać się na rękach. Równie zręcznie wykorzystuje stopy. Wydaje się teraz nie tyle człowiekiem, co raczej dzikim zwierzęciem. W rzeczywistości jest jednym i drugim po trochu. I jeszcze czymś więcej.

Dociera na szczyt klifu i zatrzymuje się na moment, z satysfakcją spoglądając w dół na stromą ścianę, którą pokonał, ponad plażą, na wzburzone morze, skąd przybył. Żadne ludzkie oko nie zdołałoby dostrzec granicy między lądem i wodą. Ale jego oczy rejestrują wszystko. Jego oczy dobrze widzą w ciemności.

Nie marnuje więcej czasu na upajanie się swym sukcesem, ale odwraca się i rusza dalej. Przed nim wyrasta wysokie ogrodzenie, jednak po wszystkich przeszkodach, jakie pokonał, ta jest całkiem łatwa. Stopy lądują na miękkiej trawie. Spogląda przed siebie, daleko, na dom - wszystkie okna są oświetlone, choć pora jest już późna. Przy tyłu światłach budynek sprawia wrażenie, jakby stał w płomieniach. Wywołuje to ostre ukłucie bólu w oczach przybysza, ten jednak tłumi je i idzie dalej.

Długimi krokami szybko pokonuje teren. Mija łąkę, po której biegają konie. Przystaje na chwilę, by się im przyjrzeć. Nie widzą go, ale wyczuwają i zamierają na sekundę. Obawiają się obcego, co jest naturalne. Dziś jednak nie mają powodów do lęku. Przybysz rusza dalej.

Mija wielki basen i - zawsze skłonny do popisów - nie może się oprzeć, by nie skoczyć do wody i nie przepłynąć z jednego końca na drugi. Podciąga się i wychodzi na brzeg - i znowu ubranie ma suche jak pieprz.

Przed nim wyrasta zagajnik drzew - sad. Kiedy przechodzi między nimi, trącając gałęzie, dojrzałe owoce sypią się na ziemię. Niedbale gniecie ciężkimi stopami brzoskwinie i granaty. Za sadem rozciąga się kolejny trawnik, jeszcze bardziej miękki niż poprzedni. Przybysz ściera owoce ze stóp, idzie dalej. Jest już prawie obok domu. Między nim a budynkiem pozostał tylko różany ogród - gęstwina splątanych krzewów, cierni i wielkich, aksamitnych kwiatów. A wśród nich - kobieta. Wiedział, że ją tu spotka. Staje teraz nieruchomo, by obserwować ten niezwykle widok.

Kobieta jest w średnim wieku i ma krągłą figurę kogoś, kto wie, że życie jest zbyt łatwe. Ubrana w różowe jedwabne kimono, trzyma na ręce kosz i ścisnąc w pulchnych palcach sekator. Na głowie ma opaskę z małą latarką z przodu. Wygląda bardzo zabawnie, ale uśmiecha się do siebie radośnie, kiedy sięga po róże, ścina ich łodygi i wacha kwiaty, nim delikatnie ułoży je w koszu.

Przez dłuższą chwilę nie zdaje sobie z niczego sprawy. Potem jednak stopa intruza, na wpół umyślnie, nadeptuje leżącą gałązkę.

- Co to było? Kto tam jest?

Kobieta obraca się, a światło na jej głowie przesuwając się gwałtownie jak świetlik. Nie widzi przybysza. Po chwili, nucąc pod nosem, wraca do swej pracy. Brzmi jak szalony trzmiel.

Przybysz postanawia trochę się zabawić i łamie stopą następną gałązkę. To działa. Kobieta wyskakując w górę - tak wysoko, jak pozwala jej pulchne ciało.

On wychodzi z cienia, prosto w płamę światła.

Teraz go widzi. Podnosi głowę i mierzy wzrokiem. Trzeba przyznać, że nie jest tak wystraszona, jak przypuszczał. Zamiast tego jeży się ze złości.

- Kim jesteś? - pyta. - Co tu robisz?

Patrzy na nią.

- Kim jesteś? - powtarza kobieta.

- A ty kim jesteś? - pyta teraz on.

- Loretta Busby, oczywiście. A to mój różany ogród. I nie powinno cię tu być.

On robi krok w jej stronę, uśmiecha się, sięga do kosza i chwytając jedną z róż. Podnosi ją do nosa. Kwiat pachnie mdlącą, duszącą słodyczą. Przybysz zgniata go w dłoni i odrzuca na bok.

- Jak śmiesz, zwierzaku! - krzyczy kobieta. - Wiesz, kim jestem? Wiesz, kim jest mój mąż?

- To Busby - odpowiada.

Czy ona uważa go za głupka? Nie jest głupkiem.

- Właśnie - potwierdza kobieta. - Lachlan Busby, dyrektor Banku Spółdzielczego Zatoki Księżycowej, przewodniczący Rady Handlowej Regionu Północno-Wschodniego, starszy Progresywnego Kościoła Zatoki Księżycowej i najpotężniejszy człowiek w promieniu wielu mil.

- Przewierca go wzrokiem, niemal dosłownie, kiedy latarka świeci mu prosto w oczy. - Dziś w nocy wlałeś do niewłaściwego różanego ogrodu, półgłówku.

Teraz czuje się obrażony. Obrażony i zirytowany. Latarka świeci mu w oczy, a zapach róż jest odurzający i lepki. Spogląda z góry na kobietę, która wciąż ujada na niego jak denerwujący szczeniak. W końcu nie może już tego znieść. Wyciąga muskularne ramię i podnosi ją, aż jej twarz znajduje się na tym samym poziomie co jego. Zaszokowana, przebiera nogami w powietrzu, jakby jeszcze wierzyła, że zdoła przed nim uciec. Spogląda na niego z oburzeniem, ale teraz, po raz pierwszy, dostrzega jego oczy. A raczej otwory w miejscach, gdzie oczy być powinny. Jarzą się tam bowiem płomienie, jakby jeziora skwierczącego ognia. Słowa cichną, gdyż kobieta nagle traci głos. Nogi zaprzestają bezużytecznych poruszeń. Światło latarki zsuwa się niżej i ostatnią rzeczą, jaką widzi, są jego zęby. Dwa złote kły niczym sztylety zbliżające się nieubłaganie.

Jej krew jest smaczna - może trochę przerafinowana jak na jego gust. Pije łapczywie i szybko, nie marnując czasu. Potem układa ją pośrodku różanego ogrodu. Nagły podmuch wiatru zrywa z kwiatów słabsze płatki, które wirują nad nią jak konfetti, nim opadną, by przykryć ciało.

Zdobył to, po co przyszedł. Odchodzi po przystrzyżonym trawniku obok basenu i łąki z końmi na krawędź czarnej skały. Jakby na powitanie blask księżyca przebija się wreszcie przez ciemne chmury. Srebrzyste światło splywa po jego potężnym ciele. Uśmiecha się wtedy, czując się odrodzony; pulsuje w nim świeża krew. Z okrzykiem zeskakuje z krawędzi urwiska, robiąc salto w ciepłym nocnym powietrzu.

Dopływ adrenaliny oszałamia. Oto co znaczy być wolnym, myśli. Jak mógł tak długo wytrzymać na tym statku, to prawdziwa tajemnica. Jak mógł w ogóle znosić kapitana z jego zasadami i regułami... Dla mnie już nie istnieją, cieszy się, kiedy stopy uderzają głośno o piasek. Nie ma już reguł dla Sidorii. Od tej chwili sam będzie o sobie decydował. Żadnych ograniczeń.

Wysoko ponad nim, pośrodku różanego ogrodu, latarka Loretty Busby migocze przez chwilę, po czym gaśnie. Bateria jest teraz równie martwa jak jej właścicielka.

# Rozdział 1

## Trzech Bukanierów

Cate Kord maszerowała przez pokład Diabła, obserwując swoje elitarne zespoły szturmowe. Atak miał się zacząć w ciągu godziny, a jej doborowi piraci zajmowali już wyznaczone miejsca, przygotowując się fizycznie i psychicznie do czekającej ich próby. Cate szła powoli środkiem pokładu; przyglądała się, jak ćwiczą, i notowała w pamięci uwagi, które powinna przekazać pojedynczym ludziom i zespołom. Fakt, że jest zastępcą kapitana, wciąż wydawał się jej dziwny, ale i ekscytujący. Wiele zmieniło się na Diabłu przez ostatnie kilka miesięcy. Cheng Li opuściła statek - odeszła pracować jako wykładowca, kto by uwierzył... Pozostawiła stanowisko, do zajęcia którego Cate nie trzeba było długo namawiać. Kiedy Cheng Li zniknęła, kapitan Molucco Wrathe odzyskał swój zwykły dobry humor - jej obecność zawsze była jak cień w boku. Wydawał się o wiele bardziej zadowolony z Cate jako swym zastępcą. Nie zawsze może zgadzali się co do strategii, zachowywali jednak przyjazny szacunek do siebie nawzajem, a w kwestii planowania ataków zwykle pozwalał jej mieć ostatnie słowo. Jednak ze wszystkich zmian, jakie zaszły w ostatnich miesiącach, najważniejsze dla Cate było przybycie bliźniaków Tempest.

Ich pojawienie się nastąpiło w niezwykle tragicznych okolicznościach. Connor zjawił się pierwszy, mniej więcej tydzień przed swoją bliźniaczą siostrą Grace. Po śmierci ojca uciekli z rodzinnego miasteczka - Zatoki Księżycowej - na starym drewnianym rodzinnym jachcie. Jednak nieszczęścia zawsze chadzą parami i łódź dostała się w gwałtowny sztorm. Bliźniaki na pewno by zginęły, gdyby nie los, który wprowadził ich ocalał, ale też rozdzielił.

Cate wiedziała, jak ciężką próbą było dla Connora rozłączenie z siostrą, ale trzeba mu przyznać, że całą duszą rzucił się w wir życia na Diabłu. Zauważyła go teraz na samym końcu pokładu, jak ćwiczy szermierkę z dwoma najlepszymi kumplami, Bartholomewem - Bartem - Pearce'em i Jezem Stukeleyem. Przyspieszyła kroku, zmierzając w ich stronę. Bart i Jez byli w załodze już od kilku lat i należeli do najpopularniejszych piratów na statku. Obaj mieli po

dwadzieścia kilka lat, a podpisali kontrakty jeszcze jako nastolatki. Już wtedy Bart dał się poznać jako jeden z najsilniejszych mężczyzn w załodze, a pod kierunkiem Cate opanował też wyższą sztukę fechtunku, uzupełniając możliwości swych mięśni. Jez - niższy i szczuplejszy - był, prawdę mówiąc, lepszym szermierzem. Bart używał pałasza i często prowadził grupę szturmową, Jez zaś - podobnie jak Cate - wolał precyzyjną broń i swoim rapierem często był w stanie rozstrzygnąć o zwycięstwie.

Był też Connor Tempest - zaledwie czternastoletni. Trafił na statek trzy miesiące temu i nie miał wcześniej żadnych pirackich doświadczeń. Cate zapoznała go z rapierem i była zachwycona zarówno jego wrodzonymi zdolnościami, jak i zapałem w treningach. Teraz, gdy przyglądała się, jak trójka młodych piratów wykonuje kolejne manewry, widziała, że niewiele ich różni, jeśli chodzi o talent. Była szczególnie zadowolona, że Jez wziął Connora pod swoje skrzydła. Miała nadzieję, że jego szermierczy geniusz spłynie na młodego ucznia.

- Co słysząc w taki piękny dzień u Trzech Bukanierów? - spytała z uśmiechem.

Sama wymyśliła to przezwisko i szybko do nich przyłgnęło. Cała trójka była nierozłączna. Każdy dbał o kolegów - w czasie szturmów i nie tylko.

- Wszystko w porządku, dziękuję, madame. - Bart wyszczerzył zęby.

On i Cate prowadzili nieustający flirt, co w głębi duszy jej się podobało, ale teraz, przed atakiem, nie mogła kontynuować gry.

- Spocznij, chłopcy.

Choć przyzwalała, by zachowywali się swobodnie, rozkaz miał im przypomnieć, kto tu dowodzi.

Bart zrozumiał od razu.

- Może dowiemy się czegoś o tym statku, który ścigamy... - poprosił.

- To transportowiec - wyjaśniła Cate. - Płyniemy za nim od rana. Kapitan Wrathe otrzymał wczoraj wiadomość z jednego z naszych najpewniejszych źródeł. Podobno jest wyładowany po burty... i niedostatecznie zabezpieczony. A co ważniejsze, płynie po naszym akwenie.

- Czyli można się spodziewać łatwego zwycięstwa - stwierdził Jez Stukeley.

- Nigdy tego nie zakładaj - upomniała go Cate.

- Stosunek sił przemawia na naszą korzyść, ale nie wolno być zbyt pewnym siebie.

- Nie, sir! - zakrzyknął Jez.



- Sir? - powtórzył Bart i obaj z Connorem uśmiechnęli się, słysząc przejęzyczenie kolegi. Jez wzruszył ramionami i zaczerwienił się.

- Przepraszam, madame. Sam nie wiem, co...

- Nic nie szkodzi - przerwała mu Cate, rozbawiona, ale zdecydowana tego nie okazywać. -

A jak się dziś czuje młody pan Tempest?

Connor spojrzął jej w oczy.

- Skupiony i gotów do ataku!

- Bardzo dobrze - pochwaliła go Cate. - Jak tam Grace?

Connor wzruszył ramionami. - Myślę, że dobrze. Nie widziałem jej od śniadania. Miała chyba poranną służbę przy konserwacji broni.

- Robi szybkie postępy w szermierce - stwierdziła Cate.

Zauważyła, że Connor zeszywniał nagle, jak zawsze, kiedy pojawiał się temat Grace i mieczy. Przecież nie martwi się chyba, że stanie się jego rywalką? Choć była dobra - demonstrowała z pewnością naturalny talent - nie ćwiczyła jednak tak pilnie jak Connor. Szkoda, myślała Cate. Dlaczego chłopcy mają zgarniać dla siebie całą chwałę? Musi porozmawiać z Grace i skłonić ją, żeby potraktowała trening bardziej poważnie. Może kilka indywidualnych lekcji z którąś z kobiet - z Johnną na przykład - okaże się dobrym sposobem...

- Nie zamierza pani włączyć jej do grupy szturmowej, madame, prawda? - zapytał Connor.

- Nie. - Cate pokręciła głową. - Nie jest jeszcze gotowa.

I zobaczyła, że Connor rozluźnia napięte mięśnie. Chyba wreszcie zrozumiała: jest bratem Grace i zachowuje się trochę nadopiekuńczo. Nie chce, by Grace się narażała. Jednak na pirackim statku nie uznawano darmowych przejażdżek, a poza tym Grace pokazała, że umie sobie radzić z zagrożeniem o wiele większym. W końcu „ocalił” ją statek wampirów, czy raczej wampiratów, a ona przeżyła, by o tym opowiedzieć.

Mimo zachęt ze strony innych członków załogi, Grace niewiele mówiła o tym, co przeżyła na statku. Zwierzyła się tylko Connorowi, a on, choć niezłomnie strzegł sekretów siostry, dawał do zrozumienia, że znalazła się tam w sytuacjach naprawdę strasznych. To zrozumiałe, że chciał ją chronić przed kolejnymi wstrząsami.

- Nie musisz się o nią martwić - uspokoiła go Cate. - Jest twarda jak skóra na rękojeści mojego miecza.

Connor uśmiechnął się, ale wypadło to blado.

- Jest moją siostrą, Cate. Tylko ona została mi na świecie.

- No nie, kolego... - Bart położył mu dłoń na ramieniu. - A co z nami?

- Właśnie. - Jez szturchnął Connora pod żebro.

- Co z Trzema Bukanierami?

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - dodał Bart.

- Bardzo oryginalne - westchnęła Cate.

Ale ich żarty przyniosły efekt: Connor znów się uśmiechał.

- No dobrze, chłopcy - rzuciła Cate. - Idę kończyć przygotowania do ataku.

- Tak jest, sir! - zawołał Bart i zasalutował. Cate spróbowała groźnie zmarszczyć brwi, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu. - Dość wygłupów, panie Pearce. Jeszcze słowo, a czeka pana wieczorem czyszczenie toalet, kiedy wszyscy ruszymy do Mamy Kettle!

Odwróciła się i odeszła, by kolejny atak śmiechu nie skruszył jej surowej postawy.

- Och, uwielbiam, kiedy tak zadziera nosa - powiedział Bart, zwracając się do kolegów.

Connor spojrzał na Jeza i przewrócił oczami.

- Daj spokój, Connor - rzekł Jez. - Zostawmy pana Pearce'a jego miłosnym fantazjom, a sami weźmy się do ćwiczenia poważniejszych pchnięć.

- Wchodzę w to - odparł Connor.

Po poranku spędzonym na czyszczeniu mieczy Grace Tempest sama potrzebowała kąpieli. Wyszorowała dłonie i przedramiona, ale choć zdołała się pozbyć większej części brudu, nie mogła usunąć zapachu oleju i metalu. No trudno, uznała, musi poczekać, aż sam wywietrzeje. Pożegnała się z pozostałymi i ruszyła do swojej kajuty na zasłużony odpoczynek. W korytarzu słyszała piratów, którzy na górnym pokładzie szykowali się do ataku. Connor jest teraz między nimi... Poczula niepokój. Po trzech miesiącach wciąż dziwna wydawała się myśl o bracie jako młodocianym piracie.

Czasami zastanawiała się, jak ułożyło się ich życie. Po śmierci ojca nic ich już nie czekało w Zatoce Księżycowej - nic prócz ciężkiej pracy i życia w sierocińcu albo adopcji przez zwariowanego dyrektora banku, Lachlana Busby'ego, i jego szaloną żonę Loretę. Dlatego też wypłynęli na ocean swoją starą łodzią, „Luizjańską Damą”, nie do końca wiedząc, dokąd zmierzają, ale pewni, że gdziekolwiek trafią, będzie im lepiej niż tam.

Żadne nie wyobrażało sobie nawet, co ich czeka, myślała Grace, otwierając drzwi do swej małej kajuty. Jej brata uratował statek piracki, ona zaś trafiła do wampiratów - istot, o jakich słyszała tylko w dziwacznej szancie, którą śpiewał im ojciec.

*Opowiem ci o wampiratach - wieść stara, lecz prawdziwa - tak, w tej historii statkiem starym straszna załoga pływa.*

*O tak, zaśpiewam o statku starym, co pruje bezmiar fal, budząc paniczny strach.*

Wiele razy słyszała tę szantę, ale nie przyszło jej do głowy, że statek może istnieć naprawdę. Lecz istniał! A ona znalazła się na pokładzie, stając twarzą w twarz, czy raczej twarzą w maskę, z jego tajemniczym kapitanem.

*A sam kapitan twarz swą zakrył, żeby nie mnożyć strachu.*

*Śmiertelnie bladą skórą, martwym wyrazem oczu, zębami jak u diabła.*

*O tak, kapitan twarz swą zakrył*

*I nie ogląda światła.*

Kapitan nie nosił na twarzy zasłony, ale maskę. To tylko jeden ze szczegółów, którymi rzeczywistość na statku wampiratów różniła się od słów szanty. Statek istotnie okazał się tak tajemniczy, jak mogła się spodziewać. Nie był jednak siedliskiem czystej grozy, jak przypuszczali wszyscy inni. W każdym razie nie dla niej.

„Strasznie tam było, prawda?”, pytał ją ten czy inny pirat każdego dnia. „Co było najgorsze, co przeżyłaś?”, to następne typowe pytanie. I jeszcze: Jakie one były, te demony?”.

Wobec takich pytań Grace doszła do wniosku, że najlepszą strategią będzie odpowiedź: „Wolałabym o tym nie mówić, jeśli można”. To zwykle wystarczało. Biedna Grace, myśleli. Oczywiście, że nie chce przywoływać wspomnień z tego okropnego miejsca.

Było to o wiele łatwiejsze niż przekonywanie wszystkich, że tak naprawdę na statku traktowano ją bardzo życzliwie. Zamaskowany kapitan wydawał się dobrotliwą istotą, mającą na sercu jedynie dobro Grace. I chociaż wampiraci rzeczywiście - to jasne - pili krew, czynili to w sposób umiarkowany, tylko podczas cotygodniowej Uczty. Krwi dostarczali donory, których dobrze traktowano w zamian za ten dar. Opowiedziała o tym Connorowi, ale nawet jemu trudno było zrozumieć, jak mogła godzić się na to wszystko. Sama myśl o picciu krwi - „dzieleniu się”, jak nazywali to wampiraci - napełniała go grozą. Grace uśmiechnęła się. Choć piraccy towarzysze mogli uważać Connora za twardego, jednak sama myśl o krwi budziła w nim

mdłości. Dobrze się stało, uznała w myślach, że to ona znalazła się na statku wampiratów, a on na pirackim - nie odwrotnie.

Chociaż dziwnie to brzmi, Grace znalazła przyjaciół wśród wampiratów. Przecież nawet suknia, jaką nosiła, była podarunkiem od Drący Flotsam - galionu statku za dnia i, jak sama to określiła, „w galerii nocą”.

Siedząc na wąskiej koi, Grace zasłoniła bulaj kotarą. Na zewnątrz ocean oślepił błękitem. Sprawił, że pomyślała - jak często jej się zdarzało - o Lorcanie Fureyu. Był „młodym” wampirem, który ocalił ją przed utonięciem. Strzegł jej na pokładzie, a gdy piraci po nią przybyli, starał się ochronić ją po raz ostatni. Opuściła statek w większym pośpiechu, niż chciała. Nie miała nawet okazji porządnie pożegnać się z Lorcanem. Straciła go z oczu, kiedy pojawił się Connor. Przybycie brata tak ją zaskoczyło! Oczywiście, Lorcan musiał ukryć się pod pokładem, gdy nastał dzień. Ale kiedy Grace pobiegła do jego kajuty, nikogo tam nie znalazła. Kazała Connorowi zaczekać, a sama przeszukała cały statek, ale bez skutku. Nawet kapitan nie potrafił jej powiedzieć, gdzie jest Lorcan. Wreszcie nie mogła już dłużej zatrzymywać brata. Pożegnała się z kapitanem i po raz ostatni zajrzała do swojej kajuty. Wzięła niewielki kuferek z rzeczami - w tym kilka notesów i trochę ubrań od Darcy - po czym wyszła na pokład, by opuścić statek.

Kiedy rozpakowała kuferek w kajucie na Diabłu, odkryła małą drewnianą szkatułkę, której nie pamiętała. Wewnątrz znalazła zawiniątko. Rozwinęła tkaninę i trafiła na kartkę papieru. Ujrzała wypisane znajomym, wąskim pismem - jeszcze bardziej nierównym niż zwykle - słowa:

*Droga Grace*

*Coś, co będzie Ci mnie przypominać.*

*Płyń bezpiecznie.*

*Twój szczerzy przyjaciel*

*Lorcan Furey*

Serce biło jej mocno, kiedy unosiła kartkę. Sam widok nabazgranego podpisu Lorcana wystarczył, by ją poruszyć. Ale czekała ją jeszcze większa niespodzianka: jego pierścień Claddagh. Pamiętała, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy: gdy Lorcan odgarnął niesforny kosmyk włosów z jej twarzy, po uratowaniu przed śmiercią w morzu.

Patrzyła teraz na ten pierścień, na dziwny symbol dłoni obejmujących czaszkę zwieńczoną małą koroną.

Wzięła go w palce. To zbyt wspaniały dar, pomyślała. Przecież był niemal częścią Lorcana. Ale może o to właśnie chodziło, uświadomiła sobie z drżeniem. Chciał, żeby zachowała tę część. Kiedyś będzie musiała mu go zwrócić, postanowiła. A tymczasem stanie się jej talizmanem - pamiątką po dniach spędzonych na statku wampiratów i wróżbą, że pewnego dnia w przyszłości tam powróci.

Rozpięła łańcuszek, który podarował jej Connor i nasunęła nań pierścień, tak że zawisł obok medalionu. To były dwie najcenniejsze rzeczy, jakie posiadała.

Teraz musnęła pierścień palcami. Czasami, kiedy go dotykała, zamykając oczy, pojawiała się jej w myślach tak wyraźna wizja statku wampiratów, jakby widziała go rzeczywiście. Och, gdyby to była prawda...

Jak im się tam wiedzie: kapitanowi, Darcy, Lorcanowi? Gdzie są teraz? I znowu pożałowała, że nie miała więcej czasu na pożegnania. Nie mogła się kłócić z Connorem, kiedy oświadczył, że musi odejść z nim i zamieszkać na Diabłu. Nigdy nie zdołałaby go przekonać, że powinni zostać z wampiratami. To przecież byłoby szaleństwo, prawda? Życ wśród wampirów? Pamiętała słowa, które kiedyś powiedział do niej ojciec: „Czasami szaleństwo jest mądrością, Gracie”. Miała wrażenie, że tato by zrozumiał.

Opuściła dłoń. Zostałaby z nimi, gdyby tylko miała jakiś wybór. Tylko jeden z członków załogi jej groził... Jak zawsze, zadrżała, gdy w pamięci pojawiał się obraz porucznika Sidorio - z oczami niby jeziora ognia, złotymi kłami ostrymi jak sztylety...

Sidorio - który zabił swojego donora i uwięził Grace w kajucie, dopóki kapitan jej nie uratował. Sidorio, który powiedział, że zanim przeszedł, zabił go sam Juliusz Cezar. Sidorio, który został wypędzony ze statku i musiał odejść na wygnanie.

Tylko on był tam naprawdę niebezpieczny, myślała Grace, spoglądając na lśniący ocean. Ale Sidorio odszedł. Zagrożenie minęło. Z pewnością mogłaby bezpiecznie powrócić, gdyby tylko znalazła sposób.

# Rozdział 2

## Łatwe zwycięstwo

- Wystrzelić z działa! - krzyknęła Cate. Zaczął się szturm. Diabło stanął obok celu. Wystrzał był sygnałem, by ruszać do ataku, a zgrzyt metalu oznaczał, że trzy pomosty - które piraci nazywali Trzema Życzeniami - opadły z góry, tworząc przejścia na transportowiec. Connor nie pozbył się jeszcze lęku wysokości i serce wykonało typowe salto, jak zawsze, kiedy słyszał, jak się opuszczają. Przewidywał już bliski bieg po kratownicach, wysoko nad wodą. Na szczęście wszystko działo się szybko, a dzisiaj dodatkowym ułatwieniem był stosunkowo spokojny ocean.

- Czwórki... naprzód!

Gdy tylko pomosty opadły do poziomu, przebiegły po nich ciężko trzy czteroosobowe zespoły. Były to grupy siłowe - w większości rośli mężczyźni, w tym Bart - które rozpoczynały bitwę, wywijając pałaszami, wywołując strach i pozorny chaos na pokładzie.

- Pierwsze ósemki... naprzód!

Krzyk Cate dał sygnał, by po metalowych kratownicach przebiegły ośmioosobowe grupy piratów uzbrojonych w rapiery i szpady. Stanowiły pierwszą linię walczących precyzyjnie. Choć ci z pałaszami wydawali się groźniejsi, jednak to pierwsze ósemki stanowiły poważniejsze zagrożenie. Jak Cate wyjaśniła kiedyś Connorowi, użycie szpady było jak „walka igłą”. Jeśli igła nakłuwała ludzki cel w odpowiednim punkcie, przebijała jeden z ważnych organów i prowadziła do powolnej, bolesnej śmierci.

Jez był ostatnim z ośmiu, tuż przed Connorem.

- Zobaczmy się po drugiej stronie! - zawołał jeszcze i wskoczył na pomost.

Formacja 4-88, w której piraci z Diabła zaatakowali statek transportowy, była jednym z najbardziej lubianych przez Cate i najskuteczniejszych ustawień. Preferowała tę formę ataku na statki średniej wielkości, takie jak ich obecny cel. W szturmie brało udział sześćdziesięciu piratów, podzielonych na trzy zespoły, które same ustawiały się w 4-8-8. Każdy pirat w drugiej ośmioosobowej grupie był towarzyszem jednego z pierwszej - pomocnikiem i wsparciem

bardziej doświadczonego i skutecznego szermierza. Dzisiaj Connor miał być wsparciem Jeza. Działali jako para podczas wszystkich szturmów przez ostatnie osiem tygodni i Connor wiele się już nauczył od swego mentora i przyjaciela.

- Drugie ósemki! Dowódca oddziału Connora krzyknął głośno i po chwili wszyscy przebiegli po kratownicy, by włączyć się do walki. Connor był ostatni w swojej grupie. Znowu przypomniał sobie swoją pierwszą bitwę, kiedy Cheng Li popychała go naprzód. Teraz Cheng Li nie było i pozostała mu tylko własna wola. Odetchnął głęboko, wskoczył na pomost i pobiegł. Teraz wszystko polegało na wyczuciu czasu i precyzji. Ale Connor Tempest nie tylko nosił kostium pirata - miał też piracką duszę. Krzyknął głośno, dobył rapier z pochwy i poczuł, jak krew szumi mu w żyłach. To było prawdziwe życie.

Biegając między walczącymi na pokładzie transportowca, zauważył, że Jez zatacza kręgi wokół dwóch marynarzy z broniącą się załogi. Od stóp do głów ubrani byli w czerń i ściskali zakrzywione miecze z ostrzem po zewnętrznej stronie klingi - Connor rozpoznał scimitary. Skoro tak byli uzbrojeni, uświadomił sobie, to ładunek statku musi być rzeczywiście cenny. Dzisiejsza zdobycz powinna być obfita.

- Witamy na pokładzie! - powitał go Jez ze swobodnym uśmiechem. - Poznaj moich nowych przyjaciół.

Na widok Connora - biegnącego ku nim z rapierem w dłoni - obaj marynarze natychmiast skapitulowali, rzucając scimitary na deski.

- Rozsądna decyzja, koledzy. - Jez rozpromienił się. - Connor, przypilnuj ich, a ja zaraz wrócę.

- Nie ma sprawy.

Connor stanął gotów do akcji, trzymając rapier tak, by móc zagrozić obu jeńcom. Walka jeszcze się nie skończyła. Już raz dał się zaskoczyć i wiedział, że jedno potknięcie w środku bitwy może całkowicie zmienić jej wynik.

Pozwolił sobie jednak na szybki rzut oka po pokładzie. Szala zwycięstwa przechylała się chyba na ich stronę. Choć marynarze transportowca byli dobrze uzbrojeni, wydawało się, że brakuje im umiejętności; piraci z Diabła zepchnęli ich do obrony. Manewr Jeza powtarzał się wszędzie. Broniąca załoga wycofała się na środek pokładu, a scimitary padały na deski jak szpilki sosen. Connor poczuł dumę. Diabło pod kierunkiem nowego zastępcy kapitana, Cate, stał się znakomitą machiną bojową.

Spojrzał w oczy swoich więźniów. „Zawsze obserwuj oczy przeciwnika”, powiedział mu kiedyś Bart. „Miecz może kłamać, oczy nie.” W poprzednich szturmach przyzwyczał się do strachu w oczach pokonanych. To była część operacji, z którą najgorzej sobie radził. Bart i Jez uspokajali go, że z czasem to się zmieni.

- Nie ma w tym nic złego - tłumaczył Jez. - Zawsze dobrze jest pamiętać, że twój jeńiec to po prostu normalny gość, taki jak ty i ja. Ma kolegów, rodzinę, marzy o sławie. To jest problemem tylko wtedy, kiedy na chwilę opuścisz gardę i pozwolisz mu znowu włączyć się do walki.

Connor był już piratem na tyle doświadczonym, by wiedzieć, że to się teraz nie zdarzy.

Uważając, by cały czas mieć jeńców w polu widzenia, raz jeszcze przebiegł wzrokiem po pokładzie. Walka dobiegała już końca. Widział, jak Cate i kapitan Wrathe okrążają grupę jeńców, stłoczonych wokół głównego masztu. Trochę dalej zauważył Barta i jego oddział, pilnujących obwołu. Wszystko było pod kontrolą. Teraz pozostał tylko jeden ważny element - kapitulacja dowódcy zdobytego statku. Ale gdzie on się podział? A może ona? Wszyscy marynarze ubrani byli tak samo, bez żadnych dystynkcji. Kapitanem równie dobrze mógł być jeden z pilnowanych przez Connora ludzi.

Przyglądał się twarzom jeńców, kiedy usłyszał wołanie Molucca Wrathe'a.

- Kapitanie! Wyjdź i pokaż się! Twój statek został zdobyty i ja, Molucco Wrathe z Diabla, przejmuję wasz ładunek.

Nie było odpowiedzi. Słowa kapitana Wrathe'a zawisły w powietrzu niczym echo armatniego wystrzału.

Jez zbliżył się do Connora. Chłopiec spodziewał się, że kolega będzie uśmiechnięty, ale Jez zachowywał powagę.

- Nie podoba mi się to - szepnął. - Wcale mi się nie podoba. Za łatwo nam poszło.

- Łatwo to chyba dobrze, nie?

Jez pokręcił głową.

- Bywa łatwo, ale bywa też za łatwo. Coś tu nie pasuje.

Connor poczuł dreszcz.

Kapitan Wrathe krzyknął znowu.

- Proszę się pokazać, kapitanie! Nikomu nie zrobimy krzywdy, jeśli szybko ustalimy warunki... i napelnimy nasze ładownie pańskimi skarbami!



Tym razem usłyszeli odpowiedź: uderzył dzwon. Dzwon okrętowy A kiedy jego niezwykle dźwięk zabrzmiał trzy, potem cztery, pięć razy, piraci z Diabła zaczęli spoglądać po sobie i zastanawiać się, co się dzieje. Connor zdołał dostrzec w oddali twarz Cate - była równie niespokojna jak u pozostałych.

Teraz naprawdę zaczął się martwić. Spojrzał znowu na swoich więźniów - jeden uśmiechał się do niego, a potem zarechotał głośno. Drugi poszedł za przykładem towarzysza. Connor spojrzał niepewnie na Jeza, gdy fala śmiechu przepływała od jednego jeńca do drugiego, aż ogarnęła cały pokład.

I nagle Connor uświadomił sobie, że jego koledzy nie tworzą już zewnętrznego szeregu na pokładzie. Otaczał ich teraz krąg obcych, ubranych na czarno, tak jak pokonani, z takimi samymi groźnymi scimitarami w rękach. Jak im się to udało? Zajmowali już cały pokład. Było ich o wiele więcej niż piratów z Diabła.

- Nabrali nas - stwierdził Jez. - Popatrz tam!

Connor podążył wzrokiem we wskazanym kierunku, do miejsca, gdzie kolumna czarno ubranych postaci wyłaniała się z dwóch otworów w pokładzie. Tam były klapy!

- I spójrz za siebie!

Connor odwrócił głowę. Kolejni przeciwnicy wybiegali przez kolejne dwie klapy po stronie sterburty. Obrońcy mieli teraz przytłaczającą przewagę liczebną. Wzbudzili w piratach z Diabła fałszywą pewność zwycięstwa, wystawiając do pierwszego starcia jedynie szkieletową załogę. Było to śmiałe posunięcie - bo skąd mogli wiedzieć, że piraci nie wybiją wszystkich? Jednak ryzykowna taktyka opłaciła się i w tej chwili cztery razy więcej czarnych sylwetek stało na pokładzie ze scimitarami w dłoniach.

- Co robimy? - zapytał Connor.

Jez wzruszył ramionami.

- Znasz jakąś dobrą modlitwę, kolego?

Connor nigdy jeszcze nie widział tak załamanego Jeza. Spoglądał to na jego poszarzałą twarz, to na uśmiechniętych jeńców za jego plecami - w każdym razie na ludzi, których uważał za jeńców. I nagle ogarnęła go słabość.

- Rzućcie broń, bandyckie męty!

Wreszcie na pokładzie dał się słyszeć głos kapitana. Mimo to Connor nie wypuszczał uniesionego rapiera - żaden pirat z Diabła nie mógł złożyć broni bez rozkazu oficera. Był to jeden z punktów kontraktu, jaki Connor podpisał, wstępując do załogi Molucca Wrathe'a.

Ale, ku swemu zdumieniu, usłyszał wołanie Cate:

- Złóżcie broń, chłopcy!

Ledwie mógł uwierzyć własnym uszom. Przez trzy miesiące, jakie spędził na Diabłu, bywał już w tarapatkach, ale nigdy takich jak w tej chwili. Wokół niego na deski ze stukiem padały miecze. Obejrzał się pytająco na Jeza, który ze smutkiem kiwnął głową. Obaj położyli rapierzy na pokładzie. Równocześnie, ruchem wyraźnie dobrze wyćwiczonym, byli jeńcy pochwycili swoje scimitary. Teraz wrogowie szachowali załogę Diabła z obu stron. Nie mieli szansy ucieczki. Ale gdzie był nieprzyjacielski dowódca?

- Niech pohańbiony kapitan się ujawni! - Był to ten sam głos, który nakazał im rzucić broń. Głos bezlitosny i rozbrzmiewający okrucieństwem. Connor i inni rozejrzeli się z zaciekawieniem, ale nie było jasne, kto przemawia. - Niech pohańbiony kapitan się ujawni! - powtórzył głos.

- Objawiłem już swoją tu obecność - zawołał Molucco Wrathe. - To więcej, niż można powiedzieć o tobie, mój panie!

Connor zerknął na kapitana. Nawet teraz, w obliczu katastrofy, Molucco nie stracił swego majestatu. Był - i pewnie zawsze będzie - nadnaturalną postacią.

Nagle w górze rozległ się jakiś hałas. Connor spojrzął na bocianie gniazdo. Stał tam człowiek - w takim samym kostiumie jak jego załoga, całkowicie czarnym.

Inni piraci także spoglądali w górę.

Wtedy, ku zdumieniu Connora, kapitan skoczył z bocianiego gniazda. Poleciał w dół, obok żagli i olinowania, ciągnąc za sobą czarną linę. Kiedy zbliżał się do pokładu - i pewnej śmierci - lina zatrzymała go niczym bungee. Kołysał się jeszcze przez chwilę, po czym zawisł nieruchomo głową w dół, jak śpiący nietoperz. Dobył miecza i odciął linę, wykonał perfekcyjne salto w powietrzu i wylądował miękko na pokładzie, kilka metrów od Molucca.

Tajemniczy kapitan pomaszerował do Molucca, a jego scimitar błyszczał w słońcu jak brylant. Przyłożył ostrze do szyi Wrathe'a, jednak ten nawet nie drgnął.

Kapitan uniósł wolną rękę i zdjął czarną chustę z głowy i twarzy. Materiał załopotał jak wstęga, która odpłynęła, porwana bryzą.

Dopiero wtedy kapitan Wrathe zbladł i jakby nagle się zdawało się, że brakuje mu słów, że z trudem chwyta powietrze. W końcu zdołał wykrztusić:

- To ty! Ale to niemożliwe... prawda?

Connor obejrzał się na Jeza w nadziei, że przyjaciel wie, co się dzieje. Ale tym razem, pierwszy raz w życiu, Jez Stukeley milczał.

# Rozdział 3

## Diabeł i Albatros

Kapitanowie stali twarzą w twarz, jeśli można tak powiedzieć, zważywszy, że dowódca transportowca był o dobrą głowę wyższy od Molucca Wrathe'a. Twarz miał opaloną, rysy toporne, skórę gładką oprócz głębokiej blizny, która przecinała mu policzek jak purpurowa rzeka.

- Narcisos Drakoulis - wykrzyknął zdumiony kapitan Wrathe. - Myślałem, że nie będę cię już więcej oglądał.

- Jestem pewien, że tak myślałeś, Wrathe. - Drakoulis uśmiechnął się, ale bez cienia radości. - Wiele już lat minęło od Itaki.

Connor spoglądał to na jednego, to na drugiego, i zastanawiał się, jaka mroczna historia ich łączy.

- Twoja załoga się zbuntowała. Odebrali ci statek. Zostałeś porzucony. Jak ci się udało? To wszystko...

Wrathe umilkł, przebiegając wzrokiem po pokładzie, po hordzie wojowników Drakoulisa, po ich scimitarach połyskujących w słońcu niczym płomienie.

Drakoulis znów się uśmiechnął, zaciskając wąskie wargi.

- Zawsze powinieneś mieć plan B, Wrathe. To pierwsza reguła dowodzenia, prawda?

Uniósł scimitar, zachęcając tym załogę, by powtórzyła gest. Klingi otoczyły piratów Diabła niczym mur śmierci.

- Opuśćcie broń - rozkazał kapitan Drakoulis.

- Na razie.

Connor zadrzał. Miał ochotę sprawdzić, jak reaguje Jez, ale nie potrafił oderwać wzroku od twarzy Drakoulisa. W jego zimnych oczach i pozbawionym emocji głosie kryła się groźba. Connor uświadomił sobie, że wynik dzisiejszego szturmego był przesądzony. Przeklinał sam siebie, że był taki zarozumiały. A teraz może już nigdy nie zobaczyć Grace. Po tylu wysiłkach, jakie

podjął, żeby ją znaleźć, wszystko może się skończyć na tym pokładzie - z rąk kogoś z bandy Drakoulisa.

- To była pomyłka, Drakoulisie - tłumaczył Wrathe. - Wiesz przecież, że nigdy bym nie zaatakował statku innego kapitana piratów.

Drakoulis pokręcił głową.

- Niczego takiego nie wiem.

Molucco mówił dalej, nieporuszony lodowatym tonem przeciwnika. - Sądziliśmy, że to statek transportowy. Zostaliśmy wprowadzeni w błąd... - Tak. - Drakoulis znów się uśmiechnął. - Zostaliście wprowadzeni w błąd. - Przerwał, jakby starannie ważył każde słowo. - To dziwne, jak powstają te... nieporozumienia.

Connor obejrzał się na Jeza. Przyjaciel marszczył brwi.

- Nabrali nas - syknął. - To była pułapka.

- Pora, żebyś zapłacił za swoje błędy - ciągnął Drakoulis. - Istnieje Kodeks piracki, Wrathe, o czym bardzo wygodnie zapomniałeś albo może wydaje ci się, że jesteś ponad to. Masz zdaje się wygórowane mniemanie o znaczeniu nazwiska Wrathe... ty i twoi bracia. Bezczelnie korzystasz z akwenów innych kapitanów, tu kogoś oblegasz, tam rabujesz. Och, to tylko sport dla ciebie i twoich... towarzyszy zabaw. Mam rację?

Connor słyszał już, jak inni piraci złością się na kapitana Wrathe'a. Pamiętał swoją pierwszą wizytę w tawernie Mamy Kettle, kiedy grupa kapitanów próbowała zaatakować Molucca Wrathe'a. To było przerażające, ale dzisiejsza sytuacja wydawała się o wiele bardziej niebezpieczna. Tamci chcieli po prostu wyładować swój gniew. Kapitan Drakoulis z zimną krwią zaplanował i wykonał misję schwywania w pułapkę Wrathe'a i jego załogi. Connor wyczuwał, że Drakoulis chce się zemścić za jakieś dawne krzywdy. Co Molucco mu zrobił? Teraz chłopiec nowymi oczami spoglądał na dowódcę, któremu przysięgał posłuszeństwo.

- Czego chcesz, Drakoulisie?

Pytanie Wrathe'a brutalnie skierowało myśli Connora ku obecnej - groźnej - sytuacji.

- Już ci powiedziałem, Wrathe. Nadszedł czas, żebyś zapłacił za swoje czyny.

- No to podaj swoje warunki, człowieku, i będziemy mogli się rozstać. - Kapitan Wrathe wydawał się pewny siebie jak zawsze.

- Twoje występki mają swoją cenę - oświadczył zimno Drakoulis.

- No więc podaj tę cenę. I przypomnij mi, czy raczej złoto, czy srebro jest w twoim guście.

Drakoulis spojrział na Molucca niechętnie i wolno pokręcił głową. Wtedy właśnie Connor zauważył, że w przeciwieństwie do kapitana Wrathe'a - który ociekał wręcz srebrem i szafirami - kapitan Drakoulis nie nosił żadnych ozdób. Jego ubiór nie różnił się od strojów marynarzy: prosty, czarny, bez błyskotek.

Kiedy znów się odezwał, w głosie dźwięczała pogarda.

- Jakież to dla ciebie typowe, Wrathe: wierzysz, że pożądam takich samych błahych zdobyczy jak ty. Cena twoich występów nie będzie spłacona metalem, kapitanie. Będzie spłacona jedyną walutą, która ma znaczenie: krwią.

Na te słowa dowódcy załoga ponownie uniosła scimitary - płynnymi, bezbłędnie skoordynowanymi ruchami. Drakoulis dobrze ich wyszkolił. Connor nie chciał nawet myśleć, jaka nowa groza ich czeka. Wiedział jednak, że piraci Drakoulisa będą doskonale przygotowani, podczas gdy on i jego koledzy utoną we mgle. Na moment rozgorzał w nim gniew na kapitana Wrathe'a, że postawił jego i innych w takiej sytuacji. Gniew jednak szybko zgasł - Molucco Wrathe przyjął go przecież do załogi jak ojciec. Zaoferował schronienie w najczarniejszej godzinie - i przywrócił nadzieję. Kapitan jest może lekkomyślnym łajdakiem, ale nie jest złym człowiekiem. W przeciwieństwie, jak się zdawało, do kapitana Narcisosa Drakoulisa.

- Pojedynek - oznajmił Drakoulis. - Tę sprawę rozstrzygnie pojedynek... na śmierć.

Molucco drgnął. Nie było tajemnicą, że ma już za sobą najlepsze szermiercze lata. Wciąż należało się z nim liczyć, ale dawno już przekazał młodszym członkom załogi kluczowe stanowiska bojowe. Przyjrzał się Narcisosowi Drakoulisowi - w ostrym, białym świetle słońca kontrast był aż nazbyt wyraźny. Wrathe sprawiał wrażenie otyłego, pobłażającego swoim zachciankom. Tymczasem pod obcisłym, czarnym kostiumem Drakoulis był szczupły, silny i gotów do akcji.

Nie będzie żadnej walki. Jeśli sprawę mają rozstrzygnąć miecze, Connor i jego koledzy powrócą na Diabla bez dowódcy.

Ale Drakoulis znowu się uśmiechnął.

- Oczywiście, nie proponuję, żebyśmy ty i ja starli się bezpośrednio. Przecież dla czegoś takiego nie warto nawet oliwić scimitara. Nie, Wrathe. Ty wystawisz swojego najlepszego szermierza, a ja swojego. - Zmrużył oczy. - I lepiej szybko decyduj, kto to będzie.

Molucco zmarszczył czoło. Wzrokiem wyszukał w tłumie Cate. Connor wstrzymał oddech. Czyżby kapitan Wrathe chciał właśnie ją wybrać do pojedynku? Zalicza się do najlepszych szermierzy na statku, z pewnością najwięcej wie o szermierce. Ale czy można ryzykować jej utratę? Jako jej przyjaciel, nie tylko uczeń, Connor poczuł, że na samą myśl o tym krew stygnie mu w żyłach.

- No dobrze - rzekł Drakoulis. - Póki się nad tym zastanawiasz, pozwól, że przedstawię ci twojego przeciwnika. Gidaki Sarakakino, wystąp!

Chóralne okrzyki rozległy się wśród załogi Drakoulisa, kiedy jeden z grupy ruszył wolno na środek pokładu. Connor poczuł, jak ogarnia go strach, gdy słyszał te zbliżające się ciężkie kroki. Mężczyzna odepchnął go z drogi i uderzenie jego napiętych mięśni wywołało ostry ból. Spojrzał i dostrzegł, że ciemny siniec tworzy się już na skórze. Znow uniósł głowę; Drakoulis uśmiechnął się i wyciągnął rękę do wybranego wojownika. Sarakakino uścisnął ją, odwrócił się i zasalutował swoim towarzyszom. Connorowi zamarło serce.

Niewielu piratów z Diabła mogłoby stanąć przeciwko komuś takiemu.

Molucco prowadził ożywioną dyskusję z Cate.

Kapitan Drakoulis potrząsnął głową.

- Trochę to zaskakujące, że tak trudno ci podjąć decyzję.

Po raz pierwszy Molucco okazał gniew.

- Mój statek jest demokratyczny - burknął. - I w tej sprawie chcę wysłuchać opinii swojego zastępcy.

Drakoulis rzucił mu wzgardliwe spojrzenie, ale nie powiedział ani słowa.

Męką była obserwacja, jak kapitan Wrathe i Cate dyskutują o trudnej sytuacji. Connor wiedział, że oboje także cierpią, zmuszeni wybrać pirata, by stanął do samotnej walki. Życie na Diabłu opierało się na współdziałaniu i członków załogi łączyła prawdziwa przyjaźń, wykraczająca poza hierarchię. Nikt na Diabłu nie poświęciłby innego pirata.

W końcu kapitan Wrathe odwrócił się tyłem do Cate i przemówił do Drakoulisa.

- Podjęliśmy decyzję.

Connor wraz z resztą załogi czekał na werdykt.

- Nie wydelegujemy żadnego z członków naszej załogi, by stanął do pojedynku.

Przez moment Drakoulis milczał. Potem spojrzał na Sarakakino i obaj wybuchnęli śmiechem.

Drakoulis znowu zwrócił się do Wrathe'a.

- Zachowujesz się, jakbyś miał jakikolwiek wybór - rzekł. - To nie jest gra, kapitanie. Powiedziałem już: pora wyrównać rachunki.

Molucco stanął naprzeciw niego, pełen nowej energii.

- Przed chwilą mówił pan o regułach, kapitanie. A jednak wymusza pan swoją wolę niczym jakiś półbóg.

- Półbóg? - prychnął Drakoulis. - A czyż każdy statek nie jest osobnym wszechświatem, a każdy kapitan piratów bogiem wszystkiego, czym dowodzi?

Krew zastygła Connorowi w żyłach. W głosie Drakoulisa dźwięczało szaleństwo, a w połączeniu z jego zamiłowaniem do przemocy, któż mógł zgadnąć, do jakich zagrożeń doprowadzi...

- Zamelduję o tobie w Federacji Pirackiej - zagroził Molucco.

Drakoulis pokręcił głową. - Nie sądzę, Wrathe. Jesteś teraz na Albatrosie. Na moim statku. Albatros, pomyślał ponuro Connor. Dziwna nazwa. Ten długoskrzydły ptak morski był dla żeglarzy zwiastunem złych wieści. Co potwierdziło się w przypadku załogi Diabła. Najwyraźniej diabeł nie miał dzisiaj szans z albatrosem.

- Opuściłeś swój akwen - oznajmił zimno Drakoulis.

- Nie jesteśmy też na twoim.

- To bez znaczenia. Federacja Piracka cię usunęła, Wrathe. Mają już dosyć twoich wyskoków. Bóg świadkiem, że starali się sprowadzić cię na słuszną drogę. Przysłali nawet do twojej załogi szpiega...

- Szpiega?

Molucco znieruchomiał, wstrząśnięty.

- Tak... szpiega! - potwierdził Drakoulis, przedrzeźniając zdumioną minę Wrathe'a. - Córkę Chang Ko Li. Myślałeś, że szkoli się na kapitana, a ona cały czas cię szpiegowała i donosiła Federacji.

Wiadomość zaskoczyła nie tylko kapitana Wrathe'a. Connor zauważył, jak to niepokojące oskarżenie z wolna dociera do kolegów. Jego samego też mocno uderzyło. Znał z pierwszej ręki frustrację Cheng Li, związane z postępowaniem kapitana. Nigdy by jednak nie podejrzewał, że dziewczyna jest szpiegiem. Kiedy gorączkowo odtwarzał w pamięci rozmowy z nią, uświadomił



sobie, że wszystko pasuje. Gdyby tylko była tutaj i mogła się wytłumaczyć... Ale nie widzieli jej już prawie trzy miesiące.

Wrathe pokręcił głową.

- To kolejne z twoich szaleństw, Drakoulisie. Pani Li kończyła studia w Akademii. I Federacja wybrała Diabła na jej staż.

- Więc gdzie jest teraz? - Drakoulis uśmiechnął się złośliwie.

- Wróciła na Akademię, gdzie prowadzi zajęcia.

- I to w porządku, tak? Wycofała się z twojej załogi z powodu niezwyklej oferty Federacji? A może dlatego, że nie wypełniła swojej misji ustawienia cię w szeregu?

- Nie! - krzyknął Molucco.

- Może sam spytasz, kiedy następnym razem spotkasz ją u Mamy Kettle? Sądzę, że pani Li będzie miała do opowiedzenia wiele interesujących historii. To znaczy, oczywiście, jeśli w ogóle zniży się do rozmowy z tobą.

Molucco wyglądał jak rażony gromem. Connor także był oszołomiony. Niewiele wiedział o Federacji Pirackiej. Czy rzeczywiście Federacja szpiegowała Molucca Wrathe'a i jego ludzi? Czy Narcisos Drakoulis działał niezależnie, czy też wynajęto go jako zabójcę? Czy Cheng Li naprawdę próbowała - bez skutku - ograniczyć niesforne zachowania kapitana? Zdawało się, że wszystkie kłopoty Molucca Wrathe'a skumulowały się w tej jednej chwili...

- Dość już gadania. - Drakoulis splunął. - Pora załatwić sprawę. Który z twoich ludzi stoczy pojedynek z Sarakakino?

Kiedy mówił, jego reprezentant zdjął koszulę, odsłaniając umięśnioną pierś i ramiona, poprzecinane grubymi żyłami. Zanim koszula opadła na pokład, Sarakakino odwrócił się i napiął bicepsy. Na opalonej skórze grzbietu miał wytatuowanego ptaka o długich skrzydłach, sięgających aż nad łopatki. Następny albatros, pomyślał Connor. Jeśli coś mogło zwiastować zgubę, to z pewnością ten ptak na tatuażu.

- Już ci mówiłem - rzekł Molucco. - Żadnego z moich piratów nie pošlę na śmierć.

- A ja ci mówiłem - odparł wściekły Drakoulis - żebyś wystawił jednego człowieka, bo inaczej cała twoja załoga trafi do piekła.

Wszędzie wokół pokładu uniosły się zakrzywione scimitary.

Obaj kapitanowie znów stanęli twarzą w twarz. Sytuacja była bez wyjścia.

I wtedy, ku zdumieniu - i grozie - Connora, zabrzmiał znajomy głos.

- Ja będę walczył, kapitanie! Niech pan mi pozwoli z nim walczyć!

# Rozdział 4

## Gość

Grace leżała na łóżku w swojej kajucie. Ponad nią, na pokładzie Diabła, panował spokój. To znaczy, że ruszyli - wszyscy piraci biorący udział w ataku. Ci, którzy pozostali, mogli teraz tylko czekać. Nienawidziła tych chwil. Jakoś radziła sobie z myślą, iż Connor uczestniczy w bitwie - pod warunkiem że nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać. Kiedy wyruszał, starała się znaleźć sobie jakieś zajęcie. Gdy tylko mogła, skupiała się na wykonywaniu swych obowiązków, dziś jednak odbyła służbę wcześniej i teraz miała kilka godzin dla siebie. Owszem, mogła wyjść i zaproponować pomoc przy jakichś pracach, ale czas wolny na Diabłu był luksusem, którego nie należało marnować. Poza tym źle spała wczorajszej nocy, więc po porannej służbie była potwornie zmęczona.

Rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Warunki były w nim zdecydowanie bardziej spartańskie niż we wspaniałej kajucie, jaką zajmowała na statku wampiratów. Tam spała jak księżniczka z bajki, na szerokim łożu ze stosami poduszek i baldachimem. Tutaj miała do dyspozycji wąską koję z jedną poduszką, która zresztą pamiętała lepsze czasy. Ale Grace nie narzekała. Nowe mieszkanie dosyć jej się podobało. Było całkiem wygodne, a wielką przyjemność sprawiało światło, w ciągu dnia wpadające do wnętrza przez brudnawy bulaj. Poza tym lepiej mieć kajutę dla siebie, niż spać - jak Connor - we wspólnej sali, gdzie chrapanie, rżenie, kaszel i wiatry innych piratów rozbrzmiewały nocą niczym dziwaczna symfonia.

Oprócz koi w kajucie miała niewiele mebli - niskie drewniane krzesło, którego używała głównie do wieszania ubrań, małą komodę i kilka półek. Ale miejsca było aż nadto dla kogoś, kto zgromadził tak niewiele rzeczy jak Grace.

Wyprostowała się powoli, zsunęła na podłogę i uklękła. Sięgnęła pod koję, odsuwając na bok starą skrzynkę i koc, stanowiące kamuflaż, by wścibskie oczy nie odkryły małej szkatułki, którą tam schowała.

Teraz wzięła ją w ręce i wróciła na koję. To Darcy Flotsam podarowała jej to pudełeczko. „Ponieważ każda dama potrzebuje skrytki, by trzymać w niej swoje sekretne drobiazgi”, jak powiedziała. Zachowanie typowe dla Darcy - serdeczny gest, uzasadnienie, no i sama szkatułka. Była to, ściśle mówiąc, „szkatułka próżności” - kryta od zewnątrz ciemnoczerwoną skórą, a we wnętrzu wyłożona szokująco różowym jedwabiem. Służyła do przechowywania grzebieni, szczotek i kosmetyków, których Grace nie miała i nie potrzebowała. Ale z ukrytymi przegródkami oraz bardzo przydatnym malutkim zamkiem i kluczykiem, stanowiła idealne miejsce do trzymania w nim sekretnych pamiątek.

Grace przekręciła kluczyk i uniosła wieczko, z uśmiechem spoglądając na zawartość. Były tam notatniki i pióra, które - za namową kapitana - zabrała ze statku wampiratów. Wyjęła nieduży notes w skórzanej oprawie, w którym zaczęła zapisywać „historie przejścia” załogi wampiratów - opowieści o ich życiu, kiedy byli jeszcze śmiertelnikami, i w jaki sposób przeszli z tamtego świata do obecnego. Na razie wykorzystała tylko kilka stron. Miała tutaj historię Darcy Flotsam - spisana starannym pismem - oraz bardziej mroczną opowieść Sidorio, pospiesznie nabazgraną w całkiem innych okolicznościach.

Przebiegła wzrokiem po ostatnich stronicach. Opowieść okazała się równie pasjonująca, co przerażająca. Porucznik Sidorio zdradził, że wiele stuleci temu porwał Juliusza Cezara i został zabity w akcie zemsty. Mimo strasznego lęku, jaki Sidorio wzbudzał w Grace, była zadowolona, że poznała i zanotowała jego historię. Odkryła mroczną tajemnicę, znaną niewielu osobom na świecie, co okazało się tak podniecające, jakby między stronicami notesu zasuszyła kwiat najrzadszej orchidei.

Gdy dotarła do końcowej strony swoich zapisków, westchnęła ciężko. Bardzo by chciała uzupełniać te notatki. Na statku wampiratów wymyśliła, że spíše historie przejścia każdego z członków załogi. Myśl o tym wciąż budziła dreszcz podniecenia, choć Grace zdawała sobie sprawę, jak nikła jest nadzieja, by jej się udało.

Jej oczy stawały się z wolna równie zmęczone jak całe ciało. Zamknęła notes i położyła obok siebie na koi. Potem wyciągnęła się na wznak i przyknęła powieki. Uniosła rękę do szyi i wymacała łańcuszek; przesunęła po nim palcem wskazującym i natrafiła na serce - medalion, który podarował jej Connor. Odsunęła go na bok i dotknęła pierścienia Claddagh. Miała wrażenie, że nagle przeszył ją prąd - prawdziwy, czy tylko wyobrażony - gdy przypomniała sobie dar Lorcana.

To przede wszystkim ten pierścień dawał jej nadzieję. Przypominał słowa Lorcana, jego akcent, sposób, w jaki na nią patrzył, jak gdyby odkrywał głębię uczuć, których nie potrafił wyrazić słowami. Pierścień stanowił największą tajemnicę Grace; wisiał tam, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć, ukryty pod medalionem. Czasami, tylko czasami, metal uciskał jej skórę i ogarniało ją dziwne uczucie - jakby Lor-can do niej mówił, zapewniał, że wszystko będzie dobrze i że znowu się spotkają. I rzeczywiście, jego głos przemówił do niej w tej chwili, zabierając ją z pirackiego statku na roziskrzone, błękitne wody marzeń...

- Grace! Grace, obudź się!

- Co?

Kołysała się w takim cudownym śnie... Czowała się wypoczęta i spokojna. - Grace! Głos zabrzmiał znowu, mocniej. Rozpoznawała go, choć nie potrafiła umiejscowić. A sen był zbyt piękny, bo go opuścić. Opierała się.

- Grace Tempest! Zbudź się, proszę!

Słowa rozległy się tuż przy jej uchu. Grace otworzyła oczy. Znała ten głos - dziwny, trochę piskliwy cockney.

- Darcy! - zawołała, odwracając głowę na poduszce. - Darcy Flotsam!

Rzeczywiście, to Darcy siedziała przy jej koi. Zmarszczyła brwi.

- Muszę zauważyć, że strasznie mocno śpisz jak na młodą damę.

Na jej surowe oblicze szybko wypłynął uśmiech.

Grace także odpowiedziała uśmiechem. Usiadła i zsunęła stopy na podłogę.

- Darcy! Nie mogę uwierzyć, że to ty! Jak się tu dostałaś?

- To długa historia. Posłuchaj, nie jestem pewna, ile czasu będę mogła zostać. Ale musiałam cię zobaczyć.

Grace promieniała. Nie mogłaby sobie wymarzyć miłszego przebudzenia. Przed chwilą śniła o statku wampiratów, a teraz pojawiła się jej przyjaciółka - nie tylko na statku, ale w jej kajucie! Uradowana wstała i wyciągnęła ręce, by uściskać Darcy. Dziewczyna podniosła się także i zrobiła krok w jej stronę.

Gdy jednak Grace objęła rękami jej talię, albo Darcy musiała odsunąć się nagle, albo statek się zakołysał, gdyż jej dłonie nie napotkały oporu. Znow wyciągnęła ręce do Darcy. Tym razem stały twarzą w twarz i dziewczyna spoglądała na nią dziwnie. Grace patrzyła... jak jej ręce przenikają przez Darcy - całkiem jakby była zbudowana z powietrza. Uniosła dłoń do twarzy

przyjaciółki i sięgnęła palcem do perkatego noska. Palec zagłębił się w skórze i zniknął. Grace odskoczyła, spoglądając na Darcy ze zdumieniem.

- Co się dzieje? - spytała.

Darcy była poważna. Splotła ręce na piersi.

- Jestem tutaj, rozumiesz, Grace, ale zarazem mnie tu nie ma.

- Nie rozumiem. Widzisz mnie?

- Tak, oczywiście, że cię widzę. Widzę też, że paskudnie ubrudziłaś tę bluzkę, którą ci pożyczyłam.

To prawda. Bluzka była poplamiona oliwą - pozostałość po dzisiejszym czyszczeniu mieczy.

- Przepraszam... Musiałam bardzo wcześnie wstać do pracy i to była pierwsza rzecz, jaka mi wpadła w ręce, więc wrzuciłam ją na siebie. Nie pomyślałam...

- Pst. - Darcy wyciągnęła palec do warg Grace, nie dotykając ich jednak. - Musimy porozmawiać o ważniejszych sprawach niż plamy i zachlapania.

- Tak - zgodziła się Grace. - Oczywiście. - Nadal nie rozumiała, w jaki sposób Darcy się tu znalazła, ale z jej poważnej miny wywnioskowała, że nie przybyła tu z błahego powodu. - Usiądźmy.

Siadła na koi, a Darcy zajęła miejsce obok. Tyle że tak naprawdę nie usiadła. Grace zauważyła, że unosi się tuż nad materacem. To było bardzo dziwne...

- Co słyhać u wszystkich? - zapytała. - Jak się czuje kapitan? A Lorcan?

Darcy na moment opuściła głowę. Kiedy znów ją uniosła, w oczach błyszczały łzy.

- Właśnie dlatego musiałam tu przyjść - powiedziała. - Odkąd nas opuściłaś, wszystko zrobiło się straszne, po prostu straszne.

Grace zamarło serce.

- Co to znaczy? Co się stało?

Przez chwilę Darcy nie mogła wykrztusić słowa. Łzy spływały jej z oczu, mieszały się z tuszem do rzęs i jak ciemne płatki opadały na jasną skórę.

- Jeden mo... - chlipnęła i sięgnęła do kieszeni.

- Miałam tu chustkę...

Ale wyciągnęła pustą dłoń.

Grace także sięgnęła do kieszeni i odruchowo podała Darcy własną chusteczkę. Obie patrzyły na siebie przez chwilę, po czym Grace wypuściła chustkę. Przyglądały się, jak kwadrat tkaniny spływa przez widmową dłoń Darcy i opada na podłogę. Nie wiadomo czemu, uśmiechnęły się. Darcy pociągnęła nosem, podniosła rękę i grzbietem dłoni otarła łzy. Po czym wytarła rękę o sukienkę. Gest był nietypowy dla kogoś, kto tak się przejmował swoim wyglądem.

Darcy wzruszyła ramionami.

- Jak już mówiłam, Grace, plamy i zachlapania.

Grace kiwnęła głową i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Darcy, musisz mi powiedzieć, co się dzieje. Może zdołam pomóc. Wszyscy byliście dla mnie tacy dobrzy... w każdym razie większość z was. Zrobię wszystko, żeby wam teraz pomóc. Nie masz pojęcia, ile razy śniłam o powrocie na statek. Nawet teraz, zanim mnie zbudziłaś...

Cień przemknął po twarzy Darcy.

- Nie możesz wrócić! - Dlaczego nie? - zdziwiła się Grace. - To już nie jest bezpieczne. Nie wolno ci nawet myśleć o powrocie. - Niebezpieczne? Ale przecież sama widziałam, jak kapitan wypędził Sidorio. A on był jedynym zbuntowanym wampirem, prawda?

Darcy pokręciła głową.

- Nie jedynym - oświadczyła. - Pierwszym.

- Pierwszym?

Darcy przytaknęła.

- Sidorio był jedynym buntownikiem, ale od jego wygnania... odkąd odeszłaś... pojawili się inni, którzy każdego dnia i każdej nocy kwestionują władzę kapitana. Nie chcą się zadowolić zaspokajaniem głodu tylko podczas Uczty. Żądają więcej krwi, więcej posiłków...

Urwała i znów łzy stanęły jej w oczach.

- A co na to kapitan? - spytała Grace.

- Mówi im „nie”. Mówi, że takie są zwyczaje na statku. Zawsze były i zawsze będą.

- No to nie ma zmartwienia. Kapitan utrzyma ich pod kontrolą. Tak jak do tej pory.

Darcy potrząsnęła głową.

- Nigdy przedtem nie działy się takie rzeczy. Odkąd pływam na tym statku, kapitan zawsze... cieszył się szacunkiem. Ale kiedy odesłał Sidorio, coś się zmieniło. Nigdy jeszcze nikt nie został wypędzony.

- Chciałabym wam pomóc - zapewniła Grace. - Chciałabym wrócić i porozmawiać z kapitanem.

- Nie, Grace. Nie, musisz zostać tutaj, z Connorem. Tu nic ci nie grozi.

Grace uśmiechnęła się tylko.

- To piracki statek, Darcy. Niezbyt bezpieczny. Nawet w tej chwili Connor bierze udział w walce.

- Chyba oboje macie talent do pakowania się w kłopoty - stwierdziła Darcy.

- Z deszczu pod rynnę - przyznała smętnie Grace.

Uśmiechnęły się do siebie. Grace wyciągnęła rękę, jakby chciała ująć dłoń przyjaciółki.

- Nie możemy się dotknąć - przypomniała jej Darcy.

- Wiem. - Grace wciąż trzymała wyciągniętą rękę.

- Wiem, że nie, ale udawajmy, że możemy.

Darcy kiwnęła głową i sięgnęła przed siebie, aż jej widmowa dłoń niemal zetknęła się z dłonią Grace, z krwi i kości.

- A teraz - odezwała się Grace - opowiedz mi o Lorcanie.

Ale gdy Darcy otworzyła usta, zaczęła zanikać.

- Czeka! - krzyknęła Grace. - Co się stało z Lorcanem?

Darcy potrząsnęła głową i jej oczy znów wypełniły się łzami. A potem rozplynęła się w powietrzu i Grace znowu została sama.



# Rozdział 5

## Pojedynek

- Ja będę z nim walczył, kapitanie - zawołał ponownie Jez Stukeley. Connor obejrzał się zdumiony na przyjaciela, ale Jez przeciskał się już przez tłum. Tempest spojrział przed siebie, na Barta, najwyraźniej równie zaskoczonego. Coś takiego nie może się przecież zdarzyć Trzem Bukanierom!

Kilku opryszków Drakoulisa zastąpiło Jezowi drogę, ale kapitan krzyknął na nich gniewnie.

- Przepuście go! Niech się pokaże!

Szeregi okrytych czernią wojowników rozstąpiły się posłusznie, a Jez Stukeley przeszedł między nimi z godnością. Zatrzymał się przed dwoma pirackimi kapitanami oraz górą mięśni, zwaną Gidakim Sarakakino. Sarakakino spojrział na Jeza z wyższością i uśmiechnął się pogardliwie. Nie trzeba było telepatii, by wiedzieć, co sobie myśli.

- Panie Stukeley. - Molucco położył dłoń na ramieniu młodego pirata. - Jest pan człowiekiem mężnym i honorowym. Ale nie mogę pozwolić, żeby narażał się pan na takie niebezpieczeństwo.

Jez pokręcił głową.

- To mój obowiązek, kapitanie. Kiedy podpisałem kontrakt, zgodziłem się bronić Diabła, mojego kapitana i kolegów z załogi. Nie zejdziemy z tego statku, jeżeli ktoś z nas nie przystąpi do pojedynku.

- Ma rację - wtrącił Narcisos Drakoulis. - Żądam tylko, żeby jeden z twoich piratów stanął do pojedynku z Sarakakino. Jeśli nie spełnisz tego warunku, ani ty, ani nikt z twojej załogi nie zobaczy więcej Diabła.

Connor zadrzał, słysząc te groźby, tym bardziej wiarygodne, że wspierane przez klingi scimitarów. Zważył je na szali przyjaźni z Jezem. Musi przecież być inny sposób.

Czy do obowiązków kapitana Wrathe'a nie należy zażegnanie niebezpieczeństwa? To nie może spaść na barki Jeza. Po prostu nie może...

Molucco pokręcił głową.

- Nigdy cię nie lubiłem, Drakoulisie, ale kiedyś przestrzegałeś zasad moralności... swego rodzaju kodeksu. Nie wiem, gdzie gniłeś przez cały ten czas, ale lata w dziczy zmieniły cię w obrzydliwego bandytę. Twoje dzisiejsze postęпки nie mogą być aprobowane przez Federację Piracką. Kierują tobą własne, wypaczone chęci i jakieś obłąkane pragnienie zemsty za drobną dawną krzywdę.

Drakoulis przez dłuższą chwilę nie odpowiadał na ten słowny atak. Jego twarz była jak maska, nie zdradzała śladu jakichkolwiek emocji. Wreszcie przemówił.

- Jeśli skończyłeś już swój wykład, Wrathe, bierzmy się do rzeczy. Pojedynek rozpocznie się z piątym uderzeniem dzwonu okrętowego. - Zwrócił się do załogi. - Oczyszćcie środek pokładu.

Piraci rozsunęli się, odsłaniając teren walki wielkości mniej więcej bokserskiego ringu. I jak przed meczem bokserskim, Drakoulis przeszedł na bok, by porozmawiać z Gidakim Sarakakino, który obwiązywał ręce ciemnymi pasami materiału.

„Nie!” chciał krzyknąć Connor. To przecież szaleństwo. Dlaczego Jez zgłosił się do tej rzezi? I czemu nikt go nie powstrzymał?

Jez przeszedł na drugą stronę pokładu i stanął obok kapitana i Cate. Connor skorzystał z zamieszania wśród załogi i prześliznął się do przodu. Odszukał Barta i przyskoczył do niego.

- Cześć, kolego. - Bart rzucił mu słaby uśmiech, ale nie potrafił udawać beztroski dłużej niż przez chwilę. Odwrócił się i popatrzył na Jeza wzrokiem pełnym niepokoju.

- Ma jakąś szansę? - szepnął do niego Connor.

- Na pewno będzie walczył jak diabli - odparł Bart. - Ale spójrz tylko na tego Sarakakina. Przy nim nawet ja jestem malutki.

Connor zastanawiał się, czy Bart nie odczuwa pokusy, by w pojedynku zająć miejsce Jeza. Uświadomił sobie jednak, że choć Bart był potężniejszy, Jez należał do bardziej wytrawnych szermierzy. Miał dość siły, a mniejszą wagę z nadwyżką nadrabiał techniką i zwinnością... Pomyślał o hasle Molucca Wrathe'a: „Dobre szkolenie i szczęście”. W ciągu najbliższych minut Jez będzie musiał wykazać się jednym i drugim.

Dzwon Albatrosa zabrzmiał po raz pierwszy i wszystkie oczy zwróciły się ku obu przeciwnikom. Dla Connora następne chwile wlokły się jakby w zwolnionym tempie.

Przy drugim uderzeniu dzwonu Sarakakino zanurzył dłonie w wiadrze sproszkowanej kredy, zapewne by pewniej trzymać miecz. Gdy się pochylił, mięśnie na jego karku i ramionach zarysowały się jeszcze wyraźniej, a albatros rozciągnął skrzydła i wyglądał, jakby miał odlecieć.

Trzecie uderzenie. Jeden z ludzi Drakoulisa podał wiadro kredy Jezowi. Chłopak odwrócił się od Molucca i Cate; po czym natarł dłonie proszkiem. Strząsnął jego nadmiar i mocno zacisnął lewą dłoń na rękojeści szpady. Spojrzał w niebo, jakby poprzez różowe wstęgi chmur posyłał krótką modlitwę.

Czwarte uderzenie. Sarakakino stał nieruchomo, odwrócony plecami do przeciwnika - być może odmawiał swoją modlitwę. Jez przyjął pozycję wyczekującą, gotów odskoczyć w każdym kierunku.

Piąte i ostatnie uderzenie.

Nagle rozpętało się piekło.

Sarakakino odwrócił się, a jego scimitar przeciął powietrze, jakby zwiastując, co się stanie, gdy dosięgnie ciała przeciwnika. Jez spokojnie przesunął się z boku na bok, trzymając klingę w gotowości. Nawet Connor rozumiał, że demonstracje Sarakakina to wojna psychologiczna. Cate uczyła piratów, by nie zwracali uwagi na taką brawurę. Doskonale pamiętał, jak ona i Bart powtarzali mu, żeby obserwował oczy przeciwnika - uważniej nawet niż ostrze jego broni.

Po chwili miecz Sarakakina znieruchomiał. Mężczyzna spojrzał Jezowi w oczy, jakby zadawał pytanie. Naprawdę chcesz to zrobić? Naprawdę myślisz, że zdołasz nawiązać ze mną walkę? W odpowiedzi Jez popatrzył na niego chłodno, ale równocześnie pchnął szpadą. Drasnęła umięśnione przedramię Sarakakina i rozcięła mu skórę. Pierwsza krew przypadła Stukeleyowi i Diabłu. Connor patrzył, jak szkarłatne krople spadają na deski pokładu.

- Niech to diabli - szepnął Bart. - Tego się nie spodziewałem.

Connor wyszczerzył zęby.

Sarakakino był wyraźnie zaskoczony, a Jez nie tracił czasu, próbując to wykorzystać. Okrążył zwinnie potężniejszego mężczyznę i wyprowadził kolejny atak. Tym razem jednak Sarakakino był przygotowany; jak potwór budzący się ze snu ryknął głośno i wysunął scimitar,

blokując pchnięcie szpady. Stal zadzwieczała o stal. Connor widział, jak przyjaciel wyteża się, by utrzymać broń, gdy pełna moc przeciwnika przepłynęła po kłindze niczym prąd elektryczny.

Miecze obu walczących zetknęły się jak przyciągnięte magnesem. Kto pierwszy wyrwie broń i spróbuje ataku, zaryzykuje odsłonięcie się przez chwilę - króciutką chwilę, jednak być może decydującą.

Ich spojrzenia zwały się równie mocno jak miecze. Walka - Connor już się tego nauczył - była zarówno starciem woli, jak i siły. Jez radził sobie naprawdę dobrze. Rana na ręce Sarakakina była płytka, ale stała się ostrzeżeniem dla zarozumiałego wojownika i z pewnością kazała mu inaczej oceniać przeciwnika.

I teraz znowu to Jez był tym, który podjął ryzyko. Uniósł szpadę, spychając Sarakakina do defensywy. Skoczył do przodu i pchnął przeciwnika w pierś. Ale Sarakakino szybko odzyskał równowagę i machnął scimitarem, blokując atak. Mniejsza z tym, pomyślał Connor. Już drugi raz to Jez zaatakował. I drugi raz ten mięśniak Drakoulisa musiał się bronić. Przyjaciel miał realną szansę zwycięstwa...

Zerknął na Narcisosa Drakoulisa w nadziei, że dostrzeże w jego oczach jakieś oznaki lęku, ale twarz kapitana nie zdradzała niczego. W przeciwieństwie do niego, Molucco uśmiechał się lekko, jakby życzył Jezowi, by kontynuował natarcie. Cate także w skupieniu obserwowała walkę. Connor wiedział, że analizuje każdy ruch Jeza. Dla niej wszystko sprowadzało się do taktyki - jak w partii szachów. Stała nieco z boku, ale w myślach walczyła wraz z Jeżem i manewrowała ostrzem. Ciekawe, co myśli o pojedynku.

Ostry brzęk stali znów ściągnął spojrzenie Connora ku walczącym. Trzymali miecze w górze, co dawało Sarakakinowi przewagę. Wiedział, że im dłużej wytrzyma w tej pozycji, tym więcej energii straci Jez. By odzyskać przewagę, Jez musiałby dokonać czegoś niezwykłego, i to szybko. Ale czy zaryzykuje uwolnienie swej klingi?

W końcu to Sarakakino odskoczył, jakby znudzony patową sytuacją. Opuścił miecz i odsunął się poza zasięg Jeza - dowodząc tym, że choć mocniej zbudowany, jest również zwinny.

Obaj walczący oceniali się nawzajem, z każdym manewrem odkrywając, że stanowią raczej równorzędną parę. I ta wiedza wpłynęła na przebieg starcia. Zamiast stawać w pozycji, Sarakakino pozwalał działać scimitarowi. Jez także zrozumiał, że nie może polegać na tym, że jest szybszy od mocniej umięsnionego przeciwnika.

Connor patrzył, jak miecze wirują w powietrzu, jak zderzają się i znowu odskakują. Był to najwspanialszy pokaz technik walki, jaki w życiu oglądał. Adrenalina płynęła mu w żyłach i nieraz miał ochotę samemu sięgnąć po broń, by wypróbować kilka oszałamiających pchnięć, jakie zaobserwował. Ze wszystkich sportów, jakie uprawiał, szermierka nie miała sobie równych. Ale to coś więcej niż tylko sport, potwierdził w duchu.

Jez parował i atakował, zmuszając Sarakakina do odwrotu przez całą wolną przestrzeń pokładu. Zatrzymali się tuż przed kapitanem Drakoulisem. Jez zachowywał przewagę. Ale potem Sarakakino przeszedł do natarcia i zepchnął Jeza w tył, do miejsca, gdzie stali kapitan Wrath i Cate. Znieruchomiały tłum przyglądał się starciu w całkowitym milczeniu. Jedyne dźwięki dobiegały od walczących: świszczące oddechy, stuk butów na deskach, nieskończone echo stali dźwięczącej o stal.

Jez i Sarakakino przypominali teraz dwie dzikie bestie, a jednak ich przemyślane i zsynchronizowane ruchy przywodziły na myśl wspólny taniec. Byli przeciwnikami, ale i partnerami w dziwnym pląsie, pięknym, pełnym gracji i precyzji. Connor jak zahipnotyzowany śledził każdy ich ruch. Pewnego dnia on także będzie tak walczył...

Nowy dźwięk.

Jęk.

Jez Stukeley krwawi - z piersi, obficie. Opada w zwolnionym tempie na deski, które zdają się wybiegać na spotkanie jego ciała. Upada, rozrzucając ręce i nogi.

Wszystko zdarzyło się tak prędko, że dopiero teraz Connor widzi, jak Sarakakino cofa klingę, splamioną krwią przyjaciela. Taniec dobiega końca. Ulotne piękno znika... Nadchodzi śmierć. Connor i pozostali patrzą na Jeza Stukeleya, którego ciało podryguje jak ryba na haku - życie wypływa z niego ciemnym, pulsującym strumieniem, który rozlewa się po pokładzie...

# Rozdział 6

## Śmierć bukaniera

Connor nie mógł uwierzyć własnym oczom. Sytuacja zmieniła się tak szybko... Jeszcze przed chwilą podziwiał szermierczy kunszt przyjaciela, a teraz Jez leżał śmiertelnie ranny na deskach pokładu. Był to wstrząsający widok. Szok i resztki adrenaliny wzbierały w nim i przez moment miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Czuł, jak gorycz podchodzi mu do gardła, zdołał się jednak opanować.

Obejrzał się i zobaczył biegnącego Barta. Dwaj ludzie Drakoulisa unieśli miecze, by go zatrzymać, ale kapitan dał im znak, by opuścili broń.

Bart zbliżył się do konającego przyjaciela, opadł na kolana i wyciągnął rękę, by go podtrzymać. Dłonie Jeza były już białe - życie uciekało z niego z przerażającą prędkością. I nagle Connor zrozumiał - to przecież kredowy pył; na moment ogarnęła go ulga.

- Dobrze walczyłeś, kolego - usłyszał słowa Barta, który usiłował chustką zatamować płynącą krew.

- Jesteś prawdziwym bohaterem.

Connor zerknął na Gidakiego Sarakakina. Chciał nienawidzić zabójcę, ale uświadomił sobie, że nie potrafi. Pojedynek mógł równie dobrze zakończyć się inaczej i to Sarakakino leżałby teraz na pokładzie w kałuży własnej krwi. Nawet w tej chwili zwycięzca nie napawał się swoim sukcesem. Wykonał tylko rozkaz kapitana, co uczyniłby każdy pirat. Teraz spokojnie odwijał opaski z przegubów i wycierał ostrze miecza. Zdawało się, że jest pogrążony w myślach, być może szukając usprawiedliwienia swych działań i ich konsekwencji.

To dlatego Connor patrzył teraz gniewnie na Drakoulisa. To on miał na rękach krew Jeza, choć wydawały się całkiem czyste i białe w bladoróżowym świetle zachodzącego słońca.

- Zapłaciłeś cenę - oświadczył Drakoulis głosem całkowicie wypranym z emocji. - Ty i twoja załoga możecie odejść.

Molucco Wrathe szalał z wściekłości i nie próbował tego ukryć.

- Ten chłopak oddał życie na próżno, Drakoulisie!

- Nie - warknął gniewnie tamten. - Oddał życie, by ci pokazać, że piractwo to nie tylko zabawa.

- Nie rób mi tu wykładu o piractwie! - wrzasnął Molucco. - Nikt tutaj nie wie lepiej ode mnie, co znaczy być piratem!

Drakoulis zachował spokój, mimo wybuchu Wrathe'a. Jego głos, gdy przemówił, brzmiał obojętnie, niemal mechanicznie.

- Twoje działania, twoje wykroczenia miały swoje konsekwencje, Wrathe. Niech to, co się stało, będzie dla ciebie ostrzeżeniem. Trzymaj się swoich obszarów. Respektuj akweny innych kapitanów. Przestrzegaj zasad Pirackiej Federacji. Następnym razem to twoja cuchnąca krew może splamić pokład. A teraz zbieraj swoją załogę i wynoś się z Albatrosa.

- Kapitanie! - Connor usłyszał wołanie Barta.

Molucco i Drakoulis obejrżeli się równocześnie.

- Kapitanie Wrathe - sprecyzował Bart. - Jez jeszcze nie umarł. Puls ma słaby, ale chyba jest szansa, żeby go uratować, jeśli tylko przeniesiemy go szybko na Diabla i opatrzymy rany.

Molucco uśmiechnął się szeroko, ale Drakoulis stanął przed nim. Jego sylwetka przesłaniała zachodzące słońce tak, że światło zdawało się tworzyć aureolę wokół mrocznej postaci.

- Odejdźcie teraz, bez pokonanego.

Molucco nie wierzył własnym uszom.

- Udzieliłeś mi dzisiaj trudnej lekcji, Drakoulisie. Twój opryszek prawie zarżnął tego chłopaka. Naprawdę jesteś tak obłąkany, że wolisz patrzeć, jak kona na twoim pokładzie, niż pozwolić nam zabrać go na nasz statek, by mógł godnie przyjąć to, co szykuje mu los?

- Walczył w pojedynku i przegrał. Powinien być wdzięczny, że śmierć nadchodzi i zmyje z niego hańbę porażki.

Moluccowi na chwilę zabrakło słów. Connor był wstrząśnięty. Człowiek myślał już, że dotarł na samo dno mrocznej natury Drakoulisa, ale nagle okazywało się, że zapada się głębiej i głębiej, jak w studnię.

Bart przemówił w obronie przyjaciela.

- Proszę, kapitanie Drakoulisie! Pokazał pan, o co panu chodziło. I tak nie sędzę, żeby zostało mu wiele życia. Niech pan przynajmniej pozwoli nam go zabrać i należycie... pożegnać.

Drakoulis nawet nie drgnął. Patrzył w oczy Molucca.

- Przypomnij uprzejmie swoim podwładnym, żeby nie zwracali się do mnie bezpośrednio. Obaj kapitanowie spoglądali na siebie gniewnie. Drakoulis parsknął pogardliwie.

- Zabierz ze sobą rannego, jeśli chcesz, Wrathe. Wynieś się tylko z Albatrosa. Mam już dosyć ciebie i twojej nędznej załogi.

Odwrócił się i odszedł, po drodze rzucając swoim ludziom rozkazy. Czarno ubrani piraci zaczęli ustawiać ludzi z Diabła w kolumny, szykując ich do zejścia z pokładu.

Connor zbliżył się, by stanąć obok kapitana w pobliżu Jeza. Molucco oparł dłoń na ramieniu Barta i pochylił się nad rannym. Zdjął kapelusz, a Scrimshaw - ulubiony wąż, który żył we włosach Molucca - przesunął się naprzód, by zobaczyć, co się dzieje. Zawisł nad twarzą Jeza, bladą jak jego pokryte kredą dłonie. Mimo wysiłków Barta, ranny tracił zbyt wiele krwi, by jego cierpienie mogło trwać długo.

- Pięknie pan dzisiaj walczył, panie Stukeley. Dobra robota - pochwalił Molucco. - Dobra robota, słyszy mnie pan? Wystrzelimy z działa na pańską cześć. A każdy z towarzyszy wypije za pana szklanek rumu u Mamy Kettle. Jak za dawnych dni, co? - Miał łzy w oczach i z wysiłkiem wypowiadał słowa.

- A przy każdej okazji będziemy opowiadać o Jezie Stukeleyu, prawdziwym piracie z krwi i kości. Słyszy mnie pan?

- Tak, kapitanie - zdołał wykrztusić Jez. Spojrzał na Barta i Connora i słaby uśmiešek pojawił się na jego sinych wargach. - Pora już, żeby ten bukanier się pożegnał.

Zamknął oczy. Głowa opadła mu na bok.

Scrimshaw cofnął się na ten widok i zniknął w bezpiecznym gąszczu dredów swojego pana.

- Odszedł - stwierdził Molucco i pocieszająco poklepał Barta po ramieniu.

Connor odwrócił się, nie mogąc w to uwierzyć. Jego towarzysze opuszczali już pokład, przechodząc po Trzech Życzeniach na Diabło. Drakoulisa nie było widać. Zbliżył się jednak Gidaki Sarakakino, ciężko stawiając kroki.

- Walczył dobrze - powiedział zaskakująco miękkim głosem. - Nie spadła na niego hańba.

Słowa te nie przyszły mu łatwo, pomyślał Connor. Może nawet ta krótka wypowiedź będzie uznana za dowód braku szacunku dla kapitana.

Sarakakino skinął głową i odszedł.



- Pomogę ci go przenieść - zwrócił się Connor do Barta.

- Dzięki, kolego. - Bart z trudem powstrzymywał łzy. - No już, Stukeley, przesun nogę.

Pora wracać do domu...

Grace usłyszała gwar na pokładzie: wracali piraci. Nie mogła się już doczekać spotkania z Connorem. Musiała mu opowiedzieć o wizycie zjawy Darcy w swojej kajucie.

Otworzyła drzwi i pobiegła korytarzem w stronę głównego pokładu. Kiedy wyszła na otwartą przestrzeń, natychmiast wyczuła, że coś się stało. Na pokładzie tłoczyli się zarówno powracający z bitwy, jak i załoga, która została na Diabłu. Ale z panującej ciszy Grace wywnioskowała, że szturm nie zakończył się sukcesem. Serce jej zaciążyło, jakby szarpnięte spadającą na dno kotwicą. Gdzie jest Connor? Musi zobaczyć Connora!

Zaczęła przeciskać się między piratami, próbując zapanować nad wzbierającą w niej paniką. Gdzie on jest? W końcu zauważyła kilku piratów, którzy prowadzili atak. Wyglądali na całych i zdrowych. Dostrzegła kilka draśnięć i sińców, ale przyzwyczaiła się do tego podczas pobytu na Diabłu. Zadrapania i sińce były częścią pirackiego fachu.

- Gdzie jest Connor? - spytała.

Piraci wydawali się oszołomieni.

- Gdzie Connor? - powtórzyła. - Nic mu się nie stało?

W końcu jeden z pytanych odsunął się, odsłaniając stojącego za nim chłopca.

- Connor!

Koszulę miał poplamioną krwią. Ale nikt go nie opatrywał. Ktoś przecież powinien się nim zająć...

- Grace...

Uśmiechnął się blado i wyciągnął do niej ramiona. Objęła go, nie dbając o plamy krwi. Ścisnął ją mocno.

Czuła siłę jego rąk, czuła bicie serca. Instynktownie wiedziała, że jest cały.

- Nic mi nie jest - szepnął jej do ucha. - Nic.

Po chwili wypuścił ją z objęć, ale wciąż trzymał za ramiona. Spojrzała na jego pokrwawioną koszulę.

- Myślałam, że jesteś...

Nie mogła się zmusić, by dokończyć. Sama myśl była zbyt przerażająca. Starła się zachowywać spokój i rzeczowość, kiedy ruszał do bitwy. Ale wcale nie była spokojna. Nie chciała więcej patrzeć, jak uczestniczy w szturmie.

- Jestem cały, Grace - powtórzył Connor. - Ale straciliśmy jednego z naszych.

Grace kiwnęła głową. Kogoś tak, ale nie Connora. Tylko to miało znaczenie.

Wtedy jednak Connor odstąpił na bok i zobaczyła za nim Barta - klęczącego na pokładzie i także całego we krwi. Natychmiast pożałowała tej myśli. Ale Bart popatrzył na nią ze smutkiem i spuścił głowę. Spojrzała w dół, na pokład, i zobaczyła nieruchome, martwe ciało Jeza Stukeleya. Oczy miał zamknięte.

Teraz zrozumiała. Podeszła bliżej. - Jez - szepnęła. Spoglądała to na Connora, to na Barta, to znowu na ich martwego przyjaciela. Wiedziała, ile dla siebie nawzajem znaczyli.

- Nie - powiedziała. - Tak mi przykro, tak strasznie przykro...

Bart skinął głową. Wciąż trzymał Jeza za rękę. Connor znów objął siostrę.

- Nigdy mnie nie zostawiaj - poprosił. - Nie zostawisz, prawda? Nigdy mnie nie opuścisz?

- Nie - obiecała.

Ale przez głowę przemknęła jej wizja Darcy. I Lorcana. I statku wampiratów.

- Nie - powtórzyła, tłumiąc natrętne obrazy. - Nie, Connorze, obiecuję, że nigdy cię nie opuszczę. Ale ty też musisz mi coś obiecać.

Przytaknął.

- Nie chcę, żebyś znowu walczył. Żadnych więcej ataków. Żadnych bitew.

Nie odpowiedział, tylko przytulił ją mocniej i ucałował w sam czubek głowy. Tej nocy - nocy, która nadeszła po śmierci Jeza Stukeleya, nocy poprzedzającej jego pogrzeb - Connor został z Grace w jej kajucie. Po wszystkim, co się wydarzyło, musieli być razem.

Było im ciasno na koi Grace, ale to nie miało znaczenia. Czuli się, jakby znowu byli dziećmi. Czasami, kiedy któreś z nich dręczył zły sen, spali w latarni morskiej na jednym łóżku. Ojciec na górze pilnował lampy, a oni nauczyli się czerpać pociechę ze swojej bliskości.

Świeca przy koi wypalała się wolno, a Connor opowiadał Grace o ataku i o tym, jak piraci z Diabła zostali schwytani w pułapkę przez złego Narcisosa Drakoulisa. Grace słuchała z narastającą zgrozą. Jak kapitan Wrathe i jego zastępczyni, Cate, mogli tak łatwo dać się oszukać? Czy inne załogi też planowały podobne napaści? Dokąd to wszystko zaprowadzi?

Nic na to nie mogła poradzić: czuła, że sam Molucco Wrathe także ponosi pewną odpowiedzialność za śmierć Jeza - otrzymał niejedno ostrzeżenie przed zapuszczaniem się na tereny innych kapitanów. Nie powiedziała jednak tego głośno. Przyjdzie jeszcze czas, by porozmawiać o tych sprawach. Dzisiaj Connor potrzebował pociechy, nie kłótni.

- Był taki odważny - szepnął.

- Jez?

- Tak.

- Connorze - powiedziała, przekręcając jego głowę tak, by spojrzeć mu w oczy. - Jeśli coś takiego znów się zdarzy, nie bądź tym odważnym.

# Rozdział 7

## Pierścień Claddagh

Ranek nadszedł zbyt wcześnie. Grace otworzyła oczy. Spała niespokojnie, znużona gonitwą myśli.

Connor stał nad nią z zaczerwienionymi oczami.

- Lepiej pójdę - oświadczył. - Chcę się upewnić, że wszystko jest przygotowane do pogrzebu.

Grace skinęła głową i powiedziała:

- Tam się zobaczymy. Niedługo będę gotowa.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, usiadła na koi. Brak snu i wszystkie dręczące ją lęki sprawiły, że nie czuła się dobrze.

Po chwili opanowała się dostatecznie, by wyjrzeć przez bulaj. Niewiele było tam do oglądania poza falami, szarym niebem i morzem, tworzącymi nierozzerwalną całość. Pogoda była odpowiednio ponura na pogrzeb Jeza.

Nagle oczy Grace przeszył ostry ból. Był tak silny, że odepchnął ją od okna z powrotem na koję. Leżała tam, oddychając gwałtownie; instynktownie zasłaniała oczy dłonią. Co się stało? Uniosła powieki i w tej samej chwili poczuła kolejne ukłucie bólu. Zamknęła je natychmiast; starała się zachować spokój. Nie rozumiała, co się dzieje.

Bezwiednie przesunęła dłoń do pierścienia Claddagh Lorcana. I kiedy chwyciła go kciukiem i palcem wskazującym, natychmiast poczuła się lepiej. Czy to złudzenie, czy pierścień naprawdę był cieplejszy w dotyku? Ścisnęła go mocniej i metal jeszcze bardziej się rozgrzał.

W jej głowie rozległy się jakieś dźwięki: odgłos kroków i niewyraźne słowa. Nawet nie otwierając oczu, wiedziała, że nie pochodzą z Diabła. Znów miała wizję - jeśli można tak to nazwać, gdyż nie widziała niczego, jedynie monotonną, mglistą ciemność.

Pierścień ciągle rogrzewał się w jej dłoni. Miała wrażenie, że zaczęła się przemieszczać. Jej kroki brzmiały głośniejsz niż kiedykolwiek wcześniej. Całkiem jakby nosiła ciężkie buty i

stukala nieregularnie o deski pokladu. Czula, jak popycha cos ruka. Drzwi. Ruka przesunela sie - drzwi musialy sie otworzyc. Uslyszała skrzypienie starych zawiasow. A potem głos.

- Lorcan.

Imię zelektryzowało ją. Słuchała uważnie, by rozpoznać głos.

- Lorcan - rozległo się ponownie. Był to głos dziewczęcy, ale nie umiała go skojarzyć. - Co ty tu robisz? Już ranek. Pora odpocząć. - W głosie dziewczyny brzmiała ostrożność, nawet lęk.

Pierścień stał się już niemal zbyt gorący, by go dotykać. Ale Grace za żadną cenę nie chciała go wypuścić; wiedziała, że jeśli to zrobi, wizja się rozwieje.

- Przepraszam...

Natychmiast rozpoznała akcent Lorcana. Dźwięk jego głosu był jak magia, niezależnie od okoliczności.

- Zgubiłeś drogę?

Znowu ta dziewczyna. Strach ustąpił miejsca współczuciu. Grace wyczuwała to w zmianie tonu. Zgubił drogę? O co jej chodzi?

Gdyby tylko mogła zobaczyć, co się dzieje na statku, nie tylko usłyszeć. Mocno ścisnęła palcami pierścień - teraz już parzył. Wciąż widziała jedynie mgłę, ale gdy metal palił skórę, jeszcze wyraźniej słyszała głosy ze statku wampiratów.

- Przepraszam. - To znowu Lorcan.

- Nie szkodzi - odpowiedziała dziewczyna. - Nic się nie stało, Lorcanie. W porządku. Daj mi rękę, odprowadzę cię do twojej kajuty.

- Sam potrafię znaleźć drogę - odparł głosem dziwnie dumnym i gniewnym.

- Czeka!

Lecz głos dziewczyny dochodził teraz słabiej. Grace znowu odczuła ruch. Niepewny ruch wyciągniętych przed siebie rąk. A potem upadek. Ogarnęły ją mdłości, kiedy ciało odebrało wrażenie padania. Pierścień był już za gorący, by go utrzymać. Syknęła i rozprostowała palce. Otworzyła oczy.

Leżała na koi w swojej małej kajucie na pirackim statku i oddychała szybko. Kciuk i palec wskazujący przeszywał ból w miejscach, gdzie poparzył je pierścień Claddagh. A jednak, gdy uniosła dłoń do oczu, nie dostrzegła żadnego śladu. Całkiem nic.

Nie rozumiała tego.

Wiedziała, że odbyła podróż na statek wampiratów. Nie taką podróż jak Darcy na Diabło. Ta bardziej przypominała wizję - jak za pierwszym razem, kiedy Grace spotkała kapitana wampiratów, i w jej głowie rozbłysły obrazy rozrywanego ciała i ciemnej skóry. Dzisiejsza wizja była jednak dłuższa, bardziej uporządkowana. Grace zdawało się, że znalazła się wewnątrz głowy Lorcana: słyszała jego rozmowy, odczuwała ruch jego rąk i nóg, czuła - teraz sobie to uświadomiła - część jego bólu. To miało jakiś związek z oczami... A jeśli... nie, tylko nie to... jeśli nie może już widzieć?

Grace poczuła w żyłach lodowatą grozę, kiedy niczym powracająca fala napłynęły wspomnienia. Tego ranka, kiedy Connor wdarł się na statek wampiratów, Lorcan został na pokładzie, aby jej bronić. Został nawet po tym, kiedy Darcy uderzyła w Dzwon Świtu - zwołujący wszystkich wampiratów do wnętrza, z dala od blasku dnia. Dzielne światło było dla nich niebezpieczne - bardzo niebezpieczne. Tylko kapitan mógł wychodzić na słońce. Ale Lorcan został tam - z jej powodu. Czy możliwe, że wskutek tego uszkodził sobie oczy? Może nawet stracił wzrok?

Co Lorcan napisał jej w liście? Coś, co będzie Ci mnie przypominać. Płyn bezpiecznie. Płyn bezpiecznie! Czy Lorcan mógł przesyłać jej wiadomość przez pierścień? Musi wrócić na statek wampiratów, ale jak?

Wtedy właśnie zahuczał wystrzał z działa. Wystrzał był sygnałem, by stawić się na głównym pokładzie. Pewnie zaczyna się pogrzeb Jeza... Spóźniła się!

# Rozdział 8

## Morski pogrzeb

Pierwsze, co dotarło do Grace, gdy wychodziła na pokład, to całkowita cisza, tym bardziej niezwykła, że zebrała się cała załoga Diabła. Dziewczyna starannie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w stronę piratów. Rozstępowali się przed nią, więc z wdzięcznością dotarła do miejsca, skąd mogła widzieć ceremonię.

Na rufie statku stali kapitan Wrathe i Cate, po prawej stronie trumny Jeza, spowitej w czarną flagę z czaszką i puszczelami. Po lewej stronie miejsca zajęli żałobnicy, w tym Bart i Connor. Grace obserwowała ich, zastanawiając się, jak brat sobie radzi. Ostatnia taka uroczystość, w jakiej uczestniczyli, to pogrzeb ich ojca. Stali wtedy razem przed całą kongregacją i wspierali się wzajemnie. Przyjrzała się jego twarzy - wyglądał na zamyślonego. Rysy wyrażały ból po stracie przyjaciela.

Działo wystrzeliło raz jeszcze i kapitan Wrathe, ubrany w żałobny, czarny aksamit ze srebrnymi haftami, odwrócił się i przemówił do załogi.

- Piraci Diabła, oto nastał mroczny poranek. Ale ciemne niebo w górze i wody w dole odbijają tylko mrok w naszych sercach. Dziś bowiem żegnamy jednego z naszych najlepszych ludzi, Jeza Stukeleya. Jez przyszedł do nas jako młody chłopak osiem lat temu. Od samego początku bawił wszystkich ostrym dowcipem i zamiłowaniem do dobrych opowieści.

Molucco uśmiechnął się. Wielu piratów kiwało głowami, słysząc też było ciche śmiechy.

- Należał do najbardziej towarzyskich członków załogi. Nigdy nie był zbyt zajęty, by pomóc koledze w potrzebie, czy to w pracy na pokładzie, czy na polu bitwy...

Grace skrzywiła się, słysząc to określenie. Pole bitwy. W ustach kapitana brzmiało tak szlachetnie... Ale takie nie było.

- I tam właśnie wyróżniał się Jez Stukeley, raz po raz, jeden z najzdolniejszych, najodważniejszych i najskuteczniejszych piratów. - Molucco zerknął na Cate, która z powagą

kiwała głową. - Wczoraj, niestety, pewne moje działania naraziły nas na śmiertelne niebezpieczeństwo...

Grace nastawiła uszu. Nie spodziewała się po kapitanie takiej szczerości, ale może go nie doceniła.

- Głęboko tego żałuję. Zapewniam was, że rozmyślałam nad tym intensywnie i nadal będę rozmyślał, kiedy wydarzenia dzisiejszego dnia się dopełnią. Ale niezależnie od okoliczności, dzielny i honorowy pan Stukeley przyszedł nam z pomocą. Rzucił się w ogień, aby nas ocalić. Stoczył wspaniałą walkę, dając pokaz techniki i determinacji. Mógł zwyciężyć. - Cate znów kiwnęła głową. - Jednakże los odebrał nam pana Stukeleya...

Grace zastanowiła się. Gdzie można wykreślić linię pomiędzy wyrokami losu a własnymi działaniami? Czy przeznaczeniem Jeza było zginąć wczoraj na obcym pokładzie, czy to czyny Molucca do tego doprowadziły?

- Przeżywamy ciężką stratę. Już nie będą nas bawić jego żarty, nie będziemy mogli polegać na jednym z najzdolniejszych piratów. - Molucco uniósł do oczu wielką chustkę i otarł łzy wzbierające mu pod powiekami. - Dzielni, drodzy towarzysze, wiem, że każdy z was na swój sposób zapamięta Jeza Stukeleya. Proszę was teraz, byście przez minutę czy dwie wspominali go tak, jak wam dyktuje serce.

Cisza zapadła na pokładzie. Słyszał tylko chłopot fal za burtą i lekki łopot żagli. Grace spoglądała na bocianie gniazdo i wspominała swoje pierwsze spotkanie z Jeżem.

To było dzień po jej przybyciu na Diabla. Choć ucieszona spotkaniem z Connorem, czuła się zdezorientowana, tak nagle opuszczając statek wampiratów i swoich przyjaciół. Wyszła na pokład Diabla, tak samo jak czasem wychodziła na pokład tamtego statku. Stała samotnie przy relingu - do chwili, kiedy podszedł do niej Jez, niosąc dwa kubki gorącej herbaty. Zaczęli pogawędkę - a raczej to on mówił, prawie bez przerwy. Nie pamiętała już dokładnie, co opowiadał, ale był delikatny, ciepły i zabawny. Taki jak zawsze. Wtedy właśnie poczuła, że Diabło może stać się dla niej domem.

Wspomnienie wycisnęło łzy z jej oczu. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła koronkową chusteczkę. Ocierając powieki, spojrzała na Connora - uśmiechnął się do niej blado. Wiedziała, że stara się być dzielny, ale i w jego oczach dostrzegła łzy. Jak zwykle nie miał chusteczki, więc tylko uniósł rękę i starł je grzbietem dłoni.



- A teraz... - odezwał się cicho Molucco, przerywając milczenie -...przechodzimy do następnej części ceremonii. Wierny towarzysz i przyjaciel Jeza, Bartholomew Pearce, wygłosi Modlitwę Pirata. Bartholomew...

Molucco obejrzał się. Bart powoli wystąpił naprzód, ściskając w dłoni kartkę papieru. Spojrzał na zebranych kolegów i zaczął mówić:

*Ojcie Niebo i matko Oceanie  
Przyjmijcie duszę dzielnego pirata,  
Która jak mewa nad wodami wzłata,  
Nas tu skazując na wieczne rozstanie.  
Słońce, nasz bracie, i siostrze Księżycu  
W swoich promieniach skąpcie jego ciało,  
Co się nie będzie już do walki rwało,  
Kiedy cień śmierci pokrył jego lico.  
Sztormie, wichuro, która wznosisz fale,  
Niech rdzą pokryje się rapier stępiony,  
A ciało w pył rozsypie wysuszony  
Żadnego bólu nie cierpiąc już wcale.  
Poranku, nocy, przyplądzie, odpływie  
I wszystko, co bieg naszych dni wyznacza,  
Pokój sprowadźcie na tego tułacza,  
By odpoczynek swój znalazł prawdziwie.  
Skały i porty, rafy i zatoki,  
Mielizny, głębie i morskie latarnie,  
Niechaj wędrowca sen wieczny ogarnie,  
A nam zostanie tu smutek głęboki.*

Bart ani razu nie musiał zerkać na kartkę. Grace domyśliła się, że to jakiś stary wiersz, ale Bart wygłosił go tak, że każde słowo wydawało się świeże i znaczące. Nawet wiatr przycichł na chwilę, jakby i żywioły chciały wysłuchać modlitwy piratów za poległego towarzysza.

Bart odwrócił się i dał znak Connorowi oraz czterem piratom stojącym obok niego. Cała szóstka, z czarnymi opaskami na rękach, ustawiła się przy trumnie Jeza. Odliczyli cicho, po czym

unieśli ją równo i ruszyli, powoli i z powagą, ku dziobowi. Flaga z czaszką i kośćmi trzepotała na wietrze.

Na moment unieśli trumnę, po czym pozwolili jej upaść w fale. Uderzyła o wodę z przerażającym stukiem, a dźwięk ten sprawił, że ból ścisnął serce Grace. Zaraz jednak zagłuszył go huk dział, a Bart, Connor i pozostała czwórka wrócili na swoje miejsca.

Gdy kanonada ucichła, Molucco Wrathe zwrócił się znów do załogi.

- To był smutny dzień, przyjaciele, ale żał po kimś, kto odszedł, ma dwa oblicza: najpierw smutek, a potem radość z pięknego życia. Dzisiaj skierujemy się wszyscy do tawerny Mamy Kettle, aby wypić toast za pana Stukeleya.

Na całym pokładzie rozległy się pomruki aprobaty - wprawdzie bardziej stłumione niż zwykle, jednak były wyraźnym znakiem, że życie na Diabłu wkrótce wróci do normy. Grace miała wrażenie, że dzieje się to strasznie szybko, ale może tak właśnie być musi na pirackim statku...

- A teraz - rzekł kapitan - wracajcie do swoich obowiązków. Niech nikt nie powie, że Diabło nie jest najwspanialszym pirackim statkiem wszystkich mórz.

Connor stanął między Bartem a Grace. Potrzebował ich teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zawsze wiedział, że życie pirata może być krótkie. Pierwszej nocy na pokładzie Bart powiedział mu: „Będę miał szczęście, jeśli zobaczę swoje trzydzieste urodziny”. Connor zapamiętał te słowa, ale dopiero dzisiaj zrozumiał, jak bardzo są prawdziwe. Trzech Bukanierów miało być niezwyciężonym zespołem. Jez skończył dopiero dwadzieścia trzy lata - o wiele za mało, by umierać. Ale, myślał chłopiec, kiedy ktoś podpisuje kontrakt i zostaje piratem, godzi się na to, że nigdy nie jest zbyt młody, by zginąć. Sam miał dopiero czternaście lat, ale przecież mógł stracić życie w następnej bitwie. Nie mógł ryzykować, że zostawi Grace samą na świecie. Musi zmądrzeć, przestać śnić na jawie. Musi też czujnie obserwować kapitana Wrathe'a. Nie mógł się pozbyć uczucia, że niezależnie od pięknej mowy kapitana, Jez Stukeley zginął niepotrzebnie.

# Rozdział 9

## Dar

Zachód słońca. Po całym dniu wysokich, spienionych fal, o tej porze przyływ słabnie. Samotny surfer płynie znowu, stawiając czoło prądom. Co noc staje się silniejszy - co noc bardziej sprawny. I co noc, wbrew sobie, bardziej samotny. Tak, teraz może to przyznać. Nie został stworzony do tego, by być sam. To życie - i śmierć - oddzieliły go od innych. Ale nie pozwoli losowi sobą kierować. W tej chwili może być zależny od przyływów i odpływów morza, ale już niedługo sam zacznie kształtować nurt zdarzeń. Czas oczekiwania dobiegnie końca.

Wschodzi księżyc, ciskając złociste promienie na ciemne wody. On stara się ich unikać, sterując deską w mroczne przestrzenie między nimi. Walczy teraz z pływem i z płonącymi strzałami księżyca, ale jest silny i radzi sobie z jednym i drugim. Stoi pewnie, przechylając deskę na boki; czuje pod sobą energię fal, pchającą go ku kolejnej pustej zatoczce.

Kiedy dociera na płyciznę, musi jeszcze pokonać skały. Zeskakuje; woda sięga mu ledwie do kostek. Wyciąga deskę, nim zderzy się z czekającymi kamieniami, i pieszo pokonuje ostatnie metry do brzegu. Jak zawsze, od razu po wyjściu z wody jego skóra i ubranie stają się suche.

Zatoczka jest tak samo skalista nad brzegiem, jak poniżej linii wody. Surfer lekko opiera deskę o ostre krawędzie głazów i wspina się na skalną półkę. Stąd, spowity w ciemność, może bezpiecznie rozejrzeć się po okolicy.

W oddali w polu jego widzenia pojawia się statek. Widok ten budzi tęsknotę, przywołuje wspomnienia wszystkich statków, jakie za sobą zostawił. Ale w przyszłości czekają na niego kolejne. I tym razem to on będzie kapitanem. Nikt nigdy więcej nie zmusi go do słuchania cudzych poleceń. To jego przeznaczenie - jest tego pewien.

Statek przesuwa się po morzu, otoczony blaskiem pochodni. Oświetlają flagę z czaszką i skrzyżowanymi kośćmi - statek piracki, nie tak rzadki widok na tych wodach. Ale ten wydaje mu się znajomy. Przymyka oczy, by w całkowitym mroku łatwiej było myśleć. I w ciemności widzi

dziewczynę. Tę dziwną dziewczynę, która mu się wymknęła. Grace. Tak miała na imię. Dlaczego ją teraz zobaczył - osobę bez znaczenia, której kiedyś opowiedział swoją historię? Zgniatą jej wizerunek w myślach - jak owada, który ośmielił się wylądować mu na dłoni. Otwiera oczy.

Statek już przepłynął, ale teraz jego uwagę przyciąga coś znacznie bliższego. Coś, co objęta się o skały na płytkiej wodzie w dole. Coś ciemnego wśród bryzgów piany, kołyszącego się w blasku księżyca. Pochyla się. Jego wzrok przebija mroczne cienie i widzi drewnianą skrzynię, przyniesioną tu falą przyływu. Postanawia lepiej się przyjrzeć darowi, który dostarczył mu ocean.

Zeskakuje ze skały i wchodzi z powrotem do wody; stopy zreźnie omijają ostre skały na dnie. Skrzynia jest już w zasięgu ręki, objęta między dwoma głazami niczym piłka, podawana tam i z powrotem. Jego silne dłonie badają jej krawędzie. Jest większa, niż wydawało się z góry, długa na wzrost człowieka. Dla kogoś innego byłaby straszliwie nieporęczna, on jednak potrafi ją manewrować. Uwalnia ją spośród skał i unosi trumnę - gdyż tym właśnie jest skrzynia - nad wodę. Bez wysiłku przenosi ją na wąski pas plaży.

Układa na piasku i - niepewny, co robić dalej - szuka czegoś, na czym mógłby usiąść i się zastanowić. Po czym uświadamia sobie, że właśnie trumna jest idealnym siedziskiem, sadowi się na niej i znowu spogląda w morze. Pod jego ciężarem słabe drewno zaczyna wyginać się i pękać. Podskakuje nerwowo i sprawdza, jakich dokonał uszkodzeń.

Trumna nie jest w dobrym stanie. Skądkolwiek przyplęnęła, jej morska podróż nie przebiegła spokojnie. Z niejedną skałą się zderzyła, sądząc po śladach na bokach. W jednym z narożników powstał otwór - więc przysuwa do niego oko i stara się zajrzeć w ciemność wewnątrz.

Trudno coś zauważyć. Morska woda dostała się do środka - jeszcze nie tyle, by ją bardzo obciążyć, ale dostatecznie wiele, by utrudnić widzenie. Prostuje się i myśli, czy nie wyłamać jeszcze kawałka deski... Trzask... Drewno pęka w jego palcach jak czekolada i teraz może już zobaczyć, co jest w środku. Jego wzrok trafia na but. To but marynarski, wciąż mocno zawiązany. Kiedy patrzy na niego przez pięć minut, musi przyznać, że nie jest to najciekawszy z możliwych widoków.

Gdyby tak drugi koniec trumny też był pęknięty, myśli, unosząc głowę. Ale wygląda na całość. Jeszcze chwila w wodzie i deski też by się połamały. Bo przecież wystarczy przyłożyć do nich palec i nacisnąć trochę mocniej, a drewno pęka praktycznie samo z siebie, i...

Trzask. Cienka deska łamie się pod jego wielką dłonią, gwóźdź się wygina.

Pochyla się. Teraz widzi część twarzy - zamknięte oko, długie mokre rzęsy, spoczywające na białym jak kreda policzku.

Oczywiście, chce zobaczyć więcej, a skoro deska i tak już się połamała, nic się nie stanie, jeśli wyrwie ją i obejrzy całą twarz. Teraz widzi młodego człowieka o spokojnych rysach. Wargi ma wykrzywione w lekkim, nieruchomym uśmiechu, jakby śnił. Co takiego może mu się śnić? Gdyby tylko mógł mówić, można by go o to zapytać. I jeszcze o kilka innych spraw.

Myśli pędzą teraz jak oszalałe, jak fale oceanu. Wyciąga ręce i szybko pozbywa się pozostałej części wieka; połamane kawałki drewna spadają na piasek jak odrzucona skórka pomarańczy. Teraz trumna jest już całkiem otwarta. Leży w niej młody żeglarz, a nocne powietrze znów chłodzi jego twarz, jak kiedyś, za życia.

To nie tylko dar. To znak. Znak, że wiatr się zmienia na sprzyjający i że jego plan jest właściwy i słuszny. Uśmiecha się do siebie, znów odsłaniając złote zęby.

Są pewne rzeczy, o których surfer wie - a przynajmniej mówiono mu, jeśli tylko zdoła je sobie przypomnieć. Nie zwracał wtedy na nie uwagi, czego teraz żałuje. Gesty i inkantacje, które - jeśli tylko skupi się i wypchnie je na sam wierzch swej pamięci - mogą przynieść pożądany skutek. Spogląda na młodego człowieka w trumnie. Z samego stroju można poznać, że był piratem, nawet gdyby dłonie nie splatały się na rękojeści miecza i gdyby nie miał na przegubie zawiązanej flagi z czaszką i kośćmi.

Gdyby tylko pamiętał odpowiednie procedury... Skrobie się po wygolonej głowie. Musi sobie przypomnieć... Jest to winien temu piratowi. Teraz, kiedy zniszczył jego miejsce spoczynku, winien mu jest chociaż próbę. Zamyka oczy, odcinając się od świata i przeszukuje mroczne zakamarki pamięci, by znaleźć właściwe słowa.

Znowu przenosi się do ponurej, zadymionej nory, gdzie kadzidło przenikało niegdyś jego zmysły. Znowu tkwi w ciemności. Cedr i drewno sandałowe usypiają jego umysł, widzi w mroku twarz człowieka, który uczy go rytuału. Powracają słowa - nie wypowiada ich, ale słyszy, pozwalając, by tamten tłumaczył mu teraz, jak to czynił kiedyś.

W końcu otwiera oczy. I - tak - jego ręka sięga do wnętrza trumny, i rzeczywiście dłoń uniosła się z czerni i chwyciła jego dłoń, mocniejszą... Ich puls bije razem, jak gdyby łączyło ich jedno serce.

Spogląda na postać w trumnie, szukając innych oznak życia. Wydaje mu się, że coś drgnęło pod maską snu na twarzy, ale nie jest pewien, czy to nie jego własna wyobraźnia. Wydaje mu się, że wyczuwa życie - czy jakkolwiek to określić - napływające do mięśni w kończynach martwego pirata. Wyobraża sobie, że owo życie - czy też jego alternatywa - obejmuje martwe organy w piersi. Ale wciąż czuje aromat cedru i drewna sandałowego i wie, że rytuał nie jest jeszcze dopełniony.

Wreszcie słyszy westchnienie. Z początku jest ciche jak plusk fal o dalekie skały. Po chwili jednak wraca silniejsze. Z otwartymi ciekawie ustami widzi, jak mokre rzęsy trzepoczą i unoszą się. Białe gałki oczne przypominają perły lśniące w ciemnej skorupie ostrygi.

Potem rozwierają się bladonie wargi. Wypluwają trochę słonej wody i powietrze. Potem rozlega się głos, zaskakująco czysty i mocny.

- Już trzeba wstawać? A taki miałem piękny sen...

# Rozdział 10

## Porucznik Stukeley

- Dobrze się czujesz, kolego? Wyglądasz, jakbyś ducha zobaczył. Sidorio spogląda do wnętrza trumny na pirata, jeszcze przed chwilą martwego, który teraz porusza się, przeciąga i uśmiecha do niego promiennie jak do dawno niewidzianego przyjaciela.

- Cały jestem mokry - stwierdza.

W trumnie błyszczy cienka warstwa wody, która przemoczyła mu ubranie. Pachnie morzem.

- Trzymaj. - Sidorio raz jeszcze wyciąga dłoń.

Pirat chwyta go za rękę i z jego pomocą podnosi się na nogi. Stoi przez chwilę, ale nogi uginają się pod nim. Chwieje się. Sidorio musi szybko go podtrzymać, żeby nie upadł i nie pokaleczył się o ostre krawędzie połamanego wieka trumny.

- Dzięki, kolego - mówi pirat, wciąż mocno ściskając jego rękę. - Trochę dziwnie się czuję, jakbym wypił za dużo rumu.

Sidorio wspiera go, aż wydaje się, że pirat potrafi już utrzymać własny ciężar.

- Dobra, już lepiej. Tak. Spróbujemy...

Ale kiedy Sidorio cofa dłoń, pod piratem uginają się nogi i pada na piasek jak szmaciana lalka.

- Może posiedzę chwilkę i jakoś dojdę do siebie.

- Dobry pomysł.

Sidorio odstepuje na krok i patrzy na młodego człowieka, wciąż zdumiony własnym sukcesem. Doprowadził go tutaj z brzegów ciemności... On sam, Sidorio, wykonał rytuał. To znak, że jego moc wzrasta. Wiatry zaczynają mu sprzyjać.

- Wielki chłop z ciebie, co? - odzywa się pirat, spoglądając na niego.

Sidorio wzrusza ramionami.

- Jak się nazywasz?

- Mam na imię Sidorio, ale powinieneś do mnie mówić „kapitanie”.

- Jasna sprawa, kapitanie. Ja jestem Stukeley, Jez Stukeley. Można do mnie mówić Jez.

- Od dzisiaj znany będziesz jako Stukeley - oznajmia Sidorio. - Ja zostanę twoim kapitanem, a ty moim porucznikiem.

- Porucznikiem? Szybki awans. - Wydaje się zadowolony. Sidorio waha się. Pirat sprawia wrażenie oszołomionego tym, co mu się przytrafiło. Sidorio przypomniał sobie rytuał, ale nie bardzo wie, co robić teraz. Co powinno się mówić tym, którzy wrócili? Czy są bardzo wrażliwi? Teraz, kiedy Stukeley znów przyzwyczaił się do oddychania, wcale nie wydaje się szczególnie wrażliwy. Siedzi prosto, a jego mokre ubranie już wyschło.

Zaczyna rozpinąć koszulę.

- Chcę to obejrzeć - wyjaśnia. - Nigdy wcześniej nie miałem okazji.

O co mu chodzi? Sidorio patrzy, jak Stukeley odpina górne guziki i odsłania pierś - białą jak marmur, oprócz głębokiej sinej szramy.

- Więc to jest to... - Kiwa głową. - Śmiertelna rana. Muszę przyznać, że jestem trochę rozczarowany. Spodziewałem się czegoś bardziej dramatycznego.

Sidorio kuca, by spojrzeć mu w oczy.

- Czyli wiesz... że cię zabito?

Stukeley patrzy na niego, a oczy skrzą mu się w blasku księżyca.

- Ja zabity? Nie, ja... O czym ty gadasz, kolego?

- Sidorio nie wie, jak ma zareagować, ale Stukeley wybucha śmiechem.

- Pewno, że wiem. Nie zamykam się w trumnach dla zabawy. Przecież nie jestem wampirem, nie?

- No... - zaczyna Sidorio.

- Nie! - woła Stukeley. - Żarty sobie ze mnie robisz! Ja wampirem? To niemożliwe! Poważnie mówisz? A gdzie mam kły i całą resztę?

- Jeszcze nie masz, ale będziesz miał. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie.

- Niesamowite! Pewnie nie masz przy sobie lustra?

- Jak chcesz, to idź popatrz na siebie w wodzie.

Stukeley waha się przez chwilę, po czym wstaje niepewnie i zataczając się, rusza na brzeg oceanu. Sidorio obserwuje, jak chłopak pochyla się, próbując zobaczyć w falującej wodzie swoją twarz.



Po chwili pirat odwraca się zdumiony.

- Nie widzę swojego odbicia!

Sidorio przytakuje z uśmiechem.

- Zgadza się. Zmieniłeś się. Widzisz?

- Tak, kapitanie.

Jego głos brzmi teraz inaczej - z szacunkiem i podziwem.

Sidorio zastanawia się nad dalszymi działaniami. Wszystko wydarzyło się tak szybko...

Ledwie godzinę temu rozmyślał o tym, że sytuacja mogłaby się zmienić, że mógłby znaleźć towarzystwo. Teraz ma porucznika - na tę myśl ekscytacja własną potęgą ustępuje niepokojącemu poczuciu ciężającej na nim odpowiedzialności. Stukeley odchodzi od wody i zbliża się z uśmiechem.

- Nie mogę uwierzyć, że wróciłem. Dziękuję ci - mówi. - Dziękuję, że sprowadziłeś mnie z powrotem.

- Jak tam jest?

- Przecież też tam byłeś, prawda? Musisz wiedzieć.

- Dla każdego wygląda to inaczej.

Stukeley wzrusza ramionami.

- Uczciwie powiem, że niewiele pamiętam. Tyle że przegrałem w pojedynku, niezbyt sprawiedliwym, moim zdaniem. Leżałem na pokładzie i czułem, jakby coś odciągało mnie od kumpli; ich głosy były coraz słabsze i słabsze. Ale potem... już sam nie wiem. Ciemna plama. - Odwraca się i spogląda na szczątki swojej trumny. Znów się uśmiecha. - Pewnie zorganizowali mi prawdziwy morski pogrzeb. Nie każdemu taki się trafia, kolego. Rozpadam się ze wzruszenia. Aha, pamiętam też, jak kapitan mówił, że wypiją za mnie u Mamy Kettle...

- Który kapitan? - pyta Sidorio. - Jakiego statku?

- Statku kapitana Wrathe'a - wyjaśnia Stukeley.

- Diabła.

- Diabło, tak? Diabeł... - Sidorio się uśmiecha.

- Podoba mi się.

Stukeley robi dziwną minę.

- Jak długo tam byłem?

- Nie wiem. - Sidorio kręci głową. - Ale nie sądzę, żeby twoja trumna jeszcze długo wytrzymała.

- A jaki jest dzień?

- Nie interesuje mnie przemijanie dni.

- Czasem dziwacznie mówisz, kolego. Ale ja chcę tylko ustalić, ile to trwało.

- Myślę - rzuca Sidorio - że nie byłeś... tam... długo. Ale dlaczego chcesz wiedzieć?

- Znasz tawernę Mamy Kettle?

Sidorio zastanawia się przez chwilę.

- Tak. Byłem tam kiedyś.

- No więc, jest duża szansa na to, że stypa po mnie odbywa się właśnie dzisiejszej nocy.

Sidorio uśmiecha się.

- I chciałbyś się zjawić?

- To dosyć niegrzecznie nie przybyć na taką uroczystość. Nie sądzisz?

Sidorio milczy.

- Jeśli tam pójdziemy - mówi wreszcie - nikt nie może cię zobaczyć. Nic nie może zagrozić moim planom. Naszym planom.

- To my mamy jakieś plany?

- Wszystko w swoim czasie, poruczniku. Wszystko w swoim czasie.

- Jak chcesz, wielkoludzie.

- Jak chcesz, kapitanie.

Stukeley kiwa głową.

- Jak chcesz, kapitanie.

- To dopiero początek - oznajmia Sidorio. - To pierwszy przyływ. Czekałem już tak długo... Zanim skończę, ocean zaczerwieni się od krwi. Nadchodzi fala terroru!

# Rozdział 11

## Spotkanie u Mamy Kettle

Grace stała obok Connora, gdy Diabło sunął ku skalistemu brzegowi. - Tam jest! - zawołał Connor. W polu widzenia pojawiło się neonowe światło, mrugające nierówno w ciemności. - Tawerna Mamy Kettle - przeczytała Grace. - Mam nadzieję, że jesteś na to gotowa - odezwała się Cate, stojąca u jej drugiego boku. - Czy ktoś może być całkiem gotów na Mamę Kettle? - rzucił Bart. Piraci zaczęli odzyskiwać dobre humory po smutnej ceremonii pogrzebu Jeza. Grace wciąż nie mogła dojść do siebie, ale może raczej miał kapitan Wrathe, że żałoba ma dwie strony: bolesne pożegnanie i świętowanie życia. Straszne było po prostu to, że konkretne życie zgasło tak wcześnie.

Kiedy statek zacumował, podniecona załoga wyległa na dziobowy pokład, by zejść na nabrzeże. Grace musiała uważać, by nie zgubić Connora i pozostałych. Przez długi czas patrzyła pod nogi, starając się bezpiecznie stawiać stopy między spieszącymi się piratami. Connor chwycił ją i pociągnął do przodu. Kiedy znowu podniosła wzrok, stała przed tawerną Mamy Kettle, z jej ogromnym młyńskim kołem oświetlonym promieniami księżyca. Ponad nim powiewała flaga z czaszką i skrzyżowanymi kośćmi, opuszczona do połowy masztu.

- To z szacunku dla Jeza - wyjaśnił dumnie Bart.

Grace kiwnęła głową i pocieszająco ścisnęła jego rękę.

Wspięli się schodami na pierwszą platformę pomostu.

- Uważaj, na czym stajesz, Grace - ostrzegł Connor.

Spojrzała w dół i zobaczyła w drewnianej podłodze zdradzieckie szczeliny, odsłaniające ocean. Ciemna woda była teraz spokojna i Grace dostrzegła w niej odbicie swej twarzy, jak gdyby jakaś inna Grace czekała uwięziona pod powierzchnią, aż ktoś ją uwolni. Wrażenie było tak silne, że miała już zanurzyć rękę i dotknąć tafli, ale inni spieszyli się i bała się zostać w tyle.

Piraci szli dalej do ogrodzonej linami części tawerny, gdzie czekały już na nich stoły.

- Spójrz. - Connor wskazał jej drewnianą tablicę z napisem „Diablo”, wyznaczającą ich terytorium.

- Tylko najważniejsi kapitanowie takie mają.

Uśmiechnął się do niej szeroko, na co odpowiedziała bladym uśmiechem. Z taką łatwością dostosował się do tego świata, bez oporów akceptując jego reguły...

Piraci zajęli miejsca na ławach. Gwar wzmógł się, kiedy zaczęli rozmawiać między sobą i z innymi załogami przy pobliskich stołach.

Wytworny mężczyzna z siwą brodą i wąsami stanął przy kapitanie Wrathe.

- Bardzo mi było przykro, kiedy usłyszałem, co się stało, Molucco.

- Bardzo ci dziękuję, Gresham.

- Ten Drakoulis to paskudny typ. Miałem nadzieję, że już więcej o nim nie usłyszymy.

- Tak jak ja, Greshamie. - Molucco pokręcił głową. - Tak jak ja.

- Pozwól, że postawię twoim ludziom kolejkę. - Kapitan Gresham obejrzał się. - Czy jest tu jakaś obsługa? Pytałem, czy...

- Co to za hałasy?

Między dwoma kapitanami stanęła kobieta. Miała na sobie obszerną suknię z czarnej tkaniny zdobionej deseniem czaszek i kości.

Connor szturchnął Grace.

- To jest...

Ale Grace sama odgadła. Od razu zrozumiała, że to właśnie Mama Kettle. Dzisiaj nosiła czarny koronkowy welon, który odchyliła, kolejno podstawiając oba policzki kapitanowi Wrathe'owi.

- Tak mi przykro, Lucky - powiedziała. - To ciężki czas.

- Rzeczywiście ciężki, Kitty. - Molucco uściskał ją mocno.

Mama Kettle zwróciła się do załogi.

- Dzisiaj wszystkie drinki na koszt firmy, chłopcy i dziewczęta. Jako dowód mojego uczucia i szacunku dla Jeza i pozostałych.

Rozległy się głośne okrzyki radości, a Mama Kettle posłała całusa wiwatującym piratom. Zanim jeszcze skończyła mówić, dziewczęta zaczęły stawiać na stołach szklaneczki z rumem. Grace przyjrzała się swojej. Nigdy jeszcze nie piła rumu. Ale nie studiowała trunku zbyt długo - Mama Kettle była zbyt intrygująca, by choć na chwilę odrywać od niej wzrok.

- Bartholomew - powiedziała, przytulając chłopca do swego dość obfitego łona. - To musiał być dla ciebie ciężki cios. Wiem, że byliście jak bracia.

- Dla nas wszystkich, Mam - przytaknął Bart.

- Ale zwłaszcza dla mnie i dla Connora.

Mama ze smutkiem pokiwała głową i spojrzała na Connora.

- Witam znowu, panie Tempest. Co za różnica przez te kilka miesięcy! Od razu widać: prawdziwy pirat. Wiele słyszałam o panu przez ten czas. Wschodząca supergwiazda, jak mówią.

Twarz Connora przybrała barwę przejrzałego pomidora. Grace zastanawiała się, czy Mama Kettle jego też zechce przytulić - wiedziała, że brat pewnie umarłby ze wstydu. Ale Mama wyciągnęła tylko rękę i oparła dłoń na jego ramieniu.

- Nie wątpię, że teraz gotują się w tobie emocje, mój chłopcze. To straszne, kiedy traci się bliskiego towarzysza, przyjaciela. Naprawdę straszne.

Connor pokiwał głową, ale Mama jeszcze z nim nie skończyła.

- A teraz Mama udzieli ci darmowej porady, którą możesz wykorzystać albo odrzucić. Jak zechcesz, skarbie. Po pierwsze: śmierć. Nigdy nie staje się łatwiejsza. Czy ktoś ma czternaście lat, jak ty, czy... jest stary niczym rafy koralowe, jak ja... utrata kogoś bliskiego zawsze jest trudnym do przyjęcia ciosem. Po drugie... Nie tłum swoich emocji. Muszą znaleźć ujście. Dlatego właśnie urządzamy taką imprezę, jak widzisz. - Szerokim gestem wskazała pełną tawernę. - Kiedy tracimy takiego dobrego pirata jak Jez, musimy uczcić jego życie. Musimy pić, cieszyć się i opowiadać historie z naszych wspólnych chwil. Niektórzy uważają, że to wstrętne. Każą nam milczeć, smucić się, dniem i nocą chodzić w czarnych ubraniach. Ale my powinniśmy świętować samo życie, rozumiesz? Życie. To najwspanialszy ze skarbów, mój drogi. A Jez Stukeley mógł je smakować zaledwie przez dwadzieścia trzy lata, ale odcisnął swój ślad. Pozostawił ludzi, którzy go kochali, którzy go będą wspominać. A w ostatecznym rozrachunku to najlepsze, na co każdy z nas może liczyć. Zgodzisz się ze mną, Lucky?

Molucco podszedł od tyłu, ujął jej dłoń i ucałował czule.

- Zawsze byłaś bardzo elokwentna, Kitty - oświadczył. - Sam nie potrafiłbym znaleźć mądrzejszych słów.

Mama uśmiechnęła się do Connora.

- Życzę ci długiego życia, Connorze Tempest - powiedziała. - A co ważniejsze, życzę ci życia pełnego śmiechu i miłości, przyjaźni i przygód, bez chwili nudy. - Pocałowała swoje palce i musnęła nimi policzek chłopca. - Stara piracka tradycja - wyjaśniła z uśmiechem.

Po czym przyjrzała się Grace.

- A cóż to za młoda piękność? - spytała.

Teraz z kolei Grace się zarumieniła.

- To bliźniacza siostra pana Tempesta. Grace - przedstawił ją Molucco.

- No tak. - Mama Kettle podeszła bliżej. - Teraz widzę podobieństwo. Jakaż z ciebie piękna młoda dama... - Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po policzku Grace. - Taka śliczna skóra, gładka jak jedwab. Pomyśleć, że kiedyś też taką miałam. A spójrzcie na mnie teraz: pomarszczony, stary morski potwór!

Natychmiast uwaga wszystkich zwróciła się na Mamę Kettle, a Molucco, Bart i inni obsypali ją komplementami. Grace patrzyła, zafascynowana tą niezwykłą kobietą.

- Tak, tak, chłopcy, przestańcie już się rozczułać nad takim wrakiem jak ja. I dość tego gadania. Usiądźcie wygodnie... Dziewczęta i ja przygotowałyśmy dla was małe przedstawienie, żeby rozproszyć smutki. - Obejrzała się i zawołała, a raczej wrzasnęła, przez ramię. - Ciasteczko, jesteś gotowa?

- Tak jest, Mamo - odpowiedział jej dużo miłszy głos.

- No to do roboty. Siadać wszyscy. Tak, Lucky, ty idziesz ze mną.

Mama Kettle szeroką suknią zamiotła podłogę, a światła tawerny przygasły nagle i wokół zapanowała ciemność.

Potem rozległy się dźwięki akordeonu i nagle na scenie zajaśniała plama światła, ukazując dziób statku i piękną figurę galionu. To musiała być Ciasteczko... Miała na głowie kapelusz kapitana piratów i spoglądała na publiczność przez lunetę. Grace nie mogła powstrzymać cisnących się wspomnień o Darcy Flotsam, zwłaszcza kiedy figura złożyła lunetę i mrugnęła porozumiewawczo do widzów.

Dwa kolejne kręgi światła pojawiły się po obu jej stronach, a w nich dwie dziewczęce postaci galionów. Każda z nich przesłała widowni całusa i każdą nagrodziła burza oklasków i entuzjastycznych krzyków.

Do akordeonu dołączyły teraz inne instrumenty. Trzy galiony oddzieliły się od dziobów statków i zsunęły wśród niebieskich i białych wstążek, by wylądować na podłodze. Na

drewnianych deskach ustawiono kształty fal. Była to całkiem wymyślna dekoracja, uznała Grace. Nadawałaby się nawet do prawdziwego teatru, nie tylko do tej zwykłej tawerny.

Goście zaczęli klaskać. Środkowa postać, ciągle w kapitańskim kapeluszu na głowie, przyłożyła palec do warg. Zapadła cisza.

- To Ciasteczko - szepnął siostrze rozmarzony Connor.

- Doprawdy? - Grace uśmiechnęła się kpiąco. - A któż to taki?

- Po prostu... - Connor nie potrafił znaleźć słów.

- Stara przyjaciółka - pospieszył mu z pomocą Bart.

Grace pokiwała głową, szczerze rozbawiona zakłopotaniem brata.

Tymczasem Ciasteczko oparła ręce na biodrach i zaczęła śpiewać.

*Trochę mnie znudziły długie rejsy, samo morze też rozczarowało mnie, obiecywali łupy, grabieże, ale nic z tego, powiem szczerze, chyba nie znajdę tutaj tego, o czym śnię.*

*Ciągle miały trafiać się przygody,*

Ciasteczko mrugnęła znacząco.

*marynarze walczyć mieli w bryzgach piany. Lecz choć płynąc aż do rana, szukam swego kapitana, widzę tylko słoną wodę i bałwany.*

*Wykonuję więc rozkazy oficera, stale gotów do ataku jest mój miecz.*

*Ale nie chcę dłużej czekać!*

*Ileż jeszcze można zwlekać?*

*Robię zwrot, podnoszę żagle, płynę precz.*

*Z mroku rozległ się radosny okrzyk.*

*Chciałam kiedyś pojmać kapitana, co by mnie na pokład swego brygu wziął. Płynąłby przez siedem mórz i oglądał siedem zórz, i rabował, na co by ochotę. Chciałam kiedyś kapitana mieć za męża, jego wiernym oficerem bym została. Szanowałiby me miejsce albo przeszli się po desce.*

*A ja łupów bym wciąż czujnie pilnowała.*

- Zuch dziewczyna! - zawołała Mama Kettle.

*Ale te sny o miłości się rozwiały, bo kapitan dość niechętnie żonę bierze.*

*Pokład trzeba więc porzucić, o piractwie tylko nucić.*

*Tak! Mam dość morskogo życia, mówię szczerze.*

*Z marzeń mych o oceanach została mi morska piana*

*tak, mam absolutnie dość morskiego życia,  
mówię szczerze!*

Ciasteczko zdjęła kapitański kapelusz, potrząsnęła długimi jasnymi włosami i uśmiechnęła się promiennie do publiczności.

Grace też się uśmiechnęła. Ona i Ciasteczko miały ze sobą coś wspólnego. Gdyby tylko można było tak łatwo rzucić pokład i zapomnieć o piractwie...

W pobliżu tawerny do pomostu cumuje nieduża łódka. Wewnątrz siedzi trzech ludzi: przewoźnik i dwóch pasażerów.

- To tutaj - informuje przewoźnik.

- Doskonale - odpowiada potężniejszy z pasażerów. - Stukeley, wysiadaj, ja tu załatwię rozliczenia.

Stukeley nie potrzebuje zachęty.

- Tawerna Mamy Kettle - mówi z zachwytem, stawiając stopy na deskach pomostu. - Nie sądziłem, że jeszcze ją zobaczę.

- Nie odchodź za daleko! - woła za nim drugi pasażer. - Musimy zachować ostrożność!

- Nie, kapitanie! Zaczekam tutaj!

- Dobrze, poruczniku. - Mężczyzna zwraca się do przewoźnika. - To złoto ma kupić twoje milczenie - mówi. - Ale zastanawiam się, czy można ci zaufać.

Przewoźnik gorliwie przytakuje, wyciągając rękę po zapłatę. Ale tamten nagle zaciska złoto w garści.

- Obawiam się, że moja ufność znowu wygrała z rozsądkiem - stwierdza z westchnieniem.

Przewoźnik patrzy na niego zaskoczony. Coś tutaj jest nie tak, jak być powinno. Jego zdumienie zmienia się w oburzenie, a potem w czystą zgrozę.

Stukeley stoi zatopiony w myślach, obserwując wspaniałe koło wodne i słuchając znajomego plusku wody. Nagle jednak rozlega się plusk o wiele głośniejszy. Stukeley ogląda się i widzi zbliżającego się kapitana Sidoria.

- Co to za hałas? - pyta.

Sidorio wzrusza ramionami.

- Jaki hałas?

- Czy to nie ta łódka, którą przyплыliśmy? Gdzie jest przewoźnik?

Sidorio odwraca się.



- A tak. Wydaje się, że przewoźnik gdzieś zniknął. To dziwne - rzuca, ocierając wargi i wydłubując coś spomiędzy zębów. Potem znów się odwraca i chwyta Stukeleya za ramię. - Idziemy, poruczniku. Nie chcemy przecież zwlekać, bo spóźnimy się na twoje przyjęcie.

Stukeleya dręczy jakieś niemiłe przeczucie, ale wie, że Sidorio nie lubi pytań. A w końcu to Sidorio przywrócił go do życia. Jest kapitanem. Więc słuszne wydaje się, by wykonywać jego rozkazy - jakiegokolwiek by były. To jego druga szansa.

Stukeley chce być przykładem dobrego, zaufanego porucznika.

Piraci wiwatowali głośno na cześć Ciasteczka, ale ona przytknęła palec do warg, by ich uciszyć. Potem chwyciła kapelusz tak, jakby chciała go rzucić.

- Kto go złapie, wygra całusa od Ciasteczka!

Posłała kapelusz stromym łukiem ponad wrzeszczącymi piratami. Las rąk falował jak trzciny, kiedy usiłowali go złapać. Przemknął nad nimi, żeglując w stronę stołów, gdzie siedziała załoga Diabła. Wszystkie oczy spoglądały na niego, kiedy w końcu zaczął opadać - prosto ku Connorowi i Bartowi, którzy także wyciągnęli ręce. Grace odchyliła się, żeby zrobić im więcej miejsca. Bart miał przewagę wzrostu, więc pochwycił kapelusz, zanim Connor zdołał go dosięgnąć.

- Następnym razem lepiej ci się powiedzie, kolego - zachichotał Bart, wciskając sobie kapitański kapelusz na głowę. Żartobliwie odepchnął Connora na bok, kiedy maszerował po odbiór nagrody.

- Tak blisko, a jednak tak daleko - zauważyła Grace i lekko szturchnęła brata w zębra.

Zaczynała dobrze się bawić. Czuła się trochę winna, kiedy przypominała sobie Jeza. Ale zaraz powtarzała słowa Mamy Kettle. Zebrali się tu dzisiaj, aby uczcić życie Jeza. I w głębi duszy nie miała wątpliwości, że tego właśnie Jez by pragnął. Gdyby był tu z nimi, na pewno walczyłby z Connorem i Bartem o zainteresowanie Ciasteczka.

Pokaz dobiegł końca, zapaliły się światła i Grace zobaczyła nowy rząd drinków na stole. Jeden łyk rumu zupełnie jej wystarczył, ale inni piraci z entuzjazmem unieśli szklaneczki i włali sobie ognistą ciecz do gardeł.

- Wyjdę na świeże powietrze - powiedziała do Connora.

- Dobrze. - Ścisnął ją za rękę. - Gdybyś mnie potrzebowała, wrzaśnij.

Skinęła mu i odeszła. Przesuwając się w stronę wyjścia, zauważyła, że do stołu podeszła jedna z tancerek towarzysząca Ciasteczku, a Connor wraz z pozostałymi wydawali się całkowicie ogłupiali z zachwytu. Z rozbawieniem kręcąc głową, Grace odwróciła się i ruszyła dalej.

Wróciła do wyjścia drogą, jaką tu przybyła, starannie omijając szczeliny między deskami. Raz jeszcze spojrzała na wodę w dole. I znowu tam była, patrząc na siebie w górze. Jakby znowu tonęła... Zanim jeszcze Lorcan ją ocalił.

Lorcan... Instynktownie sięgnęła do łańcuszka na szyi i odnalazła pierścień Claddagh. Z początku metal wydawał się chłodny, ale kiedy trzymała go między kciukiem i palcem wskazującym, zaczął się rozgrzewać. Czyżby miała przeżyć następną wizję? Przeszył ją dreszcz podniecenia, ale i lęku. Bardziej niż czegokolwiek pragnęła dowiedzieć się, co się z nim dzieje i co mu się przydarzyło. A jednak obawiała się tego, co może odkryć.

Pierścień rozgrzewał się coraz bardziej, więc usiadła na pomoście i zamknęła oczy, czekając na falę mdłości, jaką poczuła ostatnim razem. Ale chociaż pierścień był coraz cieplejszy, nie pojawił się towarzyszący temu ból. W dodatku nic nie słyszała, a głowy nie wypełniła jej gęsta mgła. Co to za wizja? Może robi coś nieprawidłowo?

Niepewna, otworzyła oczy.

I aż syknęła. Na dole, w wodzie, pod deskami pomostu, zobaczyła Lorcana. Potykając się, szedł korytarzem statku wampiratów, wyciągając ręce, by zachować równowagę. Grace przygryzła wargę. Zdawało się, że przeżywa tę samą scenę co poprzednio, tym razem jednak jako zewnętrzny obserwator. Cierpiała, patrząc, jak Lorcan się męczy. Zapragnęła podać mu rękę, pomóc... Instynktownie sięgnęła w dół, do powierzchni wody. Cały czas ścisnęła pierścień, coraz bardziej i bardziej gorący. Był to ryzykowny manewr, delikatnie mówiąc, ale nie potrafiła się opanować - musiała dotknąć wody.

Jednak w chwili, gdy jej palce sięgnęły tafli, obraz Lorcana zniknął. Woda znowu stała się lustrem, odbijającym jej własną niespokojną twarz i światła tawerny z tyłu.

Zmarszczyła czoło.

I wtedy wody znów pociemniały. Pochyliła się, czekając, aż powróci wizja Lorcana. Zamiast tego zobaczyła jednak inne oblicze... i zadrżała. To był Sidorio. Patrzył wprost na nią, jak na pokładzie statku wampiratów w tamtą straszną noc. I teraz, tak samo jak wtedy, jego oczy nagle stały się puste, a potem zapłonął w nich ogień. Rozchylił wargi w swym straszliwym uśmiechu, a zęby jak sztylety zdawały się wysuwać nad wodę.

- Nie! - krzyknęła Grace.

Pierścień Claddagh parzył jej palce. Chciała go puścić, ale nie wiadomo czemu nie potrafiła. I nagle ręka wyprostowała się gwałtownie. Pierścień uwolnił się z łańcuszka. Wciąż ścisnęła go w palcach, ale nie była pewna, jak długo jeszcze wytrzyma. Lada moment żar zmusi ją, by upuściła pierścień do wody.

Nie! Niezależnie od bólu, nie może go stracić. Pierścień był ostatnim ogniwem łączącym ją ze statkiem wampiratów, z Lorcanem. Jeśli go straci, być może nigdy tam nie powróci, nie zdoła pomóc przyjacielowi.

Ta myśl pozwoliła jej wciąż ścisnąć pierścień, choć rozdzierający ból palił palce.

Z wody w dole obserwował ją Sidorio. Śmiał się z niej. Co to znaczyło? Czy to następna wizja? Czy jest blisko? Może wrócił po nią...

Nagle poczuła czyjąś dłoń na karku. Ta dłoń pociągnęła ją mocno do tyłu. Równocześnie Grace zauważyła, że pierścień szybko stygnie. Runęła na deski, oddychając ciężko z ulgi i osłabienia - i ze zgrozy.

# Rozdział 12

## Konfesjonał

- No, no... Co my tu mamy? Grace, otworzyła oczy i spojrzała na znajomą twarz. - Cheng Li! - wykrzyknęła. - Witaj, Grace. - Cheng Li skinęła głową. Przykucnęła. - Jak miło cię spotkać, choć okoliczności są nieco dziwne. Jeśli zamierzasz trenować akrobatykę, to znam miejsca, które lepiej się do tego nadają. Grace przyjrzała się jej uważnie. Cheng Li wydawała się mniej szorstka, niż dziewczynka ją zapamiętała. Ale znały się tylko przez krótki czas na Diabłu i na jej wspomnienia mogły wpłynąć ostre słowa, jakie Molucco Wrathe wygłaszał na temat byłej pierwszej oficer.

- Nie trenowałam akrobatyki - oświadczyła Grace.

- Tak naprawdę nie podejrzewałam cię o to - zapewniła Cheng Li. - Ale cokolwiek robiłaś, wyglądasz teraz nieco blado. Może lepiej przyniosę ci coś do picia.

- Czy podają tu coś bez alkoholu? Wypiłam łyk rumu i czuję się raczej słabo.

- Hm... Można by dojść do wniosku, że to właśnie efekt zwisania głową w dół nad stęchlą wodą! Co właściwie robiłaś tam na dole?

Grace uśmiechnęła się.

- To długa historia.

- Takie lubię najbardziej. - Cheng Li rzuciła jej szybki uśmiech i wyciągnęła silne, choć smukłe ramię. - No chodźmy, kochanie. Wypijemy dzbanek herbaty z morskich lilii. To, jak mówią, powinno przywrócić trochę koloru twoim policzkom.

Poprowadziła Grace z powrotem do tawerny. W głębi, w odgradzonej części, piraci z Diabla z każdą chwilą stawali się coraz bardziej hałaśliwi. Grace dostrzegła wśród nich brata, ale wyraźnie był zbyt zajęty, by zwrócić na nią uwagę. Cheng Li chwyciła Grace za rękę i pociągnęła do ciemnego przejścia z boku sali. Wspięły się po wąskich schodach i wyszły na galerię podzieloną na boksy. Każdy z nich odgradzony był od sąsiednich drewnianymi panelami, zdobionymi obrazami statków i fal.

Boks, w którym usiadły, przypominał Grace kościelny konfesjonał. Otwierał się na salę w dole, miał jednak czerwoną kotarę, którą można było zaciągnąć, oddzielając się od wścibskich oczu i przynajmniej częściowo wyciszając hałas. Cheng Li to właśnie uczyniła.

- Gotowe - powiedziała. - Teraz nikt nam nie będzie przeszkadzał. Wewnątrz boksu panował mrok i twarz Cheng Li oświetlała tylko pojedyncza świeca, migocząca w szklanej lampie pośrodku stołu. Słaby blask zmiękczał ostre rysy dziewczyny, przypominając Grace, że mimo swej postawy i rangi, jej rozmówczyni ma zaledwie dwadzieścia kilka lat.

Cheng Li wyglądała całkiem inaczej, niż Grace ją zapamiętała. Lśniące czarne włosy znacznie urosły od ostatniego spotkania i teraz nie zaczesywała ich tak gładko. Zaraz potem Grace zauważyła, że Cheng Li nie nosi przytroczonych do pleców dwóch katan. Czyżby teraz, kiedy została nauczycielem w Akademii Piractwa, zrezygnowała z broni?

- Co trzeba zrobić, żeby ktoś nas obsłużył? - spytała Cheng Li.

Wysunęła rękę za kotarę i pstryknęła palcami. Grace zauważyła dwie katany leżące na ławie - a więc nie zrezygnowała, tylko odłożyła.

W boksie zjawił się kelner - chłopak, ku zaskoczeniu Grace. Skłonił się uprzejmie.

- Czym mogę służyć?

- Przynieś nam dzbanek herbaty z morskich lilii.

- Natychmiast, pani Li - odparł i zniknął.

Cheng Li uśmiechnęła się do Grace.

- Spotkanie cię tutaj to naprawdę miła niespodzianka - oświadczyła. - Często o tobie myślałam.

Grace zarumieniła się, słysząc te słowa.

- Ja też się cieszę - zapewniła, odrobinę zakłopotana.

Chłopak wrócił wkrótce, niosąc tacę zastawioną dzbankami, szklankami i pudełkami różnej wielkości. Czy naprawdę to wszystko było przeznaczone tylko dla nich? Najwyraźniej picie herbaty wiązało się z jakimś skomplikowanym rytuałem.

Grace czuła na sobie wzrok Cheng Li, kiedy sama obserwowała kelnera. Ustawił na stole dwie pięknie malowane szklanki, potem wysoki dzbanek pośrodku. Dzbanek był pusty, jak zauważyła Grace. Chłopak skłonił się i otworzył niedużą onyksową szkatułkę, pełną kwiatowych pączków. Wziął srebrne szczypczyki i ostrożnie wrzucił dwa pączki do dzbanka. Zamknął

szkatułkę, uniósł elegancki srebrny czajniczek i zalał wrzątkiem oba pączki, aż dzbanek niemal się wypełnił.

- Teraz trochę cierpliwości. - Uśmiechnął się i zdjął ze stołu szkatułkę i tacę. - Aha, byłbym zapomniał. Tutaj jest miód.

Ustawił na blacie czarny słoiczek ze sterzącą z wieczka malutką łyżeczką.

Cheng Li rzuciła na tacę monetę.

- Zasuń za sobą kotarę - poleciła. Uśmiechnął się i skłonił raz jeszcze, po czym odszedł, zaciągając kotarę przed boksem. Dwie młode kobiety były teraz odcięte od gwaru tawerny.

- Patrz. - Cheng Li wskazała szklany dzbanek.

Grace przyjrzała się z uwagą. Woda nabrała blad różowej barwy, a nieco ciemniejsza strużka wirowała spiralą wewnątrz, jakby ktoś zanurzył tam używany pędzel. Dwa pączki na dnie wirowały, jak gdyby były najmniejszymi z morskich stworzeń. Potem, bardzo powoli, zaczęły się otwierać. Stopniowo rozwijały się płatki, niczym ramiona przeciągające się po długim śnie. Sięgały coraz dalej, aż oba kwiaty się zetknęły. I przez cały czas woda nabierała coraz głębszego odcienia różu, jak niebo o zachodzie słońca.

W końcu pączki rozwinęły się w pełni i wolno płynęły ku górze, aż zaczęły się unosić na powierzchni różowego oceanu.

- Ojej... - szepnęła Grace, zaintrygowana tym wodnym przedstawieniem.

- Teraz jest gotowa do picia - stwierdziła Cheng Li.

Sięgnęła po dzbanek i naląła gorącej herbaty do szklanki Grace. Para wzbijała się w górę i trafiła do nozdrzy dziewczyny. Herbata miała niezwykły, oszałamiający aromat.

- Niektórzy dodają jeszcze łyżeczkę miodu - wyjaśniła Cheng Li, wskazując słoiczek. - Ale ja wolę bez.

Grace postanowiła iść za jej przykładem. Podniosła szklankę do ust.

- Czekaj - powstrzymała ją Cheng Li.

Grace znieruchomiała, niepewna, co jeszcze należy do rytuału.

- Toast - wyjaśniła Cheng Li, wysuwając swoją szklankę w stronę towarzyszki. - Za nowych przyjaciół!

- Za nowych przyjaciół.

Ostrożnie stuknęły się delikatnymi szklankami. Po czym Grace wypła łyk herbaty z morskich lili.

- I co? - Ciemne oczy Cheng Li błysnęły w półmroku. - Jak brzmi werdykt?

- Myślę, że to najwspanialszy napój, jaki w życiu kosztowałam.

Cheng Li z uśmiechem kiwnęła głową.

- Tak myślałam, że będzie ci smakować. Morskie lilie to rzadki przysmak, pełen wartościowych składników. Trudno je zdobyć, ale Matylda Kettle ma swoje kontakty.

- Matylda? Wszyscy mówią do niej Mama...

- Kiedyś przedstawiała się jako Ma Kettle i tak wyszło. Ale naprawdę ma na imię Matylda.

- Przecież Molucco nazywa ją Kitty! - Ludzie różnie ją nazywają. Grace domyśliła się, że Cheng Li zna wiele, wiele tajemnic. Wypiła jeszcze herbaty, czując, jak słodkie ciepło rozlewa się po całym ciele. Miała wrażenie, że spływa z niej napięcie. Czy to możliwe, by kilka łyków delikatnie aromatycznej herbaty miało tak silne i natychmiastowe działanie?

- A teraz - odezwała się Cheng Li - opowiedz mi o wszystkim.

Od czego powinna zacząć? Tyle miała do powiedzenia. Tak wiele myśli i przeżyć zapragnęła nagle zrzucić ze swoich barków... I tak wiele pytań chciałaby zadać.

Ale czy może zaufać Cheng Li? Znała reputację swojej rozmówczynie - o byłej pierwszej oficer mówiono na Diabłu z mieszaniną lęku i niechęci. Co prawda Connor wyrażał się o niej jak najlepiej - opisując jako surową, ale sprawiedliwą - a z jego opinią Grace liczyła się bardziej niż ze zdaniem Molucca Wrathe'a i jego jakże łatwowiernych podwładnych. Ale jedno, co powiedział Connor, naprawdę budziło niepokój: insynuacje kapitana Drakoulisa, jakoby Cheng Li szpiegowała Wrathe'a, że to było powodem jej przybycia na pokład Diabła, a potem jej nagłego odejścia.

- Co chciałabyś wiedzieć? - zapytała, decydując, że pierwszy ruch zostawi rozmówczynie. Będzie reagować ostrożnie i w końcu się zorientuje, czy może ufać Cheng Li.

Cheng Li wzruszyła ramionami.

- Na początek, jak ci się żyje na Diabłu.

To było proste pytanie i Grace przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Owszem, dość mi się tam podoba.

Cheng Li obserwowała Grace swymi błyszczącymi, migdałowymi oczami. Wyraźnie czekała na dalszy ciąg. Grace postanowiła zaryzykować.

- Ale nie jestem przekonana, czy chcę tam zostać na zawsze.

- Doprawdy? - Cheng Li w zdziwieniu uniosła brew. - Wybacz, jeśli się mylę, ale wydawało mi się, że twój brat podpisał kontrakt.

- Podpisał - przytaknęła cicho Grace.

Cheng Li napiła się herbaty.

- To stanowi pewien problem.

Grace nie potrzebowała przypomnienia. Kontrakt uwierał ją stale jak cierń.

- Kontrakty uważane są powszechnie za wiążące na całe życie - powiedziała Cheng Li. - Ale zawsze istnieją sposoby obejścia drobnych problemów.

Grace mocniej zabiło serce. Czyżby Cheng Li rzucała jej koło ratunkowe?

- Powiedz mi, jak Connor radzi sobie na statku? - Całkiem dobrze. - Tylko „całkiem dobrze”? - Cheng Li uśmiechnęła się. - W plotkarskim światku mówi się, że to pirackie cudowne dziecko.

- Naprawdę dobrze mu się układa - zapewniła Grace.

- Wstrząsnęła nim śmierć Jeza. Jak nami wszystkimi. Ale Jez i Connor... i Bart... byli sobie naprawdę bliscy.

- Tak. - Cheng Li w zamyśleniu sączyła herbatę.

- Oczywiście: Trzech Bukanierów, i w ogóle...

Grace kiwnęła głową.

- Poradzi sobie. Jest zachwycony życiem pirata.

- Ale mam wrażenie, że ty nie.

- Dość mi się podoba.

- Już raz użyłaś tego określenia, Grace. Czemu jesteś taka skryta? Nie ufasz mi?

No tak. Można było przewidzieć, że Cheng Li trafi w samo sedno.

- Nie ufasz - ciągnęła. - Poznaję. Nie szkodzi, Grace. Przyzwyczaiałam się, że na Diabłu jestem „złym gliną”.

Szczerota towarzyski zrobiła na Grace wrażenie. Przyjemnie było w końcu porozmawiać z kimś o swoich troskach... Mimo wątpliwości co do Cheng Li, czuła pewien związek ze starszą dziewczyną. Domyślała się też, że Cheng Li może jej pomóc.

- Bo widzisz... - zaczęła Grace. W końcu trzeba to chyba powiedzieć. - Chodzi o to, że kapitan Drakoulis stawiał ci poważne zarzuty.

- Rozumiem. A co takiego mówił Narcisos Drakoulis? I do kogo?



- Powiedział kapitanowi Wrathe'owi... a właściwie wszystkim piratom... że byłeś na Diabłu agentem... przysłanym przez Federację Piracką... żeby szpiegować kapitana. Kapitan Wrathe sądził, że odbywasz normalny staż jako pierwszy oficer, a ty przez cały czas działałaś jako agentka Federacji.

Cheng Li kiwała głową, napełniając szklankę Grace.

- Mów dalej, moja droga.

- Podobno miałaś jakoś przywołać kapitana Wrathe'a do porządku, ale twoja misja się nie powiodła.

I właśnie dlatego nagle odwołali cię z powrotem do Akademii Piractwa.

Cheng Li wpatrywała się w twarz Grace. Dziewczyna poczuła niepokój. Czyżby powiedziała zbyt wiele?

- To wszystko prawda - oświadczyła Cheng Li. Grace nie mogła uwierzyć własnym uszom. - Mówię ci o tym, bo myślę, że zrozumiesz. Rzeczywiście pracuję dla Federacji Pirackiej. Zwerbowali mnie parę lat temu w Akademii Piractwa i działałam u nich od tego czasu.

- Czym właściwie jest ta Federacja?

- Właśnie do tego zmierzałam - odparła Cheng Li. - Federacja istnieje, by pomagać sprawie piractwa na świecie, by konsolidować nasze siły na oceanach, rozwijać globalną sieć pirackich flotylli, współpracujących ze sobą pokojowo.

Brzmi to bardzo szlachetnie, pomyślała Grace.

- Molucco Wrathe z punktu widzenia Federacji jest jak uparta migrena - ciągnęła Cheng Li. - To człowiek dnia wczorajszego, ale nie chce spokojnie odejść w noc. Mimo naszych nalegań, nie potrafi stanąć w szeregu. Prawdę mówiąc, to jego wina, że działa w izolacji. Nie chce respektować granic akwenów innych kapitanów. Motywuje go wyłącznie szansa szybkiego zarobku i barwnej historii, którą można potem opowiadać. - Przerwała na moment. - Może wyda ci się to nazbyt okrutne, Grace, ale obawiam się, że właśnie lekceważenie Federacji przez Wrathe'a doprowadziło w efekcie do śmierci Jeza Stukeleya.

Grace pokiwała głową. Sama doszła do podobnych wniosków, choć nie dysponowała - do tej chwili - pełną wiedzą.

- Narcisos Drakoulis to kolejny samotny wilk - podjęła Cheng Li. - Gdybym miała skłonność do bardziej dramatycznych określeń, powiedziałabym, że jest psychotykiem. Na pewno nie działał jako wysłannik Federacji. Ale miał uzasadniony powód do konfliktu z

Molukiem Wrathe'em. Swoim porywczym zachowaniem Wrathe rozzłościł wielu kapitanów, jednak istnieją dwie poważne różnice. Po pierwsze, znajomość Drakoulisa i Wrathe'a sięga wielu lat wstecz; była jakaś kłótnia o skarb gdzieś w Grecji, zakończona tym, że Wrathe zatopił statek Drakoulisa. Po drugie, Drakoulis postanowił zareagować na ostatnie występki Wrathe'a. Nie zrozum mnie źle. Absolutnie nie usprawiedliwiam tego, co zrobił. Federacja też nie. Ale kapitan Wrathe sam się prosił o karę. Gdyby atak nie nastąpił ze strony Drakoulisa, zdarzyłby się prędzej czy później ze strony któregoś z setki kapitanów, których Wrathe oszukał.

I powiedzmy sobie szczerze, jeśli nie zmieni swego postępowania, coś takiego zdarzy się znowu. - Cheng Li spojrzała wymownie w oczy Grace. - A następnym razem może ucierpieć Connor.

Grace zdawała sobie sprawę z prawdziwości tych słów.

- Wiem - przyznała. - Uwierz mi, wiem dobrze. Ale co mogę zrobić? Connor jest zdecydowany na karierę pirata.

Cheng Li pokręciła głową.

- Problem nie polega na tym, że Connor chce być piratem. Problemem jest to, jakiego wybrał sobie kapitana.

Cheng Li była z Grace tak szczerą, tak bardzo jej zaufała, przekazując te wszystkie informacje... Co ważniejsze, chyba mogła pomóc. A czas był najważniejszy. Grace postanowiła odplacić jej zaufaniem.

Nabrała tchu.

- Czy jest jakiś sposób, żeby uwolnić Connora od tego kontraktu z kapitanem Wrathe'em? Żebyśmy oboje wydostali się z Diabła?

- Oczywiście - stwierdziła rzeczowo Cheng Li.

- Właśnie miałam przejść do tej sprawy.

# Rozdział 13

## Decyzje

- Akademia Piractwa? - powtórzył Connor. - Chcesz, żebym uciekł ze statku i wstąpił do Akademii Piractwa? - Tu nie chodzi o ucieczkę - tłumaczyła Grace. - Wszystko będzie załatwione legalnie. I przecież tylko na tydzień. Kapitan Wrathe podpisze zwolnienie...

Connor z niedowierzaniem patrzył na siostrę nad pustym dzbankiem herbaty z morskich lili. Cheng Li zniknęła w barze, a Grace przyprowadziła brata na górę.

- Ale rozumiesz, Gracie, ja i Akademia Piractwa... Wiesz, jak mi idzie w szkole. To nie jest dobre połączenie.

Grace uśmiechnęła się.

- Wiem, Connorze. Ale tu nie chodzi o szkołę w Zatoce Księżycowej. Mówimy o Akademii Piractwa. Możesz zapomnieć o nudnych testach i liście lektur. Mówimy o wykładach z walki, nawigacji, pmwe...

- Co to jest pmwe?

- Przeżycie na morzu w warunkach ekstremalnych - wyjaśniła Grace z dumą.

Connor parsknął śmiechem.

- O rany! Cheng Li dobrze ci to zareklamowała. - Zastanowił się. - I jeszcze coś. Przypuśćmy, że uznam to za dobry pomysł... a nie twierdzę, że tak jest... Ale załóżmy. Jak masz zamiar przekonać kapitana Wrathe'a, żeby się zgodził, wiedząc, że to Cheng Li nas zaprosiła i ona ma się tam nami opiekować?

Grace kiwnęła głową.

- Myślałam o tym. Nie możemy udawać, że Cheng Li nie ma z tym nic wspólnego. Kapitan Wrathe nie jest głupi. Ale możemy wykorzystać jej zaangażowanie. Powiemy, że chcemy skorzystać z okazji i sprawdzić, co się dzieje w Akademii... i wrócić na Diabla z nowymi umiejętnościami. Może nawet z jakimś nowym rekrutem?

- Nie jestem pewien, czy na to pójdzie - mruknął Connor.

- Znasz go lepiej ode mnie - przyznała Grace. - Ale przecież prosimy tylko o tydzień... na początek.

- Na początek? Co to znaczy „na początek”?

Grace nabrała tchu.

- Connorze, chciałam z tobą o tym porozmawiać.

- Widziała, jak na jego twarzy pojawia się wyraz czujności, ale zacisnęła zęby i mówiła dalej: - Chodzi o twój kontrakt.

- Co z nim?

- Chciałabym tylko... Chciałabym, żebyś nie wiązał się z Molukiem tak pochopnie.

- On mi uratował życie, Gracie.

- A teraz je naraża.

- O co ci chodzi?

Nie chciała mówić o tym tak brutalnie. Ale skoro te słowa już padły, powinna być szczerą do końca.

- Cheng Li mówiła, że to tylko kwestia czasu, nim jakiś inny kapitan wystąpi przeciw Moluccowi...

- Drakoulis to wariat, Grace. Czubek. Psychol. Mieliśmy pecha...

- Jeza spotkało coś gorszego niż pech - powiedziała. Zauważyła, jak Connor spoważniał. - Przykro mi, ale martwię się o ciebie. Martwię się o nas. Uważam, że jeśli zostaniemy na Diabłu, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Connor wyszczerzył zęby.

- Spokojnie, mała! Niebezpieczeństwo to nasz żywioł!

Nie potrafiła odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Proszę cię, Connorze, bądź poważny. Osobiście nie mam nic przeciwko Moluccowi Wrathe'owi. Jestem mu wdzięczna: dał ci dom, a teraz i mnie go zaofiarował. Ale Cheng Li uważa, że prędzej czy później jakiś inny piracki statek zaatakuje Diabła. A ty będziesz na pierwszej linii i obawiam się... naprawdę się obawiam... że zginiesz.

Connor wyciągnął do niej rękę.

- Rozumiem, co czujesz - zapewnił. - I muszę przyznać, że od śmierci Jeza nachodzą mnie podobne myśli. Molucco nie jest złym człowiekiem, ale swoim zachowaniem sam się prosi o kłopoty. Nigdy tego nikomu nie powiem, ale uważam, że Jez zginął niepotrzebnie.

Grace mocno ścisnęła dłoń brata. Nie spodziewała się, że usłyszy od niego takie słowa. Po ich rozstaniu - i wszystkim, co się potem wydarzyło - łatwo było zapomnieć, jak głęboka więź ich łączyła. Dobrze wiedzieć, że łączy nadal.

- No więc poprosisz Molucca? - upewniła się.

- O tygodniowy urlop, żeby odwiedzić Akademię Piractwa?

Grace przytaknęła.

- Poproszę. Ale wcale nie jestem przekonany, że się zgodzi.

- Dzięki, Connorze. Poza wszystkim, dobrze będzie wybrać się gdzieś na jakiś czas. Możemy wtedy spokojnie porozmawiać o przyszłości. O tym, gdzie chcemy trafić, co chcemy robić...

- Gracie, poproszę kapitana Wrathę o tydzień urlopu, ale kiedy ten tydzień się skończy, muszę wrócić na Diabła.

- A ja muszę wrócić z tobą. - Nie zdołała ukryć goryczy.

- Co to ma znaczyć? - Connor zmarszczył brwi.

- Ty podpisałeś kontrakt - odparła. - Ja nie.

- Jeszcze nie. Ale podpiszesz, prawda? Przecież to najważniejsze, żebyśmy byli razem.

Grace wypuściła jego dłoń.

- Nie będziemy razem, Connorze, jeżeli zginiesz w walce. A znasz mnie chyba dość dobrze, by wiedzieć, że nie będę czekać na to spokojnie.

- No więc co zrobisz? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Dokąd pójdziesz?

Nie mogła mu tego powiedzieć, ale nie potrafiła dostatecznie szybko ukryć swych myśli.

- Och, nie, Grace! To niemożliwe! Nie myślisz chyba, żeby wrócić na statek wampiratów?

Westchnęła.

- Są tam ludzie, którzy mnie potrzebują.

- Nie ludzie. - Potrząsnął głową. - Wampiry. Potwory. Demony.

- Masz prawo do swoich poglądów - powiedziała cicho.

Connor się rozgniewał.

- Robisz mi wykłady o bezpieczeństwie, a przez cały czas planujesz następną wycieczkę statkiem, gdzie śpią po całych dniach, a po nocach piją ludzką krew.

- Nie wiesz, o czym mówisz!

Grace także zaczęła już tracić cierpliwość. Connor nie miał pojęcia, jak wyglądało życie na statku wampiratów. Gdyby tylko zrozumiał, jak bardzo cierpi Lorcan - i jak bardzo jej potrzebuje...

- Nie mogę ci uwierzyć, Grace. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle prowadzimy tę rozmowę.

- Posłuchaj, Connorze - rzekła, a w jej głosie brzęknęła stal. - Nie chcę się z tobą kłócić. Jesteś najważniejszą osobą mojego świata i wiesz o tym. Masz rację: powinniśmy zostać razem. Ale są sprawy, których nie poruszaliśmy, nie mieliśmy czasu, żeby o nich rozmawiać, kiedy wokół tyle się działo. Jeśli zdołasz przekonać Molucca, żeby puścił nas na tydzień ze statku, będziemy mieli okazję.

Connor z rezygnacją potrząsnął głową. Grace zawsze potrafiła tak go wymanewrować, że musiał się z nią zgodzić.

- No dobrze - ustąpił. - Dobrze. Zapytam go. Ale nie spodziewaj się cudów.

Odsunął kotarę oddzielającą boks od galerii. Wychylając się, widział Molucca siedzącego obok Mamy Kettle i podającego Scrimshawowi przekąski z baru.

- Kapitanie! - zawołał głośno. - Kapitanie Wrathe! Mogę zamienić z panem słowo?

- Oczywiście, mój chłopcze! Zejdź tu na dół!

W sąsiednim boksie Sidorio i Stukeley słyszą wołanie Connora.

Stukeley prostuje się gwałtownie.

- To Connor - stwierdza. - I Molucco.

Odruchowo wyciąga dłoń do kotary, która oddziela ich od baru.

Sidorio chwyta go za przegub.

- Powiedziałem ci. Nie.

- Dobrze, dobrze. Au, to boli.

- Przepraszam - mruczy Sidorio. Rozluźnia uścisk, ale spycha dłoń Stukeleya na stół. - Po prostu nie ruszaj tej kotary.

- To żadna zabawa - skarży się Stukeley. - W ogóle.

- Nie? - Sidorio raz jeszcze mierzy wzrokiem swego porucznika.

- No, niczego nie mogę się napić! - Stukeley wskazuje swój kufel. Jest wciąż w trzech czwartych pełen piwa, a brakująca jedna czwarta została wypluta i rozlana na stole. - Nie potrafię tego w sobie utrzymać.

- Wiele się w tobie zmienia - wyjaśnia Sidorio.

- Bądź cierpliwy.

Stukeley marszczy brwi i znowu sięga po kufel.

- Nie! - wykrzykuje zirytowany Sidorio.

Stukeley demonstracyjnie wypija łyk piwa. Sidorio z rezygnacją kręci głową, gdy porucznik znowu zaczyna się krztusić. Pochyla się i klepie go po karku.

- Au! Przestań mnie bić!

- To przestań pić! Nie możesz!

- Ale dlaczego?

Sidorio wzdycha ciężko.

- Bądź cierpliwy. - Cierpliwy... Cierpliwy... Nie patrz na nikogo! Z nikim nie rozmawiaj! Zostaw piwo w spokoju! Kapitanie, pan mówi zupełnie jak moja mama.

Sidorio kręci głową. Może już czas wypuścić tego szaleńca na swobodę? Ale nie. Jeszcze za wcześnie. Tak wiele czasu minęło od dnia, kiedy sam przeżywał taką metamorfozę, że nie potrafi przewidzieć, co się zdarzy. Gdyby mógł to po prostu przeczekać, potraktować jak eksperyment, może poszłoby łatwiej z następnym, którego sprowadzi z powrotem. I jeszcze następnym. A potem kolejnym. Armia Sidorio. Załoga Sidorio. Przyjemnie brzmiące słowa... Akurat takich potrzebował, żeby poprawić sobie humor.

- Zostaw to piwo. Wychodzimy.

Sidorio wstaje.

- Dlaczego? Dokąd idziemy? Czyżby czekał mnie kolejny dreszcz emocji?

- Dreszcz? - śmieje się Sidorio. - Dam ci dreszcz. Wiem, czego ci trzeba.

Szybkim krokiem wychodzi z boksu. Stukeley chwyta kurtkę i rusza za nim.

- O czym ty mówisz? Dokąd idziemy? Czego mi trzeba? - pyta, podbiegając.

Sidorio dociera do schodów. Nieruchomieje na chwilę, po czym odwraca się do swego męczącego porucznika.

- Krew, Stukeley. Potrzebujesz krwi.

\*

- Już - powiedział Connor, podchodząc do Grace. - Postanowione. - Zgodził się? - Tak! - zahuczał Molucco Wrathe, stając przy boku Connora. - Kapitan się zgodził. Grace zarumieniła

się zakłopotana. - Przepraszam, kapitanie. Nie zauważyłam, że pan tu jest. Ale dziękuję... że pan wyraził zgodę. To wspaniała wiadomość.

Kapitan Wrathe lekceważąco machnął ręką.

- Ostatnio przeżyliśmy na Diabłu ciężkie chwile. Jestem pewien, że przyda się wam trochę oddechu.

Grace nie mogła uwierzyć, że tak swobodnie to traktuje.

- Jestem pełna uznania - odezwała się Cheng Li, wracając z baru. - To odświeżająco postępowy sposób myślenia, kapitanie.

- Pani Li... - powiedział Wrathe. - Cóż za nieoczekiwana nieprzyjemność.

- Ha, ha, ha - zaśmiała się sarkastycznie Cheng Li. - Dobrze wiedzieć, że ostatnie wydarzenia nie pozbawiły pana ostrego jak brzytwa dowcipu.

Molucco przeszył ją gniewnym wzrokiem.

- Człowiek, który nie umie się śmiać, jest doprawdy biednym człowiekiem, pani Li.

Obok niego stanęła Cate, a z drugiej strony Mama Kettle. Inni piraci odwracali się w ich stronę albo wstawali i podchodzili wolno. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że to pierwsze spotkanie kapitana z byłą pierwszą oficer od czasu, gdy Drakoulis oskarżył ją o szpiegowanie.

Niespieszona Cheng Li nie przejmowała się tłumem. Zwróciła się wprost do kapitana i Cate.

- Słyszałam o Jezie Stukeleyu. Naprawdę bardzo mi przykro - powiedziała. - Był dobrym piratem.

- Skierowała swe ciemne oczy na Cate. - Przy okazji, gratuluję awansu na zastępcę kapitana. Mam nadzieję, że dodatkowe obowiązki nie są zbyt męczące.

Dwie kobiety spoglądały na siebie badawczo: była pierwsza oficer i jej następczyni. Grace zauważyła, że Cate powoli przyzwyczajają się do swojej nowej roli, codziennie demonstrując większą pewność siebie i powagę. Ale teraz, twarzą w twarz z poprzedniczką, wydawała się trochę zakłopotana.

Molucco objął ją za ramiona.

- Cate jest doskonałym zastępcą - oświadczył.

- W końcu mam przy sobie kogoś, komu mogę zaufać.

Cheng Li uśmiechnęła się.

- Zawsze mógł mi pan ufać, kapitanie.



- Tak. - Molucco zaśmiał się głośno. - Zawsze mogłem ufać, że będziesz miała zastrzeżenia do moich planów, że będziesz piętrzyć przeszkody na mojej drodze, kwestionować moje postępowanie i mój autorytet. W takich sprawach mogłem na tobie polegać na sto dziesięć procent.

- Och, kapitanie... - Cheng Li wciąż się uśmiechała. - Po raz kolejny pański dowcip mnie pokonał. Ale teraz pozwolę sobie pana opuścić. Trzeba przygotować wszystko na przyjazd Connora i Grace do Akademii Piractwa. To znaczy... jeśli jest pan pewien, że można mi ich powierzyć.

Co Cheng Li wygaduje, przeraziła się Grace. To jakby pomachała bykowi czerwoną płachtą!

Ale Molucco Wrathe zachował niezwykle spokojny.

- Nie ufam ci bardziej, niż muszę - stwierdził. - Ale do Connora i Grace mam pełne zaufanie. Chcą zobaczyć Akademię, a ja nie widzę powodu, by odmawiać ich prośbie.

- Mamy tam całkiem inne wyobrażenie o piractwie. Nie obawia się pan, że możemy zamieszać w ich młodych umysłach?

Raz jeszcze Grace poczuła ukłucie strachu, ale Molucco tylko się roześmiał.

- Pospolite metale, jak pani, pani Li, łatwiej ulegają korozji niż czyste złoto, jakim są te bliźnięta.

- Zostawił Cate i położył dłonie na ramionach Connora i Grace. - Ruszajcie i bawcie się dobrze, przyjaciele. Jesteście młodzi. Na pewno na to zasłużyliście. W Akademii jest wielu dobrych ludzi. Z otwartymi umysłami słuchajcie, czego was uczą. - Ścisnął ramiona obojgu. - A potem wracajcie na Diabła i zajmijmy się prawdziwym piractwem.

Wziął za rękę Mamę Kettle i zaczęli już odchodzić, ale zatrzymał się jeszcze i obejrzał.

- Oni należą do mojej załogi, pani Li, ale nie są moimi niewolnikami. Na moim statku popieram samodzielne myślenie i swobodę wyrażania myśli. Czy pani wybitny dyrektor Kuo i inni mogą o sobie powiedzieć to samo?

Spojrzał na nią groźnie, po czym ujął Mamę Kettle pod ramię.

- No cóż - mruknęła Cheng Li - przekonamy się o tym, prawda? Aha, kapitanie Wrathe! Byłabym zapomniiała. Kapitan Quivers prosiła, żeby panu o niej przypomnieć.

- Lisabeth Quivers... - Twarz Molucca rozjaśniła się natychmiast. - To nazwisko, którego nie słyszałem już od miesiąca czy dwóch. - Zwrócił się do bliźnięt.

- Lisabeth Quivers! W swoim czasie nie było lepszego od niej kapitana.

- Ani sprawniejszej łamaczki serc - zachichotała Mama Kettle. - Z tymi oczami, tymi płomiennorudymi włosami... Och, Lucky, czy nie była jedyna w swoim rodzaju? Krótko trzymała ciebie i twoich braci. Ależ się wtedy bawiliśmy!

- Tak... - W głosie Molucca zadźwięczała nuta smutku. - Tak, to były wspaniałe dni. - Spojrzał na Cheng Li. - Proszę przekazać kapitan Quivers moje pozdrowienia.

- Pozdrowienia? - zawołała Mama Kettle. - Nie, szczerze i gorące uczucia! I powiedz jej, żeby którejś nocy przyplłynęła tu na drinka.

Podążyła Molucco ramię i odprowadziła go do bocznej salki.

Piraci zaczęli się rozchodzić, widząc, że pokaz się skończył. Cate ujęła Connora za rękę i razem ruszyli na poszukiwanie Barta. Grace zwróciła się do Cheng Li.

- Dlaczego tak się z nim drażniłaś? - spytała.

- Patrz i ucz się. - Cheng Li mrugnęła do niej porozumiewawczo. - Zgodził się na wasz wyjazd, prawda? Kto mógłby przypuszczać, że to się uda?

- Uśmiechnęła się. - Zjawię się po was jutro rano, punkt dziewięta. Zapakujcie po jednej małej torbie i czekajcie na pokładzie.

Mimo jej surowego tonu, Grace nie potrafiła ukryć uśmiechu.

- Naprawdę to robimy?

Cheng Li skinęła głową.

- Tak, Grace. Jutro o tej porze ty i Connor, uwolnieni z Diabła, będziecie się szykować do pierwszej nocy w Akademii Piractwa.

# Rozdział 14

## Akademia Piractwa

Zatokę portową Akademii otaczał falochron, a przejście znaczył wysoki, wyrastający z wody kamienny łuk. Kiedy niewielka łódka Cheng Li podpłynęła bliżej, bliźniaki zobaczyły inskrypcję w kamieniu. Grace przeczytała:

*Obfitość i Przesyt*

*Rozkosz i Swoboda*

*Wolność i Siła*

- To motto Akademii - wyjaśniła Cheng Li z dumą.

- Słowa te wypowiedział w dawnych czasach pewien słynny kapitan.

- Co to znaczy „przesyt”? - zainteresował się Connor.

Cheng Li uśmiechnęła się.

- Brać wszystko, co tylko zechcesz, a potem jeszcze wszystko inne.

Oczy Connora rozbłysły, ale Grace zmarszczyła czoło. Przypomniała sobie kajutę Wrathe'a, tę jaskinię niepotrzebnych łupów.

- Oczywiście dzisiaj piractwo jest działalnością o wiele bardziej złożoną i subtelną - dodała Cheng Li. Grace obserwowała ją uważnie, czekając na wyjaśnienia. - Po kilku dniach w Akademii zrozumiecie o co mi chodzi.

I odwróciła się, by dopilnować żagli.

Kiedy łódka wpłynęła pod kamiennym łukiem do zatoki, Grace i Connor wstrzymali oddechy na widok nabrzeża. Akademia była kolorową oazą - rozległym skupiskiem starych budynków, pomalowanych w jaskrawe barwy żółci, pomarańczy i różów, otoczonych bujnymi ogrodami, schodzącymi aż na brzeg. Kiedy się zbliżyli do kei, minęła ich flotylla malutkich żaglówek pełnych dzieciaków - z jednym wyjątkiem.

- Kapitanie Avery! - zawołała Cheng Li.

Starszy mężczyzna podskoczył, rozejrzał się, potem uśmiechnął i pomachał czapką na powitanie.

- Zabrał najmłodszych na lekcję żeglarstwa - wyjaśniła bliźniakom Cheng Li.

Młodzi uczniowie zauważyli ją także i zaczęli machać. Przy okazji kilka łódek zeszło z kursu.

- Skupcie się! - zawołał rozdrażniony Avery. - Może byście mniej zwracali uwagę na panią Li, a bardziej na nawigację? Z życiem, panie McLay! I panna Conescu... wybrać żagle, o tak. Dobrze, panno Weber, ładny zwrot! Znaczna poprawa, bardzo znaczna.

Grace i Connor przyglądali się, jak piraccy uczniowie próbują - mniej lub bardziej skutecznie - wrócić swoimi łódkami do szyku. Tymczasem Cheng Li skierowała swoją łódź do właściwego pomostu. Chciała już przeskoczyć na nabrzeże i przycumować, ale jakiś mężczyzna pojawił się nagle i wyciągnął ręce.

- Pomogę!

- Dziękuję, komandorze Kuo - odparła Cheng Li i rzuciła mu linę.

Mężczyzna zręcznie chwycił ją jedną ręką i sprawnie obwiązał wokół polera. Potem wyciągnął dłoń, by pomóc Cheng Li zejść z pokładu.

Komandor Kuo miał na sobie jasne spodnie wpuszczone w wysokie, czarne skórzane buty, które zdawały się migotać w słońcu. Nosił białą koszulę, rozpiętą pod szyją i odsłaniającą trójkąt opalonej piersi, oraz czerwoną jedwabną kamizelkę. Na szyi wisiał mu łańcuch z trzema talizmanami. Podobnie jak Molucco, miał srebrzysto siwe włosy długie do ramion, ale - w przeciwieństwie do kapitana Wrathe'a - jego były gładkie, porządnie uczesane i najwyraźniej pozbawione gadów. Na mocno opalonej przystojnej twarzy ciemne oczy skrzyły się niczym woda w promieniach słońca.

Stojąc obok niego na nabrzeżu, Cheng Li zwróciła się do bliźniąt.

- Grace, Connorze, z prawdziwą przyjemnością chcę was przedstawić komandorowi Johnowi Kuo, dyrektorowi Akademii Piractwa.

Connor przeskoczył z łodzi na pomost.

- Witam, panie Tempest. - Kuo mocno uściskał mu dłoń. - Connorze, wiele już o tobie słyszałem od pani Li i innych. To prawdziwa radość gościć cię tutaj.

Komandor wyciągnął rękę, by pomóc wysiąść Grace.

- Panno Tempest, witam w Akademii Piractwa.

Kiedy pochylił się ku niej, Grace mogła z bliska obejrzyć łańcuszek na jego szyi. Był cienki, złoty i zwisały z niego trzy talizmany: kord, busola i perła. Kuo zauważył, że się im przygląda.

- Widzę, że zauważyła pani mój naszyjnik - powiedział, przesuwając po nim palcem. - Każdy z tych talizmanów jest ważnym symbolem. Reprezentują trzy podstawowe talenty, niezbędne, by zostać dobrym piratem. Miecz symbolizuje umiejętność walki i jest wzorowany na moim własnym tolekańskim mieczu. Busola to umiejętności nawigacyjne. A perła... perła jest może najważniejsza... oznacza zdolność radzenia sobie nawet w najbardziej beznadziejnej i groźnej sytuacji, uniknięcia niebezpieczeństwa i odszukania skarbu.

Grace zarumieniła się, widząc jego uśmiech i słysząc głos, miękki jak topniejąca czekolada.

- No dobrze. - Dyrektor Akademii delikatnie pchnął ich naprzód. - Na co jeszcze czekamy? Wejźmy do środka.

Cała czwórka ruszyła krętą ścieżką przez tereny Akademii. Nad ogrodami unosiły się cudowne zapachy. Po oddychaniu przez kilka tygodni prawie wyłącznie morskim powietrzem aromat wysokiego drzewa jacarandy niedaleko nabrzeża naprawdę mógł zwalić z nóg. Jego gałęzie zwisały nisko, obciążone pękami niebieskich kwiatów. Pień otaczała okrągła ławeczka, na której siedzieli dwaj chłopcy zajęci czytaniem.

Kiedy ich mijali, obaj unieśli głowy i wyprostowali się.

- Sebastian, Ivan... - odezwał się Kuo. - Nadrabiacie lektury?

- Tak, sir - odpowiedział jeden z chłopców, demonstrując okładkę książki.

- Ach, to Księga Pięciu Kordów... Klasyka piractwa.

- Pani Li mi ją poleciła - wyjaśnił podniecony chłopak.

- Rzeczywiście - przyznała Cheng Li. - Sebastian robił bardzo szybkie postępy na Warsztatach Bitewnych i uznałam, że biografia kapitana Makahaziego będzie dla niego interesująca.

- Ambitne - uznał Kuo. - Może trochę zbyt pełna przemocy dla dziesięciolatka. Ale wydaje się, że całkiem go pochłonęła i mam wrażenie, że Ivan jest równie zaciekawiony.

- Tak jest, sir - potwierdził drugi chłopiec.

- Bardzo dobrze. - Komandor uśmiechnął się. - W takim razie nie będziemy wam dłużej przeszkadzać, moi młodzi piraci.

Chłopcy rozpromienili się, słysząc to określenie, i powrócili do książki. Czy można znaleźć lepsze miejsce, by sobie posiedzieć, zastanawiała się Grace, w cieniu ukwieconych gałęzi, wśród zapachów, z widokiem na roziskrzoną zatokę?

- No chodź, ślamazaro - zawołała Cheng Li, już spory kawałek przed nią. Zatrzymała się przed piękną fontanną z kolorowego szkła i morskich muszli.

Grace podbiegła do niej.

- Tu jest tak pięknie - westchnęła.

- Więc cieszysz się, że tu trafiłaś?

- O tak...

- Znalazłaś się bardzo daleko od Diabła.

Cheng Li ujęła ją pod ramię. Razem przeszły obok fontanny, a krople wody spryskały Grace twarz, budząc przyjemne uczucie chłodu na rozgrzanych porannym słońcem, opalonych policzkach. Po raz pierwszy chyba od wieków Grace poczuła prawdziwe odprężenie.

Connor i komandor Kuo szli szybciej i teraz stali pogrążeni w rozmowie przed wysokim, zwieńczonym kopułą budynkiem w kolorze terakoty. Grace widziała, że brat i dyrektor Akademii doskonale się rozumieją. Ogarnął ją optymizm. Oto nowy początek... Była pewna, że z pomocą Cheng Li ocalą Connora od pewnej śmierci pod komendą kapitana Wrathe'a.

Dołączyły do nich przed wejściem do budynku - wielkimi, pięknie rzeźbionymi wrotami.

- Te wrota zostały zdobyte przez jednego z naszych założycieli - wyjaśniła bliźniakom Cheng Li.

- W wyjątkowo udanym rajdzie u wybrzeży Radżastanu. - Musnęła palcami delikatne rzeźbienia. - Kiedy je widzę, czuję, że wróciłam do domu.

- Akademia jest domem dla naszych studentów, dawnych i nowych - oświadczył Kuo, popychając skrzydło wrót. - I gdziekolwiek byście zawędrowali na świecie, nasze drzwi zawsze się otworzą, by przyjąć was po wszystkich waszych przygodach.

Kiedy skończył mówić, odsunął się na bok. Grace i Connor zobaczyli, że stoją w progu dużej okrągłej sali, skąpanej w chłodnym, niebieskim świetle.

- To rotunda - wyjaśnił komandor Kuo. - Ale nasi studenci nazywają ją pieszczotliwie „Ośmiornicą”, z powodu tych wszystkich macek.

Wskazał wybiegające z sali korytarze.

Grace popatrzyła na strop sali. W kopule tkwiły liczne szklane panele we wszystkich odcieniach błękitu, od blado turkusowego, poprzez jaskrawy lapis, aż po głębokie indygo. Promienie słońca sączyły się przez filtry, zalewając wnętrze i stojących w nim ludzi wodnistym niebieskim blaskiem. Efekt był oszałamiający - budził uczucie, że chodzi się po morskim dnie.

Connor poszedł za przykładem siostry i także spojrzął w górę. Ale jego uwagę przyciągnęło coś innego.

Z samego szczytu kopuły zwisały na stalowych linkach szklane gabloty, tworzące ogromny mobil. Kończyły się ledwie kilka metrów nad ich głowami. Connor przyjrzał się im i odkrył, że każda mieści wewnątrz miecz. Było to dziwne i odrobinę niepokojące, widzieć te wszystkie klingi, pływające w błękitnym oceanie światła jak ławica pięknych, ale śmiertelnie groźnych ryb.

- O rany - powiedział. - O co chodzi z tymi mieczami?

- Imponujące, prawda? - uśmiechnął się Kuo. - Akademia ma szczęście posiadać miecze należące kiedyś do najslynniejszych pirackich kapitanów naszych dni. Większa część tej kolekcji została nam przekazana, kiedy właściciele przechodzili w stan spoczynku, jednak w pewnych wypadkach dostawaliśmy broń wcześniej. Ta klinga, na przykład, była kiedyś używana przez waszego przyjaciela, kapitana Molucca Wrathe'a. Widzisz?

Komandor wskazał trzy miecze, wiszące w grupie obok siebie.

- Który to? - zainteresował się Connor.

- No cóż, są identyczne pod każdym względem oprócz wyważenia. Widzisz, niegdyś należały do braci Wrathe'ów, Molucca, Barbarra i Porfiria. Ten w środku to rapier Molucca. Jeśli się przyjrzyysz, zauważysz w rękojeści wiele mówiący szafir.

- A ten? - Uwagę Connora zwrócił prosty, długi miecz z rękojeścią krytą skórą, która połyskiwała lekko.

- Czy nic pani nie mówiła naszym gościom, pani Li? - zapytał z uśmiechem komandor Kuo.

Cheng Li uśmiechnęła się także i pokręciła głową.

- O co chodzi? - dopytywał się Connor.

- To mój stary miecz - wyjaśnił Kuo. - Mój toledański rapier, sprzymierzeniec w wielu starciach. Wspaniała broń.

Kuo stał obok Connora, wpatrzony w zawieszony w powietrzu miecz.

- Został wykuty w niezwykle sposób - tłumaczył.

- Iberyjscy płatnerze są mistrzami swej sztuki, a ten miecz przebija wszystkie. Stalowe ostrze ma wewnątrz żelazny rdzeń, co czyni je wyjątkowo twardym. Dlatego właśnie sam Hannibal wybrał toledoński miecz, podobnie jak wielu królów i dowódców w historii.

- Kuo zerknął na Cheng Li. - Nawet japońscy samuraje wyprawiali się do Toledo, by tam wykuwać swoje katany i wakizashi. I ja tam popłynąłem.

Kuo położył dłoń na ramieniu Connora.

- Produkcja broni jest skomplikowanym procesem. Kowal musi w bardzo wysokich temperaturach skuwać równocześnie miękką i twardą stal. Potem miecz jest chłodzony wodą lub olejem, by wzmocnić połączenie. Mistrz kowalski, który wykuwał ten miecz, dwadzieścia tysięcy razy dmuchał na ostrze, by uzyskać idealną spójność. Wyobraź sobie tylko! Wytwarza jedynie trzy klingi rocznie. Zwróć uwagę na rękojeść. Jest pokryta skórą trygona, bardzo mocną i wodoodporną. Moje buty uszyte są z tego samego materiału.

Grace spojrzała na nie i uświadomiła sobie, że nie jest to - jak z początku myślała - zwyczajna skóra. Przypomniała sobie podobną pomyłkę z płaszczem kapitana wampiratów i niezwykle żaglami ich statku. Prawdę mówiąc, Akademia Piractwa była podobna do statku wampiratów pod jednym względem: zawierała wiele sekretów czekających na odkrycie.

Connor nie mógł oderwać wzroku od miecza. Opowieść o nim była zadziwiająca.

Pewna myśl przyszła mu do głowy.

- Komandorze, czy będę mógł go wypróbować?

- Obawiam się, że nie - odparł dyrektor Akademii tonem zamykającym wszelką dyskusję, choć wciąż miękkim i przyjaznym. - Miecze wyjmowane są z gablot tylko raz w roku, w Dzień Miecza. Świętujemy wtedy założenie Akademii i dokonania jej studentów. Ci, którzy najbardziej się zasłużyli w minionym roku, honorowani są prawem stoczenia pokazowych walk tymi mieczami. - Spojrzał na Connora. - Niestety jednak, ta możliwość zarezerwowana jest wyłącznie dla studentów naszej Akademii, nie gości.

Connor poczuł, że ogarnia go rozczerowanie i zniechęcenie. W tej chwili zrobiłby wszystko, by chwycić w dłonie toledoński rapier, nawet gdyby to oznaczało spędzenie roku w Akademii.

- Znajdziecie w Akademii wiele rozmaitych skarbów, które zainteresują każdego - ciągnął komandor Kuo, a jego głos odbijał się echem po całej rotundzie. - Przez najbliższe kilka dni



możecie swobodnie badać wszystko, co pobudzi waszą ciekawość czy emocje. Proście, o co chcecie, a kiedy tylko okaże się możliwe - zerknął na swój rapier - otrzymacie to. Pani Li będzie waszym przewodnikiem, a drzwi do mojego gabinetu zawsze stoją przed wami otworem. Teraz jednak, obawiam się, muszę dokończyć poprawki w naszym programie nawigacji. Pani Li, zechce pani odprowadzić Grace i Connora do ich kwater?

- Tak, dyrektorze.

Kuo ruszył w stronę jednego z korytarzy. Potem jednak odwrócił się nagle, jakby nowa myśl przyszła mu do głowy. Oczy błyszczały mu pasją.

- Kiedyś byłem kapitanem załogi z tysiącem ludzi. Dzisiaj kieruję najjaśniejszymi przyszłymi gwiazdami pirackiego świata. Gdybyście uznali, po kilku dniach tutaj, że chcecie się do nas przyłączyć, na pewno znajdziemy sposób, by wam to umożliwić. Nie sądzi pani, pani Li?

- Tak. Oczywiście, dyrektorze.

Komandor Kuo odwrócił się znowu i tym razem zniknął w jednej z krętych macek Ośmiornicy; jego buty z trygonowej skóry stukały po szachownicy kafelków.

Connor wciąż spoglądał na broń pirackich kapitanów. Każdy z tych mieczy widział tyle przygód i wydarzeń... Gdyby tylko mogły opowiedzieć swoje historie!

Kiedy chciwie chłonał wzrokiem szczegóły konstrukcji różnych mieczy, gabloty zaczęły się poruszać. Cały ogromny mobil obracał się wolno niby śmiertelnie groźna karuzela, miecze wznosiły się i opadały jak koniki na placu zabaw; nabierały prędkości. Oczy chłopca rejestrowały znaki identyfikujące różnych kapitanów - tutaj cenny klejnot w rękojeści, tam tajemnicze rzeźbienie na klindze. Wkrótce jednak gabloty wirowały zbyt szybko, by rozróżnić cokolwiek. Miecze sunęły coraz prędzej, aż szklane gabloty, w których były zamknięte, rozpadły się i na chłopca spadł deszcz odłamków. Wciąż jednak stał nieruchomo wśród tej migotliwej ulewy, zbyt oczarowany, by odczuwać ból. I kiedy tak patrzył, nagle zobaczył i usłyszał bitwę. Widział błysk słońca na migoczących ostrzach, wypełnione wiatrem białe żagle, drewno pokładu i masztów. Słyszał brzęk stali, pękające liny, wystrzały z dział i krzyki walczących piratów. Uważniej wsłuchał się w głosy.

- Kapitanie... Kapitanie Tempest!

Nie... To niemożliwe.

- Tutaj, kapitanie Tempest!

Znowu, bardzo wyraźnie...

- Tutaj, kapitanie Tempest. Jest ranny... Potrzebuje...

Próbował jakoś uporządkować w myślach to, co przeżywał, ale wizja zamglila się. Krzyki były coraz słabsze. Potem raz jeszcze zobaczył nad sobą miecze powracające do początkowych pozycji, nieruchomiejące - a każdy wciąż zamknięty w szkłe. Oderwał od nich wzrok i spojrzał na podłogę rotundy. Nie upadł na nią ani jeden odprysk szkła.

- Chodźmy, kapitanie Tempest.

Popatrzył na Cheng Li, spoglądającą na niego z uśmiechem. Zamrugął... Czyżby powiedziała „kapitanie”?

- W głowie ci się zakręci, jeśli będziesz się tak gapił na te miecze - dodała. - I niebiosy tylko wiedzą, co się stanie z twoją szyją. Chodźmy, trzeba coś zjeść.

Connor widział, że do niego mówi, ale słowa zdawały się nie mieć sensu. Wciągnęła go wizja, którą dostrzegł poprzez wiszące w górze miecze. Czy wyobraził ją sobie tylko, czy był to przeblysłk jego przyszłości? Czy zostanie kiedyś kapitanem piratów?

- Lunch, Connorze - powtórzyła Cheng Li tonem lekkiego zniecierpliwienia. - Nawet młodzi geniusze piractwa muszą czasem coś jeść. A kucharz Akademii robi najwspanialsze kluski, jakie w życiu kosztowałeś.

# Rozdział 15

## Niezwykła szkoła

- A więc - powiedziała Cheng Li, wznosząc filiżankę herbaty jaśminowej - raz jeszcze Witam was w Akademii Piractwa. Grace i Connor także podnieśli naczynia i stuknęli się nimi z Cheng Li. Jedli lunch na tarasie Akademii, otoczeni przez studentów i wykładowców, w balsamicznej, ciepłej atmosferze słonecznego popołudnia. Grace rozmawiała z ożywieniem z Cheng Li, Connor zaś obserwował otoczenie. Nie przypominało żadnej szkoły, jaką miał okazję oglądać. Chociaż, trzeba szczerze przyznać, poznał dotychczas tylko jedną - szkołę powszechną w Księżycowej Zatoce. A długo trzeba by szukać, by znaleźć bardziej nieprzyjazną, podupadłą i ograniczoną instytucję. - Ilu jest tutaj studentów? - usłyszał pytanie Grace. - Stu pięćdziesięciu - odparła Cheng Li. - W wieku od siedmiu do siedemnastu lat. Po piętnastu w każdej z grup wiekowych. Przy wysokim stosunku liczebnym wykładowców do studentów każdy przyszły pirat ma tu najlepsze możliwości rozwoju. Pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Akademia Piractwa nie jest zwykłą szkołą.

- A skąd pochodzą studenci?

- Dobre pytanie. Nasi studenci rekrutują się z najlepszych pirackich rodzin. I możesz mi wierzyć, nie jest łatwo zdobyć miejsce w Akademii. Mamy bardzo rygorystyczne egzaminy wstępne i rozmowy kwalifikacyjne. Nie można kupić wstępu, ofiarowując nową łódź treningową czy skrzynię mieczy. Każdy ze studentów wkracza tu dzięki własnym zdolnościom.

- Ale wygląda na to, że trzeba być bogatym - zauważył Connor.

Cheng Li wzruszyła ramionami.

- Z definicji najlepsze pirackie rody są bogate. Marny byłby z ciebie pirat, gdybyś nie potrafił zdobyć pieniędzy na wykształcenie dzieci, prawda? Oczywiście, w pewnych przypadkach... na przykład twoim... dostępne są stypendia.

Connor pokręcił głową.

- Jesteśmy tu jako goście.

- Tak, zgadza się - przytaknęła Cheng Li. - Na moment o tym zapomniałam.

Ale było w jej głosie coś, co wzbudziło u Grace przekonanie, że wcale nie zapomniała. Nawet na chwilę.

- A czy piraci naprawdę wolą przysyłać dzieci tutaj, niż szkolić je na pokładach swoich statków? - zdziwiła się Grace.

- Zastanów się. Pomyśl, w jak szaleńczym tempie toczy się życie na pokładzie takiego statku jak choćby Diabło. Nie ma czasu, by aktywny pirat zajmował się edukacją swoich dzieci. Oczywiście, wszystkie załogi szkolą młodych piratów w szermierce, ale zwyczajnie nie mają możliwości, by zajmować się przedmiotami, jakie tutaj wykładamy, na przykład historią i nawigacją, strategią i dowodzeniem... Nasza propozycja dla piratów jest taka: oddajcie nam swoje dzieci na dziesięć lat, a zwrócimy je wam nie tylko gotowe, by stać się pełnowartościowymi członkami załogi, ale też do objęcia roli dowódcy.

- To ma sens - przyznała Grace. - Nie sądzisz, Connorze?

Connor nie odpowiedział. Myślał o wizji, którą przeżył w rotundzie - wizji siebie jako kapitana.

- Nie sądzisz, Connorze? - powtórzyła Grace.

- Co? Och, no... Tak, oczywiście.

Nie był pewien, o co Grace go pytała, ale wydawała się zadowolona z odpowiedzi.

- Teraz patrzcie... Przyniosłam każdemu z was rozkład zajęć Akademii. - Podąła bliźniakom złożone kartki. - To spis zajęć, w jakich byście uczestniczyli, gdybyście byli studentami ósmego roku, razem z innymi czternastolatkami. Zazaczyłam tematy, które, jak sądzę, wzbudzą wasze zainteresowanie, ale wybór należy do was. Jesteście moimi gośćmi. Przybyliście tutaj, żeby poznać Akademię, więc możecie uczestniczyć w takich zajęciach, na jakie macie ochotę.

Grace rozłożyła kartkę, a Connor, nie słuchając Cheng Li, już pilnie studiował plan. Nie było tu nudnych zajęć! Od historii piractwa w poniedziałek rano po warsztaty walki w piątek po południu, każdy dzień był po brzegi wypełniony ciekawymi lekcjami. Owszem, mógłby może opuścić podwójną biologię morską we wtorkowy rano, ale trzy godziny piractwa praktycznego i podróży morskich zapowiadały się wspaniale. I nie mógł się doczekać na przeżycie na morzu w warunkach ekstremalnych. Uśmiechnął się radośnie do Grace. Musiał przyznać, że miała świetny pomysł, sprowadzając ich tutaj.

Odpowiedziała uśmiechem.

Jedyne, co zniechęcało w całym rozkładzie, to liczba godzin każdego dnia. Studenci codziennie o siódmej rano zaczynali od czegoś, co nazwano siłą, wytrzymałość i motywacja, a dzień zajęć kończył się o ósmej wieczorem - chociaż ostatnia godzina po kolacji przeznaczona była na naukę własną albo imprezy towarzyskie czy klubowe. Zajęcia zaplanowano też na niedzielę rano, a medytację, prowadzoną przez Cheng Li - na niedzielne popołudnie. Z drugiej strony, myślał Connor, jeśli studenci szykowali się tu do życia na pokładzie pirackiego statku, takiego jak Diabło, powinni się przyzwyczajać do długich dni pracy. W Księżycowej Zatoce nigdy nie należał do rannych ptaszków, ale odkąd podpisał kontrakt u Molucca Wrathe'a i zaczął normalnie pełnić służbę, nie tylko przelotnie zaznajomił się ze wschodami słońca.

- Jak myślisz, Connorze...? Connorze!

Uniósł głowę i zobaczył, jak siostra i Cheng Li przyglądają się mu. Tak się zamyślił, że zupełnie stracił poczucie rzeczywistości.

Cheng Li uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Mówiłam, że nie ma potrzeby, abyście już dzisiaj uczestniczyli w zajęciach. Może raczej oprowadzę was po terenie i rozgościcie się w swoich pokojach. Potem spotkacie się z wykładowcami na uroczystej kolacji. Wszyscy są byłymi kapitanami, a każdy żywą legendą piractwa. I wszyscy bardzo chcą was poznać.

Connor rozpromienił się.

- Łatwo mógłbym się przyzwyczaić do takiego życia - oświadczył i przeciągnął się, ziewając.

Grace i Cheng Li pokręciły tylko głowami. Chociaż Grace była w głębi serca zadowolona, że Connor przejawia taki entuzjazm dla Akademii. I czuła wdzięczność dla Cheng Li za wszystkie przygotowania, które przeprowadziła w tak krótkim czasie. Kolacja z kapitanami piratów będzie wyjątkowo miłym przeżyciem. Grace wiedziała, jakimi drogami biegną myśli brata; im mocniej poczuje, że przynależy do Akademii, tym ona większą ma szansę przekonania go, żeby przedłużył swój pobyt i nigdy już nie wracał na Diabła. Czuła się trochę winna, kiedy wspominała przyjaciół z załogi, zwłaszcza Cate i Barta, ale chodziło jej przecież tylko o bezpieczeństwo brata. Każdy to przecież rozumie... w końcu.

Po chwili oboje złożyli bagaże w pokojach i ponownie wyszli na zewnątrz za Cheng Li, która obiecała oprowadzić ich po całych terenach Akademii.

- Jak wam się podobają kwatery? - spytała. - Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

- O tak - zapewniła Grace.

Nie spodziewała się, że dostanie taki duży, ładnie położony pokój. Miał nawet własny balkon z widokiem na zatokę. Connor trafił do równie ładnego, ale usytuowanego z drugiej strony budynku - wychodził na „wewnętrzny krąg”, zaciszny dziedziniec porośnięty przyszyroną trawą, na której grupy dzieciaków ćwiczyły sztukę walki.

Choć oglądane z tarasu tereny Akademii wydawały się bardzo rozległe, teraz, kiedy spacerowali po nich z Cheng Li, zdawały się rozpościerać jeszcze dalej. Drzewa i krzewy, które z góry wyglądały, jakby wytyczały granicę, w rzeczywistości maskowały kolejne części Akademii - wszystkie budynki w tych samych delikatnych, słonecznych barwach co główny kompleks.

Cheng Li opisywała im je kolejno - od kwater studentów i mieszkań wykładowców po sale treningowe, od archiwów po aule i sale wykładowe. Akademia była światem samym w sobie i poznanie jej wymagało sporego wysiłku, zwłaszcza w sennym upale wczesnego popołudnia. Grace zauważyła, że umykają jej niektóre fragmenty monologu Cheng Li, wyczuła jednak dźwięczącą w jej głosie dumę z Akademii. Connor także to dostrzegł. Widzieli teraz Cheng Li całkiem inną od tej, którą poznali na Diabłu. Wydawała się spokojniejsza, jakby wróciła na swoje miejsce.

- O rany! - wykrzyknął Connor. Wyprzedził je trochę i teraz czekał, aż go dogonią. - Co to takiego?

Kiedy stanęły przy nim, Grace zobaczyła, że wskazuje duży amfiteatr, umieszczony w niewielkiej odległości od zatoki. Jednak był to amfiteatr nietypowy - w miejscu sceny miał basen z wodą. A w samym środku galeon, całkiem podobny do Diabła czy nawet do statku wampiratów.

- To - oświadczyła Cheng Li, a oczy zaiskrzyły jej jak woda w basenie - jest „laguna zguby”. - Roześmiała się. - No, w każdym razie tak ją nazywają studenci. Używamy tego statku do praktyki abordażu i demonstracji starć. To jedno z moich ulubionych miejsc w całej Akademii.

Connor spojrział na statek. Był teraz pusty, jak widmo. Ale łatwo było wyobrazić sobie piratów biegających po jego pokładach. Raz jeszcze przypomniał sobie wizję z rotundy. Tamten pokład wyglądał podobnie do tego. Może tu właśnie, w „lagunie zguby”, nauczy się, jak być kapitanem.

- Pora się trochę odświeżyć - oznajmiła Cheng Li, przystając pod gęstymi liśćmi drzewa granatu. Sięgnęła w gęstwinię i zerwała z gałęzi dwa owoce. Rzuciła je bliźniętom.

Kiedy Grace chwyciła granat w dłoń, był jeszcze ciepły od słońca.

Cheng Li zerwała jeszcze jeden dla siebie. Sięgnęła po katanę, rzuciła owoc w górę, rozcięła go w powietrzu i złapała w dłoń dwie połówki. Z uśmiechem wykonała tę samą sztuczkę dla Grace i Connora. Odślonięte pestki błyszczały w słońcu jak klejnoty. Cała trójka usiadła na trawie, by rozkoszować się soczystym przysmakiem. Grace czuła, jak owoc eksploduje jej w ustach, zaskakująco chłodny w tym upale i gaszący pragnienie. Skierowała spojrzenie ku łodziom w zatoce. Kapitan Avery szykował się do wypłynięcia z kolejną grupą studentów. Zajęcie to, jak zauważyła, nie sprawiało mu wielkiej przyjemności.

- Nie, nie, nie, panie Webb! - usłyszała, jak krzyczy do jednego ze swych podopiecznych.

Bliżej grupa starszych studentów Akademii maszerowała szybko po ścieżce do jasnozłocistego budynku.

- Tam znajduje się główna aula - wyjaśniła Cheng Li. - A to, jeśli się nie mylę, grupa dziesiątego roku, ostatniego tutaj, idąca na wykład kapitan Larsen.

- Dzień dobry, pani Li - zawołał jeden ze studentów.

Pozostali obejrzeni się i z szacunkiem skinęli głowami.

- Panie Blunt - zawołała Cheng Li. - Panie Blunt, można pana prosić na chwilę?

Wysoki, przystojny chłopak o zarumienionej twarzy i jasnych włosach spojrzał w ich stronę, unosząc pytająco brwi. Szedł pogrążony w rozmowie z przyjaciółmi, ale teraz zostawił ich i skręcił ze ścieżki w stronę Cheng Li.

- Znowu wykradała pani granaty? - zapytał z uśmiechem. - Brzydko, bardzo brzydko. Ale proszę się nie martwić, nie naskarzę ogrodnikom.

- Chciałam pana przedstawić Grace i Connorowi Tempestom - powiedziała Cheng Li, nie zwracając uwagi na jego zaczepkę. - Pamięta pan, mówiłam o naszych gościach...

- Ach, tak... Oczywiście. - Chłopak wyciągnął rękę do Connora. - Cześć, Connor. Jestem Jacoby Blunt - przedstawił się z uśmiechem. - Pani Li uważa cię za znakomitego szermierza.

- Jacoby to chyba najlepszy szermierz w Akademii - wyjaśniła Cheng Li. - Myślę, że będziecie dobrymi rywalami.

Connor spojrzał w szarobłękitne oczy Jacoby'ego - przez moment wydawały się zimne jak szkło. Serce mu zamarło - Cheng Li od samego początku ustawiła ich przeciwko sobie. Z

doświadczenia wiedział, jak to się dalej potoczy - miał wrażenie, że znowu jest w szkole w Księżycowej Zatoce.

Ale wtedy, ku jego zdumieniu, Jacoby Blunt uśmiechnął się szeroko.

- Wspaniale będzie mieć dla odmiany jakiegoś porządnego przeciwnika.

Cheng Li zaśmiała się z satysfakcją.

- No cóż, Jacoby, jestem pewna, że ty i Connor będziecie mieli okazję się zmierzyć.

Connor zostanie tu przez tydzień, i jak już wcześniej mówiłam, chciałam, żebyś zaopiekował się nim i jego siostrą Grace.

Cheng Li wskazała Grace, a Jacoby pochylił się i uściskał jej dłoń.

- Opieka nad tobą, Grace, z pewnością nie będzie przykra - zapewnił.

Grace zarumieniła się, słysząc te słowa i widząc jego olśniewający uśmiech.

- No, biegnij na zajęcia - rzuciła Cheng Li. - Ale pamiętaj, jesteś dziś zaproszony na bankiet razem z Grace, Connorem i kapitanami. Komandor Kuo sądził, że zechcesz może zabrać ich i przyprowadzić do jego gabinetu. Punktualnie o siódmej trzydzieści.

- No problemo - zapewnił Jacoby. - Przyjemnego popołudnia, drogie bliźniaki. Przyjdę po was trochę przed dziewiętnastą trzydzieści. Ubierzcie się, żeby zrobić wrażenie.

I odbiegł by dołączyć do kolegów.

- No to chodźmy. - Cheng Li wstała. - Koniec przerwy. Wracamy do naszego zwiedzania. Musicie jeszcze zobaczyć basen ze słodką wodą.

- Koniecznie. - Connor skoczył na nogi i podążył za Cheng Li.

Odeszli już spory kawałek po ścieżce, kiedy zauważyli, że nie ma z nimi Grace.

- Grace? - zawołał Connor.

- Grace! - krzyknęła Cheng Li. - Gdzie jesteś?

Zawrócili po nią. Stała nieruchomo na trawiastym zboczu, spoglądając na zatokę. Nawet nie drgnęła. Jedyne, co dowodziło, że jest to żywa osoba, nie posąg, były poruszane wiatrem pasma jej włosów.

- Grace! - powtórzył niecierpliwie Connor.

Siostra nawet nie drgnęła. A w chwilę później zachwiała się i upadła bezwładnie na trawę.

- Grace! - krzyknęli Connor i Cheng Li równocześnie.

Popędzili po trawie, by sprawdzić, co się stało.



# Rozdział 16

## Podróż

- Wszystko dobrze. Nic mi nie jest - zapewniła Grace, kiedy tylko otworzyła oczy i zobaczyła wpatrzonych w siebie Connora i Cheng Li. - Co się stało? - zapytał ją brat. - W jednej chwili stoisz sobie i patrzysz na zatokę, a w następnej padasz na ziemię...

- Sama nie wiem.

Wolno potrząsnęła głową. Upadek zaskoczył ją; poprzedziła go fala wrażeń; niektóre były nowe, inne znajome. Ale nie czuła się jeszcze gotowa, by o nich opowiadać.

- Pokaż głowę - rzekła Cheng Li. - Powinniśmy odprowadzić cię do izby chorych.

- Naprawdę już wszystko w porządku - upierała się Grace. Palce Cheng Li delikatnie obmacywały tył jej głowy. - Muszę tylko chwilę posiedzieć.

- Nie ma chyba żadnych obrzęków ani guzów - potwierdziła Cheng Li. - Mimo to byłabym spokojniejsza, gdyby zobaczyła cię siostra Carmichael.

- Nie przejmujcie się mną. Muszę chwilę odetchnąć. Ale wy zwiedzajcie dalej. Wiem przecież, że Connor umiera z ciekawości, żeby zobaczyć basen ze słodką wodą.

- To nieważne - zapewnił pospiesznie Connor.

- Obejrzę go kiedy indziej.

Ale nie całkiem udało mu się ukryć rozczarowanie.

- Nie, nie. Idźcie, naprawdę. Nic mi nie będzie.

- Niedaleko zauważyła znajome drzewo jacarandy z ławeczką dookoła pnia. - Pomóżcie mi tylko tam przejść, to posiedzę sobie w cieniu.

- Jasne, nie ma sprawy. - Connor wyciągnął rękę, by ją podeprzeć. - Cheng Li, pomożesz? Razem postawili Grace na nogi. Opierając się na ich ramionach, dotarła do drzewa.

- To krępujące - wyznała.

- Nie przejmuj się - pocieszyła ją Cheng Li. - Dzień jest gorący. Coś takiego mogło się przytrafić każdemu.

Posadzili ją na ławce. Grace natychmiast poczuła się lepiej, ukryta przed promieniami słońca wśród niebieskich kwiatów.

- Trzymaj. - Cheng Li sięgnęła do swojej torby i wyjęła butelkę wody. - Napij się trochę.

- Dzięki. Grace z wdzięcznością przyjęła napój. Tamci dwoje przyglądali się niespokojnie, jak wypija kilka łyków. Chłodna woda smakowała znakomicie.

- Już mi lepiej - zapewniła Grace. - Posiedzę tu sobie chwilę. Wy idźcie.

Cheng Li położyła dłoń na jej czole.

- Wciąż jesteś trochę rozgrzana. Pójdę z Connorem, ale za godzinę wrócę tu sprawdzić, co z tobą.

Grace skinęła głową, trochę poirytowana badawczym spojrzeniem dziewczyny. Naprawdę potrzebowała teraz tylko spokoju i samotności.

Kiedy Cheng Li odeszła z Connorem, Grace wsunęła się głębiej pod gałęzie drzewa jacarandy. Ramionami muskała niebieskie kwiaty w kształcie trąbek, uwalniając nowe fale słodkiego zapachu. Czowała się tu jak w kokonie, spoglądając na zatokę, gdzie kapitan Avery zdołał w końcu wyprowadzić swoich podopiecznych z sąsiedztwa pomostu i pokierować ich w stronę falochronu. Wzrok Grace błędził po lśniącej wodzie. Miała wrażenie, że zapada się w głąbię - to samo uczucie ogarnęło ją tuż przed upadkiem. Tym razem nie walczyła z nim, ale poddała się całkowicie.

Zamknęła oczy i pozwoliła, by ciało ogarnął bezwład. Udało jej się zapobiec upadkowi, gdyż położyła się na ławce, zanim opuściła ją świadomość. Po chwili wydawało jej się, że unosi się na powierzchni bardziej elastycznej niż drewniane deski - możliwe, że na oceanie.

Oczy wciąż miała zamknięte, a jednak widziała, że mknie w powietrzu z oszałamiającą szybkością - ponad nabrzeżem i zatoką, ponad falochronem, przez łuk wejścia nad otwarty ocean.

Od prędkości czuła euforię, ale też kręciło jej się w głowie. Zygzak linii brzegowej przemknął rozmazany w dole, pogoda zmieniła się ze słonecznej w pochmurną, potem w deszcz, a następnie błyskawicznie znowu pojawiło się słońce. Oddychała głęboko, pozwalając temu niezwykłemu prądowi nieść ją, dokąd zechce. Nie miała pewności, czy powinna być przerażona, czy cieszyć się tym lotem.

W końcu straciła wszelkie poczucie ruchu; spowijała ją miękka biała mgła, przez którą nie widziała niczego. Zawrót głowy ustąpił i ogarnął ją głęboki spokój. Była bezpieczna. Wyczuwała, że ktoś się o nią troszczy, podtrzymuje, że kierują nią niewidzialne ręce. Czekała.

Mgła uniosła się stopniowo i Grace znalazła się tam, gdzie miała nadzieję trafić - na statku wampiratów. Stała, a jednak nie czuła desek pod nogami ani też kołysania pokładu. Zrozumiała, że naprawdę wcale jej tu nie ma, przynajmniej w zwykłym sensie. Przypomniała sobie wizytę Darcy w kajucie na Diabłu - w jakiś sposób udało jej się także dokonać duchowej wyprawy. Jak do tego doszło? W jaki sposób zdoła wrócić? Na chwilę zapomniała o tych pytaniach, zachwycona, że dotarła aż tutaj.

Trwał dzień i pokład był opustoszały, jak się tego spodziewała o tej porze. Stała przez chwilę pod ciemnymi żaglami, podobnymi do skrzydeł. Dmuchała mocna bryza i płótna wybrzuszały się nad jej głową. Wyciągnęła rękę do dziwnego, skórzastego materiału - nie mogła go uchwycić, tak jak dłonie Darcy nie mogły niczego dotknąć w czasie pobytu na Diabłu. Palce Grace przeniknęły przez żagiel, jakby był hologramem. Ale równocześnie iskra światła przepłynęła przez żyłki w tkaninie. Przyglądała się, jak fala blasku rozchodzi się i roziskrza niczym sztuczne ognie. Napełniło ją to zdziwieniem i zachwytem.

Dobrze było tu wrócić.

Przeszła po dobrze znanych, czerwonych deskach na sam dziób. Pod nią Darcy - w swoim dziennym wcieleniu przepięknego, złocistego galionu - wisiała ponad falami i malowanymi oczami obserwowała horyzont. Grace wychyliła się nad relingiem - istniała jakaś niewidzialna bariera, niepozwalająca jej dotknąć samego drewna. Wiatr był dość silny i pasma włosów wpadały jej do oczu. Odgarnęła je, spoglądając na perfekcyjne, namalowane włosy galionu.

- Witaj, Darcy - zawołała, niepewna, czy przyjaciółka usłyszy ją mimo szumu fal i łopotu żagli.

- Grace! - Poznała akcent Darcy i serce skoczyło jej w piersi. - Grace, wróciłaś... Nie powinnaś! Mówiłam ci, żebyś nie wracała... ale cieszę się, że jesteś!

- Ja też. - Wzruszenie tłumilo głos Grace. - Co u ciebie? Jak wszyscy?

Przez chwilę trwała cisza. A potem... może szloch, a może tylko plusk wody pod dziobem.

- Jest coraz gorzej, Grace.

- Dlaczego? Co się stało?

- To nie... nie tacy jak ja powinni ci wyjaśnić, Grace. Poza tym ledwie cię teraz słyszę. W ciągu dnia umysł wypełnia mi głos fal. Moje uszy i usta są drewnem, dopóki mrok nie zapadnie.

Niełatwo mi jest mówić przed nadejściem nocy. Co więcej, kapitan bardzo się gniewał, kiedy odkrył, że cię odwiedziłam.

- Gniewał się? Dlaczego?

- Twierdzi, że powinniśmy dać ci spokój. Ten statek przeznaczony jest dla takich istot jak my, nie dla dziewcząt twojego pokroju. Mówi, że musimy zwrócić ci wolność, żebyś mogła żyć dalej po swojemu.

- Ale jak bym mogła? - wykrzyknęła Grace. - Jak miałabym po prostu żyć dalej, kiedy wiem, że tu cierpicie? Że Lorcan cierpi...

- Tak mu tłumaczyłam, Grace - zapewniła Darcy.

- Ale on złościł się coraz bardziej, aż w końcu wyrzucił mnie z kajuty i powiedział, że jestem nieznośnym kawałkiem... - Chlipnęła. - Kawałkiem drewna!

Grace była wstrząśnięta. Nie spodziewała się, że kapitan użyje tak okrutnych słów. Drgnęła, myśląc, co powie, kiedy odkryje, że wróciła na statek. A może już wie... Niewiele mogło ujść jego uwagi z tego, co się działo na statku. Ile jeszcze czasu jej zostało?

- Darcy, idę poszukać Lorcana.

- Dobrze, Grace. Ale uważaj...

- Na co?

- Po prostu uważaj.

Grace ogarnęły złe przeczucia. Po co jednak tu przybyła, jeśli nie po to, by spotkać Lorcana?

- Zobaczymy się później, Darcy - rzuciła jeszcze i ruszyła pokładem w stronę rufy.

Zauważyła, że drzwi do kajuty kapitana są zamknięte. Minęła je i otworzyła te, które prowadziły do głównego korytarza. LAMPY paliły się, choć słabo; przeszła cicho do kajuty Lorcana. Kiedy skręciła za róg, zauważyła dwie nieznajome twarze: wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę o krótkich, siwych włosach, i drugiego o nieco żółtej cerze, z głową okrytą kapturem. Rozpoznała w nich wampiry, nie donorów. Pogrążeni byli w rozmowie i wydawało się, że nie zauważyli, jak przemknęła obok i ruszyła dalej wąskim przejściem.

Dziwne.

Zatrzymała się przed drzwiami, nagle zakłopotana. Opanowała się jednak i uniosła rękę, by zastukać. Nie mogła dotknąć palcami drewna, mimo to jednak drzwi otworzyły się. Wkroczyła w ciemność.

- Halo! - zawołała, wyężając wzrok.

Po chwili odpowiedział jej znajomy głos.

- Witaj, przybyszu.

- Lorcan! - zawołała, ogarnięta falą emocji, którą usiłowała opanować. - Jak dobrze znowu słyszeć twój głos!

- I twój - odpowiedział. - Twój także. Jak ci się wiodło?

- Dobrze. Tęskniłam za tobą... za wami wszystkimi. Tak bardzo... - My też tęskniliśmy, Grace. Umilkł. Oczy przyzwyczajały się wolno do ciemności, ale wciąż widziała tylko kontur jego głowy i ciała. Leżał na łożu z baldachimem, z zasłonami, przez które trudno było cokolwiek zobaczyć. Obeszła je dookoła, ale z którejkolwiek strony by patrzyła, miała wrażenie, że odwraca od niej twarz, jakby nie chciał jej widzieć. Przycupnęła niepewnie na skraju łoża. I całkiem jak wtedy, gdy Darcy usiadła na koi w kajucie Grace - odkryła, że unosi się, choć całkiem wygodnie, jakiś centymetr nad powierzchnią.

- Darcy mówiła, że sytuacja jest trudna, odkąd odeszłam.

- Czasami Darcy mogłaby więcej myśleć, a mniej gadać.

Nagle jego głos stracił ten pogodny ton, z jakim ją powitał.

- Nie, Lorcanie. Jeśli dzieje się coś złego, chcę o tym wiedzieć. Chcę pomóc.

- Jesteś bardzo dobra, Grace. - Tym razem w głosie zabrzmiało znużenie. - Ale obawiam się, że tym razem nie możesz pomóc. Nawet moce kapitana poddawane są najcięższej jak do tej pory próbie.

- O co ci chodzi? To ma coś wspólnego ze zbuntowanymi wampirami?

- Co o nich wiesz?

- Darcy mówiła, że Sidorio nie był jedynym, który zbuntował się przeciw kapitanowi. Był tylko pierwszy. Ale teraz inni rzucają wyzwanie jego władzy. Chcą więcej krwi. Więcej Uct.

- Grace, nie możesz się wtrącać w te sprawy. Nie powinnaś nawet o nich myśleć.

Gdyby tylko odwrócił się do niej albo przynajmniej zapalił świecę...

- Ale ja chcę pomóc - powiedziała. - Byliście dla mnie tacy dobrzy. Wszyscy... przede wszystkim ty i kapitan.

- Najlepiej, jeśli nas zostawisz i pozwolisz samym szukać drogi - odparł zrezygnowany. - Byłaś tu jedynym gościem, kiedykolwiek. Tak mało wiesz o naszym świecie.

- Tak, ale chcę wiedzieć więcej.

- To zbyt niebezpieczne. Zbliżyłaś się do nas bardziej niż jakikolwiek śmiertelnik. Nie wiem nawet, jak ci się udało wrócić... w ten sposób.

Grace odetchnęła głęboko. Czy przeniosła się tutaj siłą woli?

- Myślę, że zdołałam wrócić, bo mi zależy.

Lorcan westchnął.

- Więc musi ci przestać zależeć, Grace. Musisz z nas zrezygnować. - Jak? Jak niby mam to zrobić? Powinnam stłumić wszystkie uczucia i całkiem o wszystkim zapomnieć?

- Tak.

Z każdym słowem głos stawał się słabszy. A jej pragnienie, by zobaczyć jego twarz, coraz mocniejsze.

- Lorcanie, masz tu jakiś ogień? Jest całkiem ciemno. Zapaliłabym jedną świecę...

- Nie, Grace - odparł z nieoczekiwaną gwałtownością. - Żadnych świec. Na tym polega różnica między nami. Ja potrzebuję ciemności, nie światła.

- Proszę cię, Lorcanie, nie mów do mnie w taki sposób. Myślałam, że się ucieszysz, kiedy mnie zobaczysz.

Jedyną odpowiedzią było westchnienie. Całkiem jakby mowa wymagała teraz zbyt dużego wysiłku.

- Lorcanie, nie cieszysz się ani trochę, że mnie widzisz?

Wciąż żadnej odpowiedzi.

I nagle kajuta wypełniła się dymem. Nie, był zbyt zimny na dym. To znowu mgła. I chociaż starała się przebić przez nią wzrokiem, mgła stawała się coraz gęstsza. Grace rozpaczliwie machała rękami, usiłując rozerwać zasłonę, oddzielającą ją od drogiego przyjaciela.

Ale nic z tego. Była jedynie gościem i niezależnie od tego, jak się tu dostała, nie do niej należała decyzja, jak długo potrwają te odwiedziny. Mgła objęła ją, wypełniając oczy, uszy i nozdrza. A potem znowu pędziła, tym razem z powrotem - wleciała z pokładu lekka jak piórko mewy, przefrunęła nad oceanem, tak że skały, rafy i laguny przemykały rozmazane prędkością, aż zakręciło się jej w głowie. Aż w końcu znowu nadeszły ciemność i bezruch, i mocny zapach, którego - choć był znajomy - nie potrafiła przez chwilę rozpoznać.

Grace otworzyła oczy i spojrzała w górę. Wspomniała swoje pojawienie się na statku wampiratów, kiedy pierwszy raz spojrzała w mocny błękit oczu Lorcana Fureya. Ale błękit nad nią był inny. Wzrok nabierał ostrości i błękitna plama rozdzieliła się na stożki kwiatów. Teraz

sobie przypomniawsza: leżała na ławce pod drzewem jacarandy. Uniosła się i odetchnęła gęboko. Myślała o swej niezwyklej podróży. Czy rzeczywiście była na statku, czy tylko to sobie wyobraziła? Wszystko wydawało się takie rzeczywiste...

- Grace...

Głos był cichy, ale dobiegał z bliska. Odwróciła głowę.

Cheng Li siedziała obok, trzymając nad czołem Grace małą torbę.

- Przyniosłam lód - wyjaśniła. - Siostra Carmichael uznała, że ci pomoże. Sugerowała też, żebyś odprowadziła cię do twojego pokoju, gdzie będziesz mogła odpocząć. Myślisz, że uda ci się tam dojść z moją pomocą?

Grace usiadła prosto. Właściwie nie czuła się źle, była tylko trochę oszołomiona i ogłuszona, a w głowie kręciło jej się od pytań bez odpowiedzi.

- Mogę iść - oznajmiła.

- Świetnie. - Cheng Li wzięła ją za rękę. - No to chodźmy. - Przez chwilę stały twarzą w twarz.

- A po drodze może zechcesz mi opowiedzieć, co dokładnie się stało?

- O co ci chodzi? - spytała zdumiona Grace.

- Nie dostałaś udaru słonecznego, Grace. Dzieje się z tobą coś o wiele bardziej skomplikowanego. Lepiej się poczujesz, jeśli komuś o tym opowiesz. Tajemnice mają tendencję do zjadania nas od wewnątrz.

Grace zadrżała na tę myśl, wyobrażając sobie wszystkie tajemnice dotyczące jej pobytu na statku wampiratów - sekrety, którymi podzieliła się tylko z Connorem. Wrażenie gryzienia było całkiem realne... Były też świeższe tajemnice, o których Connor nie miał pojęcia: że siostra może kontaktować się ze statkiem wampiratów i że odwiedziła go, przynajmniej w myślach.

Cheng Li uśmiechnęła się lekko i ujęła Grace pod rękę.

- Nie bądź taka przerażona. Nie będę cię zmuszać. Nie obrażę się, jeśli nie powiesz, skoro uważasz, że nie można mi ufać. - Spojrzała Grace prosto w oczy. - Powinnaś zapamiętać, Grace, jestem doskonałym słuchaczem, nawet jeśli sama to mówię. Gdy kiedyś zdecydujesz się mówić, możesz trafić na kogoś o wiele gorszego ode mnie.

Czy może zaufać Cheng Li? Z taką ulgą opowiedziałaby komuś o swoich sekretach... A starsza dziewczyna nie okazała jej dotychczas niczego prócz dobroci.

- Dzięki - powiedziała Grace, kiedy ruszyły powoli ścieżką. - Będę o tym pamiętać.

Wspinały się zboczem w milczeniu. Grace wciąż czuła się zmęczona, ale i rozradowana pierwszą podróżą na statek wampiratów. I była podniecona możliwością zrzucenia na Cheng Li ciężaru tajemnicy. Bardzo potrzebowała kogoś, z kim mogłaby szczerze porozmawiać - choćby miał tylko zadawać pytania, które ją samą dręczyły. Ale myśli krążyły niczym stado rekinów wokół jednego podstawowego problemu: czy może zaufać Cheng Li?

Kiedy dotarły do drzwi pokoju Grace, Cheng Li pożegnała się.

- Odpocznij trochę - poradziła. - Wyraźnie masz dziś za sobą ciężkie przejścia, a chcesz przecież być w dobrej formie na wieczornym bankiecie.

Poklepała Grace po ramieniu i odwróciła się.

- Zaczekaj! - zawołała Grace.

Zabrzmiało to mocniej, niż zamierzała. Cheng Li obejrzała się, unosząc w zdziwieniu brew. Grace nabrała tchu.

- Może wejdiesz do środka? - zaproponowała.

- Jest kilka spraw, o których chciałabym z tobą porozmawiać.

Cheng Li skinęła głową. Spoważniała nagle.

- Twoje zaufanie uważam za wielki zaszczyt - rzekła. - I oczywiście, choć rozumie się to samo przez się, wolę wyraźnie zaznaczyć: cokolwiek mi powiesz, pozostanie wyłącznie między nami.



# Rozdział 17

## Dobry słuchacz

Kiedy Grace zaczęła mówić, przekonała się, że niezwykle łatwo jest rozmawiać z Cheng Li o wampiratach. Szczerze mówiąc, prawdziwą ulgą była możliwość opowiedzenia o tym komuś innemu niż Connor, który był nadopiekuńczy i tak chętny do potępiania wampiratów - bez choćby próby zrozumienia ich obyczajów.

W przeciwieństwie do Connora, Cheng Li nie przerywała Grace i nie wygłaszała własnych opinii. Słuchała uważnie, czasem tylko prosząc o dokładniejsze wyjaśnienie tej czy innej kwestii. Prawie cały czas Grace mówiła, a Cheng Li słuchała; kiwała głową i zachęcała dziewczynę, by opowiadała dalej o swoich przeżyciach.

Zerknąwszy na zegar przy łóżku, Grace uświadomiła sobie, że siedzą tak przez bite półtorej godziny. A wciąż tyle miała do opowiedzenia. Z początku zamierzała pominąć co bardziej drastyczne wydarzenia, ale uznała, że nie należy zatrzymywać się w pół drogi. Jeśli zamierza zaufać Cheng Li i prosić ją o pomoc, musi wyjawić wszystko. Albo wierzy się komuś na sto procent, albo nie wierzy się wcale.

I tak Grace snuła wspomnienia o wszystkim, od chwili, gdy po raz pierwszy zjawiała się na statku, aż do uświadomienia sobie, że Lorcan, drogi Lorcan, nie jest siedemnastoletnim chłopcem, ale siedemset-dziewięcioletnim wampirem. Opowiedziała Cheng Li, jak wyrwała się ze swojej kajuty i stanęła twarzą w twarz z samym kapitanem - który nie okazał się monstrem, jakiego się spodziewała. A potem także całą historię o Liczcie, o donorach i o przerażającym spotkaniu z Sidoriem.

- Wydaje się fascynujący! - oświadczyła Cheng Li.

- Straszny, ale fascynujący. Ciekawe, gdzie jest teraz.

- Wolę o tym nie myśleć - odparła Grace. - Liczyłam, że kiedy kapitan go wypędził, po prostu zniknie gdzieś na pustkowiach. Ale mam przeczucie, że tak się nie stało. A teraz inni na statku także się buntują. Chciałabym im pomóc.

- Ale Grace, co mogłabyś zrobić?

Pytanie było warte odpowiedzi. Grace zastanowiła się.

- Nie wiem - przyznała. - Sama nie wiem. Ale gdzieś w głębi czuję, że mogę pomóc. I chcę. Widzisz, wydaje mi się, że z różnych przyczyn jestem częściowo odpowiedzialna za to, co się stało.

- W jaki sposób?

- No przecież Sidorio został wypędzony, ponieważ mnie zaatakował. Gdybym nie znalazła się na statku, on mógłby nadal tam być.

Cheng Li pokręciła głową.

- Nie, Grace - rzekła. - Jesteś dla siebie niesprawiedliwa. Sidorio nie tylko dlatego musiał opuścić statek, że cię uwięził i groził śmiercią. Zabił też swojego donora, zapomniałaś? Wtedy właśnie rzucił kapitanowi otwarte wyzwanie. Z tego, co mówiłaś, kapitan wypędziłby go, czy byłabyś na pokładzie, czy nie.

Słowa Cheng Li niosły ulgę, ale po chwili powróciły smętne myśli.

- Może to prawda, ale co z Lorcanem?

Opowiedziała Cheng Li, jak Lorcan bronił jej, gdy przybyli Connor i piraci, jak został długo po uderzeniu w Dzwon Świtu. A teraz dodała jeszcze opowieść o dwóch tajemniczych wizjach dotyczących Lorcana i jak się zachowywał podczas jej duchowej wizyty na pokładzie.

- Wiem, że nie to chciałabyś usłyszeć, ale zgadzam się z tobą - przyznała Cheng Li. - Sądzę, że Lorcan uszkodził sobie wzrok, kiedy został na słońcu.

- Jeśli tak, to moja wina...

- Jesteś dla siebie zbyt surowa. Wiedział przecież, co mu grozi, Grace. Musiał wiedzieć. Sam dokonał wyboru.

- Żeby mnie ochraniać!

- Była to jednak jego własna decyzja.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, myśląc o tym, co sobie powiedziały. Wreszcie odezwała się Cheng Li.

- Jakie wydały ci się jego oczy, kiedy znalazłaś się znowu na statku?

Grace wzruszyła ramionami.

- W kajucie było ciemno, a on stale odwracał głowę, ukryty za zasłonami łóżka. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Całkiem jakby miał problemy z widzeniem.

- Grace - rzekła Cheng Li po dłuższej chwili.

- Myślę, że ta podróż na statek cię zaskoczyła, i nic dziwnego. Dobrze, że się tam dostałaś. Ale dla samej siebie następnym razem musisz zadać pewne pytania. Dowiedz się, co się stało ze wzrokiem Lorcana. Dowiedz się, czy możesz pomóc. Może wiedzą jak. Może właśnie dlatego ściągają cię do siebie w ten sposób.

Grace spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Naprawdę sądzisz, że to oni mnie wzywają?

- Tak, oczywiście. A ty nie? Najpierw Darcy pojawia się u ciebie niczym zjawa. Potem masz te dwie wizje Lorcana.

- To zasługa pierścienia - przypomniała Grace.

- Dotknęłam go, a on się rozgrzał i zaczęły się wizje. Właściwie pierścień rozgrzał się też przed wizytą Darcy. Zrobiło mi się niedobrze. A kiedy otworzyłam oczy, ona już była.

Cheng Li zastanowiła się.

- Czyli pierwszy kontakt po opuszczeniu statku nawiązałaś przez pierścień Claddagh Lorcana. Kiedy go dotknęłaś, wywołało to reakcję twoich przyjaciół na statku.

Grace przytaknęła.

- Jestem pewna, że to zaplanowali. Dlatego Lorcan w ogóle dał ci ten pierścień.

- Chciał, kiedy już znajdę się daleko, żebyś zawsze miała przy sobie częśćkę jego samego. I żebyś przechowywała ten pierścień bezpiecznie, dopóki znów się nie spotkamy.

- No więc sama widzisz, Grace - stwierdziła z satysfakcją Cheng Li. - Właściwie sam dał ci do zrozumienia, czego masz się spodziewać. To jego sposób, sposób wampiratów, na utrzymywanie z tobą kontaktu.

- Umilkła, pozwalając, by nowa myśl zakiełkowała i rozkwitła w jej głowie. - Kiedy wyruszyłaś w podróż na statek... w tę duchową wyprawę, jeśli można ją tak nazwać, albo może astralną... czy dotknęłaś pierścienia, by ją zainicjować? Czy rozgrzał się tak jak wcześniej?

Grace pokręciła głową.

- Nie wydaje mi się, żeby tym razem pierścień miał z tym coś wspólnego.

- Fascynujące - uznała Cheng Li. - No dobrze. W takim razie sądzę, że wasza więź staje się coraz silniejsza. Najpierw użyli pierścienia, żeby zwrócić twoją uwagę, żeby cię przygotować. A teraz...

- Teraz co? - spytała Grace. Chciała się dowiedzieć, o czym myśli Cheng Li.

- Teraz wydaje się, że mogą cię przywoływać bardziej zdecydowanie.

- Czyli powinnam czekać, aż znowu mnie ściągną?

Cheng Li znów się zastanowiła.

- Zrobimy doświadczenie, zgoda? Spróbuj dotknąć pierścienia.

Grace sięgnęła do niego kciukiem i palcem wskazującym.

- Jest chłodny - oznajmiła.

- Przytrzymaj go. I powiedz, w której dokładnie chwili zmieni się temperatura.

Grace ścisnęła pierścień Claddagh tak, jak już tyle razy wcześniej. Cheng Li obserwowała ją uważnie. W końcu, po kilku minutach, spytała:

- Czujesz coś? Grace pokręciła głową. - No dobrze - mruknęła Cheng Li. - Sądzę, że ten pierścień to już stare dzieje. Teraz musisz czekać, aż cię wezwą. Ale bądź przygotowana. To się może zdarzyć w każdej chwili.

- Ale jak wrócę na statek?

- Nie mnie pytaj, tylko ich. To musi być pierwsze pytanie, jakie zadasz następnym razem, kiedy się tam znajdziesz.

Grace pokiwała głową. To brzmiało rozsądnie.

- Późno się zrobiło - zauważyła Cheng Li. - To była niesamowita historia, Grace, ale myślę, że powinnaś teraz trochę odpocząć przed bankietem. Jeszcze do tego wrócimy. Będę nad tym myślała. Gdybyś znowu chciała ze mną porozmawiać, powiedz tylko słowo.

- Dziękuję ci - odparła Grace. - Dziękuję, że mnie wysłuchałaś.

- Nie, Grace. To ja dziękuję, że mi zaufałaś. Wiele to dla mnie znaczy. - Uśmiechnęła się i ruszyła do drzwi, ale obejrzała się jeszcze. - Radzę, żebyś jak najmniej wspominała o tym wszystkim innym kapitanom. Z pewnością będą chcieli czegoś się o tobie dowiedzieć. Kiedy pytają, lepiej nic im nie mów o wampiratach. Nie wszyscy mają umysły tak otwarte jak ja.

Grace pokiwała głową. Cheng Li stała przy drzwiach i przyglądała się jej z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? - zdziwiła się Grace. - O czym myślisz?

- Myślę, że najbardziej fascynującym elementem tej historii jest przywiązanie, jakie do nich czułaś i nadal czujesz. Większość ludzi byłaby wdzięczna, że udało im się ująć z życiem z tego statku. Ale ty... ty chcesz tam wrócić.

- Oczywiście! Ty byś nie chciała?

Cheng Li przemyślała to pytanie.

- Uczciwie? Nie wiem. Zależy mi na przetrwaniu. Ja też, Grace, jestem ciekawa świata i jego tajemnic. Ale z własnej woli rzucać się w niebezpieczeństwo... Naprawdę nie jestem pewna, czy umiałabym to zrobić. - Przerwała na chwilę. - Pamiętam, kiedyś spytałam o ciebie twojego brata. I to, jak o tobie mówił, sugerowało, że jesteś bardzo niezwykłą osobą.

Grace zarumieniła się ze zdziwienia i zadowolenia.

- A teraz poznałam cię osobiście, Grace Tempest. I widzę, że to prawda.

Po czym Cheng Li wysunęła się z uśmiechem na korytarz. Grace była wyczerpana - po duchowej podróży, po długiej rozmowie, a także po zrzuceniu ciężaru swych tajemnic.

Kiedy drzwi się zamknęły, położyła się na łóżku, szukając głową poduszek, i natychmiast zasnęła.

# Rozdział 18

## Przy kapitańskim stole

Punktualnie o siódmej trzydzieści Jacoby Blunt zapukał do drzwi gabinetu komandora Kuo.

- Wejść! - zawołał dyrektor.

Jacoby pchnął drzwi, przepuścił przodem Grace iConnora, po czym wszedł za nimi.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedział Kuo, unosząc głowę znad biurka.

Wciąż pracował. Ubrany był tak samo jak przy pierwszym spotkaniu, różniła go tylko para małych okularów.

- Zaraz się wami zajmę - rzucił.

Wrócił do lektury jakiegoś dokumentu. Po chwili, wyraźnie usatysfakcjonowany, nakreślił zamaszty podpis turkusowym atramentem i odłożył papier na tacę. Potem starannie zakręcił pióro, zdjął okulary i położył je na biurku.

- Praca dyrektora nigdy się nie kończy - stwierdził. Odsunął fotel i wstał od pedantycznie uporządkowanego biurka. - Lepiej uciekajmy stąd, zanim pojawi się jeszcze coś, co będzie wymagało mojej uwagi.

Wkładając smoking na kamizelkę, uśmiechnął się do Connora i Grace.

- Mam nadzieję, że mile spędziliście pierwszy dzień w Akademii.

- O tak! - zapewnił Connor. - Obejrzeliśmy wszystko. Przeszliśmy się nad zatoką, widzieliśmy „lagunę zguby” ze statkiem ćwiczebnym... A potem mogłem popływać w basenie. Było rewelacyjnie.

- Znakomicie. A ty, Grace?

Grace zarumieniała się, wspominając radę Cheng Li, by nie zdradzała swoich sekretów.

- O tak, wszystko było cudowne - zapewniła w nadziei, że ta ogólnikowa odpowiedź wystarczy.

Okazało się, że rzeczywiście wystarczyła.

- Świetnie - ucieszył się komandor Kuo.

Poprowadził ich do balkonowych drzwi w głębi swego gabinetu.

- Pomyślałem, że w tak piękny wieczór zjemy na tarasie.

Otworzył drzwi i natychmiast usłyszeli gwar rozmów. Wydawało się, że wszyscy już na nich czekają.

- Teraz już nie ma odwrotu - szepnął Jacoby.

Komandor Kuo wyszedł na taras, a za nim Grace, Connor i Jacoby. Ustawiono tam długi stół, błyszczący od świec i uginający się pod ciężarem jedzenia - od gór krewetek, przez tace z krabami i homarami, po ułożone na podgrzewanych półmiskach cudownie słodko pachnące curry, ryże i makarony.

Inni wykładowcy siedzieli już wokół stołu, popijali wino i przegryzali kanapki. Tylko cztery krzesła pozostały wolne, jak zauważył Connor - dwa u szczytu idwa u stóp stołu. Akurat dla dyrektora, Jacoby'ego, jego i Grace.

- Jacoby - odezwał się Kuo. - Usiądź może tam, a ja przedstawię wszystkim Grace i Connora.

Jacoby spełnił polecenie, a dyrektor klasnął w dłonie.

- Moi drodzy, czy mogę prosić o uwagę?

Dziesięcioro mężczyzn i kobiet spojrzało na niego.

Większość zamilkła, obserwując z zainteresowaniem bliźnięta. Jedna z kobiet kończyła jeszcze rozmowę.

-...na pewno nie za moich czasów. To kompletna bzdura, gdyby mnie kto pytał.

Komandor Kuo uśmiechnął się do niej uprzejmie.

- Kapitan Quivers, bardzo chciałbym wiedzieć o czym pani mówi.

- Jestem tego pewna.

- Cóż, może wrócimy do tego tematu już wkrótce. Ale najpierw chciałbym przedstawić wam wszystkim Grace i Connora Tempestów.

Nastąpiły uśmiechy i przyjazne skinienia po obu stronach stołu. A potem komandor Kuo zaczął klaskać. Zebrani wykładowcy poszli za jego przykładem, choć z nierównym entuzjazmem. Grace zauważyła, że kapitan Quivers bez specjalnego zapału ostatnia dołączyła do oklasków. Wolałyby chyba, żeby inni też wykazali podobną rezerwę. To było naprawdę krępujące.

Dostrzegła jednak, że Connor nie podziela jej uczuć. Wyraźnie rozkoszował się powszechną aprobatą.

- Otóż - podjął dyrektor - jak wszyscy wiecie, Tempestowie są w tym tygodniu gośćmi naszej Akademii. Pani Li przekazała zaproszenie w naszym imieniu, a Connor i Grace zgodzili się wziąć urlop od swoich ważnych obowiązków na pokładzie Diabła, przybyć tu i zobaczyć, na czym polega nasza działalność. Z pewnością wszyscy jesteśmy wdzięczni Moluccowi Wrathe'owi, że dał tym młodym piratom przepustkę na ląd.

- Za Molucca! - zawołała głośno kapitan Quivers. Uniosła kielich tak gwałtownie, że trochę wina wylało się na nieskazitelnie biały obrus. - Oj!

- Tak jest - zgodził się gładko Kuo. - Za Molucca.

Uniósł swój kielich, zachichotał cicho, po czym mówił dalej. - Myślę, że już najwyższa pora, żebyśmy zasiedli do tej wspaniałej uczy. Ale zanim to nastąpi, chciałbym wszystkich przedstawić.

Trzymając Grace i Connora za ramiona, prezentował kolejno siedzących przy stole piratów.

- Grace, Connorze... To jest kapitan René Grammont, niegdyś dowódca Trubadura...

- Bonsoir, Monsieur et Mademoiselle Tempest. - Kapitan Grammont skłonił się formalnie.

- Obok Renego, kapitan Francisco Moscardo, dawniej z Santa Anna i z Inferno...

- Buenos noches, Tempesta.

- Obok - ciągnął Kuo - siedzi kapitan Lisabeth Quivers, dawniej z Granadilli...

- Witaj, Grace. Witaj, Connorze. Miło mi...

- A u jej boku kapitan Paweł Płatonow z Moskowity...

- Zdrastwujtie - rzekł kapitan Płatonow, wstał i ukłonił się z wyraźną przesadą.

Grace zauważyła, że kapitan Quivers roześmiała się cicho.

- Mam nadzieję, że zapamiętujecie wszystko - rzucił Kuo. - Dalej mamy kapitana Apostolosa Solomosa, dawniej z Seferis...

- Kalispera, Connorze i Grace. - Kapitan Solomos uśmiechnął się szeroko.

- I pani Li, której nie muszę wam przedstawiać.

- Cheng Li skłoniła głowę. Zachowywała się, jakby ona i Grace ledwie się znały. Grace była zadowolona; Cheng Li odgrywała swoją rolę tak, by nikt niczego nie podejrzewał. - Oczywiście, pani Li nie dowodziła jeszcze żadnym statkiem, ale wiemy, że czeka ją kariera



równie wspaniała, jak osiągnięcia wszystkich obecnych przy tym stole. Mógłbym nawet uznać, że przyćmi reputację jednej czy dwóch osób...

- Zaraz, zaraz! - krzyknęła siedząca obok kobieta.

- Pozwólcie sobie przedstawić kapitan Kirstin Larsen z Krónborg Slot.

Kapitan Larsen miała najbielsze włosy, jakie Grace w życiu widziała. Wrażenie pogłębiała jeszcze jej mocna opalenizna i oczy błękitne jak górskie jezioro. Uniosła kielich w stronę bliźniąt, po czym osuszyła go jednym haustem.

- Obok niej siedzi kapitan Floris van Amstel z Koh-i-Noora.

- Dobry wieczór.

- I kapitan Shivaji Singh z Nataraj.

Kapitan Singh złożył dłonie jak do modlitwy. Grace miała ochotę powtórzyć ten gest, ale nie odważyła się i tylko skinęła głową. Zerknęła na Connora - uśmiechał się od ucha do ucha. Widziała, jak bardzo cieszy się spotkaniem z tymi kapitanami, którzy - według słów Cheng Li - należeli do najznakomitszych pirackich dowódców na świecie. Co więcej, wydawali się bardzo uradowani z poznania Connora i Grace.

- I wreszcie kapitan Wilfred Avery z Berberyjskiego Korsarza...

Oczywiście, kilka razy widzieli już kapitana Avery'ego z daleka, ale teraz siedział przy stole naprzeciwko nich, z białymi kosmykami wąsów i brody na opalanej twarzy.

- Przed deserem zrobimy wam sprawdzian z naszych nazwisk - uprzedził z uśmiechem.

Grace poczuła, że od razu polubiła kapitana Avery'ego. Również się uśmiechnęła.

- A teraz siadaj tutaj, Grace. - Komandor Kuo odsunął krzesło między Cheng Li i kapitanem Solomosem. Potem przeszedł na drugą stronę stołu i wskazał Connorowi miejsce między sobą i kapitanem Grammontem. Jacoby siedział naprzeciwko i zaczął już nakładać sobie jedzenie.

- Connorze, może spróbujesz tego zielonego curry? - zaproponował Avery. - Jest naprawdę niezłe.

- Tak, proszę.

- A może crevette? - zapytał kapitan Grammont. Crevette? O co mu... Ach, krewetkę, domyślił się chłopiec, widząc, co podaje mu kapitan.

- Chętnie, bardzo dziękuję.

Talerz Grace również napełniał się szybko, gdy dołączyła do jedzących. Zastanawiała się, czy zawsze tak jadają. Domyślała się, że inni studenci, którzy mieli kolację jakąś godzinę wcześniej, dostają skromniejsze dania.

- Opowiedz nam o sobie, Connorze - odezwał się kapitan Grammont. - Niewiele o tobie wiemy, z wyjątkiem tego, że imponująco zacząłeś swoją karierę na pokładzie Diabła.

- Tak, opowiedz - poparł go sąsiad... kapitan Moscardo? - Czy zawsze chciałeś zostać piratem?

- Chodzi mu o to - wtrącił kapitan Avery - czy od dziecka czytałeś o naszych wyczynach i marzyłeś, by stać się jednym z nas?

Connor pokręcił głową.

- Nie, wcale nie.

Kapitan Moscardo był chyba trochę rozczarowany, ale Kuo roześmiał się tylko.

- Dalej, Connorze, opowiedz nam, skąd przychodzisz.

- No więc... Urodziliśmy się w Zatoce Księżycowej.

Rozległy się chóralne, pełne współczucia westchnienia.

- Znać ją? - Connorze, to nasz zawód, by znać każdą zatoczkę, mieliznę i rafę na mapie - wyjaśnił cicho kapitan Avery.

- No tak, oczywiście. Mój ojciec był tam latarnikiem. Ale umarł i nie mieliśmy już nikogo, więc Grace i ja...

- Co z waszą matką? - przerwała mu kapitan Quivers, zwracając się do Grace.

- Nigdy nie znaleźliśmy naszej matki - odparła smutnie Grace. - Umarła... przy naszych narodzinach.

- Jakie to straszne... dla was wszystkich.

- A zatem - rzekł kapitan Moscardo - nic wam już nie zostało w tej nędznej zatoce...

- Nie - przyznała Grace. - Dlatego zabraliśmy jacht ojca i odpłynęliśmy.

- Ale dokąd? - zdziwił się kapitan Grammont.

- Wtedy nie wiedzieliśmy - odparł Connor. - Pragnęliśmy tylko się stamtąd wynieść. Pomyśleliśmy, że popłyniemy wzdłuż brzegu i zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

Kapitan Avery mrugnął do niego.

- Pierwszy dowód na to, że w waszych żyłach płynie piracka krew.

- I dokąd was to doprowadziło? - nie ustępował kapitan Moscardo.

- Wpadliśmy w sztorm. Nasz jacht się rozpadł i oboje myśleliśmy już, że utoniemy.

- Och! - wykrzyknęła kapitan Quivers. - Biedne dzieci!

- Ale - opowiadał dalej Connor - pani Li uratowała mnie i zabrała na Diabła.

- A ty, Grace? - zainteresowała się kapitan Larsen, spoglądając na dziewczynę swymi krystalicznie błękitnymi oczami.

Grace, nie patrząc, wyczuwała, że Cheng Li obserwuje ją z uwagą. Inni kapitanowie także spoglądali na nią ciekawie. Nabrała tchu.

- Uratował mnie inny statek.

- Który? - naciskała kapitan Larsen. - Znamy wszystkie pirackie statki na tych wodach.

- To nie był piracki statek - odparła Grace.

- Więc jaki? Prywatny?

- Coś w tym rodzaju... - Grace modliła się, by Cheng Li przysła jej z pomocą. Ale ta nadeszła z całkiem innej strony.

- Szczegóły, szczegóły - stwierdził z uśmiechem kapitan Avery. - Najważniejsze, że oboje zostaliście uratowani. A ty znalazłaś się w końcu na Diabłu. I jakie, jeśli wolno spytać, zrobił na was wrażenie kapitan Wrathe?

Connor wiedział, że musi zachować ostrożność. Nie był pewien, co pozostali myślą o Moluccu. Kapitan nie był wielkim fanem Akademii, więc może tutejsi wykładowcy także go nie lubią? Jednak przecież jego dawny miecz dumnie zajmował miejsce w rotundzie.

- Kapitan Wrathe był dla mnie bardzo dobry... dla nas obojga.

- Zawsze miał niezłe oko na młode talenty - przyznała kapitan Quivers.

- Powiedz, Connorze - odezwał się znowu kapitan Moscardo. - Nie bałeś się uczyć szermierki?

Grace wyczuła, że jej brat staje się ośrodkiem zainteresowania. Choć była tym odrobinę urażona, to przede wszystkim poczuła ulgę. Uznała, że im mniej pytań będą jej zadawać, tym lepiej. Wykorzystała okazję, by rzucić Cheng Li przelotny uśmiech.

Cheng Li mrugnęła porozumiewawczo, po czym podsunęła jej talerz z mątwami.

- Nie. - Connor pokręcił głową. - Chciałem się uczyć. To była moja nagroda.

- Nagroda?

- Za to, że pomogłem kapitanowi w czasie napadu.

- Pamiętajcie zapewne - wtrącił Kuo - że Wrathe obrabował dom gubernatora Acharo w Port Hazzard. W efekcie dwaj synowie Achara przeprowadzili atak odwetowy na Diabla.

- A tak. - Kapitan Grammont pokiwał głową. - Przypominam sobie.

- A Connor obronił kapitana Wrathe'a - dodał Kuo. - Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ocalił mu życie.

- Tym gorzej - mruknął kapitan Singh.

Connor zanotował w pamięci, że przynajmniej jeden z obecnych na pewno jest przeciwnikiem kapitana Wrathe'a.

Komandor Kuo, zauważył jego minę i zareagował natychmiast.

- Usłyszysz tutaj różne opinie na temat kapitana Wrathe'a, ale jestem pewien, że i wcześniej były ci znane.

Connor musiał przyznać, że to prawda.

- Szczerze mówiąc... - Kuo uśmiechnął się. - Kapitan Wrathe zawsze budził sprzeczne emocje. Jak to się zdarza wielkim postaciom. Słyszałeś może o Federacji Pirackiej i prawie akwenów?

- Tak - przytaknął Connor. - Oczywiście.

Grace słuchała uważnie i pilnie obserwowała zmieniającą się twarz brata. Chciała się przekonać, czy niewzruszenie pozostaje zwolennikiem kapitana Wrathe'a, czy może zaczyna się wahać.

- Otóż Akademia blisko współpracuje z Federacją. Wielu z nas tutaj pełni funkcje we władzach Federacji.

Wyznajemy i nauczamy pewnych reguł, między innymi poszanowania akwenów innych kapitanów.

- Staramy się też budować i rozwijać dobre stosunki z władzami na lądzie - dodał kapitan Grammont.

- Takimi jak gubernator Acharo, który zawsze był dla nas wyrozumiały. Napad, jakiego dokonał kapitan Wrathe, był wielką... powiedzmy, wielką niedogodnością. Przez kilka miesięcy, jakie minęły od tego zdarzenia, Acharo wyraźnie zmienił swoją politykę wobec nas. A to jest źródłem problemów nie tylko wzdłuż linii brzegowej jego terytorium, gdyż także na północy ma potężnych sprzymierzeńców. Dlatego ta nieprzemyślana akcja twojego dowódcy spowodowała na tych wodach ogromne zawirowania.

Connor rozumiał, o czym mówią, ale nie miał zamiaru potępiać Molucca, nie po tym wszystkim, co tamten dla niego zrobił. Jednakże inni kapitanowie dopiero się rozgrzewali.

- Im częściej kapitan Wrathe będzie się tak nieodpowiedzialnie zachowywał - rzekł kapitan Singh - tym większe niebezpieczeństwo sprowadzi na siebie i inne załogi. Wystarczy przypomnieć, co się wydarzyło zaledwie kilka dni temu z kapitanem Drakoulisem.

Connor smętnie spuścił głowę.

- Byłem tam - powiedział.

Grace odgadła, że myśli teraz o Jezie. Oczywiście, że myśli.

- To straszne - westchnął smutnie kapitan Avery.

- Byłem tam - powtórzył Connor. - I widziałem, jak mój towarzysz... mój dobry przyjaciel... zginął.

- To kamień milowy w życiu młodego pirata.

- Czasy się zmieniają - stwierdził komandor Kuo i odsunął pusty talerz. - Świat pędzi naprzód, a piractwo także się zmienia; rośnie z każdym przyływem i odpływem.

- Słońce Wrathe'a zachodzi - oznajmił kapitan Singh. - Przyszłość leży nie w indywidualnych atakach, ale w koordynacji, sojuszach i właściwej strategii.

Connor wysłuchał słów Singha. Podobne napięcie wyczuwał, gdy przybył na Diabła, i Bart wyjaśnił mu różnice w postawie kapitana Wrathe'a i pani Li. Teraz zrozumiał, jak bardzo duch czasu sprzyja Cheng Li i kapitanom zebranych przy stole, a działa przeciwko Moluccowi. Zaczął się obawiać o swego dowódcę i kolegów z załogi - co sprawiło, że zastanowił się też nad własną przyszłością. Ale przecież podpisał kontrakt na Diabłu - nie było przed tym ucieczki. Swoją pracę, swoje życie powierzył Moluccowi. Podjął decyzję, która - jak uprzedzała go Grace - zaczynała go teraz uwierać.

Nagle komandor Kuo klasnął w dłoń.

- Dość już tego gadania. Obawiam się, że naszymi... uwagami na temat kapitana Wrathe'a stawiamy Connora w trudnej sytuacji.

Connor wzruszył ramionami.

- Nie jest to nic, czego nie słyszałyśmy już wcześniej... U Mamy Kettle.

Kapitan Larsen zaśmiała się z przymusem.

- Jest pewna różnica między plotkami, które słyszysz w tawernie, a opiniami wygłaszanymi przez dostojne grono.

No dobrze, pomyślał Connor. To następna osoba, z którą lepiej nie dyskutować. Uczę się.

- Nie teraz, Kirstin - upomniął ją dyrektor. - Nie wylewajmy naszych żalów na młodego Connora. Chcemy przecież, by miło wspominał wizytę w Akademii, prawda?

- Pewnie - odpowiedzieli razem kapitan Quivers i kapitan Avery. Pozostali kiwnęli głowami.

- A kiedy ta wizyta dobiegnie końca - dodał Kuo - przekonamy się, co planujesz zrobić ze swoją przyszłością.

Grace przygryzła wargę. Nie spodziewała się, że dyrektor złoży Connorowi tak bezpośrednią ofertę. Jak brat zareaguje?

Ale Connor uśmiechnął się tylko i milczał.

- A teraz toast - rzekł Kuo. - Za Connora i Grace. Proszę, nalejcie sobie wszyscy.

Wokół stołu podawano sobie karafkę z atramentowoczną ciecżą. Napełniono małe kieliszki.

- Czy wszyscy już mają sepiową grappę? - upewnił się komandor Kuo. - Doskonale. A więc wzniesmy kielichy za Grace i Connora, którzy wyszli zwycięsko z najgorszych opresji, aby dotrzeć do świata piratów. Grace i Connorze, dziękujemy, że na ten tydzień dołączyliście do nas w Akademii. Pijemy za najprzyjemniejszy, najbardziej pouczający pobyt oraz, że zacytuję słowa pirata o wiele wspanialszego ode mnie: „Obfitość i Przesyt, Rozkosz i Swoboda, Wolność i Siła wam obojgu!”.

Pozostali kapitanowie przyłączyli się do toastu. Grace i Connor rozpoznali słowa dewizy Akademii. Patrzyli, jak kapitanowie wychylają kieliszki grappy.

Wyglądała i pachniała dość nieprzyjemnie, i Grace cieszyła się, że nie musi przyłączać się do toastu.

Po chwili bliźnięta przestały już być ośrodkiem zainteresowania. Kapitanowie zaczęli rozmawiać o codziennych sprawach Akademii, całkiem jak zwykła grupa nauczycieli - chociaż ci mieli u pasów miecze.

W końcu komandor Kuo spojrzął na zegarek.

- Późno się robi - stwierdził. - Dzieciaki, pora spać.

- Zwłaszcza jeśli zamierzacie dołączyć rano na moje zajęcia swm - uśmiechnął się kapitan Płatonow.

- Swm? - zdziwiła się Grace.

- Siła, wytrzymałość, motywacja - wyjaśnił rosyjski pirat.

- To najważniejsze zajęcia na Akademii - dodała Cheng Li. - Wszyscy kapitanowie prowadzą je po kolei, więc różnią się: od form jogi, przez zachęcające rozmowy, aż po...

- Dziarski bieg na dziesięć kilosów - dokończył kapitan Płatonow. - Ruszamy z tarasu punkt o siódmej.

- Nieźle brzmi - stwierdził Connor.

Jacoby uśmiechnął się tylko. Grace także słuchała tego z uśmiechem, uznała jednak, że swój dzień w Akademii może rozpocząć bez zbytniego pośpiechu.

- Idę się położyć - oznajmiła, wstając. - Dziękuję za przyjęcie. Było wspaniałe. Cieszę się, że mogłam poznać was wszystkich.

- I my ciebie, moja droga - zapewniła kapitan Quivers.

Inni przytaknęli.

Connor wstał także.

- W imieniu mojej siostry i własnym chciałbym podziękować wszystkim za zaproszenie do Akademii Piractwa.

Grace uśmiechnęła się. Nie była przyzwyczajona, by brat odzywał się w sposób tak oficjalny.

- Nie ma za co, Connorze - zapewnił komandor Kuo. - I proszę, nie przejmuj się zbytnio naszymi drobnymi zatargami z kapitanem Wrathe'em. Rozumiemy, jaki dobry był dla ciebie i twojej siostry. I podziwiamy twoją wobec niego lojalność.

Connor zdołał się uśmiechnąć, ale ten uśmiech maskował tylko natarczywe myśli krążące mu w głowie. Chciałby już wrócić do swego pokoju i zastanowić się nad wszystkim, co dzisiaj usłyszał. Zaczynał odczuwać prawdziwy niepokój o kontrakt, który wiązał go z kapitanem Wrathe'em. Lęki Grace wydały mu się nagle całkiem uzasadnione. Spojrzał wzdłuż stołu. Zebrali się tutaj najbardziej wpływowi piraci obecnych czasów i wszyscy uważali, że gwiazda Molucca Wrathe'a gaśnie. W dodatku uważali chyba, że on, Connor, jest kimś niezwykłym. Przypomniał sobie wizję, w której był kapitanem. I postanowił, że tak się stanie. W przyszłości zapewne będzie musiał o wiele staranniej dobierać sobie sprzymierzeńców i nauczycieli.

- Chodźmy. - Grace stanęła obok. - Wracajmy do naszych pokojów.

- Co? A tak. Tak, pewnie. Jacoby, ty też idziesz?

- Właściwie - rzekł Kuo - to chciałbym zamienić słówko z panem Bluntem.

Jacoby skinął głową. Grace i Connor życzyli nowemu znajomemu dobrej nocy, a potem ruszyli przez taras w kierunku budynku, gdzie mieszkali. Nie rozmawiali ze sobą, idąc wolno w promieniach księżyca, każde zatopione we własnym, tajemnym świecie myśli.



# Rozdział 19

## Prochowy Potok

Księżyc stoi wysoko i oświetla niewielką łódkę, sunącą powoli w głąb zatoki. - Widzę łąd, kapitanie - informuje Stukeley. - Czy to jest to miejsce? - Tak potwierdza Sidorio. - Czemu? Jesteś głodny? - Tak, kapitanie. Rzeczywiście jestem. Kpiący śmiech. - To dobrze. Sidorio wiosłami kieruje łódź na płyciznę, po czym wyskakuje do wody i holuje ją na wąską, kamienistą plażę. Teraz wyskakuje także Stukeley. - Co to za miejsce, kapitanie? - Prochowy Potok. - Słowo daję, kapitanie, zna pan wszystkie zakątki na wybrzeżu. W tym momencie Sidorio robi krok naprzód. Za nim stoi drewniana tablica, kołysząca się lekko na wietrze.

WITAJ W PROCHOWYM POTOKU. „ZOSTAW TU TYLKO ŚLADY STÓP, ZABIERZ STĄD TYLKO WSPOMNIENIA”.

- Idziemy - rzuca szorstko. - Nie traćmy czasu.

Rusza brzegiem. Wydaje się wiedzieć, dokąd zmierza. Stukeley maszeruje za nim, z trudem nadążając za długimi krokami kapitana. Coś zainteresowało Sidorio, a Stukeley zdążył się nauczyć, że w takich sytuacjach najlepiej iść za nim i czekać na dalsze polecenia.

Dotychczas - uwzględniając wszystko, co się wydarzyło - sytuacja nie jest najgorsza. Wprawdzie kapitan sporo mówił o wspaniałej przyszłości, o armii ludzi i flocie statków, choć w tej chwili mają do dyspozycji tylko ukradzioną łódkę, dwie deski surfingowe i są tylko dwaj. Ale przecież od czegoś trzeba zacząć. Kapitan ma przynajmniej marzenia. Wielkie marzenia.

Sidorio staje nieruchomo. Czyżby czekał, aż porucznik go dogoni? Ładnie z jego strony, myśli Stukeley; zwykle nie okazuje takich uprzejmości. Podbiega do kapitana... i czuje wodę między palcami stóp. Te buty pamiętają lepsze czasy, myśli.

Kiedy staje obok kapitana, odkrywa, że Sidorio z kimś rozmawia. A nawet z dwiema osobami - dwiema młodymi kobietami. Gdy się tam pojawia, jedna z nich podnosi wzrok i wybucha śmiechem.

- Ach tak? Więc coście za jedni, wielki i mały?

- To mój porucznik - mówi Sidorio. - Nazywa się Stukeley. - Hej - rzuca Stukeley i nieco skłania głowę. - No, dziwna z was para, nie ma co - zauważa dziewczyna i szturcha koleżankę, która zaczyna chichotać.

- Tak? - Stukeley uśmiecha się. - A co takie dwie piękne panny robią tutaj o tej porze?

- Czy to nie oczywiste? - odpowiada znudzonym głosem dziewczyna. - Czekamy, aż przyplynie nasz statek.

Sidorio uśmiecha się również i kciukiem wskazuje ponad ramieniem na ocean.

- Może wasz statek już przyplął...

Stukeley dostrzega coś więcej w tym uśmiechu. Dziewczyna tego nie widzi. Oczywiście, że nie. Ale Stukeley pamięta to z wcześniejszych spotkań. To znak: zaczęły się łowy.

- Nie widzę żadnego statku - oświadcza dziewczyna, nie zdając sobie sprawy z tego, co się stanie.

- Tylko jakąś nędzną krypę.

- Nędzą krypę?

Sidorio jak zawsze szybko wpada w gniew. Do Stukeleya należy więc roztaczanie uroku. Zawsze to on roztacza urok.

- Jest dostatecznie duża, by zabrać dwie młode damy na wyprawę pod księżycem - mówi.

- To znaczy: jak tylko wyciągniemy deski surfingowe.

- Surfujecie? - pyta dziewczyna, nagle zaciekawiona.

- Surfujemy - potwierdza Stukeley z dumą, gdyż dopiero niedawno opanował tę umiejętność.

- No to może zobaczymy was w akcji?

Podoba się jej. Poznaje to. Na ogół się podoba dziewczynom.

- Nie. - Sidorio kręci głową. - Żadnego surfowania.

- Kapitanowi chodzi o to - wyjaśnia Stukeley - że najpierw wolelibyśmy zabrać was na przejażdżkę. Póki morze jest takie spokojne.

- Rzeczywiście spokojne - przyznaje dziewczyna, zbliżając się do niego.

- To nieduża łódź, ale zmieścimy się, jeśli siądziemy blisko siebie.

- Dzięki temu będzie nam miło i ciepłutko. - Dziewczyna chwyta go pod ramię. Stukeley drży. W czasach minionych odczuwałby setki innych pragnień - ale teraz zna tylko jedno.

- Chodź, Lily. - Dziewczyna ogląda się przez ramię. - Ja wezmę Dawida, a ty możesz mieć Goliata. Popływamy sobie po zatoczce.

Jej przyjaciółka, Lily, podchodzi do Sidorio. Ten uśmiecha się, odsłaniając dwa złote zęby. Lily wzdycha tylko, wyczuwając nagle zagrożenie, na które jej towarzysza jest ślepa. Ogłuszona, oniemiała ze strachu, pozwala Sidorio popychać się w stronę łodzi.

Stukeley pierwszy dociera na miejsce. Wyjmuje dwie deski surfingowe i rzuca je na brzeg. Dziewczyna przygląda mu się, nieświadoma przerażenia koleżanki.

- Jestem Pearl - mówi. - A to moja kuzynka Lily. A właściwie skąd wy dwaj się tu wzięliście?

- Z piekła - odpowiada Sidorio, sadzając Lily w łodzi.

- Twój koleś to niezły żartowniś, co? - zwraca się Pearl do Stukeleya, kiedy ten pomaga jej wsiąść i spycha łódź z kamieni na wodę.

- O tak - odpowiada Stukeley. - Kapitan to stary żartowniś.

Odgłos dwóch bezwładnych ciał spadających za burtę jest prawie niesłyszalny w ciemnej, pustej zatoczce, w samym środku nocy. To się pojawiają, to giną, kiedy chłodne wody wsysają je w dół, ku miejscu spoczynku. W dół, gdzie przepadną na wieki. Lepiej nie zastanawiać się nad takimi sprawami.

Na powierzchni łódź unosi się w świetle księżyca.

- Dobrze poszło - stwierdza Stukeley i oblizuje wargi, by zgarnąć do ust ostatnią kroplę krwi.

- Szybko się uczysz - chwali Sidorio.

- Niezła z nas para.

- Być może.

- I jak mógłbym czuć się samotny w towarzystwie takiego błyskotliwego rozmówcy?

Ironia Stukeleya nie dociera do Sidorio. Może to i lepiej, myśli porucznik. Sidorio jest teraz zaspokojony. Wkrótce zaśnie.

Leżą potem na dwóch końcach łodzi, kołyszącej się łagodnie na lśniących wodach ujścia Prochowego Potoku. Kolejna noc, kolejna mała przygoda. Stukeley przesuwa ramię i opiera głowę na dłoni. Spogląda na księżyc - kulę światła zaczynają przesłaniać chmury. Po chwili żaden promień nie przeszywa ciemności nocy. Próbuje nie słyszeć chrapania Sidorio, zamyka oczy i odpływa w szczęśliwy sen.

# Rozdział 20

## Wspólnota

Connor zapiął swój czarno-złoty dres Akademii i zerknął na zegar obok łóżka. Była 6:50. Nie spał już od dwudziestu minut. Idąc do szkoły w Księżycowej Zatoce, nigdy nie wyskoczyłby z łóżka o 6:30. Ale tutaj, w Akademii, mimo że położył się późno, zbudził się bez kłopotów. Całkiem jak na Diabłu. Może nawet lepiej, pomyślał z lekkim poczuciem winy. Czy naprawdę minęły dopiero dwa dni, odkąd zszedł ze statku? Wydawało się, że to cała wieczność. Teraz czuł się nawet bardziej niełojalny. Ale przecież, przypomniał sobie, kapitan Wrathé udzielił im swojego błogosławieństwa w tej wyprawie do Akademii.

Może lepiej by się stało, gdyby tu nie przyplłynął. Wtedy nie wiedziałby o pirackim świecie nic oprócz tego, co zobaczył na Diabłu. A teraz jego wyobrażenie o piractwie ulegało szybkiej przemianie. Zrozumiał to, co tak wiele razy tłumaczyła mu Cheng Li. Świat piratów okazał się znacznie bardziej rozległy. A teraz otwierał się przed nim na powitanie. Jeśli tylko starczy mu odwagi, by po niego sięgnąć...

Stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Otworzył je i zobaczył Jacoby'ego w takim samym dresie. Miał na nim też insygnia Akademii: sztylet, busolę i perłę, jak te talizmany, które komandor Kuo nosił na łańcuszku na szyi.

- Już rano - oznajmił Jacoby. - Mam nadzieję, że gotów jesteś na cierpienie.

- Zawsze - uśmiechnął się Connor.

- Zajrzymy po Grace? - zapytał Jacoby, kiedy szli już korytarzem.

Connor pokręcił głową.

- Moja siostra nie przepada za porannymi ćwiczeniami.

- W takim razie nie spodobałoby się jej to, co przygotował dla nas Płatonow.

Wychodząc z Jacobym na zewnątrz, Connor zobaczył, że Płatonow i grupa studentów zebrali się już na tarasie i wykonują rozgrzewkę. Śliczna dziewczyna uśmiechnęła się i pomachała do nich.

- Cześć, Jasmine - powiedział Jacoby z cielecym uśmiechem. - Poznaj Connora Tempesta. Connor, to jest Jasmine Peacock. - Po czym dodał szeptem: - Najlepszy kociak w całej Akademii.

Jasmine uśmiechnęła się do Connora. Nie mógł nie zauważyć, jak złote są jej włosy w porannym słońcu. Usiłował znaleźć coś, co mógłby powiedzieć, by ukryć swe zakłopotanie.

- Niezła pogoda na biegi, prawda?

Nie były to błyskotliwe słowa, ale przynajmniej słowa. Uśmiechnęła się znowu, po czym zgięła ciało w pół i uśmiechnęła się jeszcze raz przez rozsunięte nogi. Widziała, że nie może oderwać od niej wzroku, ale chyba jej to nie przeszkadzało. Connora ocalił kapitan Płatonow, który dmuchnął w gwizdek i klasnął w dłonie. A następnie ruszył przez trawnik, a studenci pobiegli za nim rzędem. Jacoby znalazł się za Connorem, dostatecznie blisko, by szepnąć mu do ucha:

- Ma na ciebie ochotę, Tempest! Peacock nazaczyła swoją zdobycz.

Connor potrząsnął tylko głową i przyspieszył. Zaczęli biec przez ogrody Akademii. Zgodnie z przewidywaniami, Płatonow narzucił ostre tempo. Connor czuł, jak rozgrzewają się mięśnie nóg i szybciej bije serce. Niewiele jest lepszych sposobów na rozpoczęcie dnia niż taki bieg.

Kiedy zbiegli w dół do zatoki portowej, spojrzął na balkon pokoju Grace. Zasłony na przeszkłonych drzwiach wciąż były zasunięte. Uśmiechnął się do siebie. Grace na pewno jeszcze mocno śpi. Leniwiec!

Pięćdziesiąt minut później grupa Płatonowa zbliżała się do końcowego odcinka. Kapitan zebrał ich w grupę, tak by biegli w równych, dość ciasnych szeregach, po trzy osoby. Connor miał po lewej stronie Jacoby'ego, a po prawej Jasmine; utrzymywali idealnie równy rytm. Koniec trasy był już w polu widzenia. Connor czuł, że nogi stają się coraz cięższe, ale potrafi je zmusić do wysiłku. To tylko kwestia woli.

- A teraz śpiewamy - zarządził kapitan Płatonow.

Właśnie czegoś takiego potrzebował, by nie myśleć o zmęczeniu. Usłyszał, jak kapitan i studenci zaczynają śpiew.

- Piraci rządzą morzami - rozpoczął Płatonow.

- Piraci rządzą morzami - powtórzyli studenci.

- Pływają swymi statkami!

- Pływają swymi statkami!

- Miecz mój już do walki gotów!
- Miecz mój już do walki gotów!
- Nie żałuję krwi i potu!
- Nie żałuję krwi i potu!

Connor uśmiechnął się od ucha do ucha i także dołączył do chóru.

- Czarna flaga nam powiewa!
- Czarna flaga nam powiewa!
- Nam nie umknie nawet mewa!

- Nam nie umknie nawet mewa! - Nie zaczynaj z tą załogą! - Nie zaczynaj z tą załogą! -

Bo zatopić statek mogą! - Bo zatopić statek mogą! Connor popatrzył najpierw na Jacoby'ego, potem na Jasmine. Wspaniale było tak biec w grupie.

- Rządzimy na morzach wszędzie!
- Rządzimy na morzach wszędzie!
- Władza nasza wkrótce będzie!
- Władza nasza wkrótce będzie!
- Przeciwników godnych nie ma!
- Przeciwników godnych nie ma!
- Nasz jest czas i nasz ocean!
- Nasz jest czas i nasz ocean!

Studenci ucichli, ale kapitan Płatonow zawołał:

- Kto jest najgroźniejszy?

Studenci odpowiedzieli bez wahania:

- My jesteśmy najgroźniejsi!
- Kto jest najwredniejszy? - krzychał dalej Płatonow.

Tym razem Connor odpowiedział razem ze wszystkimi.

- My jesteśmy najwredniejsi!

Płatonow zawołał jeszcze raz:

- Kto rządzi na oceanie?

Connor, Jacoby, Jasmine i wszyscy pozostali ryknęli chórem:

- My rządzimy na oceanie!

W tej chwili Connor czuł się potężny, niepokonany. Wszyscy razem tworzyli przyszłość piractwa. W latach, które nadejdą - jeśli wszystko ułoży się zgodnie z planem - każdy z nich będzie miał flotyllę statków i tysiące piratów pod komendą. Ocean będzie należał do nich - a także spora część lądu.

Od takich myśli kręciło się w głowie.

Dotarli z powrotem na taras. Płatonow odwrócił się i klasnął.

- Grupa, spocznij! To była niezła przebieżka. Pamiętajcie, żeby dać mięśniom odpocząć. Potem prysznic i śniadanie. I nie spóźnijcie się na pierwsze zajęcia!

# Rozdział 21

## Rana

Grace otworzyła oczy i przez chwilę nie wiedziała, co się z nią dzieje. Jak długo spała? Która godzina? I gdzie właściwie jest?

Pokój, w którym się obudziła, był duży i całkiem obcy. Podłoga z czarno-białych marmurowych płytek ciągnęła się aż do otwartych przeszklonych drzwi, z zasłonami kołyszącymi się na wietrze wiejącym z balkonu. Gdzie była? Czy to możliwe, że jeszcze się nie obudziła i tkwi uwięziona w jednym z tych dziwacznych rojeń, które przypominają rosyjskie lalki - matryoski? Człowiek myśli, że to już jawa, a tymczasem wciąż leży otulony snem?

Uniosła się na stosie poduszek, by lepiej zbadać otoczenie. Poczuła, że głowę wciąż ma ciężką. Nieważne, jak długo spała, sen jej nie odświeżył. Nadal była otępiała. Na szafce przy łóżku stała karafka z wodą, więc nalała sobie trochę. Woda wydawała się cudownie chłodna. W kilku łykach wypila zawartość szklanki i napelniła ją ponownie. Pijąc, rozglądała się po pokoju.

Był jasny i przestronny. Stała tu wysoka, mahoniowa ozdobna szafa z lustrami, w których odbijała się komoda z tego samego kompletu. Po drugiej stronie dostrzegła toaletkę wykonaną z lustrzanego szkła, od którego światło odbijało się ku środkowi pomieszczenia. Wysoka biblioteczka była pełna książek, ale na szyby drzwiczek padały jasne promienie, przez co szklane panele wydawały się nieprzezroczyste i nie pozwalały odczytać tytułów na grzbietach. Na ścianach wisiały mapy nawigacyjne i obrazy przedstawiające stare statki. Nad komodą umieszczono wyjątkowo piękny drzeworyt żaglowca.

Grace odrzuciła pościel, by wstać i przyjrzeć się wszystkiemu dokładnie. Głowa wciąż jej ciążyła, ale oprzytomniała na tyle, by zrozumieć, że jest w pokoju przydzielonym jej na kwatery w Akademii Piractwa.

Stała, patrząc na statek; w umyśle dziewczyny zbudziło się dalekie wspomnienie. Na dole obrazka widniało słowo „Peauod”... Oczywiście! Rozpoznała statek wielorybiczny z Moby



Dicka. To była jedna z ulubionych ksiązek ojca i czytał ją dzieciom kilka razy. Miał piękne stare wydanie z drzeworytami takimi jak ten. Może w biblioteczkę znajdzie się egzemplarz...

Przeszła po chłodnych marmurowych płytkach. Oszklone drzwiczki były zamknięte, ale kluczyk tkwił w zamku. Przekreśliła go i zapadka odskoczyła. Drewno było trochę wypaczone i musiała mocno szarpnąć, by otworzyć szafkę.

Półki były pełne ksiązek. Niektóre z nich знаła - na przykład Moby Dicka, chyba w tym samym wydaniu, które miał ojciec - ale większość tytułów nic jej nie mówiła. Wzrok Grace przyciągnął oprawiony w skórę wolumin zatytułowany Żywoty najslawniejszych piratów. Grzbiet z granatowego płótna ozdobiony był złotym konturem czaszki i skrzyżowanych kości oraz statku na morzu. Sięgnęła po tom i przekonała się, że umieszczony jest w pudełku - musiał być stary i bardzo cenny. Ostrożnie wyjęła go i otworzyła poźółtkie stronicę.

Nagle usłyszała hałas, jakby czyjeś kroki. Obejrzała się i aż podskoczyła, widząc po drugiej stronie pokoju dziewczynę. Tamta wydawała się równie zaskoczona widokiem Grace. Przez chwilę stały nieruchomo, w milczeniu mierząc się wzrokiem. Z wolna Grace uświadomiła sobie, że patrzy na własne odbicie w lustrzanych drzwiach szafy. Poczula się wyjątkowo głupio. Musi być ciągle półprzytomna... Podeszła bliżej do lustra... Wyglądała fatalnie: zaczerwienione oczy, włosy sterczące na wszystkie strony... Wciąż trzymając ksiązkę, uniosła wolną rękę, by przygładzić niesforne pasma włosów w jakąś imitację porządku.

Potrzebowała jednak do tego obu rąk. Ostrożnie położyła gruby tom na podłodze i wróciła do lustra. Układała włosy tak długo, aż uznała, że efekt jest zadowalający. Oczywiście, Darcy kręciłaby nosem, pomyślała z uśmiechem. „Młoda dama powinna co wieczór sto razy przeczesać włosy szczotką”, powiedziała jej kiedyś. Grace próbowała zastosować się do tej rady, ale znudziła się, potem straciła rachubę, a w końcu zachciało jej się spać. Zupełnie jak teraz.

Już po kilku minutach stania czula się tak zmęczona, jak wczoraj wieczorem. Zupełnie jakby znalazła się znów na statku wampiratów podczas początkowych dni. Zresztą gdyby za firankami nie widziała balkonu, a dalej zatoki, mogłaby sobie wyobrazić, że naprawdę jest na statku. Jej wzrok chciwie chłonał turkusową barwę połyskującej w blasku słońca wody. Z kierunku padania promieni wywnioskowała, że jest ranek.

Czując ogarniającą ją senność, postanowiła, że usiądzie albo nawet położy się na chwilę. Może zdoła coś poczytać, zamiast po prostu zasnąć... Schyliła się po ksiązkę, podniosła ją i

niepewnie ruszyła do łóżka. Rzuciła się na materac, zamknęła oczy... i wydało jej się, że się porusza. Łóżko się poruszało.

Leżała nieruchomo, a ręce i nogi wydawały się ciężkie jak głazy. Ruchy łóżka stawały się coraz bardziej odczuwalne. Wrażenie było równocześnie znajome i całkiem nowe... Uświadomiła sobie nagle, że chyba wraca na statek wampiratów, tyle że tym razem zanieśie ją tam łóżko.

Ku jej zdumieniu żelazny mebel uniósł się, zawisł kilka centymetrów nad marmurową podłogą, a potem - nabierając prędkości - ruszył w stronę balkonu. Ale przecież łóżko jest za szerokie, by zmieścić się w wąskich drzwiach... Grace wstrzymała oddech i zamknęła oczy, oczekując zderzenia, ale albo łóżko się zwężiło, albo drzwi balkonowe poszerzyły, gdyż po chwili patrzyła już na nie z drugiej strony. Łóżko wzniosło się wyżej i przefrunęło nad tarasem. Grace usiadła. Czowała się pewniej niż przed chwilą, gdy łóżko stało jeszcze na podłodze. Wypełniała ją nowa energia i mogła rozkoszować się podmuchem wiatru na twarzy i oszałamiającym widokiem na ogrody Akademii. Dostrzegła drzewo jacarandy, a tam, nad brzegiem, aulę wykładową. Wzdłuż brzegu biegła grupa studentów. Grace pamiętała, że kapitan Płatonow wspominał o porannej przebieżce... Poszukała wzrokiem Connora, ale wszyscy byli jednakowo ubrani, a ona znajdowała się już zbyt wysoko, by go rozpoznać. Ciekawe, co by pomyśleli biegnący, gdyby spojrzeli w górę i ją zobaczyli. Miała nadzieję, że tak się nie stanie, ale jakaś jej cząstka pragnęła, by Connor był świadkiem tego niezwykłego lotu.

Po kilku sekundach łóżko niezauważone przeleciało nad brzegiem i pomknęło dalej, nad portem, nad kamiennym łukiem, ku otwartemu oceanowi. Prędkość ciągle wzrastała. Łąd przesuwał się w dali jak podczas ostatniej podróży Grace. Ocean zlewał się ze skałami, a te z niebem w jednej ciągłej smudze blasku.

Potem ogarnęła ją mgła, chłodna i gęsta jak świeżo spadły śnieg. Zrobiło się zimno, więc odruchowo objęła się ramionami. Ale ani przez chwilę nie marzła. Płynęła w tej mgle, pozwalając, by oblewały ją miękkie smugi. Nazbyt szybko jednak mgła zaczęła się rozwiewać...

Grace znowu znalazła się w pomieszczeniu, nadal w łóżku - nie leżała jednak na nim normalnie, ale unosiła się kilka centymetrów nad materacem. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła jedwabne zasłony. Ozdobne hafty wydawały się znajome. Zrozumiała, że to już nie łóżko z Akademii, ale łoże w jej kajucie na statku wampiratów. Jakby nigdy stąd nie odchodziła.

Tyle że nie paliły się świece. W każdym razie nie wszystkie. Kiedy mieszkała w tej kabinie, zawsze, dniem i nocą, otaczały ją płonące świece. Teraz widziała tylko jedną - w szklanym naczyniu na nocnej szafce. To kazało się jej zastanowić... Świece zawsze były tajemnicą. Nigdy się nie wypalały i nawet kiedy myślała, że je zgasiła, same rozjarzały się na nowo. Nie miała nad nimi kontroli. Ale co może oznaczać to, że teraz pali się tylko jedna?

Zeskoczyła z łóżka, by jak najszybciej odnowić znajomość z kajutą. Tam stało małe biurczko. Odchodząc, zabrała z niego kilka piór i notesów, a te, które pozostały, leżały w nieładzie, rozrzucone po całym blacie. Kubek, w którym były umieszczone, spadł na podłogę. Grace sięgnęła po niego odruchowo. Lecz tak jak poprzednio, nie mogła dotknąć niczego na statku. Beład musiał pozostać.

Po drugiej stronie kajuty też panował bałagan. Szczotka do włosów i inne drobiazgi spadły z toaletki. Statek musiał żeglować po wzburzonych wodach, skoro zapanował taki chaos. Poduszki spadły z łóżka na podłogę. Grace schyliła się raz jeszcze, by posprzątać, ale palce chwyciły tylko pustkę.

Zauważyła gramofon i leżący obok stos starych płyt. Jedna wirowała na talerzu, choć do tej chwili nie słyszała żadnych dźwięków. Kobięcy głos - dziwnie znajomy - śpiewał przy wtórze skrzypiec i trzasków starego nagrania:

*Chciałabym cię zapomnieć, naprawdę bym chciała,  
ale zapomnieć ciebie to jak zapomnieć własne imię...*

Jak mogła nie słyszeć piosenki, kiedy zjawiła się w kajucie? Być może mgła blokowała nie tylko wzrok, ale i słuch, utrzymując ją jakby w uśpieniu, dopóki nie dokonała swej niezwykłej magii? Teraz jednak śpiew wypełnił pomieszczenie. Głos kobiety był wysoki i czysty.

*Ale zapomnieć ciebie to jak zapomnieć uśmiech, to jak zapomnieć o darze mowy...*

Grace podeszła do gramofonu i przyjrzała się wirującemu czarnemu krążkowi. Spróbowała odczytać napis na etykiecie. Nie była pewna, ale zdawało jej się, że rozpoznaje nazwisko.

*Usiadła na łóżku i czekała, aż piosenka się skończy.*

*Tak, zapomnieć o tobie to gorzej, o wiele gorzej niż gdyby nigdy cię nie spotkać.*

Krążek zwolnił wreszcie i po chwili znieruchomiał. Grace spojrzała i przekonała się, że miała rację.

*Panna Darcy Flotsam z towarzyszeniem Royal Palm Revue śpiewa Pieśń miłości.*

Grace uśmiechnęła się. A więc Darcy Flotsam wydała kiedyś płytę... Dziwnie było słuchać śpiewu przyjaciółki z tego starego nagrania. Winyłowa płyta miała ponad pięćset lat! Aż dziw, że przetrwała. Zastanawiała się, w jakim stopniu głos uległ zniekształceniu i nagle uświadomiła sobie, że ani razu nie słyszała, jak Darcy śpiewa. Przy następnej okazji będzie musiała ją poprosić.

I wtedy po raz pierwszy zauważyła, że nie jest w kajucie sama. Tym razem wzrok jej nie mylił - nie było tu żadnych lusterek. Grace była też w pełni przytomna, może nawet w stanie podwyższonej wrażliwości. A tam, widziała wyraźnie, stało krzesło...

I siedział na nim Lorcan. Jak mogła go wcześniej nie zauważyć? Wydawał się uśpiony, otulony w koc, który musiał ściągnąć z łóżka. Chyba nie było mu wygodnie - jedną rękę opuścił z boku, drugą zakrywał oczy i czoło.

Grace zbliżyła się. Oddech Lorcana był nierówny, przyspieszony, jakby chłopca dręczył zły sen. Czy powinna go obudzić? Wydawało się, że śpi mocno, skoro nie przeszkodziło mu ani jej przybycie, ani śpiew Darcy. Patrzyła na niego w nadziei, że sam się przebudzi. Tak bardzo chciałaby zobaczyć jego niebieskie oczy... ich widok zawsze niósł jej ukojenie. Ale kiedy ostatnim razem odwiedziła statek, twarz miał odwróconą i skrytą w cieniu. Teraz Grace była równie rozczarowana, że jego oczy są zasłonięte ramieniem. Och, gdyby się tylko obudził...

Cofnęła się i usiadła na rogu łóżka. Obserwowała Lorcana tak, jak w dawnych czasach on ją obserwował. To dziwne uczucie patrzeć, jak ktoś śpi. Jakby była natrętem, jakby podglądała go, gdy był najbardziej bezbronny. Kiedy człowiek przygląda się śpiącemu, zaczyna się zastanawiać - choćby przez moment - czy on nie umarł, a potem gorączkowo wypatruje oznak życia.

Głos Cheng Li zabrzmiał Grace w głowie, przypominając o pytaniach, które powinna zadać Lorcanowi. Kiedy siedziała z Cheng Li w swoim pokoju w Akademii, uznała za całkiem logiczne, że musi z Lorcanem i innymi wyjaśnić kilka kwestii. Teraz jednak, gdy znalazła się tutaj, wszystko to nie wydawało się już takie ważne. Chciała tylko, żeby otworzył oczy.

Nagle Lorcan stęknął głośno i poruszył się. Czyżby się budził? Nie, po prostu osiągnął nową fazę snu, gdyż przyjął inną pozycję na krześle - ale zaraz potem znieruchomiał tak nagle, jakby bawili się w posągi. Ręka zsunęła się z czoła i teraz zwisała z boku. Mroczny cień padł na jego twarz. Grace pochyliła się i zrozumiała przerażona, że to wcale nie cień. To był ciemny siniec, rozciągający się wokół oczu chłopca, fioletowy na brzegach, ale bliżej środka ciemny,

prawie czarny. Brwi były nadpalone i - Grace zrobiło się słabo na ten widok - na powiekach i pod oczami bladą skórę pokrywały pęcherze i oparzenia. Wydawały się nieznośnie bolesne.

Coś ścisnęło jej serce... Przypomniała sobie, jak ostatnim razem próbował ukryć przed nią tę ranę. Dlatego, choć wpuścił ją do swojej kajuty, pozostawał w mroku i odwracał twarz. Chronił Grace, jak zawsze.

Ledwie mogła znieść ten widok. Raz jeszcze zerknęła, ale okazało się to zbyt trudne. Odwróciła się i zaszlochała.

Ręka sięgnęła do jej ramienia.

- Grace?

- Och, Lorcanie...

Odwróciła się do niego powoli. Spodziewała się, że otworzy oczy, ale nie, nadal były zamknięte, choć był już przytomny.

- Grace, co ty tu robisz?

Zdziwiła się. Więc to nie on ją tu przywołał?

- Mniejsza o mnie - powiedziała. - Co z tobą?

Nie mogła powstrzymać wzbierających pod powiekami łez. Ale musi z nimi walczyć. Musi być silna - dla niego. Szukała jakichś słów, które pozwolą jej się uspokoić.

- Co robisz w mojej kajucie? - spytała, próbując się uśmiechnąć.

Uśmiechnął się blado, unosząc oba kąciki ust, ale oczy wciąż miał zamknięte.

- O rany, ależ jesteś samolubna... Przychodzę tu czasem... żeby pomyśleć... o różnych sprawach.

- I posłuchać płyt?

- Darcy ma ładny głos, prawda?

- Tak - zgodziła się Grace. - Bardzo ładny.

- Powinnaś posłuchać, jak śpiewa na żywo.

- Lorcanie... - Nie mogła dłużej się powstrzymywać. - Lorcanie, co się stało z twoimi oczami?

Nie odpowiedział. Wzruszył tylko ramionami.

- Powiedz...

- Nie jest tak źle - zapewnił. - Z czasem się zagoi.

Raz jeszcze odważyła się spojrzeć na jego twarz.

- Rana wygląda tak świeżo... Nie możesz otworzyć oczu, nawet troszeczkę?

- Jeszcze za bardzo boli. Ale naprawdę nie powinnaś się tym martwić.

- Jak długo są w takim stanie? - zapytała, choć była pewna, że zna odpowiedź. - Co się stało?

Jakby musiała pytać...

Milczał. Podniósł tylko rękę i zasłonił ranę. Nie była pewna, czy chce jej oszczędzić tego widoku, czy może nawet słabe światło jednej świecy jest dla niego za ostre.

- To się stało trzy miesiące temu, prawda? - Musiała to powiedzieć. - Tego ranka, kiedy Connor wszedł na statek. Darcy uderzyła w Dzwon Świtu, ale ty zostałeś na pokładzie, choć robiło się już widno. Zostałeś... żeby mnie bronić. - Grace była bliska płaczu. - To moja wina!

- Nie, Grace. To niczyja wina.

- Właśnie że tak. Nie możesz wychodzić na dzienne światło. Tylko kapitan może. Ale ty wyszedłeś i zostałeś... przeze mnie.

- Potrzebowałam mnie.

Potrząsnęła głową. Jest człowiekiem tak honorowym... Tyle że nie jest człowiekiem, przypomniała sobie. Jest nieśmiertelny. Wampiry żyją wiecznie. I teraz, z jej powodu, Lorcan może przez całą wieczność będzie ślepy.

A potem wpadła jej do głowy następna straszna myśl. Co się dzieje, kiedy wampir dozna tak poważnych obrażeń? Czy Lorcan może umrzeć po raz drugi?

Serce biło jej jak oszalałe, w głowie się kręciło. Musiała zobaczyć się z kapitanem. On na pewno zna odpowiedź. Ale dlaczego pozwala, by Lorcan tak cierpiał? Kiedy była tu poprzednio, Lorcan mówił, że moce kapitana poddawane są próbie. Czy to oznacza, że nawet on nie potrafi nic zrobić? To okropne, zbyt okropne.

Znowu spojrzała na Lorcana, ale mgła zaczęła już go przesłaniać. Rozpaczliwie wyciągnęła do niego rękę. Choć jej nie widział, musiał wyczuć gest, bo także sięgnął ku niej. Jednak ich palce nie mogły się dotknąć - dzieliła ich niewidzialna bariera. Mgła opadała coraz szybciej.

- Nie! - krzyknęła Grace. - Jeszcze nie! Nie mogę teraz odejść!

Ale mgła stała się już tak gęsta, że dziewczyna przestała go widzieć. Ciągłe wyciągała rękę, choć w głębi serca wiedziała, że to na nic. Po chwili zaczął się ruch, który pchnął ją w tył,

oderwał od Lorcana. Czują, jak pędzi w powietrzu, tym razem bez łóżka, jak gdyby surfowała ciałem na wielkiej fali.

Ale dlaczego, myślała. Dlaczego odchodzę stamtąd akurat wtedy, kiedy powinnam zostać?

Te myśli wciąż krążyły jej po głowie, kiedy otworzyła oczy i przekonała się, że znów jest w swoim pokoju w Akademii. Leżała wyciągnięta na łóżku, na poduszce i kołdrze.

Usłyszała pukanie do drzwi, a z jego gwałtowności wywnioskowała, że ktokolwiek tam czeka, dobija się już od dłuższej chwili.

- Proszę - zawołała, siadając.

- Grace!

Connor wbiegł do pokoju, przeszedł do balkonu i rozsunął zasłony. - Grace, co ty jeszcze robisz w łóżku? Jest piękny rano. Pobiegałem sobie i... - Wreszcie spojrzał na siostrę. - Wyglądasz okropnie. Co się stało?

Grace westchnęła i zsunęła nogi na podłogę.

- Spałam dość niespokojnie. To chyba... chyba przez to jedzenie na wczorajszym bankiecie.

Connor parsknął śmiechem.

- Wiesz co? Idź i weź prysznic, ale szybko. Dostaliśmy zaproszenie na zajęcia z węzłów u kapitan Quivers. Dla młodszych lat, ale powinno być zabawnie. No chodź, Grace! Ruszaj się! Nie chcemy chyba spóźnić się na śniadanie!

Grace popatrzyła na brata. Nie miał pojęcia, przez co przechodziła. Chciałaby mu opowiedzieć, ale nie mogła. Jeszcze nie. Nie zrozumiałby. Nie lubił słuchać o wampirach. Lepiej, żeby całą energię poświęcił zajęciom w Akademii. Nie wszystko naraz, powiedziała sobie. Kiedy będzie już pewna, że nie wróca na Diabło, wtedy - i dopiero wtedy - spróbuje mu opowiedzieć o swoich przygodach.

# Rozdział 22

## Węzły

Jacoby, Jasmine i kilku innych studentów przyłączyło się do nich na tarasie przy śniadaniu. Dzień był słoneczny i ciepły. Grace była zadowolona, że zdążyła zabrać okulary słoneczne, kiedy Connor w przyspieszonym tempie wypychał ją z pokoju.

Jacoby rozmawiał z nią przyjaźnie, a ona starała się mu odpowiadać, choć oczywiście jej myśli krążyły daleko od Akademii. Jacoby'emu najwyraźniej wcale to nie przeszkadzało. Był chyba najswobodniejszy z towarzyszy. Grace nie miała apetytu; raczej bawiła się rogalikiem i szklaneczką soku, podczas gdy młodzi ludzie wokół szerzyli spustoszenie wśród omletów, jajek sadzonych, bekonu, kiełbasek i owoców.

- Lepiej ruszajmy - rzekł Jacoby, kiedy zadźwięczał dzwonek.

Grace skojarzył się z Dzwonem Świtu na statku wampiratów - którego dźwięk nakazywał wampirom powrót pod pokład, a który Lorcan zignorował, by ją ratować. Czuła się winna, że sama nosi słoneczne okulary; myślała o tym, jak bardzo jest bezpieczna w porównaniu z przyjacielem... Przyjacielem, który tak przez nią cierpi.

- Mówiłeś, że gdzie najpierw zawijacie do portu, Connor? - Wesół głos Jacoby'ego przerwał jej ponure myśli.

Czuła się samotna i w pochmurnym nastroju, choć przebywała w tak słonecznym towarzystwie.

- Węzły u kapitan Quivers - odparł Connor.

Jacoby zaśmiał się.

- Widzę, że każą wam zaczynać od podstaw. No dobra, zaprowadzę was na miejsce. Chodź, Grace. A przy okazji, jak ci idzie z łapaniem marszpiłka?

Grace spojrzała na niego zdziwiona przez ciemne szkła.

- Hm... - mruknął. - Chyba wypijaś za mało kawy.



Kilka minut później Jacoby doprowadził Connora i Grace - przez jedną z macek Ośmiornicy - do niewielkiej, słonecznej sali pełnej niskich stolików i podnieconych dzieciaków, wydających z siebie donośne dźwięki, jak zwykle dzieci w słoneczny ranek. Grace pomyślała, że wewnątrz budynku powinna chyba zdjąć okulary. Zrobiła to i jej wzrok zaatakowały jaskrawe kolory, widoczne na każdym kroku - od dziecięcych rysunków i kolaży na ścianach po ustawione na półkach figurki morskich stworów. Kiedy uniosła wzrok, zobaczyła, że uczniowie wykonali nawet własny mobil z mieczy, naśladujący szklane gabloty pod kopułą rotundy. Każdy namalował swój wymyślony miecz i z dumą podpisał go własnym nazwiskiem. „Kapitan Samara Pescudo z Małtemi” przeczytała z uśmiechem Grace.

W przedniej części sali kapitan Quivers rozdawała koszyki kolorowych sznurków dzieciom w wieku - według oceny Grace - od sześciu do siedmiu lat. Obok jeden z uczniów wręczał każdemu z kolegów coś w rodzaju cienkiego wałka. Potem wszyscy biegli z powrotem na miejsca.

Kapitan Quivers podniosła głowę, zauważyła nowo przybyłych i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, moi drodzy. Jak samopoczucie w taki piękny dzień?

- Doskonałe - zapewniła Grace niezszczerze. Lubiła kapitan Quivers. - Dziękujemy, że pozwoliła nam pani wpaść na te zajęcia.

- Wpaść to właściwe określenie. Piętnastu najmłodszych i tyle lin... Mam nadzieję, że dacie sobie radę z rozplątywaniem węzłów. - Zaśmiała się.

- Zajmijcie wolne miejsca, kochani. - Zwróciła się do uczniów. - Skoro macie już wałki węzłowe, umocujcie je na stolikach. No dalej, na pewno umiecie już zrobić to bez pomocy. Pokażcie naszym gościom, jacy jesteście bystrzy i samodzielni.

Grace i Connor przyglądali się, jak dzieci wsuwają wałki w otwory blatów. Tworzyły niewielkie maszty sterczące przed nimi. Bardziej pilni uczniowie układali równo na stolikach kawałki kolorowych linek. Grace wyczuwała budzącego się ducha współzawodnictwa między przyszłymi piratami. Uśmiechnęła się do Connora, kiedy zajmowali miejsca. Zaczynała już wracać do życia, do Akademii.

- No dobrze - zawołała kapitan Quivers. - Wszyscy gotowi? W takim razie weźcie niebieskie linki i zawiążcie węzeł zwykły.

Dzieci natychmiast wykonały polecenie, zgrabnie wiążąc kawałki liny na sterczącym pręcie.

- Brawo. A teraz weźcie czerwoną i zróbcie ósemkę.

Dzieci znów wzięły się do pracy.

Kapitan Quivers rozglądała się po sali, zachęcająco kiwając głową.

- Pamiętaj, Nile, równo i mocno - zwróciła się z uśmiechem do jednego z młodszych chłopców.

Skinął głową i mocniej zaciągnął linę.

- A teraz... - Kapitan Quivers zawiesiła głos.

Dzieci wstrzymywały oddech z podniecenia, czekając, jaki kolor i jaki typ węzła będzie następny. Grace stłumiła chichot.

Przyjemnie było patrzeć na taki dziecięcy entuzjazm; nagle poczuła się staro. Mam dopiero czternaście lat, pomyślała. Nie tak dawno sama chodziłam na lekcje. Ale teraz... Teraz mogłaby równie dobrze mieć tyle lat, co kapitan Quivers, taka przepaść doświadczeń dzieliła ją od tych dzieci z szeroko otwartymi oczami -...weźcie zieloną linę i zróbcie węzeł płaski.

I natychmiast zielone linki zafalowały w powietrzu, a małe palce bez trudu wykonały ostatnie polecenie kapitan Quivers.

- Ślicznie, ślicznie. Dzisiaj, moi drodzy, mamy dwoje szczególnych gości. Niech wszyscy przywitają rodzeństwo Tempestów. Grace i Connor przybyli do nas z wizytą z bardzo sławnego pirackiego statku z Diabła. Tak jest, z Diabła. Czy ktoś wie, kto jest kapitanem tego statku?

Natychmiast wystrzeliły w górę dłonie; niektóre dzieci wyraźnie narażały się na naciągnięcie mięśni.

- Proszę, Mika.

- Kapitan Molucco Wrathe - oznajmiła dziewczynka z idealną dykcją.

- Zgadza się, Mika. Brawo. Opuśćcie ręce.

W sali zabrzmiały podniecone szepty, kiedy uczniowie po raz pierwszy naprawdę zwrócili uwagę na Grace i Connora.

- Ponieważ są z nami dzisiaj, pomyślałam, że może chcielibyście zrobić sobie małą przerwę od wiązania węzłów i zadać im kilka pytań o życie na prawdziwym pirackim statku. Oczywiście, jeśli się zgodzą.

Kiedy obejrzała się na Grace i Connora, dzieci już podnosiły ręce.

- Jaki jest kapitan Wrathe? - zapytał jasnowłosy chłopiec, siedzący w pierwszym rzędzie.

- Dobre pytanie, Luc - pochwaliła go kapitan Quivers.

- To niezwykle człowiek - odparł Connor. - Przypomnijcie sobie wszystkie zadziwiające historie o nim, które na pewno znacie... A przecież jest jeszcze kilka o których nie mogliście słyszeć.

- Czy to prawda, że ma oswojonego węża?

- Absolutnie. Ma na imię Scrimshaw i mieszka we włosach kapitana.

W całej sali rozległo się chóralne westchnienie podziwu i czyjś głośny szept: „A mówiłem!”

Kapitan Quivers wskazała kolejną dziewczynkę.

- Proszę, Samaro, o co chciałabyś zapytać?

- Mam pytanie do Grace: czy zawsze chciałaś zostać piratem? Grace pokręciła głową. - Nie, właściwie nie. To się stało dość przypadkowo. Dziewczynka była chyba rozczarowana. - A czy ty zawsze chciałaś być piratem? - zapytała ją Grace. - O tak. - Samara kiwnęła głową. - Nazywam się Samara Pescudo i kiedyś będę kapitanem, tak jak mama i tata.

Inne dzieci także przytakiwały. Dobrze je wychowano, uznała Grace.

- Czy często walczyłeś? - spytał Connora jeden z chłopców.

- Tak. Na statku przez cały czas trzeba być gotowym do obrony i ataku.

- A jakiego miecza używasz? - zawołał inny, zbyt podniecony, by pamiętać o podniesieniu ręki.

- Rapiera.

- Tylko rapiera?

- Tylko - potwierdził Connor.

- Na ogół uczymy tu walki przynajmniej dwoma typami mieczy - wyjaśniła kapitan Quivers. - Trochę później możecie zobaczyć tę grupę w akcji.

Grace była nieco zaszokowana. Czy te dzieci nie były jeszcze za małe, żeby bawić się mieczami?

- Dziś po południu mamy warsztaty szermiercze - poinformował Connora któryś z chłopców. - Przyjdiesz popatrzeć?

Connor wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. A chcielibyście?

- Tak! - Chłopczyk rozpromienił się. Inni potwierdzili chórem.

- Dzisiejsze warsztaty są dość szczególne - wyjaśniła kapitan Quivers. - Warto będzie je obejrzeć. Przygotowaliśmy dla naszych młodych piratów pewną niespodziankę.

- Jaką niespodziankę, kapitan Quivers? - To znów młoda Samara.

- Przecież gdybym wam powiedziała, to nie byłaby niespodzianka, prawda?

- Na pewno dzisiaj dostaniemy miecze!

- Nieźle kombinujesz, Luc, ale nie powiem ani słowa. Usta mam zapieczętowane. - Kapitan Quivers wykonała gest, jakby zasuwiała wargi na zamek błyskawiczny.

- Albo dostaniemy dzisiaj miecze, albo pan Tempest coś nam pokaże, albo co...

- No cóż, musicie poczekać, to sami się przekonacie. A teraz, czy macie jeszcze jakieś pytanie do Connora i Grace, czy też wracamy do węzłów?

Podniosła się jedna ręka. - Tak, Mika? - Powiedz nam, Connor, jakich węzłów używacie na Diabłu? - Prawdę mówiąc - odparł z uśmiechem Connor - znam tylko kilka podstawowych: ósemkę, węzeł refowy, szotowy... Na pewno pokonalibyście mnie bez trudu.

Dzieci wybuchnęły śmiechem.

- Może zrobimy próbę, co? - zaproponowała kapitan Quivers. Wręczyła Connorowi koszyk i wałek.

- Tutaj masz liny, Connorze. A tu dla ciebie, Grace.

- Podała Grace drugi zestaw. - Teraz pokażę wszystkim nowy, bardzo użyteczny węzeł. Nazywa się chwyt rożkowy i służy do przytrzymywania rożka, czyli marszpikla...

Można sobie wyobrazić gorsze zajęcia w słoneczny ranek niż siedzenie z grupą ożywionych dzieci i zabawa z kolorowymi linkami, myślała Grace. Dzieci tworzyły wesołą i zabawną grupkę, a Mika, z którą siedziała, okazała się wręcz cudowna. Miała zaledwie siedem lat, ale już była urodzoną nauczycielką. Cierpliwie pokazywała Grace sposób wiązania kolejnych węzłów, jakich wymagała kapitan Quivers: chwytu rożkowego, bosmańskiego czy pętli niezaciągającej.

Nie była pewna, czy to ciepła klasa, czy przyjazna atmosfera, jaką stworzyła kapitan Quivers, czy po prostu niepohamowana żywotność dzieci sprawiły, że doskonale się bawiła - po raz pierwszy od bardzo dawna. Współzawodnictwo w wiązaniu węzłów pozwoliło jej na chwilę zapomnieć o trudnych dylematach, z jakimi musiała się zmierzyć. Może chodziło o samą prostotę wybierania kolorowych linek i skręcania ich w węzły. Czasami wychodziły prawidłowo od

pierwszego razu, a czasem nie. Ale nawet wtedy nie było dramatu - wystarczyło rozplątać linkę i spróbować jeszcze raz. Gdyby tylko życie było takie proste...

Grace poczuła nagle ogromną sympatię do Miki i innych dzieci. Rozejrzała się, obserwując gorliwych pirackich uczniów, już tęskniących do zalanych słońcem mórz i prostych przygód. Wszystko tutaj wydawało się takie bezpieczne - wiązanie kolorowych węzłów, robienie plastelinowych modeli statków czy ośmiornic albo mobilii z mieczami, a nawet pływanie z kapitanem Averym w małych łódkach po zatoce. Ale za portowym falochronem czekał na nich całkiem inny świat - świat, jakiego Grace w ich wieku nie umiała sobie nawet wyobrazić. Ten świat ich zmienił, tak jak zmienił ją i Connora.

Zerknęła na brata i z rozbawieniem odkryła, jak męczy się z kolorowymi linkami. Wydawało się, że naprawdę wszystko poplątał, i teraz pomagała mu dwójka młodych uczniów. Być może chciał tylko zrobić im przyjemność. Dobrze było widzieć, jak się śmieje i żartuje z dziećmi w pomieszczeniu, gdzie miecze zrobione są wyłącznie z kartonu i nie mogą nikogo poranić.

Nagle Grace uświadomiła sobie, że smutek wcale nie wypełnia jej z powodu tego, co czeka te dzieci w przyszłości. Żałowała zupełnie innych dzieci - dwójga dzieci, które zmuszone okolicznościami zbyt szybko musiały dorosnąć.

# Rozdział 23

## Małe gołąbki

Kiedy odezwał się dzwonek na popołudniowe zajęcia, Jacoby zaprowadził Grace i Connora przez zalane słońcem ogrody w stronę kompleksu treningowego. W jasnej, wysokiej sali znaleźli Cheng Li, która zmieniła swoje zwykłe ubranie na białe. Była boso.

Nie odwróciła się, by ich przywitać, więc najpierw dostrzegli dwie bliźniacze katany, umocowane na jej plecach niby skrzydła. Twarz pochylała nad misą kadzidła, w dłoni trzymała niedużą, oprawną w skórę książeczkę.

- Usiądźcie, proszę, z boku - rzuciła, nie odwracając głowy.

Jacoby zdjął buty i zachęcił bliźnięta do tego samego. A potem cała trójka skręciła do rzędu siedzeń z boku.

Cheng Li przeszła po pokrytej matami podłodze i zapaliła kadzidło w drugiej miseczce. Zaczekała, aż wzniesie się dym.

Szkolny dzwonek zadźwięczał po raz drugi. Po chwili do sali weszło piętnaścioro dzieci z pierwszego roku, wszystkie ubrane na białą, jak ich instruktorka. Wyglądały tak słodko... Jak małe gołąbki, pomyślała Grace, kiedy zajęły pozycje na matach - choć zamiast skrzydełek miały na plecach umocowane pasami po dwa krótkie kawałki bambusa.

Kiedy już stanęły w równych odstępach, Cheng Li odwróciła się i przemówiła cicho.

- Najpierw skoncentrujcie uwagę na głowie. Nie może być pochylona do przodu ani do tyłu. Nie przekrzywia się na boki. Płynie w sposób doskonały, jak kula księżycyca w pełni. - Przerwała. - Wasze oczy nie spoglądają w lewo ani w prawo, ale skierowane są do przodu. Pole widzenia rozciąga się od środka na boki, nie trzeba poruszać oczami. Za czujnymi oczami, za powiekami, tkwi oko, które widzi głębiej we wszystkich sytuacjach, jakie mogą się zdarzyć. Użyjcie teraz tego wszechwidzącego oka.

Dzieci stały nieruchomo jak posągi. Instruktorka przechodziła między nimi spokojnie, niczym lekka bryza wśród kwiatów.

- Niech teraz wasza uwaga skoncentruje się na szyi i ramionach...

Cheng Li prowadziła dzieci przez kolejne etapy, aż w pełni kontrolowały ciała. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by delikatnie przekręcić komuś szyję czy poprawić ułożenie grzbietu. Grace była zdumiona, jak doskonale uczniowie kontrolują swe ciała. Albo byli naturalnie utalentowani, albo już wcześniej przeszli intensywny trening. W każdym razie wyglądali imponująco. Na zajęciach u kapitan Quivers wciąż jeszcze byli dziećmi. Tutaj wydawało się, że Cheng Li lepi z gliny wojowników.

- Teraz opuście ramiona, plecy prosto... nie wypinać siedzień... przenieście energię z kolan do przednich części stóp. Wysuńcie brzuchy, żeby biodra nie były zgięte.

I znowu młodzi piraci dokonali minimalnych korekt postawy, by wypełnić polecenia Cheng Li. Kiwając głową, wróciła na miejsce przed grupą.

- Jestem pod wrażeniem. Dobrze opanowaliście lekcje. Położyliście fundament pod to, by stać się nie tylko piratami, ale i wojownikami. - Odwróciła się i sięgnęła po książeczkę, którą trzymała wcześniej. - Teraz zajmiemy się nową taktyką ataku. Podzielcie się na grupy...

Dzieci sprawnie ustawiły się w nowym szyku.

- Dzisiaj poznamy inną technikę odbicia klingi przeciwnika - oznajmiła Cheng Li. - Najpierw pokażę wam, jak wykonać cięcie z góry po przekątnej.

Dzieci zaszeptały z podnieceniem. Cheng Li kontynuowała instruktaż.

Grace pochyliła się do Jacoby'ego.

- Czy te dzieciaki nie są jeszcze za małe, żeby się uczyć cięć po przekątnej? - spytała.

Jacoby uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

- To kluczowe elementy - zapewnił. - Kiedy wrócą na statki rodziców, muszą umieć się bronić.

- No tak - przyznała Grace. - Rozumiem. Ale przecież mają... ile? Siedem, osiem lat? Czy nie powinny wciąż się bawić jak normalne dzieci?

Jacoby znów pokręcił głową.

- To nie są normalne dzieci, Grace. Zostały wybrane, by w przyszłości stać się władcami oceanów.

Pewnego dnia każde z nich będzie dowodzić flotą. Muszą zaczynać wcześniej. Poza tym, czy one wyglądają, jakby źle się bawiły?

Nigdy w życiu! I chyba to właśnie najbardziej niepokoiło Grace. Na jej oczach Mika, Samara, Nile, Luc i pozostali przekształcili się z rozbawionej gromady, jaką poznała rano, w maleńkie maszyny do zabijania. Kiedy wymachiwały swoimi bambusowymi kijami w górę i w dół, przypominały zabójcze mechaniczne zabawki.

- Co ty o tym sądzisz, Connor? - spytał Jacoby.

Connor nie odpowiedział. W skupieniu obserwował dzieci i rękami naśladował ruchy, jakie demonstrowała Cheng Li z katanami.

Jacoby uśmiechnął się, ale Grace zmarszczyła czoło. Odchyliła się na krześle, by w milczeniu przyglądać się lekcji. I równocześnie myślała o własnych działaniach. Sprowadziła Connora do Akademii, by uchronić go od pewnej śmierci na pokładzie Diabła. Chciała, by oczarowało go tutejsze życie, i miała wrażenie, że jej się udało. Ale, myślała, czując dreszcz lęku, czy brat nie wpadł z deszczu pod rynną? Czy nie ma ucieczki przed śmiercią od czyjegoś miecza?

To nie o samą szermierkę chodzi, uświadomiła sobie. Starła się przyplnąć tutaj z Connorem, ponieważ Akademia szkoliła piratów, by działali w sposób bardziej strategiczny, skoordynowany. Gdyby Connor tu został i opanował wiedzę nauczaną w Akademii, stałby się piratem bardziej rozważnym. Z całą pewnością powróciłby na oceany jako kapitan, a nie mięso dla rapierów. Jednak ta myśl niezbyt teraz Grace cieszyła. Czy Connor wróci na Diabła, czy zostanie w Akademii, w ostatecznym rachunku czeka go taki sam los. Będzie walczył niemal codziennie, będzie bez końca narażał życie. Aby go ocalić, musiałyby spowodować, żeby w ogóle zrezygnował z piractwa - a wydawało się, że szanse na to są znikome.

- To zadziwiające - rzekł, zwracając się do niej.

- Akademia to rewelacyjne miejsce. Jestem ci bardzo wdzięczny, że mnie przekonałaś, by ją odwiedzić. Oczy mi się otworzyły.

Uśmiechnęła się, choć poczuła mdłości. Ale czekało ją jeszcze coś gorszego.

- Doskonale się spisaliście - oznajmiła Cheng Li, stając przed uczniami. - Dobrze opanowaliście nauki. Jednak niech was nie rozleniwi zadowolenie. Jesteście jak młode ptaki na początku długiej podróży. Choć dzisiaj znaleźliście się o krok bliżej swego przeznaczenia, wciąż jeszcze długi lot przed wami.



Przy tych słowach drzwi sali otworzyły się po raz kolejny i wkroczył komandor Kuo w pięknej szacie z czerwonego jedwabiu, ozdobionej insygniami Akademii: sztyletem, busolą i perłą. Za nim szli dwaj studenci ze starszych lat, popychając na kołach wysoką skrzynię z laki.

Stojące na matach dzieci odwróciły się podniecone. Zabrzmiały rozmowy, ale Cheng Li uciszyła je jednym spojrzeniem.

- Komandorze Kuo - powiedziała. - Studenci pierwszego roku wzorowo opanowali ćwiczone umiejętności.

- Miło mi to słyszeć.

Kuo podszedł bliżej, by przemówić bezpośrednio do dzieci; po drodze przyjaźnie skinął Grace i Connorowi.

- Moi młodzi wojownicy - rzekł. - Nadszedł czas, byście przeszli na kolejny poziom nauki. Prefekci przejdą teraz między wami, niosąc jedwabne szarfy, którymi mocno zawiążą wam oczy.

Nim skończył, starsi studenci przeszli po matach. Każde z dzieci stawiali na nogi i starannie zawiązywali mu oczy. Po chwili wszyscy uczniowie mieli już na twarzach jedwabne opaski w kolorze szaty dyrektora.

- Pamiętajcie, co mówiłam wam wcześniej - powiedziała Cheng Li. - Można obserwować i można widzieć. Aby widzieć, nie trzeba unosić powiek. Musicie widzieć miecz przeciwnika, nawet gdy nie możecie go obserwować.

Kuo wyjął kluczyk i otworzył zamek lakowej skrzyni. Dwaj prefekci pomogli mu unieść wieko, odsłaniając rzędy lśniących mieczy.

- Teraz - odezwała się Cheng Li - używając swych widzących oczu i bez żadnego dźwięku, stańcie w gotowości.

Connor zerknął na Jacoby'ego.

- Ale numer - szepnął. - Co tu się dzieje?

Jacoby uśmiechnął się tylko.

- Patrz i ucz się, przyjacielu. Patrz i ucz się.

Na te słowa dreszcz przebiegł Grace po plecach. A jednak nie potrafiła oderwać wzroku od komandora Kuo.

Dyrektor skinął na Connora i chłopiec odruchowo wstał i podszedł do niego na palcach. Grace widziała, jak dyrektor szepcze coś bratu do ucha. Connor pokiwał głową, a Kuo wyjął ze

skrzyni dwa małe miecze. Connor zaniósł je jednemu z dzieci na macie, podając rękojeściami do przodu.

Po chwili dwie małe dłonie wysunęły się szybko, chwytając rękojeści. Connor puścił klingi. Dziecko ścisnęło w rękach daisho i szeroki uśmiech błysnął na jego twarzy.

Starsi studenci i dorośli szybko przekazali takie same dary - jeśli można je tak określić - każdemu z dzieci. Po chwili wszyscy stali w szeregach, zaciskając palce na rękojeściach ostrych, stalowych mieczy. Grace widziała, jak starają się zachować powagę i powstrzymać radosne uśmiechy.

Prefekci zamknęli skrzynię, a Connor wrócił na miejsce obok siostry. Komandor Kuo stanął przed małymi wojownikami, a Cheng Li przeszła szybko za nimi, zdejmując im z oczu opaski. Oczy dzieci błyszczały jak klejnoty, po raz pierwszy spoglądając na trzymane w rękach daisho.

- Niech te klingi staną się dla was najcenniejszą z rzeczy - rzekł komandor Kuo. - Te miecze są symbolem ufności, jaką w was pokładamy, i wiary, że jesteście przyszłością piractwa. Używajcie ich nie w gniewie i nie dla łatwego zysku, ale z rozważą i honorowo, tak jak pokazują wam nauczyciele. Te ostrza łączą was w czasie z licznymi pokoleniami piratów, jacy żyli przed wami, i z równie licznymi, jacy przyjdą po was. Ale co najważniejsze, wasze daisho łączą was ze sobą nawzajem, z waszymi towarzyszami w Akademii i w Federacji Pirackiej.

Skłonił się przed dziećmi i podszedł do Connora i Grace.

- Tak się cieszę, że byliście z nami i mogliście to zobaczyć - powiedział. - To jedno z najważniejszych wydarzeń roku akademickiego.

Grace skinęła tylko głową. Bała się, że powie coś niewłaściwego.

Przed nimi prefekci znów ustawiali dzieci w rzędach.

- Co będzie dalej? - spytała.

- No cóż - odparł Kuo. - Teraz zaprowadzą ich do zbrojowni. W tym wieku nie trzymają mieczy przy sobie. Nie chcemy, żeby zdarzył się jakiś wypadek.

Zakończywszy pracę, Cheng Li zbliżyła się do nich, miękko stąpając po matach.

- Właśnie mówiłem, jaki jestem szczęśliwy, że Grace i Connor mogli to zobaczyć - oznajmił dyrektor.

- Rzeczywiście - zgodziła się Cheng Li.

- Wydaje się, że zaledwie wczoraj wyjątkowo utalentowana siedmiolatka stała na macie i wyciągała ręce, by odebrać swoje daisho. - Komandor uśmiechnął się. - A dzisiaj trudno cię poznać, Cheng Li.

Uśmiechnęła się tak, jak to czyniła, gdy była odrobinę zakłopotana.

Kuo zwrócił się do bliźniąt.

- A zatem, Connorze i Grace, być może nie zjawiliście się u nas dość wcześnie, by odebrać pełne szkolenie, jakie możemy zaoferować, ale wciąż wiele możemy wam pokazać... jeśli zdecydujecie się zostać.

Grace spojrzała na Connora. Co sobie myślał? Nie była już pewna, w którą stronę chciałaby się skierować.

Może pora już przestać się wtrącać do jego życia i pozwolić mu samemu podejmować decyzje? Pamiętała, jak uznała, że strasznie skomplikował sytuację, podpisując kontrakt z kapitanem Wrathem. I wydawało jej się, że lepiej pokieruje życiem ich obojga. I dokąd ich to zaprowadziło? Do Akademii, gdzie przerabiają siedmiolatków w maszyny do zabijania. Pozostała też drobna sprawa ze „statkiem demonów”. O tak, westchnęła w duchu, naprawdę zostałam pobłogosławiona wyjątkowym talentem podejmowania właściwych decyzji.

- Nie wyglądasz najlepiej, Grace - odezwała się Cheng Li.

Grace odwróciła głowę. Dziewczyna uśmiechała się do niej.

- Może masz ochotę na spacer?

Grace zastanowiła się. Wiedziała, że Cheng Li proponuje coś więcej niż spacer. Miałyby okazję porozmawiać, mogłyby opowiedzieć o swojej ostatniej wizycie u wampiratów... Była to kusząca oferta, ale Grace zatęskniła nagle za samotnością...

- Dziękuję - odparła. - Ale myślałam raczej, żeby trochę popływać przed kolacją.

- Popływać? - zdziwiła się Cheng Li.

- Tak. Nie biegałam rano z kapitanem Platonowem i przyda mi się trochę ruchu.

- Świetny pomysł - ucieszył się Connor. - Pójdziemy z tobą. Prawda, Jacoby?

- Pewnie - potwierdził Jacoby. - Możemy też zaprosić Jasmine.

Pochylił się ku Connorowi i szepnął mu do ucha:

- Nigdy nie przepuszczam okazji, żeby zobaczyć ją w bikini.

Komandor Kuo przyglądał im się z uśmiechem.

- Doskonale - rzekł. - Doskonale. Bawcie się dobrze, moi drodzy.

Cała trójka wyszła z sali. Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Kuo zwrócił się do Cheng Li.

- Dobrze jest widzieć, że Connor i Grace zdobywają nowych przyjaciół. Prawda?

- O tak, dyrektorze. - Cheng Li uśmiechnęła się lekko. - Tak jest.

- Pewnie nie zdołam cię namówić na rundę szermierki przed kolacją? Żeby przypomnieć sobie dawne czasy.

- Przerobię cię na mielonkę, John - powiedziała.

- Przynajmniej umrę szczęśliwy - roześmiał się Kuo.

- Śmierć to śmierć, John. Czy umrzesz z uśmiechem, czy we łzach, w efekcie wyjdzie na to samo. Zero, nic.

# Rozdział 24

## Wygnanie

Grace bez zaangażowania popływała trochę, a potem zjadła kolację z Connorem, Jacobym i Jasmine. Kolacja nie była tak wytworna jak poprzedniego wieczoru przy kapitańskim stole, ale przebiegła w swobodniejszej atmosferze, a jedzenie w Akademii naprawdę było wyśmienite. Jednakże Grace pozostawała nieobecna - przynajmniej duchem. Czowała, że oddała się od Akademii i błądzi myślami wokół statku wampiratów. Może, jeśli tam uda się wszystko naprawić, zdoła wyprostować sprawy i tutaj? Czy nie tak podobno działa karma?

Po kolacji Jacoby zaproponował bilard. Connor zgodził się od razu, a Jasmine obiecała, że dołączy do nich później - musiała jeszcze coś przeczytać na jutrzejsze zajęcia.

- Nie tylko uroda, ale i umysł, jak widzisz - powiedział Jacoby do Connora, kiedy Jasmine odeszła do swojego pokoju. - A ty, Grace? Zagrasz z nami w bilard, prawda?

Grace uśmiechnęła się, ale pokręciła głową.

- Jestem zmęczona - wyjaśniła. - Chyba wcześniej się położę.

Jacoby wydawał się nieco rozczarowany.

- A więc tylko my dwaj... - westchnął.

Życzyła im dobrej nocy. Kiedy szła już do swojej kwatery, usłyszała jeszcze głos Jacoby'ego:

- Niewielki zakład sprawi, że gra będzie ciekawsza...

Uśmiechnęła się. Ci dwaj byli niepoprawni.

Przechodząc przez taras, zauważyła znajomą sylwetkę na tle zatoki.

- Cheng Li...

Cheng Li odwróciła się do niej.

- Witaj, Grace. Idziesz już do łóżka?

- Tak. To był długi dzień.

Cheng Li pokręciła głową.

- Nie rozmawiasz z dyrektorem, Grace. Nie zamydlisz mi oczu. Przecież mamy sobie o wszystkim mówić, pamiętasz? - Wyciągnęła rękę. - No chodź, krótki spacer po ogrodach Akademii na pewno cię nie zabije. Możesz to z siebie zrzucić... cokolwiek cię dręczy. A świeże powietrze pomoże ci zasnąć. Idziemy.

- Cheng Li, nie jestem pewna, czy tu pasuję. Connor owszem, ale ja chyba nie. I martwię się o niego. Myślałam, że jeśli zabiorę go z Diabła, będzie bezpieczny. Ale odkąd tu przyплыliśmy, chyba jeszcze mocniej jest zdecydowany zostać piratem. Nie jesteśmy bezpieczniejsi niż z kapitanem Wrathem!

- Ściągnęliśmy tu Connora, bo obie wiemy, co jest dla niego najlepsze - odparła Cheng Li. - Jeśli zostanie w Akademii, czeka go wspaniała przyszłość. Za kilka lat wróci na morze jako pierwszy oficer, tak jak ja.

- Ale czy będzie bezpieczny? - nie ustępowała Grace.

Cheng Li zatrzymała się i uśmiechnęła.

- Oboje przejawiacie godne podziwu pragnienie, by ochraniać się nawzajem. To zrozumiałe po wszystkim, przez co przeszliście. Ale czy nie rozumiesz, Grace, że na świecie, naszym świecie, nie ma czegoś takiego jak bezpieczeństwo?

- Mówisz o świecie piratów. Ale my nie narodziłiśmy się dla tego świata. Nie jest dla nas.

- Gdzie w takim razie jest wasze miejsce? Jakie masz plany? Może wołałabyś razem z Connorem wrócić do wypełnionego harówką życia w Księżycowej Zatoce?

- Bo jeśli tak, mogę pożyczyć któryś ze statków Akademii i dopłynąć do brzegu jutro rano. Przed wieczorem będziesz mogła się wprowadzić do sierocińca.

Grace popatrzyła na Cheng Li surowo.

- Nie - powiedziała.

- Co powiedziałaś, Grace? Trochę słabo słyszę.

- Powiedziałam NIE. Wcale tego nie chcę.

- Oczywiście! - zawołała Cheng Li. - Może i nie urodziliście się w świecie piratów, ale on was zagarnął... W każdym razie Connora. Wciąż jeszcze musimy się dowiedzieć, gdzie pasujesz ty. Ale dowiemy się. Na pewno.

Grace westchnęła. Słowa Cheng Li dodawały otuchy i uspokajały.

- Prześpij się - poradziła Cheng Li. - Dzisiejszy dzień był męczący, a jutro czeka cię wcale nie lepszy. Życie w Akademii to nie rozrywka. Może jutro poćwiczysz ze mną walki?

Słyszałam, że jesteś dość utalentowana w tej dziedzinie, a na pewno pomoże ci to rozładować napięcie.

Grace uśmiechnęła się.

- Może być zabawnie.

- To dobrze. Zobaczmy, jak będziesz się czuła rano. A teraz biegnij. Tylko obiecaj mi, że przestaniesz się martwić o Connora. Wszystko układa się dokładnie tak, jak zaplanowałam.

- Jak razem zaplanowałyśmy - poprawiła ją Grace.

- No tak, oczywiście. Tak właśnie powiedziałam.

W swoim pokoju Grace próbowała zasnąć, ale choć była zmęczona, gdy tylko przebrała się i położyła, senność natychmiast zniknęła. Zamknęła oczy i próbowała uspokoić myśli, ale nic nie pomagało. Odruchowo sięgnęła do pierścienia Claddagh Lorcana. Kiedyś pomagał jej odzyskać spokój - kiedyś, zanim jeszcze zaczęły się wizje. Ale teraz, choć ścisła go kciukiem i palcem wskazującym, nic się nie zmieniało. Temperatura pierścienia pozostawała taka sama. Nie pojawiała się żadna wizja... Cheng Li miała chyba rację: pierścień spełnił swoje zadanie. A jednak dotknięcie go sprawiało, że czuła się bliższa Lorcana, a to, uznała, nie może zaszkodzić.

Ktoś mówił jej kiedyś, że jeśli człowiek nie potrafi zasnąć, najgorsze, co może zrobić, to leżeć w łóżku.

Odrzuciła więc kołdrę i podeszła do drzwi balkonu; odsunęła żaluzje i wyszła w chłód nocy. Wystawiła twarz na nocną bryzę, a potem spojrzała z góry, ponad terenami Akademii, w stronę portu. Akademia nocą wyglądała pięknie. Kilku studentów wyniosło na taras instrumenty muzyczne i teraz rozbrzmiewała muzyka. Szło im całkiem nieźle - niepokojąca, rytmiczna, niemal plemienna melodia koła nerwy i wydawała się idealnie pasować do tej gorącej nocy. Grace przyglądała im się przez chwilę, po czym zamknęła oczy, pozwalając, by muzyka opanowała zmysły i stworzyła własne obrazy.

I nagle głowę wypełniła jej inna, choć podobna melodia - ta, którą słyszała na pokładzie statku wampiratów jako uwerturę do Uczty. Grace znieruchomiała, wyczuwając, że rozpoczyna się kolejna wizja. Za każdym razem nadchodziła w inny sposób.

Przed oczyma duszy zobaczyła wytworne wampiry i donorów, sunących do sali bankietowej na dolnym pokładzie, poniżej linii zanurzenia. Miała wrażenie, że nie jest to nowa wizja, ale raczej wspomnienie. Pamiętała odczucia ze skomplikowanej ceremonii i etykiety. Pamiętała wspianą porcelanę, kryształy i obrusy oraz dziwny brak symetrii na stole nakrytym

tylko z jednej strony. Oraz setki twarzy, których nigdy wcześniej nie widziała - pary wampirów i donorów, rozmawiających cicho ze sobą, a potem wychodzących z bankietu do kajut, gdzie miało nastąpić „dzielenie”. Connora przerażała sama myśl o „dzieleniu”. Ale dlaczego uznawać ją za okropną? Wampiry miały potrzeby, a kapitan w swej nieskończonej mądrości znalazł humanitarną metodę ich zaspokajania.

Wybuch śmiechu sprowadził ją z powrotem do rzeczywistości. Studenci na tarasie w dole rozmawiali w przerwie między jedną a drugą melodią. A potem w jej uszach znowu zabrzmiała dziwna, rytmiczna muzyka, a myśli pomknęły ku statkowi wampiratów. Czy to możliwe, zastanawiała się, że Uczta odbywa się tam właśnie tej nocy?

Poczuła gwałtowne szarpnięcie i pochyliła się do przodu. By nie stracić równowagi, chwyciła poręcz i odkryła nagle, że cały balkon oderwał się od ściany budynku. Unosił się teraz nad tarasem, skąd Grace mogła spoglądać na grających. Któryś z nich uniósł głowę i uśmiechnął się, ale miała wrażenie, że wcale jej nie widzi.

Chwyciła się mocniej, kiedy balkon poszybował w powietrzu przez noc, w stronę zatoki.

Tym razem lot wywoływał euforię. Naprawdę rozkoszowała się tą podróżą. Wiatr rozwiewał jej włosy i miała wrażenie, jakby gnała rydwanem poprzez czas i przestrzeń. Niebo ciemniało; wokół widziała gorące pomarańczowe i różowe odcienie gasnącego dnia, jak gdyby ziemia i morze stanęły w ogniu, a ona mknęła przez płomienie - zanurzona w nie, lecz odrębna.

W końcu ognie zgasły i zapadła aksamitna ciemność. Otulona miękką czernią Grace straciła poczucie ruchu. Potem, równie nagle, gwiazdy zasypały niebo, a balkon sunął dalej; światło gwiazd i księżycy razitło ją w oczy. Adrenalina przyspieszyła krążenie krwi w żyłach. Jakież ma szczęście, myślała Grace, że może doświadczać świata w taki sposób... Ilu otrzymało taką szansę?

Wreszcie gwiazdy przygasły i balkon zanurzył się w nadciągającej mgle. Ze smutkiem zostawiła za sobą rozgwieżdżone niebo, wiedziała jednak, że był to zaledwie jeden z etapów podróży. Przyjęła więc falę mgły jako przejście wiodące na statek wampiratów. Za kilka sekund znajdzie się na pokładzie. Westchnęła... Znowu zobaczy Lorcana... Tym razem, uznała, musi porozmawiać z kapitanem. Tym razem dowie się czegoś więcej o ranie Lorcana i o tym, jak może pomóc.

Kiedy mgła się rozwiała, Grace stała na pokładzie statku. Tak jak poprzednio nie czuła desek pod stopami - unosiła się tuż nad nimi. Trwała noc i Darcy zapaliła wszystkie lampy. Grała



muzyka - znajomy, perkusyjny rytm. Grace poczuła dreszcz - miała rację. Dzisiejsza noc była nocą Uczty.

Pokład pełen był wampirów, które wyszły na swoje passagiata - spacer wokół pokładu, zanim Uczta rozpocznie się na dobre. Jakaś grupka zmierzała prosto na nią, jakby jej nie widzieli... W ostatniej chwili odskoczyła na bok - jeszcze moment, a zostałaby stratowana. Zdawało się, że w ogóle jej nie dostrzegają, zapewne myśląc tylko o głodzie, który w nich narastał i już za kilka godzin miał zostać zaspokojony.

Przyjrzała się kolejnej grupce. Któryś z wampirów patrzył na nią dziwnie, gdy ją mijiał, wykręcając głowę niemal do tyłu. Grace zadrżała. Pamiętała go z ostatniej Uczty, w której uczestniczyła. Nie знаła jego imienia, ale twarz zaniepokoiła ją wtedy tak samo jak teraz. Ale na szczęście po chwili zniknął i obok przeszła kolejna grupa, nie patrząc nawet w jej kierunku.

Stanął możliwie wygodnie przy relingu - cały czas jakby niewidzialna bariera tkwiła między poręczą a jej ciałem. Cieszyła się, że jest tu znowu. Tym razem miała zamiar uzyskać odpowiedzi na kilka pytań.

- No, no, kogóż to ja widzę!

Znajomy głos z cockneyowskim akcentem wyrwał ją z zamyślenia.

- Darcy!

Darcy Flotsam stanęła przed nią w szerokiej sukni z błękitnego szyfonu, obszytej złotymi cekinami.

- Galion za dnia, galeria nocą! - zawołała, wyciągając ramiona, by uściskać Grace. Ale ręce przeniknęły przez ciało dziewczyny.

- Och... - westchnęła. - Miałam nadzieję, że tym razem wróciłaś naprawdę.

Grace pokręciła głową.

- Chciałabym, Darcy. Ale nie wiem, jak to zrobić. Może ty wiesz?

- Musisz zapytać kapitana. Ja wiem tylko, że kiedy przybywasz z wizytą... tak jak teraz, albo jak ja na wasz piracki statek... jedynymi ludźmi, którzy cię widzą i słyszą, są ci, którzy jakoś byli z tobą związani. Kapitan mi to wytłumaczył.

Grace skinęła głową. To wyjaśniało, dlaczego załoga statku zdawała się patrzeć na nią jak na powietrze, podczas gdy dla Darcy i Lorcana była tak realna jak deski pokładu.

- Och, Darcy - powiedziała. - Kiedy widziałam się z tobą ostatnio, zrobiłam tak, jak mi poradziłaś: poszłam spotkać się z Lorcanem.

Darcy ze smutkiem pokiwała głową.

- Jest w fatalnym stanie.

- Wiem, Darcy, i to wszystko moja wina.

- Nie, Grace. On wie, że tak uważasz. Ale to nie twoja wina.

- Właśnie że tak - upierała się Grace. - Ale ja mu pomogę. Zamierzam znaleźć sposób, żeby naprawdę tu wrócić i zamierzam znaleźć jakieś lekarstwo.

Darcy spojrzała na nią smutnie.

- O co chodzi? Jeszcze coś się stało? - Jego wzrok wcale się nie poprawia. Ale, co gorsza, Lorcan odmawia przyjmowania krwi. Jest coraz słabszy. Musi leżeć. Och, Grace, naprawdę nie wiem, ile jeszcze pożyje. Dzisiaj mamy Ucztę, ale on nie wyszedł nawet z kajuty. Całkiem jakby zrezygnował.

Ta wiadomość naprawdę wystraszyła Grace. Musi coś zrobić, żeby mu pomóc... ale co? Nie miała pojęcia, jak długo tym razem będzie mogła tu zostać, a brak możliwości dotknięcia czegokolwiek i kogokolwiek był coraz bardziej frustrujący.

- Muszę już iść - oświadczyła Darcy. - Chciałabym zostać i jeszcze porozmawiać, ale muszę zająć miejsce przy stole.

- Oczywiście - zgodziła się Grace. - Idź. Zaczekam tutaj, jak długo zdołam. Spróbuj mnie potem odszukać.

Darcy kiwnęła głową. Twarz miała mokrą od łez.

- Cudowna suknia! - krzyknęła za nią Grace.

Darcy obejrzała się. Uśmiechnęła się przez łzy i dygnęła lekko.

Niezwykła muzyka narastała; Grace widziała, jak pokład pustoszeje. Wyobraziła sobie podwójną kolumnę wampirów i donorów, sunących przez salę bankietową do swoich miejsc. Miała ochotę iść tam i popatrzeć, ale coś trzymało ją na miejscu - jakaś siła, której nie rozumiała.

Poczuła, że powieki opadają jej ze zmęczenia. Nie... Usiłowała walczyć, nie chcąc jeszcze opuszczać statku, nie po tak krótkim pobycie... Ale powieki ciążyły coraz bardziej i nic nie mogła na to poradzić. Zamknęła oczy i zapadła w stan głębokiego odrętwienia, jakby raz jeszcze dryfowała po ciemnych wodach. Nie próbowała walczyć z tym uczuciem, wiedząc, że i tak poniesie ją, dokąd zechce.

I w końcu usłyszała krzyk, a raczej ryk. Otworzyła oczy i ze zdumieniem odkryła, że nadal stoi na pokładzie statku wampiratów. Nie przeniosła się - po prostu zapadła w sen. Nie była

pewna, ile minęło czasu, ale muzyka ucichła, więc Uczta dobiegła pewnie końca, a wampiry i donory przebywają w swoich kajutach, gdzie odbywa się dzielenie.

- Stać!

Od razu poznała ten głos. Czy mogłaby go pomylić z innym? Mocny i stanowczy, choć nie wznosił się powyżej poziomu szeptu.

Rozejrzała się i zobaczyła, jak kapitan idzie przez pokład, wołając do kogoś.

- Powiedziałem: stać!

Obejrzała się. Kapitan nie zwracał się do jednego wampira, ale do trzech. Patrzyły na niego.

Grace otrząsnęła się ze zgrozy - oczy im płonęły. Widziała kiedyś Sidoria w takim stanie, ale trzy równocześnie stanowiły widok jeszcze bardziej przerażający. Poznała dwa z nich - rozmawiały, a raczej spiskowały, jak teraz sobie uświadomiła, zanim Connor z załogą zabrali ją ze statku.

Kiedy przemówiły, ich słowa były niczym płomienie liżące pokład między nimi a kapitanem.

- Potrzeba więcej krwi... Potrzeba więcej...

- Nie - rzekł kapitan. - Dostaliście już swoją porcję. Nawet więcej niż swoją porcję.

- Potrzeba więcej...

Kiedy zwróciły się w jej stronę, Grace zobaczyła, że wampiry trzymają mocno trójkę przerażonych donorów.

- Dość - rzekł kapitan. - Wypuście donorów. Wracajcie do swoich kajut.

W odpowiedzi wampiry zasyczały zgodnie. Ich słowa były niezrozumiałe. Grace zadrżała, zadowolona, że jest ukryta przed ich wzrokiem. Nie wiedziała, czy były w stanie ją zobaczyć, ale wolała nie ryzykować.

- Powtórzę to jeszcze tylko raz. Wypuście donorów.

- Albo co? - zabrzmiała odpowiedź.

- Nie ma alternatywy - odparł spokojnie kapitan.

- Macie tylko tę jedną możliwość. Puśćcie ich.

- Droga kapitana to nie jedyna droga - zasyczał w odpowiedzi jeden z nich.

- Kapitan nie jest jedynym kapitanem - warknął drugi.

- Statek nie jest jedynym statkiem - dodał trzeci.

- Dość! - rzucił kapitan. - Puśćcie ich.

Jaskrawe światło błysnęło wokół pokładu. Wampiry odskoczyły, unosząc dłonie do oczu. Równocześnie donorzy rzucili się w stronę światła.

- Wracajcie do środka - polecił im kapitan spokojnie, choć z naciskiem.

I, choć wyraźnie osłabieni, nie czekali, aż powtórzy polecenie.

Wampiry rzuciły się na pokład, a kapitan podszedł do nich wolno. Powróciła ciemność i stwory powstały, otwierając oczy. Jednak ogień, który płonął w nich wcześniej, teraz przygasł.

- Byłem cierpliwy - oświadczył kapitan. - Ale moja cierpliwość się wyczerpała.

Wampiry patrzyły teraz na niego wzrokiem pełnym lęku i żalu. W jednej chwili, pomyślała Grace, zmieniły się z monstrów w dzieci bojące się gniewu nauczyciela. Ale nie mogła zapomnieć grozy, jaką odczuwała przed chwilą.

Jeden z nich zwrócił się do kapitana. - Czasami nie można zapanować nad głodem... - jęknął. - Nie mamy takiej wewnętrznej dyscypliny jak pan - dodał drugi. - Bywa, że nasze żądze wybuchają gwałtownie - poskarżył się trzeci. - Zdaję sobie sprawę ze wszystkich tych zjawisk - odparł kapitan swym wyważonym szeptem.

- Więc niech pan nam pomoże - syknął pierwszy.

- Odrzuciłeś moją pomoc, Lumarze - powiedział kapitan ze smutkiem. - Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić. Pora, żebyś opuścił statek.

- Nie, kapitanie! Niech pan nie mówi takich rzeczy! - Lumar kulił się przerażony.

- Jeśli Lumar odejdzie, my ruszymy za nim - zagroził jeden z jego towarzyszy.

- Ale dokąd pójdziemy? - zapytał trzeci. To była kobieta.

- Szukać Sidorio - syknął pierwszy, a na jego twarzy pojawił się wyraz straszliwej zachłanności. - Sidorio pomoże nam zaspokoić nasze potrzeby.

Grace zadrżała. A zatem wiedzieli, a przynajmniej podejrzewali, że Sidorio czeka gdzieś na nich wśród nocy. Czy to rozsądne ze strony kapitana, że pozwala innym do niego się przyłączyć? Czy nie ryzykuje wzrostu sił nieprzyjaciela?

- Idźcie więc - rzekł kapitan. - Idźcie i znajdźcie inną drogę.

W jego głosie brzmiało rozczarowanie; tak przynajmniej zdawało się Grace. Odwrócił się i pomaszerował do swojej kajuty. Trzy wypędzone wampiry nadal tkwiły przy relingu, jakby wciąż chciały spiskować.

- Powiedziałem: idźcie!

Kapitan odwrócił się nagle i ruszył ku nim biegiem. Jego peleryna rozbłysła żyłkami światła, żagle statku także zajaśniały i zaczęły łopotać. Strugi ognia popłynęły po deskach pokładu.

Grace musiała zamknąć oczy, by ochronić je przed blaskiem. Kiedy znów je otworzyła, wampiry zniknęły.

Kapitan stał przy relingu, kryjąc twarz w dłoniach.

Grace opuściła swoją kryjówkę i zbliżyła się do niego.

Zdawało się, że jej nie dostrzega, do chwili gdy stanęła tuż obok i spróbowała dotknąć dziwnego materiału peleryny. Ale jej także, jak stwierdziła z rozczarowaniem, nie mogła dosięgnąć.

- Grace - szepnął kapitan. - Grace... Co ty tu robisz?

Nie był chyba zachwycony spotkaniem.

- Wróciłam, żeby pomóc - odparła. - Wiem, że dzieje się coś złego. Chcę coś zrobić. - Nie możesz pomóc. - Szept wypełnił jej umysł. - Musisz odejść stąd natychmiast i nawet nie myśleć o powrocie. - Ale kapitanie... - Tak być musi, Grace. Nie odwrócił się do niej; jego maska spoglądała na ocean. - Ale kapitanie... - powtórzyła ze łzami w oczach. - Lorcan jest tak mocno poraniony... I to wszystko moja wina. - Tak - zgodził się kapitan. W końcu stanął przodem do niej. - Tak. Zatem poznałaś rezultat swojego przybycia na statek. I dlatego właśnie musisz się trzymać z daleka.

Łzy płynęły Grace po policzkach, ale nie zamierzała rezygnować. Jeszcze nie.

- Proszę, kapitanie. Jeśli uda mi się wrócić naprawdę, może zdołam pomóc.

- Myślisz, że uda ci się wyleczyć ślepotę Lorcana? Jak chcesz tego dokonać? Powiedz! - Jego głos wciąż był szeptem, jednak wyraźnie usłyszała w nim gniew.

- Mów, dziecko!

- Nie wiem, kapitanie. Nie wiem, jak mogłabym pomóc. I czy w ogóle bym mogła.

- To bardzo proste, Grace - rzekł kapitan. - Tylko w jeden sposób możesz pomóc. Wracaj do siebie. I nie odwiedzaj nas więcej.

Grace nie mogła uwierzyć własnym uszom. Tak to miało się skończyć? Tutaj, na tym pokładzie? Czy Lorcan na zawsze pozostanie ślepy? A teraz, kiedy przestał przyjmować krew, co z nim będzie? Nie mogła znieść myśli, że ma go porzucić, nic nie wiedzieć o jego losie. Ale

kapitan przemówił i nie miał jej nic więcej do powiedzenia. Odwrócił się i odszedł wolno przez pokład.

Została przy relingu, zalana łzami. Łzy płynęły ciągle, kiedy otuliła ją mgła, by zabrać ze statku wampiratów - już na zawsze.

.

# Rozdział 25

## Zanshin

- Grace! Grace, to ja, Connor! - Czego chcesz? - Mogę wejść? - Już otwieram. Connor i Jacoby czekali na zewnątrz. Drzwi uchylły się i Grace wysunęła głowę. - Dzień dobry, śpiochu! - Connor wyciągnął rękę, by zwichrzyć jej włosy. - Przestań! - rzuciła. - Wiesz, że tego nie cierpię. - Wyglądasz jak wypluta, siostruniu. Co się dzieje? - Źle spałam i tyle. A w ogóle to która godzina? - Za dziesięć siódma. Jacoby i ja idziemy na swm. Dzisiaj będzie tai-chi z kapitanem Solomosem. Masz ochotę? Grace pokręciła głową. - Dołączę do was później - oświadczyła, zamykając drzwi. Connor wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Jacoby'ego. - Mówiłem ci, że rano lepiej się do niej nie zbliżać. Connor jeszcze raz zapukał do drzwi. Zaczekał. - Tak? - Głos brzmiał słabo. - Grace, to ja! Usłyszał kroki. Drzwi się otworzyły. - Mówiłam przecież, że nie idę na swm! - Grace, już byliśmy na swm! Jest wpół do ósmej. Na jakiej planecie ty dzisiaj żyjesz? - Nie czuję się najlepiej. Proste. - Wyglądasz na zdenerwowaną. - Jestem zdenerwowana, bo obudziłeś mnie przed siódmą! A teraz znowu. Muszę odpocząć. Naprawdę tak trudno to pojąć?

- Ale już czas na śniadanie. A potem komandor Kuo ma taki fajny wykład o szermierce. Dla studentów ostatniego roku, ale nas też zaprosił.

- Nie sądzę, żebym dzisiaj poszła na jakieś zajęcia. W każdym razie nie rano.

- Ale Grace, to dyrektor...

- Baw się dobrze - rzuciła i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

Connor zmarszczył czoło. Zaproszenie na wykład komandora Kuo to prawdziwy zaszczyt. Jednak z doświadczenia wiedział, że kiedy Grace raz podejmie decyzję, nie da się jej przekonać. Zresztą, niech sobie śpi. Nie pozwoli, żeby popsukała mu nastrój.

Odwrócił się i ruszył na poszukiwanie Jacoby'ego.

Po drugiej stronie drzwi Grace osunęła się na podłogę i ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła przestać myśleć o statku wampiratów - o pogarszającym się stanie Lorcana i okrutnych słowach kapitana. Czuła się, jakby przebił jej serce mieczem.

Komandor Kuo skinął głową Jacoby'emu i Connorowi, kiedy razem weszli do auli.

- Aha, jest pan Tempest i pan Blunt. Dzień dobry, moi drodzy. Zajmijcie miejsca.

Connor zastanawiał się, jak wytłumaczy nieobecność siostry, ale dyrektor nie zwrócił na to uwagi. Może więc, uznał, lepiej nic nie mówić, a sprawa jakoś się rozwiąże.

Kuo stał na podwyższeniu. Na stoliku leżały jakieś papiery i mała, oprawiona w skórę książeczka. Aula była dostatecznie duża, by pomieścić wszystkich studentów Akademii, jednak na potrzeby tego wykładu przed mównicą ustawiono łukiem szesnaście krzeseł. Pozostały jeszcze dwa wolne pośrodku i na nich usiedli Connor i Jacoby. Siedząca trochę z boku Jasmine Peacock pomachała im dyskretnie. Connor z uśmiechem skinął jej głową.

Dyrektor stanął na krawędzi podwyższenia i popatrzył na słuchaczy. Twarze szesnaściorga zaciekawionych nastolatków skierowały się ku niemu.

- Dzisiaj - zaczął - rozważymy pojęcie zanshin. Ale wcześniej, tym, którzy jeszcze nie poznali gościa naszej Akademii, chcę przedstawić Connora Tempesta.

Studenci dziesiątego roku spojrzeli na niego, a Connor poczuł się zakłopotany - jakby nagle znalazł się w świetle reflektora.

- Connor i jego siostra Grace - ciągnął dyrektor, najwyraźniej nie dostrzegając skrzępowania chłopca - spędzili trzy miesiące na pokładzie Diabła, pod komendą kapitana Molucca Wrathe'a.

Ciche syknięcia i porozumiewawcze spojrzenia dowodziły, że Connor urósł nagle w ich oczach. Uśmiechnął się do siebie. Najwyraźniej wątpliwości wykładowców co do kierunku piractwa, jaki wskazywał Molucco, nie zostały przekazane studentom. Dla nich Molucco Wrathe był po prostu słynnym piratem i ta sława opromieniała teraz również Connora. Wszyscy studenci byli o rok lub dwa starsi od niego, on jednak górował nad nimi pod jednym względem - był już prawdziwym piratem.

- I wydaje mi się, że w ciągu tych trzech miesięcy Connor miał dość powodów, by doskonalić swoje umiejętności szermiercze. Czy mam rację, Connorze?

Pokiwał głową. Miał rozpaczliwą nadzieję, że dyrektor nie zażąda od niego demonstracji.

- Czy mogę pożyczyć twój miecz? - zapytał Kuo.



Connor zdziwił się, ale przytaknął. Wstał i wy dobył z pochwy rapier. Potem, tak jak uczyła go Cate, chwycił go lewą dłonią w dolnej części rękojeści i wyciągnął do dyrektora, klingą skierowany ku sobie.

Kuo wyciągnął prawą rękę i dotknął miecza powyżej dłoni Connora. Chłopiec puścił rapier, a wtedy Kuo skinął mu głową i zacisnął palce na rękojeści.

Connor cofnął się i usiadł.

- Zostałeś dobrze wyszkolony - pochwalił Kuo.

Connor przytaknął. Cate nauczyła go wielu rytuałów związanych z mieczami. Pamiętał, jak mu tłumaczyła, że w pewnych kulturach podanie miecza prawą ręką uważane jest za niegrzeczne i obraźliwe. Dlatego zawsze lepiej - przy tych rzadkich okazjach, kiedy przekazuje się komuś swoją broń - robić to lewą.

Tymczasem komandor Kuo sięgnął lewą ręką do kieszeni i wyjął kwadratowy kawałek jedwabiu. Oparł klingę na dłoni, a kawałek tkaniny chronił metal przed kontaktem ze skórą. Tego Cate go nie uczyła, ale Connor domyślał się, że to kolejny z nieskończonych - i nieskończenie fascynujących - rytuałów szermierki.

- Między wami wszystkimi a panem Tempestem istnieje ważna różnica - oznajmił Kuo, odrywając wzrok od ostrza. - A polega ona na tym, że my nauczyliśmy was technik szermierczych od chwili, kiedy zjawiliście się w Akademii, odkąd włożyliśmy wam w ręce kawałki bambusa.

Connor zauważył, że studenci uśmiechają się do tego wspomnienia.

- Robiliście postępy, przechodząc od samych podstaw aż do pierwszej walki z prawdziwym mieczem w dłoni... Co, jak przypuszczam, zapamiętacie do końca życia.

I znowu Connor dostrzegł u studentów uśmiechy. Przypomnił sobie podniecone twarze dzieci, kiedy po raz pierwszy dostały własne daisho.

- Jesteście elitą. To wasz ostatni rok studiów i pokładamy w was wielkie nadzieje. Założyliśmy tę Akademię, by kształcić pirackich kapitanów dnia jutrzejszego, najlepszych z najlepszych... i oto jesteście. Za kilka miesięcy odejdziecie stąd, by zająć, jeszcze jako stażyści, stanowiska na prawdziwych pirackich statkach.

- No jasne! - zawołał Jacoby, nie mogąc opanować podniecenia tą perspektywą.

- W samej rzeczy, panie Blunt. I bez wątpienia wzorowo sprawicie się jako pierwsi oficerowie, po czym w krótkim czasie zostanieieście kapitanami.

Connor przypomniał sobie tę niezwykłą wizję, jaką przeżył - dziwnie znajomą scenę na pokładzie, kiedy był kapitanem, a załoga wzywała go, gdyż ktoś został ranny.

- Wiele się nauczyliście, odkąd przybyliście do Akademii - ciągnął komandor Kuo. - Ale najtrudniejsze lekcje wciąż są przed wami. Jedna z nich nadejdzie w dniu, kiedy po raz pierwszy użyjecie miecza nie do ćwiczeń, nie w warsztatach, ale naprawdę: żeby bronić własnego życia.

Promienie słońca wpadły do sali i - odbite od ostrza rapiera - zaświeciły Connorowi w twarz.

Kiedy światło błysnęło mu w oczy, głos komandora przycichł i chłopiec znów znalazł się na tamtym pokładzie, jak wtedy... Stał w samym sercu bitwy. Miecze zderzały się z brzękiem. Zobaczył porwane liny, usłyszał huk działa i krzyki piratów walczących wśród ścisku. A potem wołanie:

- Kapitanie! Kapitanie Tempest!

Uśmiechnął się, znowu słysząc, jak zwracają się do niego „kapitanie”. Brzmiało to wspaniale. Brzmiało właściwie.

I nagle wizja się zmieniła.

- Tutaj! - usłyszał wystraszony głos. - Kapitanie Tempest! Tutaj! Kapitanie Tempest! Jest ranny... Potrzebuje...

To były te same słowa, które słyszał wcześniej, ale wizja stała się wyraźniejsza. Za pierwszym razem sądził, że to ktoś z załogi jest ranny. Teraz wiedział, że chodzi o niego.

Znowu usłyszał ten głos, przerywany łkaniem.

- Kapitan Tempest jest ranny! Chodźcie tutaj! Proszę... Pomóżcie... Tyle krwi... Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzyma...

Poczuł, jak ogarnia go chłód. Wizja była tak wyraźna, tak precyzyjna... Czy to wróżba jego śmierci? Nie mógł w to uwierzyć.

- Panie Tempest? Connor... Connor...

Nagle powrócił do rzeczywistości. Dyrektor coś do niego mówił.

- Przepraszam, dyrektorze.

- Czyżbyś od nas odszedł? - uśmiechnął się Kuo.

- Przepraszam - powtórzył. - Światło błysnęło mi w oczy i...

- Pytałem tylko - przerwał mu Kuo - czy w ciągu tych trzech miesięcy musiałeś używać rapiera do obrony własnego życia?

Mówiąc, zwrócił Connorowi miecz, powtarzając jego wcześniejsze gesty - teraz on trzymał rapier w lewej ręce i podawał go chłopcu rękojęścią do przodu.

- Tak - odparł Connor, chwytając rękojęść powyżej palców Kuo. - Tak. Dłoń mu drżała - być może z powodu wizji. Starał się nad tym zapanować. Kuo zauważył coś... Connor przytrzymał dłoń drugą ręką i wsunął rapier do pochwy.

- Zanim usiądziesz, może zechcesz opowiedzieć nam wszystkim, jakie to uczucie, kiedy w takiej sytuacji używa się broni?

Connor przywołał w pamięci wszystkie starcia, od pierwszego ataku z piratami Diabła aż do ostatniej, tragicznej przygody z Albatrosem.

- To dość złożone uczucie...

- Mów dalej - zachęcił go Kuo.

- Na pewno podniecenie. Po całym szkoleniu chce się użyć miecza jak najlepiej. To także wyzwanie, jak każdy sport.

- Jasna sprawa! - zawołał jeszcze raz Jacoby, naśladowując ręką cięcie miecza.

- Ale - ciągnął Connor, dotykając palcami rękojęści rapiera - od pierwszego razu, kiedy trzyma się miecz w dłoni, rozumie się, że nie jest to sport podobny do innych. Miecz to nie zabawka, ale narzędzie śmierci. Ma się w dłoni wielką moc, ale i dźwiga wielką odpowiedzialność. Trzeba szanować swój miecz i swoich przeciwników.

- No dobrze - rzekł Kuo. - I myślałeś o tym wszystkim w czasie ataku?

- Nie. - Connor potrząsnął głową. - Wcześniej. Te myśli przebiegały mi przez głowę, zanim rozpoczął się atak. Cate Kord, instruktorka walki na Diabłu, uczyła nas, żeby przed samym atakiem oczyścić umysł.

- Doskonale - pochwalił dyrektor. - A teraz wracaj na miejsce.

Connor bez dalszych zachęt spełnił polecenie, zadowolony, że nie znajduje się już w centrum uwagi. Wciąż był poruszony proroczą wizją, jeśli taka właśnie była. Ale może wcale nie... Może nie miała żadnego znaczenia...

Jacoby pochylił się do niego.

- Trochę byłeś roztrzęsiony - szepnął. - Co się stało? Jasmine rzuciła ci uśmiech?

Connor pokręcił głową.

- To nic - powiedział.

Musiał w to uwierzyć. Ale ręce ciągle trochę mu drżały.

Kiedy uniósł wzrok, odkrył, że komandor Kuo wypisał na tablicy jedno słowo. Obce słowo, które wymówił już wcześniej kilka razy: Zanshin.

Po czym przyjrzał się słuchaczom przez okulary.

- Connor wyjaśnił nam przed chwilą, że został wyszkolony tak, by przed samym atakiem oczyścić umysł. To jeden ze sposobów spojrzenia na koncepcję zanshin. Otóż jak wiecie, w Akademii czerpiemy z pewnych starożytnych tradycji wojowników, a pojęcie zanshin sięga wprost do okresu rozkwitu japońskich sztuk walki, czyli bujutsu.

Swoim kaligraficznym pismem zapisał na tablicy „bujutsu”.

- Czy ktoś zapamiętał z naszych wcześniejszych dyskusji japońskie słowo, oznaczające włączenie się do walki?

Rozejrzał się, podobnie jak Connor, który zauważył kilka podniesionych rąk.

Dyrektor skinął głową.

- Proszę, Aamir.

- Kamae - rzekł chłopak z pewną miną.

- Tak jest.

Komandor Kuo dopisał „kamae” do słów na tablicy.

- Otóż zanshin to stan umysłu, w który każdy walczący powinien się wprowadzić, zanim przejdzie do kamae, czyli do starcia. Oznacza stan podwyższonej czujności, kiedy jesteście gotowi bronić się i atakować we wszystkich kierunkach, pełne trzysta sześćdziesiąt stopni wokół siebie. Nie pozostaje wtedy żaden słaby punkt. - Uśmiechnął się lekko. - Zanshin połączy się więc z waszą niewątpliwie perfekcyjną techniką walki, by doprowadzić do idealnego działania i sukcesu.

Odwrócił się i dopisał na tablicy jeszcze kilka słów.

- A teraz... - Odsunął się na bok i stuknął w tablicę palcem. - Kto mi opowie o koncepcji zwycięstwa jednego cięcia?

Connor chciałby umieć odpowiedzieć na to pytanie, ale chociaż doskonale znał uczucia, o których mówił dyrektor, to język był nowy. Patrzył, jak lepiej wyedukowani studenci podnoszą rękę.

- Słucham, Jasmine.

- Zwycięstwo jednego cięcia to kolejna koncepcja pochodząca z czasów rozkwitu bujutsu. Dokładniej, sięga ona do technik iaijutsu albo... - uśmiechnęła się do Connora ...sztuki szybkiego wyciągnięcia miecza. - Spojrzała znów na komandora i kontynuowała.

- Prawdziwa sztuka iai-jutsu to umiejętność powalenia przeciwnika jednym cięciem miecza. Każdy dodatkowy cios uważany jest za odstępstwo od sztuki.

Słyszając wyjaśnienia Jasmine, Connor natychmiast przypomniał sobie, jak zachowuje się w walce Cheng Li. Zauważył, jak minimalne są jej poruszenia. Gdy inni piraci, nie wyłączając Barta, przesuwali się po pokładzie, atakując mieczami raz po raz, w wypadku Cheng Li wystarczyło mrugnąć, by przegapić akcję jej dwóch katan. Mimo to, w opinii Cate, należała do najbardziej skutecznych piratów. Najwyraźniej był to efekt ostrego treningu, jaki przeszła w Akademii. Connor czuł się niczym gąbka, pragnąc wchłonąć jak najwięcej wiedzy o tych technikach. Ale przecież zostało mu już tylko kilka dni. Jak mógłby mieć nadzieję, że zyska wiedzę, którą Cheng Li przyswajała przez dziesięć lat? I nagle, mimo praktycznej znajomości piractwa, poczuł, że wiele mu brakuje. Gdyby tylko mógł tu zostać dłużej...

- Bardzo dobrze, Jasmine - pochwalił dziewczynę Kuo. - Tak, zwycięstwo jednego cięcia było niezwykle ważne dla naszych przodków, a jeśli rozważycie je w terminach zanshin, zrozumiecie dlaczego. Zanshin umieszcza was w idealnym stanie czujności. W takim stanie, z percepcją ogarniającą pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, jak mówiłem wcześniej, uzyskanie zwycięstwa jednego cięcia powinno być dla was całkowicie osiągalne. Jeśli się nie uda, to znaczy, że zmarnowaliście swój zanshin. I teraz, przy każdym kolejnym wyprowadzonym cięciu, tracicie ów zanshin coraz bardziej. I z każdym kolejnym cięciem wystawiacie się na większe ryzyko i zmniejszacie szanse przetrwania.

I znowu Connor rozpoznał wrażenia, jakie opisywał komandor. Szermierka nie do końca przypominała sport. Człowiek budował w sobie wytrzymałość - a Connor wiedział, że nie jest mniej wytrzymały od innych - gdyż walka szybciej pochłaniała siły niż inne sporty. Ale często, po długim przygotowaniu psychicznym, samo starcie kończyło się bardzo szybko. Niekiedy wystarczyło kilka sekund. Tylko sposób, w jaki ktoś w ciągu tych kilku sekund wykorzystał dopływ adrenaliny - albo zanshin - decydował o jego losie.

- Niech wam się nie wydaje - powiedział Kuo - że koncepcja zanshin zarezerwowana jest tylko dla chwili w bitwie. Dobry pirat musi zachowywać zanshin nawet poza polem walki, dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Dyrektor kontynuował wykład, a Connor słuchał w skupieniu, bardziej niż kiedykolwiek zdając sobie sprawę, jak wiele powinien się jeszcze nauczyć.

Nie mógł uwierzyć, jak szybko skończyły się dwie godziny zajęć z mieczy. Kiedy komandor Kuo zakończył wykład, chłopiec zerknął na zegar. Minęła pełna godzina i dwadzieścia minut. Potrząsnął głową. W szkole w Zatoce Księżycowej byłby całkiem otepiały po podwójnej dawce fizyki czy geografii. Ale choć zajęcia z dyrektorem były wymagające, mógłby bez trudu słuchać jeszcze kolejną godzinę.

- Wyglądałeś na mocno oszołomionego, kiedy cię wywołałem - odezwał się Kuo, stając nagle przed nim. - Mam nadzieję, że nie wprawiłem cię w zakłopotanie.

Niektórzy studenci opuszczali już aulę, zapewne spiesząc na kolejne zajęcia. Jacoby czekał u boku Connora.

- Nie - zaprzeczył chłopiec. - Za dużo wrażeń, to wszystko.

- Ale wiedziałeś, o czym mówię. Wyczułem to. Chodź, przejdziemy się i porozmawiamy.

Connor skinął głową i ruszył do wyjścia, idąc między komandorem Kuo i Jacobym.

- Tak. Wiele z tego, co pan mówił, wydało mi się znajome. Ale wszystkie terminy były dla mnie nowe. Nie tylko zanshin, ale też kamae, bujutsu i iaijutsu.

- To naturalne - przyznał Kuo, kiedy wyszli z sali do nasłonecznionych ogrodów. - Nie masz za sobą studiów w Akademii, jak pozostałe dzieciaki. Oni są... ile? Dwa lata starsi od ciebie? I mają za sobą prawie dziesięć lat nauki. Ale wiesz więcej, niż przypuszczasz. Przypomnij sobie, jak podałeś mi miecz. Ten styl także pochodzi z czasów klasycznych japońskich wojowników.

Connor zdziwił się.

- Twój instruktor... Cate Kord... niezmiernie dużo cię nauczyła w czasie twojego pobytu na Diabłu. Może być pan dumny, panie Tempest.

Connor zarumienił się z zadowolenia.

- Jak się dziś czuje twoja siostra?

Pytanie zaskoczyło chłopca.

- Dobrze, chyba... To znaczy, tak myślę. Rano nie czuła się najlepiej, ale...

- Cóż, dzień jest naprawdę piękny - uśmiechnął się Kuo. - Na pewno jej samopoczucie się poprawi.

No dobrze... Muszę już iść i uczyć studentów szóstego roku sztuki dowodzenia. Baw się dobrze.

Szybko ruszył ścieżką w górę. Po kilku krokach obejrzał się jeszcze i z uwagą popatrzył na Connora.

O co mu chodzi, pomyślał chłopiec. Zachowanie dyrektora było trochę niepokojące.

- Zastanawiałem się... - powiedział Kuo. - Myślałem sobie, czy zdołamy cię namówić, żebyś został w Akademii odrobinę dłużej? Czuję, że wiele możemy cię nauczyć o piractwie. I ty także możesz nas nauczyć tego i owego. Wiele w sobie ukrywasz, Connorze Tempest.

- Dziękuję... - Connor nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

- Zdaję sobie sprawę, że to trochę szaleńczy pomysł. Wiem, że Molucco chciałby jak najszybciej mieć cię z powrotem i w ogóle... Ale czy... czy zechcesz przynajmniej to rozważyć?

Connor kiwnął głową. W tej chwili najbardziej na świecie chciałby tu zostać. Ale czy to możliwe? Po wszystkim, co się zdarzyło, miałby porzucić kapitana Wrathe'a i Diabła?

Jeszcze raz pomyślał o swojej wizji. Budziła uczucie chłodu, przeszywającego aż do szpiku kości. Ale miał zamiar walczyć. Jeśli śmierć szła jego tropem, zamierzał wydać jej walkę, jakiej się nie zapomina. Zamierzał zostać najlepszym piratem na świecie. Nie tylko piratem, ale wojownikiem. Nie tylko wojownikiem, ale kapitanem. Tak jest, myślał, jeśli nawet pewnego dnia - daleko w przyszłości - zginę na pokładzie swojego statku... to umrę jako legenda piractwa.

# Rozdział 26

## Pomysł

- Grace! - Connor! Nie zaczynaj od nowa! - Nie, to nie Connor. - Cheng Li! Grace zeskoczyła z łóżka i otworzyła drzwi. W progu stała Cheng Li, ubrana jak do walki, trzymając w ręku dodatkowy miecz. Uśmiechnęła się i wsunęła obok Grace do pokoju. - Zdawało mi się, że miałyśmy dziś poćwiczyć szermierkę - powiedziała. - Ale nie widziałam cię przez cały dzień. Zbliża się już pora kolacji. Coś się stało?

- Tak - przyznała Grace, nie mogąc opanować emocji. - Stało się. Coś bardzo niedobrego.

Cheng Li natychmiast rzuciła miecz na łóżko i objęła przyjaciółkę. Był to nietypowy dla niej gest, ale właśnie czegoś takiego Grace potrzebowała.

- O co chodzi? - spytała Cheng Li, nie wypuszczając jej z objęć. - Opowiedz mi. Wiesz, że mamy wszystko sobie mówić.

Grace opowiedziała więc historię swej ostatniej - naprawdę ostatniej - podróży na statek wampiratów. Cheng Li słuchała w skupieniu, aż przebrzmiały ostatnie słowa.

- Nie wiem, co teraz robić - szepnęła Grace. - Wszystko się zmieniło.

Cheng Li pokręciła głową.

- Nic się nie zmieniło.

Grace nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to nie? Kapitan powiedział, że nie chce, bym wracała. Że mam się trzymać z daleka.

- Zgoda. Ale masz na tym statku przyjaciół. Masz, jak to określiłaś, „niedokończone sprawy”. To bez znaczenia, co myśli kapitan. Liczy się tylko, w jaki sposób możesz osiągnąć spokój umysłu.

Grace potrząsnęła głową.

- Nie mogę postępować wbrew życzeniom kapitana. Po prostu nie mogę.

- A co z Lorcanem? - przypomniała Cheng Li.

- On cię potrzebuje. Kapitan właściwie z niego zrezygnował. Ty nie.



- Ale jeśli nawet kapitan nie potrafi go ocalić, to co ja mogę zrobić?

- Tego się nie dowiemy, Grace, dopóki nie wrócisz na ten statek. Grace spojrzała w ciemne oczy Cheng Li. Serce biło jej szybko. Naprawdę mogłaby tam wrócić?

- Posłuchaj - rzekła Cheng Li. - Darcy Flotsam odszukała cię, żeby prosić o pomoc.

Prawda?

Grace przytaknęła.

- A Lorcan dał ci pierścień Claddagh i posyłał swoje wizje.

- Tak. - Grace kiwnęła głową. - Właśnie tak.

- Wizje, które równie dobrze mogą być błaganiem o pomoc - ciągnęła Cheng Li. - Grace, naprawdę masz na tym statku niedokończone sprawy. Sądzę, że kapitan jest zbyt zajęty zbuntowanymi wampirami, Sidoriem i całą resztą. Nie wydaje mi się, żeby myślał rozsądnie. A już na pewno nie myśli o biednym Lorcanie. Sama mówiłaś: jeśli nie przyjmuje krwi, kto wie, ile czasu mu zostało. Zanim kapitan zwróci uwagę na jego sytuację, może być za późno.

Jak zwykle Cheng Li wsparła Grace sensownym spostrzeżeniem.

- No dobrze. - Poczucie celu przywróciło Grace rumieńce. - Masz rację. Ale jak mogę tam wrócić?

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak twoim zdaniem trafiłaś na statek wampirów za pierwszym razem.

Grace westchnęła. Już zbyt wiele razy omawiały te wydarzenia.

- Byłam w wodzie i walczyłam o życie... i przegrywałam. Całkiem jak Connor. Ty go znalazłaś. I jakoś podobnie Lorcan znalazł mnie.

- Znalazłam Connora w świetle dnia - zauważyła Cheng Li. - Słońce zachodziło, ale wciąż było widno. Nocą nigdy bym na niego nie trafiła.

- Czyli Lorcan musiał mnie znaleźć także za dnia.

- Ale to niemożliwe, prawda? Z tego, co wiemy, nie może wychodzić na światło słońca.

- Nie może, masz rację. Ale była mgła...

- Tak. Mgła, w której się znalazłaś, kiedy trafiłaś na statek.

- Ta sama mgła, która opadła, kiedy Connor i ja znowu spotkaliśmy się na pokładzie.

- Całkiem jakby wampiracy sami wytwarzali tę mgłę... Czy to możliwe?

- Tak. - Grace wyprostowała się, podniecona.

- Coś sobie właśnie przypomniałam. Pamiętam, że kiedy zjawiłam się na statku, kapitan mówił coś do Lorcana. O tym, że trzeba mnie przenieść do środka, zanim mgła się podniesie.

- To nie jest rozstrzygający dowód, ale też nie znamy wszystkich faktów. Wydaje mi się, że wampiraci, a przynajmniej sam kapitan, umieją wytwarzać mgłę, by osłaniała tych, którzy zwykle nie wychodzą na słońce. Ale nie mają władzy nad tym, jak długo mgła się utrzyma. Czekać...

- O co chodzi? - spytała podekscytowana Grace.

Cheng Li leżała z zamkniętymi oczami.

- Jesteśmy blisko, Grace. Blisko czegoś ważnego, ale wciąż nie umiemy do tego dotrzeć. - Otworzyła oczy. - Czy to możliwe, że to ty odnalazłaś statek, a nie on ciebie? Może los wyznaczył cię, żebyś go ocaliła?

- Ale Lorcan mnie znalazł. Tonęłam w oceanie. Nie da się temu zaprzeczyć.

- Da się. - Cheng Li usiadła nagle, wyprostowana. - Wszystko zależy od tego, jak opowiesz tę historię, prawda? Przestań myśleć standardowo, Grace.

Grace nigdy jeszcze nie widziała tak podnieconej Cheng Li.

- Spróbuj wrócić do Zatoki Księżycowej, Grace, przed sztormem. Wróć do pokoju na szczycie latarni morskiej...

Śluchając Cheng Li, Grace zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że znowu siedzi w pokoju lamp i spogląda na zatokę pod sobą.

- Co teraz?

- Cofnij się. Twój ojciec zmarł. Bank przejął latarnię. Nic dobrego was nie czeka w tym paskudnym miasteczku. A więc...

- A więc?

- A więc wyglądasz na ocean i wysyłasz sygnał w noc, żeby ktoś przybył i cię uratował.

- Jaki sygnał?

- Tego nie wiemy. Ale sygnał, który jakoś potrafiłaś nadać i który wampiraci odebrali.

Grace nabrała tchu.

- Co? - spytała Chenga Li. - O co chodzi?

- Wydaje mi się, że mamy trop - oświadczyła Grace. - Właśnie przypomniałam sobie coś, co kapitan do mnie powiedział. To było pierwszej nocy, kiedy go spotkałam, kiedy mieliśmy właśnie wejść do kajuty.

- Co takiego powiedział?

- Spytałam go, czego chce ode mnie. A on... odpowiedział... Znowu usłyszała ten przenikliwy szept. „Czego ja chcę od ciebie? Grace, przecież to ty mnie szukałaś. Prawda?”. Grace otworzyła oczy. Cheng Li przyglądała się jej w skupieniu. - Myślałam, że mówi o tym spotkaniu, Cheng Li, że chodzi mu o to, jak zaczęłam go szukać na statku.

Ale jeśli miał na myśli coś więcej? Jeśli chciał powiedzieć, że szukałam samego statku?

Cheng Li kiwnęła głową, równie poruszona tym odkryciem jak Grace.

- Stawiałaś niewłaściwe pytania, Grace. Ten błąd łatwo popełnić. Nie chodzi o to, jak możesz wrócić na statek, ale czego chcesz od statku. Co takiego łączy cię z wampirami?

- Nie dowiem się, dopóki tam nie wrócę! Ale nie jesteśmy bliżej rozwiązania tego problemu niż godzinę temu.

- Owszem, jesteśmy. - Cheng Li uśmiechnęła się szeroko.

Zeskoczyła z łóżka, przeszła przez pokój i podniosła żaluzje. Bryza dmuchnęła przez otwarte drzwi, niosąc do wnętrza aromat jaśminów.

- To tylko pomysł - rzekła, uśmiechając się do Grace. -.Ale dlaczego by nie poczekać na następny sztorm? Jeśli warunki będą takie same, może historia się powtórzy.

# Rozdział 27

## Załoga

Stukeley jest coraz lepszy w surfingu. Naprawdę dobry. No cóż, myśli, wiosłując rękami w wodzie, nie brakuje czasu na trening. Prawie każdej nocy on i kapitan znajdują jakieś miejsce na brzegu, ukrywają się tam przez dzień czy dwa, po czym ruszają dalej. Zawsze trzymają się brzegu. Kapitan twierdzi, że ma plan, ale Stukeley nie jest już tego pewien. Kapitan odzywa się coraz rzadziej, a przecież i na początku nie był skłonny do pogawędek. Tak naprawdę Sidorio wraca do życia tylko wtedy, kiedy trwają łowy. Staje się wówczas całkiem innym człowiekiem - inną istotą. Potem chętny jest do mrocznych żartów i niezwykłych opowieści. Ale wkrótce ta energia opada, jak fala odpływu cofająca się po piasku.

Czasami Stukeley czuje się samotny. Wspomina wtedy Connora, Barta i starszych kumpli. Ale nie może długo skupiać się na takich myślach - są zbyt bolesne. Poza tym z każdym dniem wspomnienia przygasają. Przestaje być jednym stworzeniem, a jeszcze nie stał się drugim. Uwięziony w stanie przejściowym, często chwyta deskę, biegnie do wody, obserwuje fale i czeka. Kiedy jest w oceanie, udaje mu się zapomnieć o wszystkim oprócz łamiących się fal i skomplikowanych strumieni energii samej wody. Tak jak teraz, czuje, że zmienia się fala; siada na desce i steruje rękami, by zająć jak najlepszą pozycję.

On sam się zmienia - na wiele sposobów, zarówno subtelnych, jak i głębokich. Każdej nocy coraz lepiej widzi w ciemności. Teraz może już surfować w świetle księżyca albo bez; nawet bez zewnętrznego światła wyraźnie dostrzega kształty dalekich fal.

Ciemne wody zaczynają się unosić, a on znów przyciska ciało do deski, czekając na uderzenie fali.

I kiedy następuje, wskakuje na deskę i rozpoczyna zjazd w stronę brzegu. To dobra fala. I uchwycił ją we właściwym momencie - czuje potęgę sunącej wody, pchającej go w stronę plaży. Nie ma tam nikogo prócz samotnej postaci rozpalającej ogień.

Fala niesie go aż na płyciznę. Zeskakuje uradowany i wyciąga deskę z wody. Chwyta ją pod pachę i biegnie do ognia, wciąż zdziwiony tym, jak szybko powietrze osusza jego skórę i ubranie.

- Widział mnie pan, kapitanie? Złapałem idealną falę.

Sidorio nie podnosi głowy, skupiony na ognisku.

- Nie.

Bierze następny wyrzucony przez fale kawał drewna i umieszcza go na stosie. Stukeley wbija deskę w piasek i kuca, by pomóc rozniecać ogień.

- Nie - powtarza Sidorio i szorstko odpycha jego rękę.

- Co się stało, kapitanie?

- Nic się nie stało.

- Może sam pan posurfuje? Fale są dziś doskonałe.

Sidorio nie odpowiada, zajęty ogniskiem.

Stukeley ogląda się na morze. Zastanawia się, czy nie spróbować jeszcze raz. Przygląda się falowaniu wody.

- Proszę spojrzeć, kapitanie!

- Co znowu?

Tym razem Sidorio unosi swe ciemne oczy. Wygląda na to, że jest wściekły po kolejnej zaczepce porucznika, ale Stukeley się nie przejmuje. Chodzi o coś ważnego.

- Tam płynie łódź! Zmierz do brzegu!

- Gdzie?

Ognisko wybucha nagle jasnym płomieniem. Sidorio wstaje i spogląda we wskazanym przez Stukeleya kierunku. Rzeczywiście płynie tam łódź, a w niej nieokreślona liczba pasażerów, trzymających się burt, kiedy łódź przepływa przez łamiącą się falę, która pcha ją do plaży.

Stukeley spogląda na kapitana, czekając na wskazówki. Trzeba podjąć decyzję i jest to przywilej Sidorio. Kiedy łódź dotrze do plaży, pozostaną tylko dwa wyjścia: albo znajdą jakiś sposób, by pozbyć się podróżników, albo ich zabiją. Jak więc będzie?

Dzisiaj już ucztowali, ale Stukeley wie, że nie zawsze ma to znaczenie.

- Nie można zaspokoić apetytu - wyjaśnił mu kiedyś Sidorio. - Bierz, ile możesz.

Raz jeszcze zerka na kapitana, czekając na jakiś znak. Ale Sidorio stoi jak wmurowany, przyglądając się postaciom, które wyskakują z małej szalupy, pchają ją po płyciźnie i wyciągają

na piasek. Potem rozglądają się i jedna z nich macha ręką. Teraz już nie ma wyjścia. Zostali zauważeni.

- Co robimy, kapitanie?

Wciąż nie ma odpowiedzi.

Łódź leży bezpiecznie na plaży, a jej pasażerowie idą po piasku w ich stronę. Sylwetki stają się wyraźniejsze: kobieta i dwóch mężczyzn, jeden z nich prawie tak wysoki i barczysty jak sam kapitan. Maszeruje takim samym stanowczym krokiem; po chwili znów macha do nich. Otwiera usta.

- Sidorio! Hej, Sidorio! Słuch chyba go myli... Stukeley ogląda się; widzi uśmiech kapitana. Wysoki mężczyzna przyspiesza kroku, w końcu rusza biegiem.

- Sidorio! To ty!

- Lumar...

Teraz kapitan idzie na spotkanie przybysza. Stukeley rusza za nim. Jest zaintrygowany, ale i zaniepokojony. Widzi, jak kapitan i obcy obejmują się. Czyżby był to element planu?

Kapitan wita się z dwójką pozostałych, a Stukeley z wolna odzyskuje spokój. Przecież Sidorio zawsze powtarzał, że przyjdą następni. Wreszcie nie będzie już sam z kapitanem i jego ponurymi nastrojami. Ogólnie rzecz biorąc, to spotkanie jest szczęśliwym zdarzeniem. Prawda?

- Stukeley! - woła Sidorio.

Gorliwy porucznik podbiega.

- To jest Stukeley - przedstawia go kapitan takim tonem, że Stukeley pęcznieje z dumy. - Mój porucznik.

Podchodzi jeszcze bliżej.

- A to Lumar - mówi Sidorio. - Stary przyjaciel.

Pierwszy z przybyszów wyciąga rękę. Zbudowany jest podobnie jak Sidorio, ale skórę ma czarną, a na głowie krótko przystrzyżone siwe włosy, lśniące w promieniach księżyca niby skóra rekina. Ubiera się także podobnie do Sidorio - jego strój kojarzy się z wojskowością i morzem.

- Miło poznać, Stukeley - mówi. Głos ma głęboki i złowróżbny jak stary dzwon kościelny.

Uścisk jest mocny, ale dłonie - tak jak u Stukeleya - lodowato zimne.

- To Olin.

Drugi z mężczyzn występuje naprzód. Patrzy nie tyle na Stukeleya, co przez niego. Podają sobie ręce. Olin jest wysoki; nosi długą pelerynę z kapturem okrywającym głowę. Twarz ma wąską, o ostrych rysach i kościach policzkowych niemal przebijających skórę. Kiedy Stukeley ściska mu dłoń, ma wrażenie, jakby mokra ryba prześliznęła mu się między palcami. Jest zadowolony, gdy Olin cofa się, robiąc miejsce trzeciej podróźnej.

- A to Mistral - przedstawia ją Sidorio.

Kobieta robi krok naprzód. Podobnie jak Olin, ma na głowie kaptur, ale zsuwa go i Stukeley widzi rozsypujące się jasne włosy. Zamiera. Mistral jest najpiękniejszą kobietą, jaką widział - jej obraz usuwa z pamięci wszystkie znane w przeszłości dziewczęta. Mistral uśmiecha się lekko i Stukeley czuje, że serce mu szaleje, kiedy kobieta wyciąga do niego wąską, bladą dłoń. Ujmuje ją, jakby trzymał w ręku kruchy kwiat, i pochyla się, by pocałować jej palec. Mistral nosi kilka pierścionków i wargi trafiają na chłodny metal.

Podnosi głowę, widzi jej uśmiech.

- Czarujący - stwierdza kobieta i cofa się, stając w szeregu z dwoma towarzyszami.

- Mówiłem, że przyjdą. - Sidorio zwraca się do Stukeleya. - Mówiłem?

Oczy mu błyszczą.

- Musieliśmy odejść - wyjaśnia Lumar. - Na statku nic już dla nas nie zostało.

- Reguły... - rzuca gniewnie Olin. - Te reguły przestały mieć sens.

- Zasady kapitana już przebrzmiały - dodaje Mistral, krzyżując ręce na piersi, być może dla osłony przed chłodem. - Musimy znaleźć nową drogę.

- Wiedzieliśmy - mówi Lumar - że poprowadzisz nas nowymi drogami, Sidorio.

Sidorio kiwa głową. Wydaje się, że zyskał nową energię. Może to wyczekiwanie było dla niego tak męczące... Teraz, kiedy przyłączyli się do nich nowi członkowie załogi, może zacznie się prawdziwa praca - na czymkolwiek miałyby polegać.

- Mam wielkie plany - oznajmia Sidorio. Tamci z uśmiechem kiwają głowami. - Ale chodźcie, wędrowcy, ogrzejcie się przy moim ognisku.

Wyciąga rękę. Trójka nowo przybyłych rusza do ognia, który płonie teraz tak jasno, jakby Sidorio schwytał sam księżyc i ukrył go w piasku plaży.

Stukeley obserwuje uważnie, jak Lumar kładzie dłoń na ramieniu kapitana.

- Dobrze znowu cię widzieć - mówi.

- Tak - przyznaje Sidorio. - Ale jak mnie znaleźliście?

- Swój zawsze znajdzie swego - odpowiada Lumar.
- Będą też inni - dodaje. - To dopiero początek.



# Rozdział 28

## Wspaniała przyszłość

- No więc co gryzie naszą młodą piracką gwiazdę? - zapytał Jacoby, kiedy zasiedli do śniadania na nasłonecznionym tarasie. Connor westchnął. - Czy to aż tak widoczne? - Obawiam się, że tak. Byłeś raczej wesoły podczas biegu, ale od tego czasu prawie się nie odzywasz. Pod stołem stukasz kolanami o siebie, a to dowód napięcia. Co jest? - Dużo myślałem. - Ojoj... - Jacoby nabił na widelec plasterek smażonego bekonu. - Myślenie. Ryzykowne zajęcie.

Zgryzł bekon w zębach.

Connor odsunął talerz, choć opróżnił go ledwie w połowie.

- Teraz naprawdę mnie zmartwiłeś - rzekł Jacoby.

- Zwykle zostawiasz talerz tak wyczyszczony, jakbyś go w ogóle nie używał. Lepiej zacznij opowiadać, Connorze Tempest. Co się z tobą dzieje?

- Wiesz, że przyplłynąłem tu tylko na tydzień, prawda?

- No pewnie, że wiem.

- No więc dzisiaj jest już piąty dzień. Zostały tylko dwa.

- Czas rzeczywiście ucieka. - Jacoby uśmiechnął się. - Choć czasem wydaje się, jakbyś był tutaj od zawsze.

Connor spojrzał ponuro.

- W dobrym znaczeniu tego słowa - dodał Jacoby.

Connor kiwnął głową.

- Chodzi o to... Rozumiesz, nie sądzę, żebym w niedzielę był gotów do opuszczenia Akademii.

Jacoby schrupał kolejny plaster bekonu.

- No to zostań.

- To nie takie proste. Zapominasz, że podpisałem kontrakt z kapitanem Wrathe'em. Powrót na Diabla jest moim obowiązkiem.

- Jasne. W końcu. Ale jestem pewien, że kapitan Wrathe przeżyje jeszcze tydzień bez swojego cudownego chłopca. A komandor Kuo z przyjemnością zgodzi się na przedłużenie twojego pobytu.

- Rzeczywiście, komandor Kuo będzie chyba zadowolony - przyznał Connor. - Ale co do kapitana Wrathe'a, to nie jestem taki pewny. On nie jest raczej fanem Akademii.

- Nie? - Jacoby zaczął pożerać ciastko z jagodami.

- A to czemu?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim uważa, że nie można się wykształcić na pirata. Wierzy, że albo człowiek ma to we krwi, albo nie.

Jacoby wzruszył ramionami.

- Może jest w tym trochę racji.

- Może - zgodził się Connor. - Ale tak dużo się tutaj nauczyłem... I gdybym został dłużej, mógłbym nauczyć się jeszcze więcej.

Zaskoczył go ton żalu we własnym głosie.

- Najlepiej idź i pogadaj z Kuo - poradził Jacoby.

- Niech on to załatwi z Wrathe'em.

Connor zmarszczył czoło. Jakoś nie wyobrażał sobie, żeby obaj kapitanowie usiedli i przyjaźnie omówili tę kwestię.

- Mam inny pomysł - uśmiechnął się Jacoby. - Ty zostaniesz tutaj, a ja wrócę na Diabla jako twój zastępca? Oddałbym wszystko, żeby wypłynąć stąd naprawdę.

- To rzeczywiście niesamowite uczucie.

Connor przypomniał sobie poczucie swobody, jakie zawsze mu towarzyszyło, kiedy Diabło płynął po otwartym oceanie. Nagle powróciły ciepłe wspomnienia o statku i przyjaciółach z załogi.

- Naprawdę chcę tam wrócić - zapewnił. - Ale jeszcze nie teraz.

- No to napij się soku z granatów i idź pogadać z komandorem - poradził Jacoby.

- Idź pogadać z komandorem o czym?

Jacoby i Connor unieśli głowy. Obok stała Cheng Li, która podeszła bezgłośnie. Nie wiedzieli, jak długo słuchała ich rozmowy.

- Mówiłem tylko... - Connor zająknął się. - To znaczy... Zastanawiałem się...

- Chciałby wiedzieć, czy może zostać tu dłużej - wyjaśnił Jacoby.

- Rozumiem.

- I martwi się, jak na to zareaguje kapitan Wrathe. Ala sędzę, że komandor Kuo da sobie z nim radę.

- Tak sądzisz? - Cheng Li spojrzała na zegar. - Jacoby, już chyba czas na twoje zajęcia z biologii morskiej. Jacoby także zerknął na tarczę zegara, wiszącą na murze nad tarasem, otoczoną wieńcem liści i kwiatów bugenwilli.

- Rzeczywiście. Connor, musimy iść, bo spóźnimy się na wykład.

- Nie szkodzi - stwierdziła Cheng Li. - Idź sam i powiedz kapitanowi Solomosowi, że wypożyczam pana Tempesta w ważnej sprawie.

- To okrutne odrywać mnie od tej rozmowy, kiedy robi się ciekawa. - Jacoby uśmiechnął się szeroko. - Ale zgoda, pani Li. Jeśli ma to pomóc sprawie cudownego chłopca, to kimże jestem, by się skarżyć?

Poderwał się z krzesła i mrugnął do Connora.

- To na razie.

Stuknęli się pięściami, a Cheng Li zajęła zwolnione miejsce.

- No cóż - powiedziała, kiedy Jacoby odbiegł w stronę pracowni biologicznej. - Muszę przyznać, Connor, że zadomowiłeś się w Akademii szybciej nawet, niż się spodziewałam.

Connor wzruszył ramionami.

- Szkoda tylko, że tak mnie to dręczy. Z jednej strony powrót na Diabla jest moim obowiązkiem wobec kapitana Wrathe'a i kolegów. Ale z drugiej, bardzo mi się tu podoba. I tak dużo się uczę...

Cheng Li uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Wiedziałałam, że tak będzie. Ty i ja jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. Jesteśmy tak utalentowani, że oczywiście pożądamy wciąż nowej wiedzy.

Connor tak się przyzwyczaił do arogancji Cheng Li, że teraz prawie jej nie dostrzegał. Może jednak trochę go przeceniała. Nigdy wcześniej nie pożył wiedzy. Z pewnością zaś nie takiej, jaką próbowali wtłoczyć mu do głowy w Księżycowej Zatoce. Jednak to prawda, że jeśli chodzi o piractwo, chciał wiedzieć wszystko, co możliwe. Z każdym dniem jego ambicje rosły.

- O czym myślisz? - spytała.

- To właściwie bez znaczenia - odparł. - Miałem nadzieję, że komandor Kuo pozwoli mi może zostać tu jeszcze tydzień. Ale jaka to różnica? Ty spędziłeś w Akademii dziesięć lat, Jacoby prawie tyle samo. Nigdy tego nie nadrobię.

- No nie, nie w ciągu jednego tygodnia. To pewne. Ale, choć ryzykuję, że w głowie ci się poprzewraca, muszę przyznać, że jesteś wybitnie utalentowany. Nie ma w Akademii studenta, poza Jacobym, który dorównałby ci w szermierce. I jestem pod wrażeniem... a wiem, że mówię też w imieniu innych wykładowców... że potrafisz bronić własnego zdania na zajęciach, nawet w dyskusji z dziećmiakami o wiele od ciebie starszymi.

Connor zarumienił się. Pochwała od nauczyciela była dla niego czymś nowym.

- To dziwne, prawda? Jeszcze parę miesięcy temu tkwiłem w zapyziałym miasteczku, a potem nagle tato umarł i ja o mało nie poszedłem za nim do grobu. Ale uratowałaś mnie i... No, całkiem jakbym przez cały czas na to czekał. Przez te wszystkie lata. Czekał, aż wezwie mnie piractwo. Jakby było moim przeznaczeniem, jakbym od początku miał je we krwi.

Cheng Li energicznie kiwała głową.

- Tak. Tak samo sobie pomyślałam. Jesteś wprawdzie synem latarnika, ale urodziłeś się, by zostać piratem.

- By zostać kapitanem? - zapytał Connor, raz jeszcze przypominając sobie wizję przyszłości.

- Kapitanem i nie tylko. Może pewnego dnia komandorem, kapitanem kapitanów. Czeka cię wspaniała przyszłość. - Cheng Li uśmiechnęła się. A potem wyraz jej twarzy zmienił się, jak gdyby zimny wiatr dmuchnął przez taras. - Ale najpierw musimy wybrnąć z pewnych nieszczęśliwych okoliczności, jakie wyniknęły.

Connor spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Musimy uwolnić cię od kontraktu z kapitanem Wrathem - wyjaśniła.

- Ale kontrakt wiąże... na całe życie. Podpisałem go własną krwią.

Cheng Li uśmiechnęła się znowu.

- Nonsens - stwierdziła. - Zawsze istnieją sposoby. Zwłaszcza z takim człowiekiem jak Wrath. Pytanie tylko, czego zażąda w zamian. Sam wiesz, jaki on jest. Nie obraż się, chłopcze, ale prawdopodobnie mógłbyś wykupić swoją wolność za szafirową błyskotkę.

Connor posmutniał. Czy rzeczywiście Molucco tak łatwo by go wymienił? A nawet gdyby to była prawda, to skąd ma wziąć taki szafir? Nie miał właściwie nic prócz niewielkiej

części łupów, jakie zdobył w kolejnych rajdach. Na pewno nie było wśród nich niczego, co skusiłoby człowieka tak bogatego jak Wrathe.

- Och, biedaku... - Cheng Li oparła się o poręcz krzesła. - Myślałeś, że każę ci wykupywać się z niewoli? Oczywiście, że nie. Nie jesteś już samotny, Connorze. Masz przyjaciół dysponujących znaczną władzą i wpływami. John Kuo jest nie tylko dyrektorem Akademii. To jeden z najpotężniejszych przedstawicieli Federacji Pirackiej.

- A czym właściwie jest Federacja Piracka? - zainteresował się Connor.

- Myślę, że powinieneś spytać o to komandora Kuo. Umówię was później na spotkanie. A na razie może idź już na zajęcia, a ja porozmawiam z dyrektorem.

Connor wstał i przerzucił torbę przez ramię. - Dziękuję - rzucił jeszcze. - Za wszystko. - Jeszcze nie masz za co dziękować - odparła Cheng Li. - Pamiętaj tylko, że jesteś mi winien przysługę... I pewnego dnia zażądam spłaty długu.

Uśmiechała się przy tym, ale Connorowi dreszcz przebiegł po karku. Nie wątpił, że mówi całkowicie poważnie.

Odszedł z głową ciężką od mrocznych myśli. Nagle zawrócił. Cheng Li wstała już i szła przez taras. Musiał podbiec, by ją dogonić.

Odwróciła się, słysząc jego kroki.

- Tak?

- Nie chcę zdradzać kapitana Wrathe'a. Tyle dla mnie zrobił...

Cheng Li skinęła głową. Chwyciła go za ramię.

- Rozumiem cię, Connorze. - Westchnęła. - Ale zachowałeś się pochopnie, wiążąc się z jego załogą po wsze czasy. Masz przed sobą lepsze i szersze możliwości. I niech ci się nie wydaje, że on o tym nie wiedział. Nawet przez moment nie myśl, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, kiedy wiązał cię ze sobą tym kontraktem.

Zniknęła za drzwiami. Connor został na zewnątrz, myśląc o jej słowach. Czy to prawda? Czy Molucco wykorzystał jego naiwność i przywiązał do siebie, zanim Connor zdążył odkryć, jakie ma inne możliwości? To surowe oskarżenie. Ale jeśli Cheng Li ma rację i Molucco go nabrał, pora może się wyrwać... Niezależnie od ceny.

Idąc zygzakiem po zboczu, zerknął przez ramię na okna pokoju Grace. Żaluzje nadal były zaciągnięte. Minęła już dziesiąta, a wciąż nie dostrzegał u niej nawet śladu życia. Żałował, że nie spytał Cheng Li, jak się czuje siostra, ale był zbyt przejęty własnym dylematem. No trudno...

Sprawdzi, co u niej w czasie przerwy, najpóźniej w porze lunchu. W końcu, pomyślał, nigdzie się przecież nie wybiera.

# Rozdział 29

## Nadciąga sztorm

Connorowi jakoś nie udało się odwiedzić Grace w czasie przerwy. Zamiast tego leżał razem z Jacobym i Jasmine pod jednym z drzew granatowca. Ukryci w cieniu, gryźli dojrzałe owoce i rozmawiali o głupstwach, aż nadszedł czas na zajęcia z mieczy u kapitan Larsen. Były to dwugodzinne ćwiczenia, przeprowadzone w szybkim tempie przez znakomitą duńską kapitan.

Następnie w harmonogramie była godzina dowodzenia i składu załogi. Według planu, miała ją prowadzić Cheng Li, ale zamiast niej do sali wszedł komandor Kuo, zaskakując czekających studentów.

- Wiem, że spodziewaliście się pani Li, ale niestety, macie dziś pecha - oznajmił z uśmiechem.

Nikt nie protestował. Dyrektor był jednym z najpopularniejszych wykładowców Akademii i dodatkowe zajęcia z nim traktowane były jak nagroda, nie praca. Zresztą dowodzenie i skład załogi od samego początku należały do ulubionych zajęć Connora, a Kuo prowadził je nie tak dydaktycznie jak Cheng Li. Zamiast mówić, jak coś trzeba zrobić, konstruował scenariusz i zachęcał do poszukiwania rozwiązań.

- Pamiętajcie - mówił. - Kiedy osiągniecie już rangę kapitana, w większości spraw nie będzie wyraźnego rozróżnienia, co jest słuszne, a co nie. Zwykle istnieją setki możliwych rozwiązań i jesteście odpowiedzialni za to, by wybrać najlepsze dla was i waszej załogi.

Czterdzieści minut zajęć przeleciało błyskawicznie. Jacoby spierał się z Jasmine, jak rozwiązać konflikt między członkami załogi, a Connor i jakiś zapalony student o imieniu Aamir zastanawiali się, jak można sobie poradzić z brakiem zapasów na pełnym morzu. W obu wypadkach dyrektor skłaniał studentów do obrony swojej opinii, a potem nie rozsądzał, kto ma rację, ale zwracał się o zdanie do pozostałych. Grupa w większości poparła bardziej przemyślane podejście Jasmine do konfliktu i wydawała się przekonana do pragmatycznych idei Connora dotyczących ekstremalnego racjonowania żywności i wody.

Kiedy rozległ się dzwonek, studenci wciąż byli pochłonięci dyskusją. W końcu komandor Kuo musiał sam wygonić ich na słońce.

- Panie Tempest - zawołał, gdy Connor zbierał swoje notatki. - Mogę prosić na słówko?

Connor zawrócił. Serce biło mu mocno. Najwyraźniej komandor wiedział o jego marzeniu. Teraz pozna dyrektorski werdykt. To, co stanie się w najbliższych chwilach, zdecyduje o całej jego przyszłości.

- Przejdziemy się i pogawędzimy - zaproponował dyrektor, puszczając chłopca przodem.

Ruszyli w górę zbocza, w stronę tarasu, z dala od wścibskich uszu.

- Pani Li wspomniała mi o waszej niedawnej rozmowie. Oczywiście bardzo się cieszę, że chciałbyś zostać z nami na dłużej. - Przerwał na chwilę, nim kontynuował. - O jak długim pobycie myślałeś?

Connor odchrząknął, by się uspokoić.

- Może... może jeszcze tydzień?

- Tylko tydzień? - Kuo wydawał się rozbawiony.

- I jesteś przekonany, że w ciągu zaledwie tygodnia wchłoniesz całą wiedzę, jaką mamy do zaoferowania?

- Nie, nie... Oczywiście, że nie. - Connor czuł się jak dureń. - Ale mam obowiązki...

- Wiem, wiem. Masz obowiązki wobec kapitań Wrathe'a i załogi. To godne pochwały, Connorze, że o tym pamiętasz. Ale przypuścimy... tylko przez chwilę... że mam magiczną różdżkę i mogę zorganizować ci tak długi pobyt, jak tylko zechcesz, niezależnie od obecnych zobowiązań. Czy wtedy chciałbyś zostać tylko przez tydzień?

- Nie, ja...

- A może miesiąc?

- No, możliwe...

- Do końca roku?

Connora ogarnęła euforia. Ścieżka przed nimi wspinała się stromo pod górę. Po prawej stronie połyskiwały wody zatoki.

W ciemnych oczach komandora Kuo odbijało się słońce nad oceanem.

- Przypuścimy, że mógłbym załatwić to tak, żebyś został tu normalnym studentem. Popracowalibyśmy nad planem, żebyś miał indywidualne zajęcia oprócz grupowych wykładów. Żebyś nadrobił zaległości i szybciej skończył naukę. Co byś na to powiedział?



Connor westchnął.

- To by było świetnie. Naprawdę świetnie.

- Tego byś chciał? Cóż, w takim razie musimy się zastanowić, jakie mamy możliwości.

Zostaw to mnie, Connorze. - Stuknął palcem w głowę. - Niech te stare szare komórki mają okazję popracować. - Uśmiechnął się. - Znajdę cię później. A tymczasem idź już na lunch.

Klepnął Connora po ramieniu i zostawił go samego na tarasie. Gdy się oddalił, Connor zauważył, że od stolika macha na niego Jacoby. Siedział razem z Jasmine, Aamirem i jeszcze kilkoma studentami z grupy. Zajęli mu miejsce.

Chłopiec uśmiechnął się i podszedł do nich.

Po lunchu, podczas trzygodzinnych zajęć ze strategii ataku na morzu, otworzyły się niebiosa. W sali na końcu jednego z krętych korytarzy rotundy kapitan Solomos i studenci przerwali pracę, by popatrzeć, jak nagle ciemnieje niebo, a gęste chmury zalewają Akademię strugami deszczu. Potem wrócili do dyskusji, którą jednak zaraz przerwał huk gromu.

- Sztorm - powiedział kapitan Solomos z błyskiem w oku. - Sporo czasu minęło, odkąd ostatnio mieliśmy tu sztorm tak gwałtowny. - Zamknął podręcznik. - Moi drodzy, zostawmy wcześniejszą dyskusję. Zastanówmy się, jak można wykorzystać taki sztorm do przeprowadzenia nagłego ataku.

Po zajęciach, gdy Connor pakował swoje książki, Solomos przywołał go do siebie.

- Komandor Kuo prosi, żebyś zajrzał do jego gabinetu - poinformował z uśmiechem. - W celu dokończenia wcześniejszej rozmowy.

Connor kiwnął głową i ruszył wijącym się korytarzem do gabinetu dyrektora. Zapukał do drzwi.

- Wejść - zawołał Kuo.

Connor wszedł do wyłożonego drewnianymi panelami pokoju. Kuo siedział za swym idealnie uporządkowanym biurkiem i czytał jakieś dokumenty.

- Aha, jest pan Tempest. Siadaj, chłopcze. Może herbaty?

Connor przyjął filiżankę aromatycznego napoju.

- Jak dużo wiesz o Federacji Pirackiej? - zapytał komandor.

- Prawie nic...

- Doskonale. Tego właśnie chcemy u osób spoza Federacji. Ale dla tych wewnątrz niej sprawa przedstawia się całkiem inaczej.

Connor pochylił się z uwagą. Pilnie słuchał, co dyrektor ma mu do powiedzenia.

- Na pewno sam już rozumiesz - podjął Kuo - że piractwo znalazło się na etapie znaczących i gwałtownych przemian. Dzieje się tak dzięki wysiłkom Federacji na całym globie. - Wstał i wskazał stojący z boku szklany globus. - Zakręć nim - polecił.

Connor wyciągnął rękę i pchnął szklaną kulę. Jej powierzchnia poczerniała nagle i setki światełek zamigotały na niej niczym gwiazdy na nocnym niebie.

- Widzisz te światła? Każde z nich to komórka Federacji Pirackiej - wyjaśnił Kuo. - Na całym świecie. I przez cały czas pojawiają się nowe.

Connor był pod wrażeniem.

- Istnieje głęboka i wciąż rosnąca przepaść między piratami działającymi w ramach Federacji, a takimi jak Molucco Wrathe, którzy pozostają poza nią. Ci z nas, którzy wiedzą, co się dzieje, tworzą teraz sojusze nie tylko na morzu, ale i na lądach. W krótkim czasie staniemy się niezwyciężeni. I zamiast funkcjonować jako osobne załogi, często w konflikcie z innymi, będziemy świadkami powstania potężnych flotylli pirackich statków, zjednoczonych we wspólnym celu.

Od tych perspektyw mogło zakręcić się w głowie.

Komandor Kuo obszedł biurko i usiadł na nim przed Connorem.

- Taka organizacja potrzebuje przywódców, a jednym z moich zadań w ramach Federacji jest właśnie rekrutacja przyszłych przywódców.

Spojrzał przenikliwie na Connora. Chłopiec raz jeszcze przypomniał sobie wizję - wróżbę, że zostanie kapitanem. Ale czy będzie kapitanem w samej Federacji?

- Powiem ci coś teraz, Connorze. Coś, co nie może wyjść poza ściany tego gabinetu. Rozumiesz?

- Tak jest - zapewnił Connor.

- Doskonale. Ale najpierw... może jeszcze herbaty?

Connor pokręcił głową. Był zbyt zaintrygowany, by myśleć o czymkolwiek innym.

Dyrektor złożył palce w piramidkę.

- To ja zwerbowałem panią Li do Federacji. Od czasu jej studiów w Akademii wiedziałem, że będzie cennym nabytkiem. I miałem rację, jak się okazało.

Za oknem zajaśniała błyskawica. Komandor obejrzał się przez ramię.

- Kocham sztorm - wyznał. - A ty?

- Prawdę mówiąc, niespecjalnie - odparł Connor. Grom przypominał mu najgorsze chwile w życiu.

- Och, oczywiście, że nie. Byłem niedelikatny. Wybacz.

- Mam pytanie - oświadczył Connor, nie pozwalając, by sztorm go rozproszył.

- Strzelaj.

- Czy pani Li szpiegowała kapitana Wrathe'a? Kapitan Drakoulis mówił, że po to właśnie przybyła na Diabla. Przysłała ją Federacja.

Twarz, komandora Kuo przypominała maskę. Odwrócił się i spokojnie dolał sobie herbaty. Wypił łyk, po czym objął filiżankę dłońmi.

- Na pewno rozumiesz - rzekł - że pewne sprawy Federacji muszą pozostać tajne. Ale głównym powodem, dla którego pani Li trafiła na Diabla, było odbycie stażu na stanowisku pierwszego oficera. Naszą polityką jest jak najszybsze promowanie rekrutów na kapitanów.

Dyrektor spojrzał Connorowi w oczy i chłopiec pomyślał, że mimo całej tej dyplomacji, Kuo udzielił twierdzącej odpowiedzi. Cheng Li wysłano, by szpiegowała Molucca. Nie był pewien, jak ma to potraktować.

- Ale jeśli kapitan Wrathe działa poza Federacją, to dlaczego pani Li miałyby służyć na jego statku?

- Dobrze pytanie, Connorze. Ale prawda jest taka, że prawa Federacji dotyczą wszystkich statków. Tyle że niektórzy kapitanowie jeszcze się z tym nie pogodzili.

Czy więc kapitan Wrathe stanowił aż takie zagrożenie? Komandor Kuo mówił o wpływach, jakie zdobywa Federacja. Ale jakie są jej cele? Czy aż tak się różnią od celów Molucca?

- Jest wielka różnica - rzekł komandor, jakby czytał chłopcu w myślach - między natychmiastowym zyskiem a o wiele większymi, choć odsuniętymi w czasie korzyściami. Jakieś szybkie rabunki tu czy tam nie mogą się równać z prawdziwym skarbem władzy... władzy obliczanej na długo. To jest sukces, na który warto czekać, dla którego warto pracować. Zgodzisz się chyba?

Connor nie był przekonany. Miał też kolejne pytanie, i to ważne.

- Czy kapitan Narcisos Drakoulis należy do Federacji? - Nabrał tchu. - Czy atak na Diabla został zaplanowany przez Federację?

Było jeszcze trzecie pytanie, które chciałby zadać, choć się nie ośmielił: czy to Federacja jest odpowiedzialna za śmierć Jeza Stukeleya?

Czekając na odpowiedź komandora, w duchu podjął decyzję. Jeśli Kuo potwierdzi, Connor nigdy nie będzie pracował dla Federacji - w żadnym zakresie.

- Jak ci już mówiłem - rzekł Kuo - pewne sprawy Federacji muszą pozostać poufne...

Connorowi krew zastygła w żyłach. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Równie dobrze komandor mógł się przyznać do bezpośredniej odpowiedzialności.

-...ale muszę stwierdzić, że kapitan Drakoulis jest w swych postępkach równie gwałtowny i nieprzewidywalny jak Wrath. Może nawet bardziej. Żadnemu z nich nie można by powierzyć wykonywania zadań Federacji.

Czyli teraz zaprzeczał. Ale nie było to jasne, wyraźne zaprzeczenie. Connor wciąż nie wiedział, w którą stronę się zwrócić. Miał wrażenie, że dryfuje na morzu, nie mając pojęcia, kto jest jego przyjacielem, a kto wrogiem. Obrazy kapitana Wrath'a i kapitana Drakoulisa przepłynęły przez jego umysł. Kiedy się rozwiały, znów patrzył prosto w oczy komandora Kuo. Były to łagodne oczy. Oczy budzące zaufanie. Na pewno nie oczy człowieka, który posyłał na śmierć młodych piratów, takich jak Jez Stukeley.

- Mógłbyś uznać - podjął dyrektor - że to niezwykle, namawiać kogoś w tak młodym wieku jak ty, ale musisz zrozumieć, że staram się wzmocnić Federację na możliwie daleką przyszłość. Im młodszy są moi rekruci, tym silniejsza będzie Federacja. - Przerwał na moment. - Powiem więcej, są w Akademii inni młodzi koledzy, którzy już teraz dla nas pracują.

Connor zastanowił się szybko. Jacoby! Jest wzorowym studentem. Dyrektor z pewnością mówi o Jacobym. Musi spytać przyjaciela, czy to prawda. Jak tylko go zobaczy...

- Przypominam ci... - rzekł Kuo. - To, o czym rozmawiamy, nie może wyjść poza ściany tego pokoju. Wiedz też, że wszyscy członkowie Federacji przysięgają dochować tajemnicy... pod karą śmierci.

No dobrze, pomyślał Connor. Może jednak na razie nie będzie wypytywał Jacoby'ego.

- Ale dość już wstępów - oznajmił komandor. - Prawda jest taka, że obserwowaliśmy cię uważnie, Connorze, inni wykładowcy i ja, przez ten tydzień, który spędziłeś wśród nas w Akademii. A muszę wyznać, że wcześniej także. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że chcielibyśmy, abyś przyłączył się do Federacji. Uważamy, że byłbyś jednym z najzdolniejszych

rekrutów. Nie chciałbym się nadmiernie reklamować, ale uważam, że możemy zaproponować ci takie możliwości, jakie trudno sobie nawet wyobrazić.

Connor był podniecony i zaintrygowany ofertą. Pochlebiali mu, że tak wysoko go cenią, ale i trochę niepokoiło, że był obserwowany. Zaczynał rozumieć: Federacja ma oczy wszędzie.

- Oczywiście nie musisz odpowiadać natychmiast - uspokoił go Kuo. - Ale byłoby lepiej, gdybyśmy znali twoją decyzję przed powrotem kapitana Wrathe'a pod koniec tygodnia. Muszę przygotować teren, że tak powiem.

I rozumie się samo przez się, że aby wstąpić do Federacji, najpierw musisz podjąć studia w naszej Akademii.

Connor przytaknął. W głowie mu się kręciło od tych wszystkich informacji.

- Powiedz mi - rzekł dyrektor - o czym pomyślałeś najpierw?

Connor odchrząknął.

- Na początku pomyślałem sobie... - Nabrał tchu. Miał uczucie, że rzuca się w dół z wielkiej wysokości.

- Pomyślałem, że tak, chcę wstąpić do Federacji...

- To doskonała wiadomość.

-...ale nie wiem, jak mogę to zrobić, żeby nie rozzłościć kapitana Wrathe'a. A przecież był dla mnie taki dobry...

- Rozumiem twoją troskę. - Dyrektor wstał i podszedł do portretu przedstawiającego jego samego w młodości. - Dobrze o tobie świadczy.

Odsunął obraz na bok. Pod nim była tarcza zamka sejfów. Kuo przekręcił ją kilka razy tam i z powrotem, otworzył drzwiczki, sięgnął do wnętrza i wyjął niewielki aksamitny woreczek. Wrócił za biurko i rozwiązał go.

- Musimy tylko porozmawiać z Molukiem w jego ulubionym języku - stwierdził.

Potrząsnął woreczkiem. Na blat sypnęła się struga doskonałych szafirów.

Connor aż syknął. Dyrektor uśmiechnął się, wskazując klejnoty.

- Jak myślisz, ile trzeba, by osłodzić kapitanowi gorycz rozstania? - zapytał. - Jeden kamyk czy dwa?

\* \* \*

Grace stała na balkonie i obserwowała burzę. Nie słyszała pukania do drzwi. Odwróciła się, kiedy Cheng Li weszła do środka z tacą w rękach. - Przyniosłam ci kolację - oświadczyła, kładąc tacę na stole. - Pomyślałam, że wolisz zjeść u siebie.

Grace skinęła głową. Nie chciała tracić widoku sztormu. Odwróciła się znowu. Cheng Li stanęła przy niej na balkonie.

- Zapowiada się solidny sztorm - zauważyła.

- Owszem - przyznała Grace. - Budzi wspomnienia.

Cheng Li chciała coś odpowiedzieć, ale zawahała się.

Grace kiwnęła głową.

- Myślę, że nadszedł czas.

- Jesteś pewna? Wiesz, możemy się mylić. To szaleńczy pomysł.

Grace wzruszyła ramionami.

- Taki sztorm nie zdarza się często. Szkoda by było go zmarnować.

- W takim razie lepiej coś zjedz. Dziś w nocy czeka cię trudna próba i powinnaś nabrać sił.

# Rozdział 30

## Teraz jest nas piątka

Odkąd zjawili się „nowi”, Sidorio stracił zainteresowanie surfingiem. Teraz surfuje tylko Stukeley, kapitan zaś poświęca czas na rozmowy z załogą. Co noc rozpalają ognisko i cała czwórka siada dookoła jak stare wiedźmy - rozmawiają cichymi głosami, knują. Stukeley surfuje samotnie. Jestem za młody, żeby przez cały czas gadać tylko i spiskować, myśli. Chociaż w rzeczywistości nie wie już, czy jest młody, czy stary. Wiek stracił dla niego wszelkie znaczenie.

Od czasu, kiedy przybyła reszta załogi, Sidorio powiedział do niego ze dwa słowa - do własnego porucznika! To dezorientuje. Choć jest dziwną istotą, Sidorio stał się ośrodkiem Stukeleyowego świata. To on sprowadził go z powrotem. Tego Stukeley nigdy mu nie zapomni. Sidorio jest jego kapitanem i jego ojcem. Takich więzów nie da się zerwać.

A teraz Sidorio go ignoruje.

Na chwilę całkowicie pochłania go surfing. Zbliża się sztorm i fale są potężne... Bawi się ich potęgą. Pada na niego deszcz, trzaskają pioruny, ale to tylko sprawia, że zabawa jest lepsza. Stukeley stał się znakomitym surferem. Jest radosny jak dziecko, kiedy „dorośli” prowadzą swoje rozmowy na plaży. Jest zadowolony, że nie musi z nimi przebywać. Ten, którego nazywają Lumarem, gada bez przerwy, jakby to on był kapitanem. Stukeley nie rozumie, czemu Sidorio nie wskaże mu, gdzie jego miejsce. Ten, który przedstawił się jako Olin, mówi niewiele, ale patrzy tak, że człowiek może się wystraszyć. Wbija spojrzenie w kogoś i już nie odpuszcza. Jeśli spojrzeć mu w oczy, własne zaczynają piec od intensywności jego wzroku.

Jedyną osobą, którą Stukeley polubił, jest dziewczyna - Mistral. Zawsze uśmiecha się do niego i odsuwa, żeby zrobić mu miejsce przy ogniu. Wolalby, żeby przybyła bez pozostałych dwóch. Jest cennym dodatkiem do załogi. Gdyby tylko tamci dwaj poszli sobie swoją drogą... Ale nie, przyłączyli się do kapitana jak małże do skały.

W końcu Stukeley ma już dość surfowania i wraz z ostatnią falą mknie do brzegu. Zeskakuje na piasek i jak zawsze skóra i ubranie natychmiast są suche - mimo ulewnego deszczu.

Biegnie wśród ulewy do ogniska. Zastanawia się, jak potrafią podtrzymać ogień i jak w ogóle się słyszą mimo huku gromów i ryku fal uderzających o skały. Kiedy jednak staje przy ogniu, odkrywa, że szum oceanu cichnie. Piasek jest tutaj doskonale suchy. Całkiem jakby chroniła ich niewidzialna kopuła.

Mistral ogląda się i uśmiecha do niego. Blask jej spojrzenia jest jaśniejszy od płomieni ogniska.

Rzuca deskę na piasek i dołącza do kręgu.

- No więc... - Postanawia być przyjacielski. - Oczym mowa?

- Ach, porucznik Stukeley - rzuca Lumar. Unosi głowę i uśmiecha się, ale bez odrobiny ciepła. - Mówimy o wielu sprawach.

- O wielu sprawach, poruczniku - powtarza Sidorio.

Stukeley czuje na sobie zachłanny wzrok Olina. Nie patrzy mu w oczy, spogląda za to w ogień. Po chwili czuje na ramieniu delikatną dłoń.

- Ustalamy plany na kolejny etap - mówi Mistral.

Patrzy na nią. Sięga palcami do jego czoła i odgarnia niesforny kosmyk włosów. Stukeley drży od jej dotyku. Mistral uśmiecha się znowu.

- Szalupa, którą przyплыliśmy, jest za mała dla nas wszystkich - stwierdza Lumar.

Czasami mówi tak cicho, że Stukeley ledwie go rozumie. Ale Lumar zawsze siedzi obok kapitana i Sidorio zawsze słucha jego słów, jak gdyby wlewały mu się w uszy niczym miód.

- Łódź przewoźnika też jest za mała - oświadcza Sidorio.

Pięć par oczu kieruje się ku dwóm zacumowanym w pobliżu łodziom. Podskakują na falach - ocean jest niczym nieujarzmiony koń, gdy próbuje zrzucić jeźdźca. Łódki jednak nie poddają się. Stukeley patrzy z czułością na łódź przewoźnika. Dobrze spełniała swe zadania, kiedy nosiła tylko kapitana, Stukeleya i ich deski. Jak dawno to było? Wydaje się, że minęła wieczność.

- Potrzebny nam statek - mówi cicho Lumar.

- Potrzebny nam statek - powtarza głośno Sidorio.

- Tak. - Lumar kiwa głową, jakby Sidorio powiedział coś nowego. - Tak, potrzebny nam statek.

- Statek. - To pierwsze słowa, jakie Olin wypowiedział w obecności Stukeleya przez cały wieczór.



- To jest nasz plan. - Mistral znów uśmiecha się do Stukeleya.

Gotów jest zgodzić się na każdy plan, jaki ona zaproponuje.

Sidorio wstaje. Nic nie mówiąc, odchodzi od ogniska w stronę łodzi.

- Chodźcie - zwraca się Lumar do pozostałych.

- Dziś w nocy popłyniemy wzdłuż brzegu. Zobaczymy, jakie statki pływają po tych wodach, i wtedy się zastanowimy.

- Czy to dobry pomysł? - pyta Stukeley. Na chwilę zapomniał o swojej niechęci do Lumara. - W tym sztormie możemy mieć kłopoty.

Lumar uśmiecha się - tym razem pełnym, szerokim uśmiechem. Ale to najbardziej złowrogi uśmiech, jaki Stukeley widział.

- Nie musi się pan już przejmować pogodą, poruczniku. Dla takich jak my sztormy nie mają znaczenia.

Słowa Lumara okazują się prawdą. Choć pogoda robi się coraz gorsza, nieduża łódź przewoźnika płynie równo, jakby po spokojnej wodzie. Deszcz nie moczy piątki pasażerów. Raz jeszcze Stukeley ma wrażenie, że znajdują się pod kopułą.

Mimo to, myśli, łódź przewoźnika, choć większa od szalupy, którą przyплыnęli tamci, jest za mała. Statek byłby lepszy. Na statku, gdyby nie miał ochoty, mógłby nie spotykać Lumara i Olina. Porucznik dostałby własną kwaterę. I na statku mógłby zostać sam na sam z Mistral. Im dłużej o tym myśli, tym więcej dostrzega możliwości. Chce statku. Chce go natychmiast. Takie ostatnio są jego pragnienia - gwałtowne i nieznoszące zwłoki.

Ale kiedy niewielka łódź płynie wzdłuż brzegu, nie spotykają żadnych statków. Morze jest puste - kto chciałby stawiać czoło takiej pogodzie?

- Cierpliwości - mówi Lumar i znowu się uśmiecha. - Musimy okazać cierpliwość. Wszystkie nasze pragnienia się spełnią. Jeśli nie dzisiaj, to wkrótce.

Stukeley nie znosi sposobu mówienia Lumara. Wielkie słowa, które nic nie znaczą. Wydaje się, że musi wypełniać nimi powietrze. Lepiej jest milczeć. Milczeć jak kapitan. Kapitan, który sprowadził go z powrotem z tamtego miejsca.

Żeglują dalej, wzdłuż krętej linii brzegowej. Stukeley obserwuje, jak ulewa chłoszcze ciemne klify - drobinki wody rozświetlone słabym blaskiem księżyca. Pojedyncze krzaki pojawiają się na krawędzi urwiska. Niektóre z nich wrywa wichura i spadają w dół, w czarne

wody. Łódź przewoźnika płynie spokojnie dalej. Omijają róg klifu i widzą w oddali światła. Światła na wzniesieniu.

- Co to jest? - pyta Lumar.

Wszyscy unoszą wzrok. W polu widzenia pojawia się szeroki kamienny łuk.

Te światła i ten łuk trącają jakąś strunę w pamięci Stukeleya.

- Czy to port? - dopytuje się Mistral.

- Za łukiem? Tak, wydaje mi się, że tak! - woła Lumar.

- Przyjrzymy mu się bliżej? - proponuje dziewczyna.

Lumar ogląda się.

- Co pan na to, kapitanie?

Wszyscy patrzą na Sidorio. Ten stoi; jego wzrok biegnie przez kamienny łuk, nad wodą do nabrzeża, potem na wzgórze.

- Dziewczyna - odzywa się w końcu.

- Dziewczyna? - powtarza Lumar.

- Jaka dziewczyna? - dziwi się Mistral.

Sidorio wolno kręci głową.

- Dziewczyna z książką.

Mówi w równej mierze do siebie, jak i do pozostałych.

- Obawiam się, że nie rozumiem, kapitanie - odpowiada Lumar.

Tym razem wyraźnie brzmi w jego głosie zniechęcenie.

Łódź dociera do łuku. Teraz łuk także jest osłonięty przed deszczem i piorunami. Sidorio stoi nieruchomo, patrząc na brzeg. Stukeley wstaje, by się do niego przyłączyć.

- Uważaj, idioto! - krzyczy Lumar. - Przewrócisz łódź!

- Ale przecież nic chyba nie zdoła przewrócić tej łodzi... - odpowiada z uśmiechem Stukeley.

Lumar patrzy na niego wrogo.

- Patrzcie! - Mistral wskazuje rzeźbienia. - To Akademia.

Akademia... Słowo to budzi dziwne echa w umyśle Stukeleya. Podobnie jak kamienny łuk i światła na wzgórzu. Wie dość, by być pewnym, że kiedyś już tu był.

- Przepłyniemy pod tym łukiem? - zwraca się do Sidorio.

- Dziewczyna i książka - powtarza kapitan. - Zna moją historię...

Stukeley zachęcająco kiwa głową.

- Czy chce pan, żebyśmy płynęli dalej, pod tym łukiem? Kapitanie?

Ale Sidorio nie odpowiada. Jego oczy są teraz puste. Wszyscy to widzą. W miejscu oczu jarzą się jeziora ognia. Ogarnął go głód. I jest zaraźliwy. Każde z nich zaczyna odczuwać to samo narastające ostre pragnienie. Aż wreszcie pięć par oczu płonie ogniem, niczym latarnie w mroku nocy.

# Rozdział 31

## Pod rynnę

Grace odsunęła żaluzje i wyszła na balkon. Choć wilgotna, noc była ciepła i parna, a padający deszcz nie zmniejszał upału. Gdyby pożar i potop mogły nadejść jednocześnie, właśnie takie byłoby to uczucie.

Sztorm dawno już opanował Akademię i teraz szalał po ogrodach jak stado dzikich bestii. Niewidzialne ręce szarpały drzewa, zginając je niczym gigantyczne trzciny i grożąc połamaniem. Zwykle spokojne, płytkie kanały teraz przypominały spienione przełomy, gdy woda pędziła nimi z tarasu do nabrzeża. A niżej, w zatoce, łodzie Akademii kołysały się gwałtownie na ciemnych, wzburzonych falach; dzisiaj nie dane im było odpocząć po całodziennej pracy.

Grace patrzyła, a ciepły deszcz spływał jej po skórze, po włosach, po ubraniu. Patrzyła i wspominała tamtą noc sprzed mniej więcej trzech miesięcy, kiedy ostatni raz widziała taki sztorm - nie ze stosunkowo bezpiecznego miejsca na balkonie, ale z samego środka wzburzonych wód. Patrzyła i myślała o wampiratach. To była idealna noc na ponowne spotkanie.

Poczuła, że czyjeś ramię ociera się o nią. Obejrzała się i zobaczyła, że stoi przy niej Cheng Li. Grace uśmiechnęła się, pełna stanowczości.

- Jesteś absolutnie pewna? - spytała Cheng Li.

Grace kiwnęła głową.

- Jestem pewna.

Cheng Li na chwilę położyła dłoń na jej ramieniu. Razem patrzyły na chaos burzy.

- Wiesz, jakie ryzyko podejmujesz?

Słowa zagłuszył nagły huk gromu. Grace odczekała, aż ucichnie, nim odpowiedziała:

- Rzecz jest warta ryzyka. - Pomyślała o Lorcanie i poczuła dopływ adrenaliny. - Chodź, zrobmy to zaraz, zanim stracę odwagę.

Cofnęła się do wnętrza. Cheng Li weszła za nią i opuściła żaluzje.

- Powinnaś zostawić jakiś list Connorowi - stwierdziła.

- Myślałam, że ty mu powiesz.

Cheng Li zastanowiła się.

- List będzie lepszy - uznała.

- Dobrze - zgodziła się Grace.

Nie chciała marnować czasu. Nie chciała marnować takiego sztormu. Ale burzowa pogoda potrwa jeszcze przez całą noc, więc kilka minut niczego nie zmieni.

Ostrożnie otworzyła szkatułkę, którą dostała od Darcy. Wyjęła z niej pióro i jeden z notatników. Nie chciała go niszczyć - pamiątki ze statku nabrały dla niej szczególnego znaczenia - więc ostrożnie wyrwała podwójną kartkę ze środka. Na szczęście udało się to zrobić bez śladu. Wygładziła ją na blacie i zastanowiła się, co napisać. Natchnienie przyszło szybko. Pospiesznie nakreśliła parę słów i dmuchnęła na nie, by wysuszyć atrament. Kilka kropli wody kapnęło z jej mokrych włosów na papier i wilgotny jeszcze atrament zaczął się rozmywać. List nie wyglądał dobrze, ale wciąż był czytelny, a nie chciała już tracić czasu i zaczynać od początku.

Odczekała chwilę, złożyła kartkę, a potem - uważając na włosy - dopisała na zewnątrz duże „C”. Położyła list na nocnej szafce.

Pióro i notes schowała znowu do szkatułki, którą zamknęła na kluczyk. Martwiła się, że musi ją tu zostawić, ale może przynajmniej zabrać ze sobą klucz. W ten sposób nikt jej nie otworzy. Właściwie to głupie, pomyślała, tak się przejmować paroma sekretnymi notatnikami... Ale z drugiej strony bardzo niewiele jej pozostało prócz tych kilku sekretów.

- Gotowa? - spytała Cheng Li.

Stała zwrócona do Grace plecami, obserwując burzę.

Grace skinęła głową.

- Idziemy.

Cheng Li otworzyła przed nią drzwi i razem wyszły na ciemny korytarz. Szybko i cicho przebiegły wzdłuż szeregu zamkniętych pokoi, po schodach w dół i do ogrodów Akademii.

- Uważaj teraz! - Cheng Li musiała krzyżeć, by być słyszaną wśród wycia wichury. - Nie chciałabyś się chyba pośliznąć.

Grace potrząsnęła głową. Absolutnie nie mogła się pośliznąć. Nic nie mogło jej przeszkodzić w tej misji. To był jedyny sposób.

Ciepły deszcz przemoczył je obie, kiedy schodziły w dół po zboczu. Ani jedna żywa dusza nie przebywała prócz nich na zewnątrz; kiedy Grace się obejrzała, zobaczyła we wszystkich oknach szczelnie zamknięte żaluzje. Nikt nie miał szans, by je zauważyć.

W końcu dotarły na nabrzeże. Grace przystanęła, by złapać oddech. Woda w porcie przypominała zupe, która zbyt długo się gotowała - gęsta ciecz przelewała się i pieniała na kamieniach. Dzięki Bogu za błyskawice rozjaśniające upalną ciemność.

Cheng Li powiedziała coś, ale grom zagłuszył jej słowa. Grace zauważyła, że wicher tak mocno szarpał drzewem jacarandy, aż ławkę i ścieżkę do portu zasłały niebieskie kwiaty. Kiedy sztorm minie, piękne kiedyś drzewo będzie prawie nagie. Stanowiło smutny obraz, ale Grace nie mogła sobie pozwolić, by o tym myśleć.

Cheng Li pochyliła się do niej.

- Wyjdźmy na sam koniec falochronu!

Grace uniosła głowę. Falochron opadał przed nią ku wodzie. Po obu stronach fale uderzały o niego, pozostawiając ślad piany na mokrych kamieniach. Przejście z jednego końca na drugi będzie prawdziwym wyzwaniem, ale Cheng Li miała rację. Im dalej wyjdzie w morze, tym większą ma szansę, że statek wampiratów przyplynie po nią szybko, zanim ciemne wody wciągną ją w głąb, poza zasięg nawet wampirów.

Choć mokre ubranie ścigało ją niczym cofająca się fala przyboju, Grace wspierała się po schodach na szczyt falochronu. Cheng Li szła za nią. Podtrzymując się wzajemnie, posuwały się naprzód. Po obu stronach wody były gwałtowne i nieprzewidywalne. Dziewczyny musiały zatrzymać się na chwilę, gdy wielka fala przelała się nad murem; woda spłynęła i ruszyły dalej. Grace czuła, że mimo ciepłego deszczu, z wolna przemarza do kości.

Falochron opadał stromo w dół, w ciemny, spieniony ocean. Stały obie przytulone do siebie na samej krawędzi wody - sprzymierzone przeciwko burzy. A potem Grace zrobiła krok naprzód, a Cheng Li cofnęła się - dotarły tak daleko, jak tylko mogły razem. Reszta należała już tylko do Grace. Spojrzała ponad wodą na łuk wejścia do portu, znaczący granicę między terenami Akademii i otwartym oceanem. Poza nim dostrzegła mgłę przesłaniającą horyzont. Czy to możliwe, że statek już tam był, że czekał spowity mgłą po drugiej stronie łuku... czekał na nią? Jej serce niemal pękało z tęsknoty. Niech tam będzie. Niech jest.

Obejrzała się i spojrzała na drżącą Cheng Li.

- Wracaj - powiedziała. - Nic mi nie będzie.

- A jeśli się nie zjawią? - spytała Cheng Li.

Obie starały się przekrzyczeć sztorm.

- Zjawią się! - zawołała Grace.

- Ale i tak... - Cheng Li jakby przyrosła do kamieni.

Grace pokręciła głową.

- To nie jest zabawa, Cheng Li. Muszą wierzyć, że grozi mi prawdziwe niebezpieczeństwo. Tylko dlatego przyplłynęli do mnie poprzednio. Jeśli będą wiedzieli, że tu jesteś, mogą nie przyplłynąć. Muszę załatwić to sama.

Teraz wszystko stało się dla niej jasne.

Cheng Li przyjrzała się Grace z takim skupieniem, jakby chciała przebić ją wzrokiem. Zrobiła krok naprzód i zdawało się, że obejmie młodszą przyjaciółkę. Cofnęła się jednak.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś niezwykłą osobą - rzekła. - Powodzenia, Grace.

Odwróciła się i ruszyła niepewnym krokiem po murze falochronu. Grace obserwowała, jak odchodzi; myślała, jak drobna i krucha wydaje się pani Li wobec potęgi i siły sztormu. Nawet dwie katany przytroczone na plecach były teraz bezużyteczne - niczym druty do robótek wobec żywiołu. Pomyślała nagle o dziecięcej grze w kamień, nożyce i papier - o tym, jak każdy z tych elementów mógł stać się bezwartościowy, zależnie od tego, z czym się spotkał.

Kiedy Cheng Li zniknęła wśród nocy, Grace zwróciła się ku morzu. Poza łukiem wejścia gęstniała mgła, ale w górze księżyc wysunął się zza chmur i promień światła rozjaśnił jej twarz. Nagle ogarnął ją spokój. Nadeszła jej chwila. Przysunęła się do krawędzi, jakby stała na trampolinie na miejskim basenie w Księżycowej Zatoce, jakby była to zwykła lekcja pływania w piątkowe popołudnie.

- Z deszczu pod rynnę - krzyknęła.

I skoczyła z brzegu falochronu do wody.

Była zaskakująco zimna. Grace zanurzyła się głęboko, nagle odizolowana od huku szalejącego w górze sztormu. Tutaj panowały ciemność i cisza. Wstrzymując oddech, wyciągnęła ręce i przez chwilę dryfowała pod falami. Kiedy zaczęła odczuwać brak powietrza, pchnęła rękami w dół i popłynęła ku powierzchni. Wysunęła głowę nad wodę i zaszokował ją chłód nocnego powietrza i huk sztormu. Wydawał się teraz głośniejszy - ale nie potrafiłaby stwierdzić, czy to przez kontrast z ciszą w dole, czy też pogoda zaczęła się pogarszać.

Rozejrzała się w nadziei, że zauważy statek. Ale nie - jeszcze za wcześnie. Spojrzała w stronę portu.

- Cheng Li zniknęła, odeszła, tak jak jej kazała. Na krótką chwilę Grace ogarnęła panika. Co sobie wyobrażała, żeby tak rzucić się do wzburzonego oceanu, w samym sercu sztormu? To szaleństwo! I wtedy właśnie nawiedziła ją wizja ojca: stał na falochronie i przyglądał się jej z uśmiechem.

- Czasem szaleństwo jest mądrością, Gracie.

Ona też się do niego uśmiechnęła. A potem fala smagnęła mur i ojciec zniknął. Wiedziała teraz, że została sama - całkowicie i nieodwracalnie sama.

Dzielnie machała rękami i nogami, czując, że coraz bardziej oddala się od końca muru w stronę łuku. Woda była tu zimniejsza i Grace szybko traciła siły. Chyba już najwyższy czas, by pod lukiem przepłynął statek? Przecież nie chcą, żeby się dłużej męczyła...

Straciła poczucie czasu. Mogła upłynąć godzina, a mogło kilka sekund. Obrazy rozbłyskiwały jej w głowie jak film, odtwarzający sceny z życia. Znów była w Księżycowej Zatoce na pogrzebie ojca; odpływała z Connorem żagłówką; budziła się na statku wampiratów; przekradała do kajuty kapitana; stawała przed Sidoriem; uczestniczyła w Uczcie... Sceny toczyły się coraz wolniej i wolniej, jakby taśma filmowa na szpuli splątała się i porwała... A potem obrazy zgasły. Pozostała tylko atramentowa czerń, przesączająca się do głowy, do rąk i nóg. Dochodziła już do kresu. Jeśli nie przypląną po nią zaraz, to będzie koniec.

Znów zanurzyła się pod powierzchnię i czuła, że fale pochłaniają ją całą. Zaczęła zapadać się jak kamień przez warstwy wody. Ale mimo to ogarniał ją dziwny spokój. Zaryzykowała wszystko. Pomyliła się. A teraz, co jeszcze ją czeka?

Nastąpiła chwila pustki i nicości, być może pierwsza z bardzo wielu takich chwil...

I nagle odczuła wstrząs. Para rąk chwyciła ją za ramiona i szarpnęła, pociągnęła w górę poprzez ciemne wody. Lorcan! To musi być Lorcan. Nie spieszył się, ale przybył po nią. Wiedziała, że przybędzie.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy traciła przytomność.



# Rozdział 32

## Już bezpieczna

- Lorcan! Lorcan, zjawileś się! Wiedziałam, że się zjawisz! Znowu patrzyła w jego błękitne oczy. Rana zniknęła bez śladu, jak gdyby ratując ją, uratował także siebie. Oczywiście... Tak jakby potrzebowała kolejnego znaku, że przeznaczenie łączy ich ze sobą...

- Grace!

Uśmiechnęła się do niego radośnie, tonąc w błękicie...

- Grace!

Widok przesłaniała mgła. Traciła go. Nagle ogarnęła ją panika...

- Grace!

To nie był jego głos. To...

- Connor!

Uniosła powieki i spojrzała w oczy brata. Nie mogła tego zrozumieć. Całkiem jakby ktoś nagle odsunął na bok głowę Lorcana i odsłonił ukrytego za nią Connora.

Connor odetchnął z ulgą, ale w jego zielonych oczach widziała gniew i cierpienie.

- Gdzie jest Lorcan? - spytała.

Potrząsnął głową.

Leżała na poduszce. Spojrzała za plecy Connora. Była w łóżku, pod dachem. W dużym pomieszczeniu, słabo oświetlonym i zastawionym innymi - pustymi - łózkami. Co to za miejsce? Nigdy przedtem go nie widziała.

- Gdzie jestem?

- W izbie chorych, Grace.

Connor nie poruszył wargami...

Grace przekręciła głowę na bok.

Jakaś kobieta patrzyła na nią z góry, wzrokiem raczej badawczym niż współczującym.

- Jestem siostra Carmichael - przedstawiła się.

- Kieruję izbą chorych w Akademii. Jesteś teraz pod moją opieką.

Grace zadrżała - jej misja się nie powiodła. Statek wampiratów po nią nie przyplłynął. Lorcan jej nie ocalił.

A więc kto?

Kropła wody spadła jej na czoło. Przyjrzała się Connorowi - miał mokre włosy. Tak samo jak twarz, szyję i - o ile mogła to ocenić - ubranie.

- To prawdziwy cud, że dotarłeś do niej na czas - usłyszała głos siostry Carmichael. Jej akcent niewiele się różnił od wymowy Lorcana, co Grace uznała za ironię losu.

- Zauważyłem ją przez okno - wyjaśnił zdyszany Connor. - Księżyc wyszedł zza chmur i zobaczyłem, że stoi na falochronie. Pobiegłem do niej. I wtedy skoczyła. Jeszcze nigdy w życiu nie pędziłem tak szybko.

Grace raz jeszcze przyjrzała się bratu. Nie tylko woda błyszczała mu w oczach, ale też łzy. Płakał.

- Dlaczego to zrobiłaś, Grace? - zapytał, z trudem wypowiadając słowa.

- Żeby znowu znaleźć wampiratów.

Czy to nie oczywiste?

- I dlatego chciałaś się zabić?

- Nie. - Pokręciła głową. - Oczywiście, że nie...

Siostra Carmichael przerwała jej.

- Twoja siostra ma bardzo znękaną duszę, Connorze.

Znękaną duszę? O czym ona mówi?

- Znalazłem twój list - oświadczył Connor.

Uniosła głowę. W rękach trzymał rozwiniętą kartkę z jej pospiesznie napisaną notką. Słowa były czytelne, choć rozmazane.

*Connorze,*

*Proszę, nie gniewaj się na mnie.*

*Musiałam to zrobić.*

*Ty masz swoją drogę, a ja swoją.*

*Wkrótce znów będziemy razem.*

*Do tego czasu, kocham cię*

*Grace*

- Co za straszny list - stwierdziła siostra Carmichael. - I jaki straszny sposób pożegnania się z bratem.

O co jej chodzi? To nie był przecież list pożegnalny, w każdym razie nie taki, o jakim myśli. Wszystko pomieszali. Była zirytowana również dlatego, że mimo natłoku myśli, jej zdolność mówienia była mocno ograniczona. Całkiem jakby wciąż dryfowała pod wodą. Próbowwała przebić się na powierzchnię, słysząc niewyraźną wymianę zdań między Connorem i siostrą Carmichael.

- Spytajcie Cheng Li - zdołała wyrzucić z siebie. - Co? - nie zrozumiał Connor. - Spytajcie Cheng Li. Ona wam powie. Znała plan. - Grace odetchnęła głęboko. - Pomogła mi. - Co za bzdura! - obruszyła się siostra Carmichael. - Co za potwarz! Pani Li śpi od dawna. Obawiam się, że to następny objaw jej szaleństwa.

Szaleństwo... To słowo przemknęło przez myśli Grace. Znowu zobaczyła ojca stojącego na skraju falochronu. „Czasami szaleństwo jest mądrością, Gracie”, powiedział.

- Idź lepiej i spróbuj się trochę przespać, młody człowieku - zaproponowała siostra Carmichael.

- Nie powinienem zostać przy niej?

Grace usłyszała smutek w głosie brata. Jak może go uspokoić, przekonać, że nic jej nie jest? Plan się nie powiódł, ale to nie był plan, o którym on myśli.

- Nie ma sensu - odparła siostra Carmichael. - Za chwilę uśnie. To dla niej najlepsze.

Uśnie? W jaki sposób? Tknięta nagłym przecuciem, Grace wyciągnęła rękę do Connora.

Za późno. Ukłucie igły było nie bardziej bolesne niż ukąszenie komara, ale w ciągu sekundy ogarnęło ją otępienie i po raz kolejny zapadła w nicość.

Ostatnie słowa, jakie usłyszała, wypowiedziała siostra Carmichael. Jej akcent był okrutnym zniekształceniem wymowy Lorcana.

- No... Teraz jest bezpieczna.

# Rozdział 33

## Prosty plan

Plan był prosty - zdobyć statek. Jakikolwiek statek. Im szybciej, tym lepiej, ale jeśli nie zdążą dzisiejszej nocy, to może być jutrzejsza albo jeszcze - następna. Takie sprawy warto dobrze rozważyć, gdyż wydarzenia owej nocy mogą się okazać decydujące dla ich przyszłości.

Zdobycie statku będzie oznaczało początek drugiej fazy. W tej chwili jest ich tylko piątka, ale wkrótce - jeśli wierzyć Sidorowi i Lumarowi - będzie więcej, owiele więcej. Nie mogą przecież wiosłować od zatoki do zatoki chmarą łódek, jak wodni Cyganie. Oczywiście, że nie. Na początek muszą mieć jeden statek - i plany zdobycia kolejnych. Nie tylko z powodów praktycznych, ale też by jasno przekazać wiadomość: są siłą, z którą należy się liczyć.

Koniec z bezcelową wędrówką, co Stukeley uświadamia sobie z nutą smutku - nie będzie więcej wpływania co wieczór do nowej zatoczki i rozbijania tam obozu. Wszystko zaczęło się zmieniać w chwili, gdy przybyła trójka nowych. W Sidoriu zbudziła się jakaś determinacja... Zwłaszcza Lumar ma na niego taki wpływ, że popycha go do nowych myśli i działań. Jego obecność działa na Sidorio w sposób alchemiczny - transmutuje w jasną stal decyzji pospolity metal jego pierwotnych, chaotycznych pragnień. Z początku Stukeley podejrzewał, że Lumar przejmie dowodzenie, ale chyba odpowiada mu, że Sidorio jest kapitanem. Przynajmniej na razie.

Lumar ma w sobie coś takiego, czego Stukeley nie lubi i czemu nie ufa.

Zgodnie z planem, lepszym czy gorszym, od kilku nocy obserwują statki z opuszczonej latarni, w której założyli prowizoryczną bazę. Jak wiele rzeczy w zrujnowanym budynku, sama lampa też była uszkodzona, ale Lumar i Olin zaraz wzięli się do naprawy. Teraz latarnia funkcjonuje znowu, posyłając strumień światła na ciemne wody usianej skałami zatoki. Siedzący w pomieszczeniu z lampą nie potrzebują tego światła, by zobaczyć wpływające statki. Nie w tym rzecz - chodzi o to, by zwabić statek do siebie, ściągnąć blisko skalistego brzegu jak muchę schwytaną w posmarowaną miodem pajęczynę.

W noc sztormu cała piątka zbiera się wokół lampy. Stukeley nie znosi tego pomieszczenia. Nie ma tu miejsca dla pięciu osób, a wymuszona bliskość tym wyraźniej mu uświadamia, że jest obcy pośród znających się od dawna sprzymierzeńców. Jasna kula światła budzi w nim lęk. Przypomina o słońcu, a dobrze już wie, jak bardzo słońce może mu teraz zaszkodzić - wie częściowo z własnego doświadczenia, a częściowo z lekcji, jakie wbił mu do głowy Sidorio. Lumar widzi jego strach i śmieje się.

- Nie martw się, Stukeley - mówi. - Jeszcze zrobimy z ciebie wampira. Przekonasz się.

Stukeley milczy, choć powinien odpowiedzieć.

Już jestem wampirem, chce przypomnieć. I świetnie sobie radziliśmy, zanim wypłynęliśmy z ciemności. I nadal jestem porucznikiem.

Milczy jednak i martwi się w duchu, gdyż Sidorio już od kilku dni nie nazwał go porucznikiem. Wszyscy teraz mówią do niego „Stukeley”, zwyczajnie Stukeley... A jeśli go zdegradowali i nawet nie raczyli o tym poinformować? Powinien coś zrobić, żeby przypomnieć kapitanowi, ile jest wart. Ale co?

Nie musi długo czekać na rozwiązanie problemu. Sztorm przynosi im statek. W czasie wcześniejszych nocy przepływały również inne, ale na spokojnych wodach nie musiały szukać kryjówki w osłoniętej zatoce. Płynęły dalej i nikt nawet nie zamachał z wdzięcznością w stronę latarni.

Ten statek, tej nocy, jest inny.

Sztorm szaleje. Stukeley z przyjemnością obserwuje go ze swego miejsca. To tak, jakby wznosił się ponad burzę. Jakby posyłał strzały gromów i włącznie błyskawic na nieszczęsną jednostkę w dole.

- Kapitanie, teraz!

Lumar przesuwają reflektor. Sidorio i pozostali podchodzą do okien, widzą statek. Dzielnie walczy z żywiołami, które atakują go ze wszystkich stron.

- No już, ruszamy! - mówi Lumar.

Sidorio chrząka. Tylko on ma prawo wydawać rozkazy.

- To znaczy, powinniśmy chyba ruszać. Prawda, kapitanie? Przecież to wygląda na okazję, na jaką czekaliśmy.

- Tak - gromko potwierdza Sidorio. - Idziemy, natychmiast. Statek będzie nasz.

Wychodzi przed latarnię. Stukeley podąża za nim w burzę; widzi, jak opada ku nim masa wody. Odskakuje do wnętrza, ale Sidorio tylko się śmieje. Stoi tam na niskim murku i przygląda się lądowi i morzu, jak gdyby był władcą natury. A potem z krzykiem skacze w ciemność, wywijając salto w powietrzu.

- Kapitan jest w dobrym humorze - stwierdza Lumar. Oczy mu błyszczą. - Chodź, Mistral, chodź, Olin, dołączymy do niego. Stukeley, ty zostaniesz tutaj i przypilnujesz lampy, dopóki nie damy ci znaku.

Kiedy to postanowiono? To pewnie jakiś podstęp Lumara.

Cała trójka zaczyna schodzić w dół, a Stukeley zostaje sam, uwięziony razem z kulą światła, której szczerze nie znosi. Kieruje jasny strumień na żagle statku, jakby się bawił. Statek wrywa się z najgorszych fal i płynie do zatoki, wprost do skały u podnóża latarni.

Stukeley przesuwając promień światła po żaglach, w górę, aż do bocianiego gniazda. Potem oświetla banderę - z czaszką i pieszczelami. To piracki statek, uświadamia sobie. Czy on sam nie był kiedyś piratem? Czy tylko to sobie wyobraził? Wszystko mu się miesza, nie potrafi już odróżnić snów od wspomnień. Wszystko tworzy w umyśle jeden splątany węzeł. Czasami lepiej w ogóle za dużo nie myśleć - tylko robić to, co każą, i żyć bieżącą chwilą.

Ściga statek snopem światła. Coś odzywa się w pamięci... niczym kamień rzucony do wody, który wywołuje rozchodzące się kręgi. Ale kręgi wystarczają, by znieruchomiał, zastanowił się, choć to trudne. Ponieważ statek wydaje się znajomy...

W dole kapitan i trójka jego współników ruszają do statku małą łodzią przewoźnika. Stukeley patrzy, jak zanurzają wiosła w wodzie. Odbijają od brzegu i płyną szybko do celu. Stukeley świeci prosto na nich, do chwili, kiedy - ku swemu rozbawieniu - zauważa gorączkowe sygnały Lumara, który coraz bardziej nerwowo krzyżuje i prostuje nad głową ramiona. Stukeley rozumie, o co mu chodzi, nie jest przecież głupi, ale zwleka chwilę, nim przenosi światło reflektora z powrotem na pokład statku.

Pokład... Przygląda się uważnie. Piraci - mali jak mrówki - biegają po nim tam i z powrotem, ślizgając się na mokrych deskach. I znowu budzi się mgliste wspomnienie. To raczej wrażenie niż myśl - kroki stóp w znoszonych butach na śliskim pokładzie. Wysilek, by zachować równowagę... Wtedy już wie. Był już kiedyś na tym pokładzie.

Łódź dociera do burty statku i czwórka towarzyszy rozpoczyna wspinaczkę. To będzie najtrudniejsza część planu. Sidorio jest sprawniejszy od pozostałych, więc on wchodzi pierwszy.

Za nim Olin i Mistral, niosąca przykryty koszyk. Lumar idzie na końcu. Stukeley widzi, jak stają na pokładzie. Jeden z piratów zatrzymuje się jak wryty, widząc nowo przybyłych... i wtedy Stukeley znów dostrzega znajomą flagę. Czuje, że ogarnia go fala chłodu, jak gdyby ktoś wyrwał mu dziurę w skórze. Otwiera usta i krzyczy.

- Niiieeeeeeee!

- Prowadź nas do kapitana! - krzyczy Sidorio do pirata.

- Przy płynęliśmy z latarni - dodaje Lumar. - Mamy informacje o tym odcinku wybrzeża, a także... - wskazuje Mistral -...zapasy.

Pirat mierzy ich wzrokiem od stóp do głów, po czym woła coś do jednego z kolegów. Ale nie ma czasu na namysł. Sztorm wprowadzie przycichł, ale może tylko na chwilę. Pirat macha na nich ręką.

- Chodźcie za mną. Idą więc - Sidorio na czele, za nim Lumar i Mistral, na końcu Olin. Wchodzą w wąski korytarz we wnętrzu statku.

- Kapitan jest w swojej kajucie razem z zastępcą - informuje pirat i stuka do drzwi.

- O co chodzi? - dobiega wołanie z wnętrza. - Wejść!

Drzwi się otwierają.

- Kapitanie Wrathe, mamy czworo gości z latarni morskiej. Przybywają z informacjami i żywnością.

Chwila ciszy, po czym głos odpowiada:

- Wejdźcie. Wejdźcie, to nie jest odpowiednia pora, żeby kryć się w cieniu.

- Istotnie - zgadza się Lumar, występując naprzód.

- Kapitan Wrathe, tak? Miło mi pana poznać. Nazywam się Lumar.

Cała czwórka wkracza do kapitańskiej kajuty. Olin zamyka za sobą drzwi.

Na górze, w latarni, Stukeley gorączkowo przeszukuje wzrokiem pokład. Gdzie oni są? Dokąd poszli? Ale światło bezlitośnie wskazuje odpowiedź: przedostali się do wnętrza. Prosty plan zaczyna się realizować. Nie da się już powstrzymać biegu wydarzeń.

Stukeley uznaje jednak, że warto przynajmniej spróbować. Wypuszcza uchwyty reflektora i zbiega spiralnymi schodami. Pędzi, przeskakując po dwa, trzy, cztery stopnie naraz. Ma wrażenie, że trwa to całą wieczność. Kto wie, do jakich nieszczęść może dojść w czasie, kiedy on zbiega na dół?

Wypada z budynku w wilgotną noc. Fale huczą groźnie. Widzi przywiązaną do burty statku pustą łódź przewoźnika. Widzi drugą, małą szalupę między skałami. Mógłby dopłynąć nią do statku, ale w głębi serca wie, że jest już za późno. Czuje to.

I wtedy - jakby jeszcze potrzebował potwierdzenia - słyszy pierwszy krzyk. Wkrótce potem rozlegają się następne. Mimo głośniego ryku oceanu, łatwo jest rozróżnić wrzaski mężczyzn i kobiet.

Widzi piratów biegających beładnie po pokładzie. Widzi powalonych - tych, którym nie udało się umknąć przed dotykem czworga obcych. Widzi też innych - ci mieli więcej szczęścia, ale teraz rzucają się we wzburzone wody, które - choć niedaleko lądu - są głębokie i zdradzieckie. Powinni zaprzestać krzyków - nie stać ich na marnowanie tchu.

Załoga na statku musiała liczyć przynajmniej sto pięćdziesiąt osób. Ale w końcu wszystkie odgłosy milkną. I choć krzyki agonii piratów były przerażające, cisza przenika go jeszcze większym chłodem. Czwórka obcych zmusiła statek do milczenia. Stukeley obserwuje wszystko. Widzi bezwładne ciała, toczące się tam i z powrotem po rozkołysanym pokładzie, śliskim teraz od krwi. Widzi inne ciała, walczące o życie wśród fal. Walczą dzielnie, ale długo nie wytrzymają. Może jeden czy dwóch, najwyżej garstka, dopłynie do brzegu. Czy trwoga pozwoli im przeżyć tę noc, wkrótce się okaże.

W końcu widzi wychodzącą na pokład znajomą postać. To Sidorio. Dumnie wypina pierś. Uśmiecha się.

Uciekający piraci przypominają mrówki, w porównaniu z nimi Sidorio robi wrażenie olbrzyma. Idzie na środek pokładu, bez trudu utrzymując równowagę.

Bez chwili wahania unosi głowę i poprzez wody i ciemność spogląda Stukeleyowi prosto w oczy.

- Poruczniku! - krzyczy głośno. - Proszę do nas! Jest tu krew dla ciebie! Mnóstwo krwi! - Śmieje się.

- Mamy nasz statek! - woła. - Mamy statek!

Słowa mkną przez powietrze, wywołując uśmiech na twarzy Stukeleya. Wreszcie, myśli, zapominając, jak martwił się o piracką załogę. Nazwał mnie porucznikiem! Nadal jestem jego porucznikiem!

- Idę, kapitanie! - woła, biegnąc, by dołączyć do dowódcy.

- Mamy swój statek! - krzyczy znowu Sidorio.



Stukeley odwiązuje małą szalupę. Chce jak najszybciej stanąć na pokładzie.

Ponad nimi lampa w latarni wiruje szaleńczo, oświetlając chaos. Ich prosty plan został wykonany.

# Rozdział 34

## Po burzy

Connor spał niespokojnie. Kiedy rankiem Jacoby zastukał do jego drzwi, wciąż był w piżamie, a głowę miał ciężką jak ołów.

- Rany, okropnie wyglądasz! - stwierdził Jacoby, wchodząc do pokoju. Był rześki i gotów do zajęć, ubrany w dres Akademii. - Lepiej się zbieraj. Już za piętnaście siódma.

- Chyba sobie odpuszczę smw - odparł Connor.

- Czemu? Źle się czujesz?

Connor pokręcił głową.

- Chodzi o Grace - wyjaśnił. - W nocy próbowała odebrać sobie życie.

Jacoby rozdziawił usta.

- Nie! Dlaczego? Jak?

- To długa historia. Ale skończyła się tym, że Grace skoczyła do morza z portowego falochronu.

Jacoby potrząsnął głową. Wyraźnie nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

- Widziałem ją. Zajrzałem do jej pokoju. I... I potem zobaczyłem, jak skacze. Pobieglem...

Zadrżał na samo wspomnienie. Jacoby uściskał mu ramię.

- Dobrze się spisałeś, kolego. Naprawdę.

Chwilę trwało, nim Connor zdołał uspokoić oddech. Nie chciał płakać przy Jacobym.

- Zostawiła to...

Podał przyjacielowi list Grace.

Jacoby przebiegł wzrokiem po linijkach.

- No, ciężka sprawa. I popatrz, cały tekst jest rozmyty. Wygląda, jakby płakała, pisząc.

Connor przytaknął. Sam też to zauważył, oczywiście.

- Nie rozumiem - wyznał Jacoby. - Wiem, że Grace nie czuła się tu najlepiej. I wiem, że trochę chorowała. Ale dlaczego miałyby zrobić coś takiego?

- Jak już mówiłem, to długa historia. A ty musisz już iść na zajęcia.

Jacoby pokręcił głową.

- Nigdzie nie idę. Nie zostawię cię w takim stanie. Czyli masz teraz mnóstwo czasu, żeby mi wytłumaczyć, o co chodzi.

Connor spojrzał przyjacielowi w oczy. Byłoby prawdziwą ulgą opowiedzieć mu o obsesji Grace na punkcie wampiratów. Nawet jeśli oznaczałoby to zdradę jej zaufania. W końcu w nocy to ona zdradziła jego w najgorszy możliwy sposób. Teraz już każdy odpowiada tylko za siebie...

Jacoby wszedł za Connorem do izby chorych. Pchnęli ciężkie drzwi i wkroczyli do długiej sali z szeregami prostych metalowych łóżek. Zajęte było tylko jedno, w środkowym rzędzie. Kiedy ruszyli w jego stronę, jakaś postać wysunęła się szybko z cienia.

- O... Dzień dobry - odezwał się Connor.

- Dzień dobry - odparła siostra Carmichael z krzywym uśmiechem. - Jak ci się spało?

- Marnie - odparł Connor.

- Trudno się dziwić. Co za noc...

- Jak ona się czuje? - zapytał chłopiec.

- Jeszcze się nie obudziła. - Siostra Carmichael wygładziła swój nakrochmalony fartuch. - Sen jest teraz dla niej najlepszy.

- Przyszliśmy ją zobaczyć - oznajmił Jacoby.

- Nie ma wiele do oglądania - odparła siostra Carmichael.

- Mimo wszystko.

Szturchnął Connora i wymijając pielęgniarkę, razem podeszli do łóżka, gdzie otulona kołdrą spała Grace.

- Jest blada - zauważył Jacoby.

Była. Connor przyjrzał się siostrze. Teraz przynajmniej wyglądała spokojnie, z włosami rozrzuconymi na poduszce i rękami skrzyżowanymi na piersi, jak u dawnych kościelnych posągów. Odruchowo zaczął wsłuchiwać się w jej oddech - był słaby jak daleka bryza.

- Jak mówiłam, nie ma wiele do oglądania - oświadczyła siostra Carmichael, stając obok nich.

- Kiedy się zbudzi? - spytał Jacoby. - Na pewno niczego jej nie brakuje?

Pielęgniarka obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Czyżby pan kwestionował moje umiejętności, panie Blunt?

Chłopak pokręcił głową.

- Ja tylko...

- Jeszcze nie tak dawno smarowałam maścią twoje pokaleczone kolana i otarte łokcie, młody człowieku. I sądzę, że mam lepsze kwalifikacje, by ocenić jej stan. Prawda?

Jacoby uniósł dłonie w geście kapitulacji i odstąpił od łóżka.

- Zawiadomi mnie pani, kiedy się obudzi? - upewnił się Connor. - Oczywiście - potwierdziła siostra Carmichael łagodniejszym tonem. - Natychmiast dam znać. Ale to jeszcze trochę potrwa. Lepiej wracajcie do normalnych zajęć. Nie będziecie mieli okazji się zadręczać.

Connor przytaknął. Raz jeszcze spojrzał na pozornie spokojną twarz siostry i odwrócił się.

- Lepiej chodźmy na zajęcia - rzekł.

Obaj z Jacobym ruszyli do drzwi.

- No, teraz przynajmniej jedno jest pewne - zauważył Jacoby.

Connor przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

- Nie możesz opuścić Akademii, dopóki Grace nie wyzdrowieje, prawda? Niezależnie od tego, co sądzi kapitan Wrathe.

O tym Connor nie pomyślał...

- Chyba rzeczywiście... - przyznał.

Jacoby uśmiechnął się.

- Nie będę mówił, że to szczęście w nieszczęściu. Teraz przynajmniej nic Grace nie grozi.

A ty będziesz miał więcej czasu, żeby się zastanowić.

Connor pokiwał głową. A kiedy wyszli na słońce, poczuł, że mniej mu ciążyą troski.

Za nimi zatrzasnęły się ciężkie drzwi do izby chorych.

Równocześnie na marmurowej podłodze rozległy się kroki nowych gości, którzy weszli drzwiami z przeciwnej strony. Stanęli przy łóżku Grace.

- Panie dyrektorze, pani Li... - Siostra Carmichael skłoniła lekko głowę.

- Jak się czuje nasza pacjentka? - zapytał Kuo.

- Tak, jak można oczekiwać. Organizm wciąż jest w stanie szoku. Dałam jej coś na uśmierzanie bólu.

- Bardzo dobrze.

Komandor i Cheng Li spojrzeli na Grace. Siostra Carmichael przysunęła się bliżej. Przez chwilę nikt się nie odzywał; wszyscy troje wsłuchiwali się w płytki oddech śpiącej.

Potem siostra Carmichael zerknęła z ukosa na Cheng Li.

- Dziewczyna powiedziała coś dziwnego, zanim zasnęła - oznajmiła.

- Tak? - Cheng Li spojrzała pielęgniarkę prosto w oczy. Nie należała do osób, które łatwo jest zastraszyć.

- Powiedziała, że wiedziała pani o wszystkim, pani Li... O tym jej planie.

- Pani to powiedziała?

- Nie mnie konkretnie. Rozmawiała ze swoim bratem. - Rozumiem. - Cheng Li skinęła głową. Pielęgniarka miała wrażenie, że dostrzegła wymianę znaczących spojrzeń między panią Li i dyrektorem. Starła się, by jej twarz niczego nie zdradziła.

- Powiedziałam jej, oczywiście, że to nonsens. Że pani śpi.

Dyrektor i Cheng Li wciąż spoglądali na siebie.

- Miałam rację, prawda, pani Li? Spała pani?

Cheng Li otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale przerwał jej stanowczy głos komandora.

- Nie sądzę, żeby pani Li musiała się tłumaczyć przed panią albo kimkolwiek innym - rzekł. - To był niebezpieczny incydent, ale na szczęście Grace nic już nie grozi. - Popatrzył na siostrę Carmichael.

- Najlepiej dla nas wszystkich będzie, jeśli zapewnimy jej staranną opiekę i postaramy się nie nadawać sprawie zbytniego rozgłosu.

- O tak... - Pielęgniarka odwróciła wzrok. - Zgadzam się w zupełności. Bez rozgłosu.

- Widzę, że się rozumiemy. A teraz zechce nam pani wybaczyć, ale zajęcia czekają. Pozostawiamy ją pani... uważnej opiece.

Skłonił się sztywno, po czym pchnął Cheng Li w stronę drzwi.

Siostra Carmichael przyglądała się, jak odchodzą. Podejrzenia rozbłyskiwały jej w myślach niczym fajerwerki. Zerknęła na śpiącą dziewczynę. Jakie tajemnice mogłaby wyjawić, myślała. Jakie sekrety kryją się za uśpionym obliczem?

\*

Poranek minął szybko. Teraz, kiedy wróciła piękna pogoda, znowu mogli jeść lunch na tarasie.

- Jakież wieści o Grace? - zapytał Connora Jacoby.

- Nie. Ale zajrzę do niej przed popołudniowymi zajęciami.

- Dobra. Pójdę z tobą.

- Ja też - wtrąciła Jasmine.

Connor kiwnął głową i uśmiechnął się. W takich chwilach dobrze jest wiedzieć, że ma się wokół siebie przyjaciół.

Kończyli już deser, gdy Connor zauważył komandora Kuo, zbliżającego się od końca tarasu. Uniósł głowę, spodziewając się, że dyrektor przystanie i porozmawia z nim chwilę. Nie widzieli się od wczorajszego wieczoru. Kuo musiał już wiedzieć o Grace i Connor był pewien, że ma coś do powiedzenia w tej sprawie.

Ale zdawało się, że dyrektor wcale go nie zauważył. Szybkim krokiem minął ich stolik i przez drzwi z tarasu wszedł do swojego gabinetu. Zatrzasnął je za sobą.

Connor spostrzegł, że Jacoby i Jasmine także śledzą komandora wzrokiem.

- Coś go ugryzło? - mruknął Jacoby.

Connor wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. - Jasmine wybrała ostatnią łyżeczkę czekoladowego puddingu. - Mmm, pyszne było. Całe popołudnie będę na cukrowym dopalaczu!

- Ja też... - zgodził się Jacoby. - Warsztaty szermierki będą dziś zabawne. - Zwrócił się do Connora.

- No dobra... Pójdziemy teraz sprawdzić, co u twojej siostry? - rzucił.

Connor siedział zamyślony.

- Wzywam Tempesta! Ziemia wzywa Tempesta!

- Słucham?

- Mówiłem, że może pójdziemy teraz sprawdzić, co u twojej siostry. Możemy nawet zanieść jej kawałek ciasta. Jestem pewien, że ta wiedźma Carmichael będzie jej podawać tylko płyny.

- Brzmi nieźle - zgodził się Connor. - Ale najpierw chciałbym zamienić słowo z komandorem Kuo.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - spytała Jasmine. - Nie był chyba w nastroju do pogawędek.

- O to właśnie chodzi. Mam wrażenie, że jego nastrój ma coś wspólnego ze mną i z Grace. Jeśli z nim porozmawiam, może uda mi się załagodzić sytuację.

Poznał po ich minach, że nie uważają tego za dobry pomysł. Ale nie zamierzał rezygnować. Zresztą oni nie mieli pojęcia o jego wcześniejszych kontaktach z komandorem. A dyrektor na pewno ma jakieś teorie na temat tego, co się stało z Grace, i Connor chętnie by je poznał.

Wstał i przysunął krzesło do stolika.

- To potrwa najwyżej pięć minut - obiecał.

- No dobra... - zgodził się Jacoby. - Może jakoś wytrzymam pięć minut z Peacock.

Zrobił znużoną minę. Kiedy ziewnął demonstracyjnie, Jasmine rzuciła w niego maliną. Owoc trafił w nos, pozostawiając czerwoną plamę.

Connor uśmiechnął się i odszedł. Planował wejść do dyrektora od strony rotundy, ale kiedy mijał gabinet, zauważył, że przeszklone drzwi na taras są uchylone.

Musiały się nie domknąć, kiedy Kuo zatrząskiwiał je za sobą. I gdy Connor ruszył w ich stronę, usłyszał głos Kuo.

- Sprawy wymykają się spod kontroli.

Nigdy jeszcze nie słyszał tak twardych tonów w jego głosie. Znieruchomiał.

- Myślałam, że tego właśnie pan chce.

To była Cheng Li. Connor stał jak wmurowany.

- Sytuacja jest bardzo delikatna - usłyszał głos Kuo. - Mieliśmy go tam, gdzie nam zależało. Ale to bardzo wąska linia...

Czy mówili o nim? Na pewno... A może to tylko zarozumiałość każe mu tak myśleć?

- Naprawdę nie widzę, by coś się zmieniło - oświadczyła Cheng Li. - Jeśli już, to jesteśmy bliżej rezultatu, o który nam chodziło.

Connor czuł w skroniach uderzenia pulsu. Jeśli mówili o nim, to o co chodziło? Czyżby mieli coś wspólnego z tym, co się zdarzyło Grace? Przypomniawszy sobie nagle, jak Grace zapewniała, że Cheng Li wiedziała o jej zamiarach. Siostra Carmichael uznała, że to szaleństwo, ale Grace i Cheng Li rzeczywiście spędzały ostatnio dużo czasu razem...

Miał wrażenie, że układa jakąś łamigłówkę, tyle że brakuje mu jeszcze wielu części...

- Connor...

To głos Kuo. A więc mówią o nim.

- Connor!

Nie, nie mówili o nim. Mówili do niego. Oszklone drzwi do gabinetu otworzyły się szerzej. Dyrektor wychylił się i spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

Connor czuł, że znalazł się w pułapce.

- Może lepiej wejść do środka - rzucił Kuo. Skinął ręką, przywołując go z nasłonecznionego tarasu w mrok.



# Rozdział 35

## Uwolnienie

Serce Connora było jak oszalałe, kiedy dyrektor zamknął za nim drzwi. Przyjaciele czekali na tarasie zaledwie kilka metrów od niego - przez okno widział ich plecy. A jednak ogarnęło go poczucie zagrożenia, jakby z własnej woli wszedł do klatki w zoo.

- Usiądź - powiedział Kuo.

Connor zajął miejsce na krześle przed biurkiem dyrektora. Kuo usiadł w swoim fotelu, a Cheng Li stała, opierając dłoń na globusie.

- Nie muszę chyba tłumaczyć - rzekł Kuo - że byliśmy zaszokowani i przestraszeni tym, co zaszło w nocy. Mogę sobie wyobrazić, jak ty się czujesz.

Connor słuchał i czekał. Czy komandor powie coś o tym, jak przyłapał go pod drzwiami na podsłuchiowaniu rozmowy? Czy spróbuje wyjaśnić te słowa, które Connor usłyszał?

- Naprawdę bardzo mi przykro, że nie przyszedłem do ciebie wcześniej. Niestety, musiałem się zająć pilną sprawą Federacji. Zdaję sobie sprawę, że to żadne usprawiedliwienie, ale nie mam innego.

- Dzięki... - powiedział Connor.

Cheng Li przeszła przez pokój i stanęła u boku dyrektora.

- Przyszliśmy tu z izby chorych, Connorze. Stan Grace jest stabilny.

Chłopiec skinął głową.

Dyrektor uśmiechnął się do niego.

- A jak twoje samopoczucie? - zapytał.

Connor wzruszył ramionami.

- Chyba w porządku. Ale to był szok.

Kuo pokiwał głową.

- To znaczy, kiedy znalazłem ten list...

- List?

Dyrektor najwyraźniej nic o nim nie wiedział. Connor sięgnął więc do kieszeni i wyjął złożoną kartkę. Kuo wsunął na nos okulary i odczytał rozmazaną wiadomość Grace.

- Można? - zapytał, nim przekazał list Cheng Li.

Connor przytaknął. Czy to ma jakieś znaczenie?

Niech wszyscy przeczytają, niech wszyscy się dowiedzą, jaki był stan umysłu jego siostry.

- A więc znalazłeś ten list, a potem... - Kuo uniósł brwi, zachęcając chłopca, by kontynuował.

- Poszedłem do jej pokoju, żeby z nią porozmawiać. Żaluzje przez cały dzień były zamknięte. Chciałem chyba przemówić jej do rozsądku. Nakłonić, żeby włączyła się w życie Akademii. Zapukałem, ale nikt nie odpowiadał. Wiedziałem, że musi być w środku, bo dokąd by poszła? Więc kiedy nie otwierała, wystraszyłem się. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc wszedłem i wtedy zobaczyłem list. Sztorm był tak silny, że urwał zaczep żaluzji. Księżyc świecił dość jasno, więc kiedy je rozsunąłem, zobaczyłem sylwetkę na portowym falochronie... Wiedziałem, że to ona. I wiedziałem, co ma zamiar zrobić.

Znowu zaczął drżeć. Komandor szybko okrążył biurko i uspokajająco położył chłopcu dłonie na ramionach.

- Już dobrze - powiedział. - Nie musisz nam nic więcej opowiadać.

W gabinecie zapadła cisza. Connor usiłował nad sobą zapanować.

- Oprócz jednego - wtrąciła w końcu Cheng Li.

- Jak myślisz, czemu ona to zrobiła?

Connor wyczuł, że nad jego głową Cheng Li i dyrektor porozumieli się wzrokiem.

- Powinnaś to wiedzieć lepiej ode mnie... - Słowa wyrwały się, nim zdążył je przeanalizować.

- Ostatnio spędzałaś z nią o wiele więcej czasu niż ja.

Cheng Li kiwnęła głową.

- To prawda. I muszę przyznać, że czuję się w części odpowiedzialna za to, co się stało.

Connor był zdumiony. Takie wyznanie nie pasowało do Cheng Li. Uniósł głowę, czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Jak wiesz, Grace bardzo mocno przeżywała to, co się z nią działo na statku wampiratów. Wciąż czuje silną więź z jego załogą.

Nie była to sensacyjna wiadomość.

- I to wcale nie jest dla niej dobre - stwierdził Connor. - Sama widzisz, do czego ją doprowadziło.

- Zgadzam się - przytaknęła Cheng Li. - To nie jest dla niej dobre, ale dość naturalne.

Kuo zostawił Connora i wrócił na swój fotel.

- Słyszałeś może termin „syndrom sztokholmski”? - zapytał chłopca.

Connor pokręcił głową. Dyrektor zsunął z nosa okulary i zaczął się nimi bawić. - Najkrócej mówiąc, termin „syndrom sztokholmski” określa silne związki emocjonalne, jakie mogą powstać między nami a ludźmi, którzy zagrażają naszemu życiu. To mechanizm przetrwania, sposób ułatwiający życie w obliczu strasznej przemocy. Zwykle występuje już po trzech czy czterech dniach. Szybciej, jeśli najpierw znajdujemy się, jak Grace, w sytuacji zagrożenia życia, a potem niebezpieczeństwo znika. Ofiarę ogarnia wtedy ulga i zaczyna postrzegać swoich oprawców jako dobrych ludzi, którzy wcale jej nie zagrażali, ale wręcz ją ocalili. - Przerwał na chwilę. - Wydaje się nam, że na ten właśnie syndrom cierpi Grace.

- Od jej przybycia tutaj - podjęła Cheng Li - pozwalałam jej opowiadać o przeżyciach na tamtym statku. Zachęcałam ją do tego. Wiem, że ty nie lubiłeś o tym słuchać... i trudno mieć ci to za złe. Ale czułam, że to ważne, by Grace miała się komu zwierzyć.

- Żeby wyrzuciła z siebie to wszystko - uzupełnił Kuo. - To pierwszy krok do wyleczenia.

- Ale - kontynuowała Cheng Li - wczoraj w nocy sprawy przybrały zły obrót. Równowaga umysłu Grace była najwyraźniej bardziej chwiejna, niż podejrzewałam. Jak mówiłam, obawiam się, że zachęcając ją do rozmów o wampiratach, mogłam niechcący pchnąć ją do tak szokujących działań.

- Chodzi ci o próbę samobójstwa?

Dyrektora i Cheng Li wyraźnie zaskoczyła bezpośredniość Connora. Ale oboje przytaknęli.

Connor pokręcił głową.

- Nie wydaje mi się, żeby Grace próbowała się zabić - rzekł.

Komandor Kuo pochylił się, zaciekawiony.

- Na początku też tak sądziłem - tłumaczył Connor.

- To było oczywiście wyjaśnienie. Ale przemyślałem sobie wszystko dokładnie. Samobójstwo nie przyszłoby Grace do głowy. Wiem, jak bardzo chciała wrócić na statek

wampiratów. Staralem się o tym nie myśleć, ale to prawda. Może ma pan rację i Grace cierpi na ten syndrom, o którym pan mówił. W każdym razie ona uważa, że ma tam niedokończone sprawy. I wydaje mi się, że w nocy po prostu chciała powrócić na statek.

Cheng Li i Kuo przyglądali mu się w milczeniu.

- Skacząc do morza w samym środku sztormu? - odezwał się po chwili dyrektor.

Connor przytaknął.

- Oczywiście. Przecież tak się tam dostała za pierwszym razem. Nasza łódź zatonięła w sztormie, a potem jeden z wampiratów, chłopak imieniem Lorcan, wyłowił ją z morza. I w nocy Grace liczyła chyba na to, że historia się powtórzy.

- Moim zdaniem, to dość nieprawdopodobna teoria - uznał komandor Kuo.

Connor zauważył, że Cheng Li milczy. Dużo rozmawiała z Grace... I wie, że wyjaśnienie wcale nie jest naciągane. Wyczuwał to.

- Kiedy odzyskała przytomność, jak już ją wyciągnąłem, wołała Lorcana - mówił dalej. - Prawdę mówiąc, przez chwilę uważała, że to ja nim jestem.

- Uśmiechnął się. - Grace nie próbowała się zabić. Tak jak napisała w liście, postanowiła ruszyć dalej swoją drogą.

Kuo wolno pokręcił głową.

- Jesteś twardszy, niż myślałem. Odpowiada ci to wyjaśnienie?

Connor przytaknął z uśmiechem. Miał wrażenie, że kiedy mówił, kolejne fragmenty układanki wskakiwały na właściwe miejsca. Nie, wyjaśnienie mu nie odpowiadało, wcale nie. Od chwili, gdy ponownie spotkał się z Grace na pokładzie statku wampiratów, starał się tłumić myśli o tym, co tam przeżyła. Unikał rozmów na ten temat, nie dawał jej okazji do zwierzeń. Tutaj udawał, że nie dostrzega jej rozmów z Cheng Li i koncentrował się na życiu Akademii. Ale teraz nagle zrozumiał całą sytuację. W chwili, kiedy zatonięła ich łódź, każde z nich ruszyło własną drogą. I tak samo jak on nie mógł się już cofnąć, nie mógł zrezygnować z piractwa, tak i ona nie mogła przerwać swej podróży. Nie chciał, by Grace odeszła. Ale teraz mógł jej wreszcie na to pozwolić.

- A jak to wpływa na naszą sytuację? - zapytał Kuo. - Czy nadal chcesz zawrzeć z kapitanem Wrathe'em ugodę, która zwolni cię z kontraktu, żebyś mógł tutaj zostać? I rozpocząć szkolenie zarówno w Akademii, jak i dla Federacji?

Connor przytaknął.

- Nic się nie zmieniło.

- Oczywiście, że musi tu zostać - wtrąciła Cheng Li. - Nie może teraz zostawić Grace.

- To nie ma nic wspólnego z Grace - oświadczył Connor, zaskoczony własnym twardym tonem.

- Oczywiście, zrobię, co mogę, by pomóc jej wrócić do siebie. Ale musimy zacząć podejmować własne decyzje. Oczekujemy od życia czego innego. Podążamy innymi drogami. Grace może zostać tu ze mną albo wrócić na Diabła. Może nawet wrócić na statek wampirów, jeśli go odnajdzie. Sama o tym zdecyduje.

Na zewnątrz zabrzmiał dzwonek. Za oknem Connor widział, jak Jasmine i Jacoby szykują się, by wrócić na zajęcia.

- Popołudniowe lekcje - rzuciła Cheng Li. Connor wstał. Czuł się dziwnie silny.

- Dołączę do reszty.

Dyrektor skinął mu głową. Przygryzł oprawkę okularów.

Connor skłonił się i wyszedł drzwiami na taras. Zamknął je za sobą dokładnie. Kiedy odszedł, Kuo i Cheng Li spojrzeli na siebie nawzajem.

- Muszę przyznać - stwierdziła Cheng Li - że mnie zaskoczył.

Kuo uśmiechnął się tylko.

- Czasem trzeba zaufać fali, pani Li - odparł. - Czasem wystarczy tylko usiąść i poczekać.

\*

Ostatnią lekcją w planie były warsztaty szermiercze. O czwartej on i Jacoby wraz z resztą grupy, ubrani w dresy, zjawili się w sali gimnastycznej. Kapitan Płatonow już na nich czekał, ale nie był sam. U jego boku stała Cheng Li.

Kiedy studenci ustawili się w szeregu, Płatonow klasnął w dłonie.

- Proszę o uwagę. Cisza! Za chwilę wrócimy do normalnych ćwiczeń. Ale dzisiaj musimy sobie poradzić bez panów Blunta i Tempesta.

Connor i Jacoby spojrzeli na siebie zdumieni. Pozostali studenci byli równie zaskoczeni.

- Panie Blunt, panie Tempest, zechcecie udać się z panią Li.

Obaj chłopcy wzruszyli ramionami i wystąpili przed szereg. Cheng Li z uśmiechem wyprowadziła ich z sali. Za sobą Connor usłyszał już pierwsze polecenia, jakie Płatonow wydawał Jasmine i pozostałym.

- O co chodzi? - zapytał Jacoby. - Dokąd nas pani prowadzi, pani Li? Czyżby istniały jakieś tajne lochy Akademii, o których nie poinformowano nas aż do teraz?

Uśmiechał się przy tym szeroko. Nic nie potrafi wyprowadzić go z równowagi, pomyślał Connor.

Cheng Li także była rozbawiona.

- Ależ masz bujną wyobraźnię, Jacoby. Może pewnego dnia napiszesz książkę? Nie, nie ma tu żadnych lochów. Przynajmniej ja nic o nich nie wiem.

Rzeczywiście, prowadziła ich raczej do góry niż w dół. Skręcili w boczny korytarz, potem Cheng Li pchnęła drzwi i znaleźli się w drugiej, mniejszej sali do ćwiczeń.

Connor był zdziwiony. W sali panowała ciemność... Po chwili Cheng Li zapaliła światła i zobaczył na środku niewielki stolik, a na nim dwa wąskie szklane pudła.

Cała trójka podeszła tam po rozłożonych na podłodze matach. Przy stoliku Jacoby syknął nagle, a Connor poczuł przyspieszone bicie serca.

- To toledańska klinga - szepnął. - Miecz komandora Kuo...

Cheng Li uśmiechnęła się tylko.

- I szafirowy rapier Molucca Wrathe'a - dodał Jacoby. - Z bliska jest jeszcze piękniejszy.

Connor wciąż nie rozumiał.

- Przecież dyrektor mówił, że są wyjmowane z gablot tylko w Dzień Miecza...

Cheng Li kiwnęła głową. Z łańcuszka wiszącego na szyi zdjęła dwa klucze i otworzyła pudła.

- Zwykle tak właśnie jest. Ale ostatnie dni trudno uznać za całkiem zwyczajne, prawda? Dyrektor chciał ci zrobić niespodziankę.

- Ten miecz? - wykrztusił Connor.

Cheng Li otworzyła wieko, odsłaniając rapier w całej jego wspaniałości.

- Nie, nie sam miecz. Ale okazję, by go użyć. Jeden raz.

Connor i Jacoby obserwowali każdy ruch Cheng Li, kiedy wyjmowała miecze z pudeł i układała je na blacie pokrytym aksamitem.

- Na jutro wieczorem zaplanowany jest kolejny bankiet na twoją cześć. Miał być pożegnalny, ale teraz uczymy początek twojej nauki w Akademii w roli pełnoprawnego studenta.

O tym Jacoby oczywiście nie wiedział. Z radosnym okrzykiem klepnął Connora w plecy. Ale Cheng Li podjęła natychmiast.

- Zjawią się wszyscy kapitanowie. A przed bankietem zbiorą się też wszyscy studenci, aby popatrzeć, jak razem z panem Bluntem przeprowadzicie pokazową walkę tymi mieczami. Starcie odbędzie się na pokładzie ćwiczebnym... w „lagunie zguby”.

- Chytre! - zawołał Jacoby. - Ja biorę toledański miecz!

Connor i Cheng Li popatrzyli na niego groźnie.

- Żartowałem, żartowałem! Wezmę rapier Molucca.

- Dość już tych błazeństw - upomniała go Cheng Li. - Mamy zaledwie dwadzieścia cztery godziny do waszego występu przed całą Akademią. Mnie przypadł obowiązek zadbania o choreografię pojedynku. A muszę was nauczyć pewnych bardzo złożonych manewrów. - Wciągnęła rękawice. - Connorze, chciałeś zostać pełnoprawnym studentem Akademii? No więc teraz właśnie rozpocznie się twoja prawdziwa edukacja.

\*

- Wydaje mi się, że mógłbym teraz przespać dwa tygodnie - stwierdził Connor, kiedy wyszli spod pryszniców po pełnych dwóch godzinach ćwiczeń.

- Nie ma spoczynku dla pirata - odparł Jacoby.

- Nie słyszałeś pani Li? Mamy stawić się w sali jutro rano, punktualnie o siódmej. Wiesz, co to znaczy?

- Że mimo soboty nie będziemy mogli sobie poleżeć?

- Gorzej, kolego. Że stracimy lekcję pływania, a więc i szansę gapienia się na Jasmine w bikini.

Connor parsknął śmiechem. Jacoby Blunt był niemożliwy. Coś w nim przypominało Connorowi Jeza.

\*

Po ciężkim treningu wieczorem Connor był śmiertelnie zmęczony. Zanim zjadł kolację, marzył tylko o łóżku. Ku jego zdumieniu, po posiłku Jacoby wrócił do życia i zaproponował turniej bilardowy. Connor nie miał już na to siły i ucieszył się, kiedy Aamir i jeszcze kilku studentów podjęło wyzwanie. Życzyli mu dobrej nocy i odeszli do sali gier, pozostawiając go samego na tarasie.

Connor spojrzął na zatokę. Morze było dziś takie spokojne... Zdziwiający, jak się zmieniło w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ziewnął i wyciągnął nogi. Miał wrażenie, że są z

ołowiu. Mógłby usnąć już tutaj, natychmiast... Tylko że zanim pójdzie do łóżka, musi jeszcze coś załatwić.

Wstał z trudem i powlókł się przez taras w stronę stopni prowadzących do ogrodów.

\*

Nad wejściem do izby chorych paliło się światło. Connor zastukał, a nie doczekawszy się odpowiedzi, pchnął drzwi.

Wewnątrz panował półmrok. Sala była tak wielka, że wiszące z sufitu lampy nie mogłyby jej porządnie oświetlić, nawet gdyby żarówki były odpowiedniej mocy. Pośrodku paliła się jedna samotna lampka. Ruszył w tamtą stronę, słysząc stuk własnych butów na marmurowej posadzce.

Po chwili stał już obok Grace. Ciągle spała, ale wyglądała o wiele lepiej niż ostatnim razem, kiedy ją widział. Poprzednio trzymała ręce skrzyżowane niewygodnie na piersi jak posąg. Teraz jedną wsunęła pod głowę, druga zaś leżała na kołdrze.

Connor usiadł na brzegu łóżka i przyjrzał się twarzy siostry. Wydawała się spokojna. Był zadowolony, że cieszy go po prostu to, iż jest przy niej. Przez długą chwilę siedział tylko i patrzył, jak jej pierś unosi się i opada w rytm oddechu - oddechu głębokiego i regularnego. Raczej niewielka była szansa, by się obudziła, ale policzki miała zaróżowione - kąpiel w oceanie zeszłej nocy nie spowodowała chyba żadnych trwałych urazów. Przyjął to z ulgą... więcej niż ulgą.

- Miałaś rację - powiedział do niej. - Każde z nas musi podążyć własną drogą. Przykro mi, że wcześniej tego nie rozumiałem. Przepraszam, że usiłowałem cię powstrzymać. Więcej tego nie zrobię.

Sięgnął do jej dłoni. Ale kiedy spróbował ją pochwycić, palce przeniknęły przez ciało i dotknęły pościeli. Zdziwiony, spróbował raz jeszcze - i znowu jego palce nie napotkały oporu, jak gdyby była zbudowana z powietrza. Muszę być naprawdę zmęczony, pomyślał. Opanował się i raz jeszcze wyciągnął rękę. Skoncentrował się maksymalnie... Ale po raz kolejny jego dłoń przeniknęła przez ciało Grace.

Poczuł, że ogarnia go lodowata fala paniki. Odskoczył i dokładnie przyjrzał się siostrze; patrzył, jak odycha, wpatrywał się w jej twarz... Zdawało się, że jest nie tylko spokojna, ale także uśmiecha się do niego z głębin snu.

Coś zaskoczyło mu w umyśle. Postanowił spróbować czegoś innego - włosy Grace opadły jej na oczy. Zrobił ruch, jakby chciał je odgarnąć, ale palce zanurzyły się w jej głowie.



Następnym razem już nawet nie łudził - po prostu wsunął jej do ucha dłoń i wbił w poduszkę. Grace uśmiechała się do niego z zamkniętymi oczami, jakby czuła łaskotanie.

Odstąpił i także się uśmiechnął.

- Wrócili po ciebie - szepnął. - Wrócili, Grace, prawda? Nie wiem, jak tego dokonali, ale teraz jesteś z nimi.

W tej właśnie chwili zrozumiał, że tak być powinno. Tego właśnie chciała i potrzebowała. Dyrektor i Cheng Li mogą bez końca opowiadać o tym syndromie, który Grace ma albo i nie ma. To nieważne. W tej chwili jego siostra znalazła się na statku wampiratów. To był jej dom.

- Co to za hałasy?

Siostra Carmichael maszerowała między łózkami. Connor wyszczerzył zęby - jego szepty trudno nazwać „hałasami”. Pielęgniarka naprawdę musi żyć w ciągłym napięciu.

- Ach, to ty - powiedziała. - Przyszedłeś znowu popatrzeć na swoją śpiącą siostrę? Connor przytaknął. - Chciałem tylko powiedzieć jej dobranoc. - No więc już powiedziałaś, a teraz znikaj. Nie chcemy przecież, żeby obudziła się w środku nocy, prawda?

Connor pokręcił głową.

- Nie - przyznał. - Nie chcemy. Ale nie martwiłbym się, proszę siostry. Nie sądzę, żeby Grace szybko się obudziła.

Pielęgniarka spojrzała na niego gniewnie.

Connor raz jeszcze popatrzył na widmo Grace, potem uśmiechnął się do siostry Carmichael i poklepał ją po ramieniu. Wyminął ją i ruszył do drzwi.

Siostra Carmichael otrząsnęła się. Strzepnęła dłonią fartuch, jak gdyby ptak nabrudził jej na ramię, po czym wróciła do swojego pokoiku.

# Rozdział 36

## Wojownicy

Kolejny dzień Connora w Akademii miał być długi. Już o siódmej rano wraz z Jacobym stawili się w sali gimnastycznej, gdzie czekała Cheng Li. Connor wciąż czuł się zmęczony, ale po rozgrzewce mięśnie wróciły do życia. Potem Cheng Li zaczęła bardziej szczegółowo omawiać z nimi manewry pokazowego starcia.

Przez pozostałą część poranka doskonalili je. Ćwiczenia wymagały pełnej koncentracji. Toledoński rapier był cięższy niż zwykła broń Connora, ale dobrze leżał w ręku. Rękojeść pokrywała dziwna, szorstka skóra. W każdym razie myślał, że to skóra. Kiedy zapytał Cheng Li, przypomniała mu, że - podobnie jak buty komandora - była to skóra trygona, twardsza i bardziej odporna na wilgoć niż zwykła. Przyjrzał się rękojeści i zauważył, że małe zgrubienia są w rzeczywistości drobnymi łuskami. Nawet po tylu latach wciąż migotały, jakby uchwyt był wysadzany małutkimi, skrzącymi się klejnotami.

Nie mogły się jednak równać z wielki szafirem, osadzonym w rękojeści dawnego rapiera Molucca Wrathe'a, którym Jacoby posługiwał się, jakby miecz został specjalnie dla niego wykuty. Gdy przesuwiał go przed sobą, fachowo przechodząc od jednego natarcia do drugiego, Connor odkrył, że szafir ma nie tylko dekoracyjne, ale i praktyczne zastosowanie. Liczne fasety były tak wypolerowane, że kiedy światło padało pod pewnym kątem, potrafiło oślepić przeciwnika, zupełnie jakby słońce zaświeciło prosto w oczy. Musiał wtedy przymykać powieki, tracąc rozeznanie i koncentrację.

Najtrudniejszym elementem starcia - jak zgodzili się Connor i Jacoby podczas dziesięciminutowej przerwy, kiedy siedzieli w słońcu na schodach sali gimnastycznej - będzie to, by nie poranić się nawzajem. Mimo że wycofane z normalnej służby, miecze były nasmarowane, gotowe do użytku - i ostre jak brzytwy. Jacoby był przyzwyczajony do starć pokazowych, w przeciwieństwie do Connora, który zawsze musiał stawiać czoło prawdziwym przeciwnikom. Jednak obaj chłopcy zgodnie stwierdzali, że miecze jakby prowokowały do

prawdziwego trafienia. Całkiem jak gdyby miały własne dusze, jak gdyby nie były zadowolone, że tak długo nie brały udziału w walce. Pragnęły wrócić do boju, pożądały krwi.

Przed lunchem przeciwczyli cały pojedynek. Cheng Li odebrała im miecze i zamknęła w szklanych gablotach. Chłopcy nie zobaczą ich już, dopóki wieczorem nie staną w „lagunie zguby” przed zgromadzoną publicznością - wszystkimi studentami i wykładowcami Akademii.

- Denerwujesz się? - zapytał Connor, kiedy usiedli do lunchu. - Denerwuję? Chyba żartujesz - odparł Jacoby. - Kamienieję ze strachu, że mógłbym cię zranić. - Śmieszne - mruknął Connor. - Bardzo śmieszne. - Ale dobrze wiedzieć, że takie skamienienie nie psuje ci apetytu - zaśmiała się Jasmine, wskazując napełniony po brzegi talerz Jacoby'ego.

- Zaraz... Trenerka Li kazała nam nafaszerować się węglowodanami. I właśnie to robię.

- Właśnie to i nic więcej? - parsknął Connor.

Sam zjadł o wiele skromniejszy posiłek. Odczuwał zbyt duże podniecenie, żeby się najadać. Nadrobi to podczas bankietu po walce.

\*

Pojedynek miał się rozpocząć, kiedy zegar Akademii wybije szóstą, ale już pół godziny wcześniej w amfiteatrze przy zatoce panowała atmosfera pełna napięcia. Studenci zajmowali miejsca, podzieleni na grupy wiekowe, a opiekunowie siadali obok, na końcach rzędów. Liczne pochodnie oświetlały przejścia, wąskie kamienne schody, brzeg laguny i niewielki kamienny pomost, prowadzący przez turkusową wodę do treningowego statku.

W lagunie statek został tak usytuowany, że pokład stał się sceną, widoczną dla wszystkich widzów.

W tej chwili występowały na nim dzieciaki z zespołu rockowego. Dostały szansę, by rozgrzać publiczność.

- Ta muzyka sprawia, że czuję się naprawdę bardzo stary - zwrócił się Kuo do Cheng Li. Oboje siedzieli w pierwszym rzędzie.

- Bo jesteś bardzo stary, John - odparła z uśmiechem. - Po prostu przez większość czasu wolisz ignorować ten fakt.

Rzucił jej pełne urazy spojrzenie, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Jak się czują nasi chłopcy?

- Doskonale - zapewniła. - Toledońska klinga trafiła wreszcie do rąk prawdziwego wojownika.

- Touche - rzucił komandor. - Wiesz, jak zadać morderczy cios.

\*

Connor i Jacoby czekali na miejscach niedaleko pomostu. Connor zerkał na tłum widzów i czuł się tak, jakby miał zostać rzucony lwom na pożarcie.

- Spokojnie - odezwał się Jacoby. - Nie ma się czym przejmować, Connor. To tylko mały pokaz, żeby rozruszać Akademię w sobotni wieczór. Między innymi dlatego ustawili scenę właśnie tutaj. Nic niezwykłego.

Connor skinął głową. Już tyle razy uczestniczył w zawodach sportowych, że nie powinien się teraz denerwować. Chociaż teraz to co innego... raczej przedstawienie niż zawody. Musiał zachować spokój, wykonywać perfekcyjne pchnięcia i nie zranić przy tym Jacoby'ego. Nie zamierzał skrzywdzić swojego najlepszego kolegi.

Ostatnia piosenka ucichła i rozległy się entuzjastyczne okrzyki widzów. Muzycy sprzątnęli ze sceny instrumenty i ruszyli przez pomost do komandora Kuo, który wyszedł im na spotkanie. Powitał ich na stałym ładzie, po czym zwrócił się do rozkrzyczanych studentów.

- Dziękujemy, no... Wagabundom... ehm... Śmierci - powiedział. - Zwykle preferuję jazz tradycyjny, ale to, co usłyszeliśmy, było... imponujące. I odświeżające.

Zerknął na Cheng Li, która uformowała wargi w słowo „stary”.

Kiedy oklaski zaczęły milknąć, dyrektor raz jeszcze zwrócił się do publiczności.

- Dziś wieczorem zaplanowaliśmy dla was wszystkich... dla nas wszystkich... coś szczególnego. Jak wiecie, tradycja Akademii Piractwa nakazuje, by raz w roku obchodzić Dzień Miecza. Tego dnia, ostatniego w roku szkolnym, wszystkie miecze wiszące w rotundzie zostają zdjęte, a najlepsi studenci mają okazję użycia ich w pokazowych starciach dla uhonorowania wielkich poprzedników, kapitanów, którzy niegdyś naprawdę nimi walczyli.

Przebiegł wzrokiem od opiekunów po rzędy uczniów.

- Czasami wydaje mi się, że te miecze są skarbem Akademii. Nie dlatego, że zrobione są z cennych metali, często zdobione klejnotami, że wykuwali je najlepsi płatnerze świata. Nie. Uważam je za skarb, ponieważ każdy miecz mógłby opowiedzieć tyle historii... Każda klinga walczyła w stu i więcej bitwach. Gdyby tylko potrafiły mówić, gdyby mogły podzielić się z nami swym doświadczeniem... Ale wiecie, w pewien sposób to robią. Kiedy słynny miecz trafia w ręce młodego pirata, jestem przekonany, że następuje elektryczne wyładowanie między energią młodego wojownika i energią zamkniętą w ostrzu.

Przerwał, dając słuchaczom czas na przemyślenie jego słów.

- Jednak prawdziwym skarbem Akademii nie są wiszące pod stropem zabytkowe miecze. Prawdziwym skarbem jesteście wy. Każdy z was. Te miecze symbolizują naszą przeszłość, ale wy... wy jesteście przyszłością. Przeznaczeniem każdego z was jest wielkość. Każdy podejmie piękne i szlachetne tradycje piractwa. Niektórzy już teraz dają się poznać jako wybitni nawigatorzy. Inni okazują się doskonałymi przywódcami i strategami. Są również tacy, którzy oszałamiająco walczą.

Wśród widzów rozległo się kilka okrzyków. Wiedzieli, że zaraz rozpocznie się pojedynek.

- Dzisiaj zawiesiłem regułę, że zabytkowe miecze wyjmowane są z gablot tylko w Dzień Miecza. Dzisiaj postanowiłem, by w Akademii uhonorować talent szermierczy. Dzisiaj dwóch naszych najlepszych wojowników stanie na scenie i zademonstruje błyskawiczne manewry, jakich nauczyli ich nasi wykładowcy, a w szczególności pani Li.

Zabrzmiały oklaski. Kuo wskazał gestem Cheng Li. Ta zarumieniła się, ale po chwili wstała i podziękowała za uznanie.

- Tak - podjął dyrektor. - Pani Li naucza tu zaledwie trzy miesiące, ale już znacząco wpłynęła na życie Akademii. A skoro o tym mowa, jest także ktoś, kto przebywa wśród nas od tygodnia, ale, co stwierdzam z przyjemnością, dołączy do Akademii jako pełnoprawny student. I cieszę się, że dzisiaj będzie walczył moją własną toledańską klingą. Nie żałujmy rąk i powitajmy gorąco pana Connora Tempesta!

Connor i Jacoby podali sobie ręce w sposób, jaki opracowali przez ostatnie dni. Potem Connor podszedł do dyrektora. Kuo wyciągnął rękę i uścisnął mu dłoń w bardziej konwencjonalnym stylu.

- Connor wykazał się niezwykłymi zdolnościami w walce - powiedział Kuo. - Musieliśmy więc szukać wśród najlepszych, by znaleźć godnego mu przeciwnika. Wiecie oczywiście, o kim mówię. - Publiczność zaklaskała, kilka osób wykrzyknęło imię Jacoby'ego.

- Tak, wiecie już, o kogo chodzi. Choć może nie wszyscy zdajecie sobie sprawę, jak ów chłopiec radził sobie na swoich pierwszych zajęciach z szermierki. Ale ja tam byłem, tak jak i kapitan Avery, i kapitan Singh. Pamiętamy, jakie umiejętności zademonstrował ów chłopiec, wtedy raptem sześciolatek, posługując się dwoma bambusowymi kijami. Cóż, minęło kilka lat i

dzisiaj chłopiec ten stanie do walki, trzymając w dłoni szafirowy rapier Molucca Wrathe'a. I możemy się spodziewać ostrego starcia. Powitajmy więc Jacoby'ego Blunta!

Jacoby odetchnął głęboko, wstał i podbiegł do dyrektora. On także uścisnął mu dłoń.

- Dość już mówiłem - zakończył Kuo. - Pozostaje mi tylko zachęcić wszystkich, zarówno bardziej, jak i mniej uzdolnionych szermierzy, do oglądania walki i podziwiania talentu, jakim zostali obdarzeni ci dwaj zawodnicy. I pamiętajcie: jakiegokolwiek macie zdolności, starajcie się zawsze być najlepsi. Tyle tylko oczekujemy od was w Akademii Piractwa. A teraz, panowie, pozwólcie, że wręcę wam miecze.

Oba miecze spoczywały na postumentach ustawionych przed pomostem. Connor i Jacoby przyklęknęli na jedno kolano. Dyrektor podniósł najpierw szafirowy rapier. Ujął go lewą dłonią i podał Jacoby'emu.

- Używaj tego miecza mądrze i z rozwagą - powiedział. - Szanuj swych przodków i pozostaw ślad w historii.

- Tak będzie - odparł Jacoby.

Przyjął miecz także lewą ręką i pozostał na klęczkach, gdy dyrektor przeszedł do drugiego postumentu.

Kuo ceremonialnie wytarł dłoń jedwabną chusteczką, leżącą tam właśnie w tym celu. Było to symboliczne oczyszczenie, aby ta sama ręka nie dotykała obu mieczy. Odłożył chustkę i chwycił lewą ręką toledańską klingę; znieruchomiał na moment, ściskając palcami dawnego, wiernego sprzymierzeńca.

Wybuchły spontaniczne oklaski dla uhonorowania długiej i owocnej kariery Johna Kuo. Z lekkim uśmiechem zaczekał, aż ucichną.

- Używaj tego miecza mądrze i z rozwagą - zwrócił się do Connora. - Szanuj swych przodków i pozostaw ślad w historii.

- Tak będzie - powiedział Connor.

Odebrał miecz lewą dłonią, zaciskając palce na trygonowej skórze rękojeści. Myślał o długiej historii tego ostrza.

Dyrektor dał znak i czwórka studentów usunęła postumenty.

- Panowie, zajmijcie pozycje - rzucił Kuo, po czym wrócił na swoje miejsce.

Connor i Jacoby razem przeszli po pomoście na pokład treningowy. Dokładnie pamiętali wszystkie przećwiczone poruszenia. Stanęli pośrodku, plecami do siebie.

Zegar Akademii zaczął wybijać szóstą. Ostatnie uderzenie miało być sygnałem do rozpoczęcia walki. Connor czekał, oddychając powoli w rytm bicia zegara. Jeden... Dwa... Trzy... Cztery... Pięć... Sześć.

# Rozdział 37

## Laguna zguby

Connor odwrócił się błyskawicznie i zaatakował toledańską klingą. Jacoby wyciągnął do przodu szafirowy rapier. Miecze zetknęły się po raz pierwszy i obaj walczący poczuli jakby prąd elektryczny, przepływający między nimi. Przyjaciele nie uśmiechali się już do siebie - walka wymagała zbyt wielkiej koncentracji. Rozpoczęli pierwszą z trudnych sekwencji, ułożonych przez Cheng Li.

Connor uspokoił się natychmiast. Mimo że była to tylko walka pokazowa, czuł, że znalazł się w stanie podwyższonej percepcji, który dyrektor w swoim wykładzie nazwał zanshin. Kiedy jego miecz uderzył w ostrze Jacoby'ego, brzęk stali zabrzmiał w uszach mocniej niż szkolny dzwon. Jacoby machnął rapierem i Connor zobaczył szafir, bardziej błękitny niż wody laguny. Każdy dźwięk i kolor, każdy bodziec odbierał z większą intensywnością. Czerpał z głębszych rezerw energii. Pozwalało mu to skakać wyżej, poruszać mieczem tam i z powrotem w ułamku tego czasu, jakiego zwykle potrzebował. Był całkowicie i bez reszty pogrążony w transie. Ale kiedy czerpał ze spokojnej studni energii w głębi siebie, zdawał też sobie sprawę, że walka przebiega dobrze. Był świadomy krzyków publiczności, kiedy pierwsza sekwencja dobiegła końca, a on pozornie zyskał przewagę nad Jacobym. Ale to tylko choreografia - zanim skończy się pokazowa walka, obaj będą mieli swoje chwile chwały.

- Znakomita robota - szepnął Kuo do ucha Cheng Li. - Connor ma wielkie naturalne zdolności...

Przytaknęła.

- Mam tylko nadzieję, że Jacoby pamięta instrukcje.

Kuo skinął głową, po czym wrócił wzrokiem do walczących, rozpoczynających właśnie drugą sekwencję manewrów. Była bardziej złożona od pierwszej - Cheng Li potrafiła grać na emocjach widzów. Walczący zaczęli od serii ataków i parowań, sunąc tam i z powrotem po pokładzie. Potem Jacoby uzyskał przewagę nad wymanewrowanym i pozornie bezbronnym



Connorem. W tym miejscu Connor musiał przywołać całą swoją siłę i zręczność, by nie tylko odepchnąć Jacoby'ego, ale i uzyskać dominację w starciu.

Znowu ogarnęło go uczucie zanshin - percepcja pełnych trzystu sześćdziesięciu stopni wokół siebie. Widział Jacoby'ego i jego wysunięty rapier. Widział wąski pas wolnego miejsca, jaki pozostał mu na manewr. Widział publiczność, czekającą z zapartym tchem, a przed nimi, niczym parę ślepi gigantycznej bestii, zwrócone ku niemu twarze Cheng Li i Kuo. Widział to wszystko, cały czas skoncentrowany na oczach Jacoby'ego. Pamiętał pierwsze dni swoich ćwiczeń - nie w Akademii, ale na Diabłu, kiedy Bart pouczał go: „Zawsze obserwuj oczy przeciwnika. Miecz może kłamać, oczy nie”.

Connor spojrzął Jacoby'emu w oczy. I zobaczył w nich coś niewłaściwego - kłamstwo w głębi znajomych oczu przyjaciela. Zauważył, ale postarał się, by niczego nie zdradzić. Choć zaniepokojony, nie stracił koncentracji i wykonał złożony piruet, odrzucając Jacoby'ego i przejmując kontrolę w starciu.

Wybuchła burza braw. Cheng Li i komandor Kuo dołączyli do oklasków.

- Zapiera dech - stwierdził Kuo.

Cheng Li pochyliła ku niemu głowę.

- Jeszcze niczego nie widziałeś.

Kiedy przystąpili do trzeciej sekwencji ciosów, Connor ani na moment nie przestawał obserwować oczu Jacoby'ego. Był pewien, że się nie mylił: Jacoby go oszukuje. Nadal wykonywał zaplanowane manewry, poruszając toledońską klingą zwinnie i sprawniej niż kiedykolwiek własnym rapierem. Postanowił trzymać się ściśle wszelkich niuansów ruchów, jakie ćwiczyli, coraz bardziej przekonany, że Jacoby zacznie odchodzić od zaplanowanej choreografii. Nie miał czasu, by myśleć o zdradzie przyjaciela i innych na kolejnych szczeblach hierarchii. To nie ocali mu życia. Zanshin - tak.

To, czego się spodziewał, nastąpiło w połowie sekwencji. Connor dokładnie trzymał się planu, ale kiedy Jacoby wyprowadził atak, ostrze jego rapiera znalazło się znacznie bliżej niż podczas prób. Connor poczuł na uchu dotyk gorącej stali... a potem uświadomił sobie, że to nie klinga jest gorąca. Stał przebiła skórę ucha. Krwawił.

Jacoby wyglądał na przerażonego. Spojrzął nad ramieniem Connora na publiczność. Być może planował go zranić, ale nie tak szybko.

Connor ani na chwilę nie pozwolił, by go to rozproszyło. Zachował czujność, nie okazując śladu zdenerwowania czy lęku. Jeśli teraz walka zostanie przerwana, będzie wiedział, że się pomylił - że wszystko jest w porządku i po prostu zdarzył się wypadek. Ale jeśli nikt nie będzie interweniował, to sprawa ma się całkiem inaczej.

Nikt nie interweniował.

Connor zachował spokój. Cały czas w skupieniu obserwował oczy Jacoby'ego. Żaden się nie odzywał. Nie potrzebowali słów. Wszystko tkwiło w oczach. Connor pozwolił Jacoby'emu się zorientować, że wie. Jacoby uznał ten fakt. Ale wyglądał przy tym, jakby zajście poruszyło go bardziej niż Connora. Jakaś inna tajemnica kryła się głęboko w jego wzroku i Connor musiał dopiero ją odkryć.

Musiał teraz błyskawicznie podjąć decyzję. Co robić? Trzymać się planu i bronić tylko wtedy, kiedy Jacoby zaatakuje, czy raczej odejść od ustalonych akcji i traktować pojedynek jak prawdziwą walkę? Uznał, że lepsze będzie pierwsze rozwiązanie. Jacoby najwyraźniej ćwiczył według innego scenariusza, ale albo miał kłopot z przypomnieniem go sobie, albo nie potrafił wprowadzić go w życie. W każdym razie nie radził sobie w roli atakującego. Connor postanowił, że pozwoli mu na ataki - i na błędy. W prawdziwych walkach miał więcej doświadczenia. Odrobina krwi na pewno nie odbierze mu sił.

Przeszli do czwartej przeciwionej sekwencji. W tej początkowo miał dominować Jacoby. Kiedy jednak rozpoczął atak, Connor zauważył, że popełnia błędy. Jakby nagle stopniała cała jego pewność siebie. Choć demonstrował swą zwykłą siłę, było jasne, że stracił ducha.

Raz jeszcze Connor musiał ocenić sytuację i podjąć decyzję. Nie było to jednak proste. Z każdym innym przeciwnikiem mógłby szybko odnieść ostateczne zwycięstwo. Jednak mimo zdrady Jacoby'ego, nie był jeszcze gotów, by poważnie go zranić. Łatwiej było po prostu się bronić. Teraz znalazł się w trudniejszym położeniu - jego przeciwnik najwyraźniej stracił serce do walki. Oczywiście, mógł to być przemyślany blef. Ale, patrząc Jacoby'emu w oczy, wiedział, że tak nie jest.

Musiał zachować czujność; przez następne kilka manewrów na tym się skupił, ponownie wprowadzając się w zanshin. Obserwował oczy Jacoby'ego i klingę jego rapiera. Zauważał milczącą publiczność, oddzieloną od nich wąskim pasem wody. Widział nieruchome niczym maski twarze Cheng Li i komandora Kuo. Oni także muszą już wiedzieć, że odkrył ich zdradę. Ale byli mistrzami. Niczego nie dawali po sobie poznać.

Wszystkie pojawiające się obrazy i myśli zamknął w głowie; po chwili usłyszał jakiś oderwany dźwięk, dobiegający od strony portu. Skupił się na starciu z Jacobym - wymagającej, atletycznej sekwencji, prowadzącej ich z jednej strony pokładu na drugą. Słyszał hałasy na nabrzeżu, ale nie mógł sobie pozwolić na stratę tempa. Czy to jakiś nowy element planu? Musiał coś zrobić, i to szybko.

Podjął decyzję.

Kiedy walcząc, przesuwali się na prawą stronę sceny, wyprowadził dodatkowe uderzenie, które zbiło z linii rapier Jacoby'ego. Chłopak potknął się, próbując utrzymać broń, a wtedy Connor przysunął tolekańskie ostrze do jego szyi. Przerażony Jacoby upuścił rapier. Widzowie wstrzymali oddech. Connor zatrzymał stal o centymetr od skóry przeciwnika.

- Zaczynaj gadać - polecił. - Mów cicho i szybko. Jacoby nie tracił czasu. - Nie chciałem się na to zgodzić, Connor. Zmusili mnie. Chcieli tobą wstrząsnąć, przekonać się, jak dobrze walczysz naprawdę.

- Chcieli cię zmusić, żebyś mnie zabił.

- Nie - przekonywał Jacoby. - Uwierz mi, to w ogóle nie wchodziło w grę. Planowali tylko cię poruszyć. Nie chciałem... Sam widziałeś, jak spałem akcję.

Connor zawahał się. Jedna niewłaściwa reakcja może się okazać decydująca. Spojrzał w oczy Jacoby'ego - i zobaczył w nich tylko żal i wstyd. Nic, co sugerowałoby mordercze zamiary.

Cofnął ostrze, wciąż uważając na zdradziecki atak. Odstąpił, lewą ręką podniósł z pokładu szafirowy rapier i odwrócił się do widzów - zmęczony, pokrwawiony, ale zwycięski.

Wszyscy zaczęli klaskać, głośniej niż poprzednio.

Komandor Kuo zerwał się z miejsca i skinął na nich, by podeszli do pomostu. Jednak żaden z nich się nie poruszył - byli wciąż oszołomieni wydarzeniami.

- Podejdźcie, piraci! - zawołał Kuo.

Connor spojrział na niego niechętnie. Mógł po prostu zignorować polecenie i zostać na pokładzie ćwiczebnym. Ale musiał stawić czoło Kuo. Przeszedł więc na brzeg, zostawiając przeciwnika za sobą.

- Dobra walka - pochwalił dyrektor.

Connor spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Niech pan sobie da spokój z tą protekcyjnością.

- Słucham? - Kuo wyglądał na zdziwionego.

- Wystawiliście mnie. Pan i Cheng Li. Wrobiliście mnie w walkę z najlepszym przyjacielem.

Kuo potrząsnął głową i uśmiechnął się promiennie do publiczności.

- Chciałem się przekonać, jaki jesteś naprawdę, Connorze. Walki pokazowe są ciekawe, to prawda, ale musiałem wiedzieć, do czego jesteś zdolny w sytuacji prawdziwego konfliktu. Zdałeś ten egzamin śpiewająco. Twoje miejsce w Federacji Pirackiej jest teraz pewne.

- Wie pan, co może zrobić z tą swoją Federacją?

- Connor gniewnie wyciągnął oba miecze w stronę dyrektora.

Krzyki widzów zagłuszyły jego słowa. Kuo przeskoczył na pomost. Connor wciąż mierzył w niego obiema klingami.

- Connor, myślę, że powinieneś się obejrzeć - powiedział dyrektor, spoglądając na chłopca ponad ostrzami mieczy.

Connor znieruchomiał. Czy tylko na tyle było stać komandora? Sztuczka niewiele lepsza od głupiej pantomimy.

- Connorze, za tobą.

Pokręcił głową. Czasy, kiedy wypełniał polecenia Kuo, już minęły.

- Connorze, obejrzyj się!

Tym razem głos nie należał do dyrektora. Ten budził przyjemniejsze wspomnienia.

- Molucco!

Connor odwrócił się, szczęśliwy, że widzi dowódcę, który stał za nim w swym bogatym kostiumie.

- Dla ciebie kapitan Wrathe - poprawił.

- Kapitanie!

Connor zrobił krok w jego stronę. Był tak szczęśliwy, że chętnie by objął Wrathe'a - gdyby nie trzymane w dłoniach miecze.

- Czy to... Nie, to niemożliwe! To mój stary rapier? - zdumiał się Molucco.

- Tak. - Connor podał mu broń rękojeścią do przodu.

Kapitan ujął miecz i zważył go w rękę. Zasmucił się na chwilę.

- Co pan tu robi? - spytał chłopiec. - Spodziewałem się pana dopiero jutro. Co nie znaczy, że nie cieszy mnie pański widok - dodał pospiesznie.

- Zdarzyło się coś strasznego - odparł Molucco.

Zdjął kapelusz. Scrimshaw wysunął mu się z włosów i na powitanie wyciągnął głowę w stronę Connora.

- Co takiego? Co się stało?

- Chodzi o mojego brata. Mojego drogiego brata... Kapitana Porfiria Wrathe'a. - Wielka, błyszcząca łza spłynęła mu po policzku.

- Co z Porfiriem? - zapytał Kuo, podchodząc bliżej.

- Zamordowany w okrutny sposób. A wraz z nim cała załoga... z wyjątkiem garstki niedobitków.

Connor zadrżał.

- Ale w jaki sposób?

Wrathe potrząsnął głową.

- Jest czas na opowieści i jest na działanie, mój chłopcze. Idź teraz i zabierz swoje rzeczy. Potrzebuję cię na Diabłu. Każdy pirat musi zająć swoje miejsce. Nie będę czekał, aż pamięć ostygnie, zanim dokonam zemsty.

Connor przytaknął.

- Zaraz będę gotowy.

- Chyba o czymś zapomniałeś - wtrącił komandor Kuo. - Może pójdziemy wszyscy do mojego gabinetu i porozmawiamy na osobności.

- To nie będzie potrzebne. - Connor pokręcił głową. - Nie mamy już o czym rozmawiać.

- Ależ. Connorze...

Connor spokojnie przeszedł obok człowieka, który jeszcze niedawno wzbudzał u niego taki szacunek...

Cheng Li wstała i stanęła przed nim.

- Connorze, opanuj się.

- Nic do mnie nie mów - odparł.

Jej zdrada zaboląła go jeszcze mocniej.

- Posłuchaj mnie. Wiem, że w tej chwili niezbyt mnie lubisz, ale są sprawy, których nie rozumiesz.

- Stale mi powtarzasz, że są sprawy, których nie rozumiem. Tylko że jest również mnóstwo spraw, które są dla mnie całkiem jasne.

Minął ją i ruszył schodami między rzędami pochodni. Zamierzał jak najszybciej wrócić do swojego pokoju i spakować rzeczy. Inni studenci, nieznający prawdy o walce, klepali go po ramionach i gratulowali.

- Nie możesz odejść - oznajmiła Cheng Li.

Na te słowa zatrzymał się i odwrócił.

- Dlaczego nie?

- Nie możesz zostawić Grace. - Cheng Li uśmiechała się, pewna swej przewagi.

Connor nie odpowiedział. Ruszył dalej, do granic amfiteatru i poza nie.

\*

Szybko się spakował i po raz ostatni ruszył w dół zboczem wzgórza Akademii. Myśli się kłębiły, głowa bolała po wszystkim, co przeżył. Ranione ucho też wymagało opatrunku, ale z pewnością nie od kogoś takiego, jak siostra Carmichael. Miał już dość tego miejsca i wszystkich ludzi z nim związanych.

Na tarasie stanął grill i studenci zajęli się nakładaniem na talerze i jedzeniem. Nie było łatwo przemknąć bez zwracania uwagi, ale na szczęście nikt go nie zaczepił. Miał tylko nadzieję, że komandor Kuo i Cheng Li będą się trzymać z daleka. Nie zależało mu na kolejnej konfrontacji. Zranili go bardzo; nie miał ochoty słuchać ich usprawiedliwień i wyjaśnień.

Rozejrzał się po tarasie. Na końcu stał długi stół przeznaczony dla wykładowców... Oczywiście! Przecież sam miał uczestniczyć w tym bankiecie. Mniejsza z tym - będą mieli dzisiaj jedno wolne miejsce.

Skierował się do ścieżki prowadzącej do portu. Jakaś postać wysunęła się z cienia drzew. Connor cofnął się. To była kapitan Quivers. Czego chciała?

- Connorze, chcę tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro.

Milczał, obserwując ją uważnie. W jej głosie brzmiał szczery żal.

- Przykro mi, że twoja wizyta w Akademii tak się skończyła. Dyrektor posuwa się czasami o jeden krok za daleko.

To chyba niedomówienie roku...

- O mało mnie nie zabił.

- Nie chcę usprawiedliwiać jego działań; nie jest to moim zamiarem. I nie chcę cię zatrzymywać - zapewniła kapitan Quivers. - Wiem, że z Molukiem macie ważne sprawy. Chcę

tylko, byś wiedział, że nie jesteśmy wszyscy tacy sami, ani w Akademii, ani w Federacji. Gdybyś kiedyś zmienił zdanie w tej kwestii, będę zaszczycona, jeśli zechcesz się ze mną skontaktować.

To była uczciwa propozycja uczciwej kobiety. Docenił ten gest.

- Dziękuję - powiedział, ściskając jej dłoń. - Ale teraz muszę już iść.

Z uśmiechem skinęła głową. Rozeszli się w przeciwne strony.

Diabło czekał już w zatoce i jego widok ukoił stargane nerwy Connora. Nie mógł się już doczekać, aż wejdzie na pokład i odpłynie z Akademii. Jednak kolejna osoba stanęła mu na drodze - Jacoby.

- Przepraszam, ale nie sądzę, byśmy mieli sobie coś do powiedzenia - oznajmił Connor, nie zatrzymując się nawet.

- Zasłużyłem na to - rzekł Jacoby. - I nie musisz nic mówić. Ale strasznie mi przykro, Connorze, naprawdę. Jestem twoim przyjacielem.

Connor przystanął i odwrócił się.

- Twoja definicja przyjaźni jest chyba niewłaściwa.

- Zmusili mnie do tego. Ale powinienem odmówić.

- Tak - zgodził się Connor. - Tak, powinieneś.

Ruszył dalej. Był już prawie przy nabrzeżu. - Nie będę prosił o wybaczenie - oświadczył Jacoby. - To byłoby głupie, a ty byś powiedział „nie”, bo tak się teraz czujesz. Ale jestem twoim przyjacielem, Connorze, a przynajmniej chciałbym nim być. Źle zrobiłem, ale znajdę sposób, żeby zmazać swą winę. Może to potrwać jakiś czas, ale uda mi się..

- Żegnaj - odparł Connor, stawiając stopę na zwisającej z pokładu drabince.

Spojrzał w górę. Przy relingu stał Bart. Machał do niego i uśmiechał się.

- Hej, kolego! - zawołał. - Witamy w domu!

Connor uśmiechnął się także i zaczął po szczeblach wspinać się do swego prawdziwego przyjaciela.

# Rozdział 38

## Powrót

Grace stała pod żaglami statku wampiratów. Serce biło jej mocno. Czy naprawdę wróciła? Podeszwami stóp czuła deski pokładu - zniknęła niewidzialna bariera, niepozwalająca na bezpośredni kontakt. Wyciągnęła rękę i dotknęła masztu... W tej samej chwili uniosła się linia blasku i na chwilę rozświetliła żagle, tak że wyglądały niby skrzydła z brązu.

Usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi. Spojrzała w stronę źródła dźwięku i przekonała się, że to drzwi do kajuty kapitana. Stała nieruchomo, jakby wrosła w pokład. Myślała o tym, jaka była odważna, kiedy za pierwszym razem szukała kapitana wampiratów. Teraz obok innych emocji czuła lęk, teraz wiedziała o wiele więcej niż wtedy i o wiele więcej rozumiała...

- Wejdz, Grace...

Szept wypełnił jej myśli. Jak zwykle, wydawał się całkiem pozbawiony emocji.

Czy wciąż był na nią zły? W każdym razie ona była zła na niego. Ruszyła przez pokład, do jego kajuty.

Przekraczając próg, szukała wzrokiem znajomej postaci w masce. Nie zobaczyła nikogo. Weszła głębiej i drzwi kajuty zamknęły się za nią. Szła dalej w mroku, w stronę słabego blasku przed sobą. W końcu zobaczyła jego sylwetkę za zasłonami balkonu - stał przy kole sterowym.

- Czy naprawdę wróciłam? Jestem tu?

Kapitan spojrzał na nią. Złościła ją ta maska. Dlaczego tak się obawia okazania jakichkolwiek emocji? Stał nieruchomo jak posąg i milczał. Grace ogarnął gniew.

- Tak, wróciłam. - Wreszcie usłyszała w głowie znajomy szept. - I cieszę się z tego.

Maska zmarszczyła się trochę - zrozumiała, że kapitan się do niej uśmiecha. Była zadowolona, ale nie skończyła jeszcze tej sprawy.

- Cieszysz się pan? - spytała. - Przecież sam pan kazał mi trzymać się z daleka.

Kapitan odwrócił się. I znowu Grace mogła patrzeć, jak koło sterowe przesuwają się tam i z powrotem, choć uwolnione od dotyku dowódcy. Kapitan podszedł i wyciągnął do niej rękę.



- Wiem, że cię zraniłem, Grace. I przepraszam. Dręczyło mnie wtedy wiele spraw, wiele problemów musiałem rozwiązać.

Łzy zakłuły Grace pod powiekami. - Mimo wszystko! Nie można odpychać przyjaciół. Nie mówi się im, żeby sobie poszli, tylko żeby zostali i pomogli!

Przez chwilę znowu nie odpowiadał i zaczęła się zastanawiać, czy nie posunęła się za daleko. Ale położył jej dłonie na ramionach i przechylił głowę.

- Wybacz mi, dziecko. Masz rację. Na chwilę straciłem rozum. Pojawiły się nowe zagrożenia, nowe niebezpieczeństwa, które chciałem zażegnać. Ale nie jest to usprawiedliwienie dla mego... okrucieństwa wobec ciebie.

Grace była zdumiona. Nie mogła uwierzyć, że kapitan statku wampiratów prosi ją o wybaczenie. Ale choć poczuła się dumna, w głębi serca jego słowa wzbudziły niepokój. Nagle miała wrażenie, że prosi ją o wsparcie. Chciała pomóc, długo czekała, aż pozwoli sobie pomóc, ale w tej chwili zaciężała jej odpowiedzialność.

Kapitan wprowadził Grace do swego sanktuarium i wskazał miejsce przy stole. Jak zwykle blat zarzucony był mapami, tym razem jednak leżały tam również stare książki. Przypominało to jej stolik, kiedy odrabiała lekcje i rozpaczliwie szukała jakiejś odpowiedzi, nie mając pojęcia, gdzie ją znaleźć.

- Jak wiesz, po twoim odejściu sytuacja tutaj się pogorszyła - ciągnął kapitan. - Nie chciałem cię narażać. Statek przestał być dla ciebie bezpieczny.

- Akademia Piractwa też nie była bezpieczna.

- Przekonałem się o tym. Dlatego w końcu przyplłynąłem po ciebie.

- Ale przedtem prawie się utopiłem.

Pokręcił głową.

- To było niepotrzebne, Grace. I bardzo niemądre.

- Teraz to rozumiem - przyznała zakłopotana. - Ale nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić. Tak bardzo chciałam tu wrócić... Pomyślałam, że jeśli znajdę się w takim samym położeniu...

- Wiem, czemu to zrobiłaś - przerwał jej. - I podziwiam twoją odwagę. Ale musisz się nauczyć, że czasem trzeba poczekać. Twój ojciec mawiał: „Zaufaj fali”.

Przerwał. Grace chciała zapytać, skąd znał jej ojca i jego powiedzonka. Ale zanim zdążyła otworzyć usta, kapitan mówił dalej.

- Tej nocy, kiedy skoczyłaś do zatoki, mnie również zalała fala ciemności. Nie mogłem wtedy po ciebie przybyć. Ale wiedziałem, że Connor to zrobi. Twój brat jest bardzo dzielny, Grace. Dzielny i wierny.

- Tak. - Grace kiwnęła głową. Nagle poczuła się bardzo niemądra i lekkomyślna. - Ja też przepraszam.

- Zwiesiła głowę. - Naprawdę.

- Nie bądź smutna - pocieszył ją kapitan. - Jesteś odważna i mądra, Grace. Masz wielką moc, chociaż jeszcze nie rozumiesz, na czym ona polega. Ani jak jej używać.

- Jaką moc?

Te słowa poprawiły jej nastrój. Chciała usłyszeć coś więcej. Ale kapitan nie należał do osób, które można ponaglać.

- Przypomnij sobie, jak potrafiłaś się porozumiewać ze swoimi przyjaciółmi na tym statku. A potem udało ci się dotrzeć tu kilka razy.

Grace nie rozumiała.

- Myślałam, że to oni mnie wzywają. Najpierw odwiedziła mnie Darcy. Potem miałam wizję Lorcana. A potem zaczęłam te duchowe wyprawy tutaj. Myślałam, że to pan mnie sprowadza.

- Darcy sama dokonała duchowej wyprawy do ciebie. Rozzłościłem się na nią wtedy, bo nie chciałem narażać cię na niebezpieczeństwo. Ale nie potrafiłem długo się gniewać. Dotknęłaś Darcy i dlatego tak łatwo możesz się z nią komunikować. Dotknęłaś Lorcana... i innych także. - Kapitan pochylił głowę. - Ale to, że przybyłaś tutaj, Grace, nie jest naszą zasługą. Nie. Sama tego dokonałaś.

Ona? To prawda?

Wtedy, pod drzewem jacarandy...

Potem, w łóżku...

I wreszcie na balkonie...

Sama spowodowała te podróże? Trudno to pojąć. Z całą pewnością nie była to świadoma decyzja, choć przecież bardzo chciała pomóc.

- Tak, Grace. Ty sama postanowiłaś do nas przybyć, tak jak za pierwszym razem.

Jak za pierwszym razem? O co mu chodzi?

- Za pierwszym razem... całkiem pierwszym... pochwycił mnie sztorm - przypomniała. -  
Tonęłam. Lorcan mnie uratował.

Kapitan milczał. Ale wiedziała, że to milczenie jest tylko zasłoną dla myśli, których nie  
jest jeszcze gotów wypowiedzieć na głos.

- Jak z Lorcanem? - zapytała, chcąc usłyszeć najnowsze wieści.

- Po kolei, dziecko - odparł kapitan. - Musisz nauczyć się cierpliwości.

Grace westchnęła. Wprawdzie bardzo lubiła kapitana, ale potrafił doprowadzić ją do  
szału. Długo jej tu nie było i zdążyła zapomnieć o tej jego umiejętności.

Wstał nagle i podszedł do kominka. Długi płaszcz powiewał za nim, iskierki przepływały  
wzdłuż żyłek na dziwnym materiale.

- Chciałbym, żebyś kogoś poznała - oświadczył.

- Kogo? Dlaczego?

Miała nadzieję, że nie skarci jej znowu za te kolejne pytania.

- Nazywa się Mosh Zu Kamal. To mój stary przyjaciel. Mój guru, można by powiedzieć.

Guru? Grace wiedziała, że słowo to oznacza przewodnika czy nauczyciela. Była  
zaskoczona wiadomością, że jest ktoś, kto przewyższa kapitana rangą czy doświadczeniem. Ale  
potem przypomniała sobie, jak wstrząśnięty wydawał się kapitan ostatnim razem. Dobrze  
wiedzieć, że ma się do kogo zwrócić w trudnych chwilach.

- To on właśnie wpadł na pomysł tego statku - tłumaczył kapitan. - To on właśnie, na  
samym początku, kiedy byłem tak zagubiony, wskazał mi drogę.

Grace była zaintrygowana tą osobą - jeśli określenie „osoba” było odpowiednie dla guru  
wampiratów.

- Gdzie on jest? Pływa na statku? Dlaczego dotychczas go nie spotkałam?

- Żyje w miejscu zwanym Sanktuarium - odparł kapitan. - Znajduje się na szczycie  
wielkiej góry.

Grace zerknęła na mapy zaścielające stół. Kapitan pokręcił głową.

- Obawiam się, dziecko, że nie znajdziesz Sanktuarium na żadnej mapie.

Grace była zdziwiona, ale i zaciekawiona. Jeśli tego miejsca nie ma na mapach, to jak  
kapitan może do niego trafić? Jak w ogóle można je znaleźć? Teraz poczuła, że naprawdę wróciła  
na statek wampiratów! I dlaczego koniecznie musiała wrócić. Istniało tak wiele tajemnic... a ona  
przemykała zaledwie po powierzchni magii.

- Tam teraz płyniemy? - spytała, koncentrując się na bardziej przyziemnych kwestiach. Czy to daleko, zastanawiała się. I czy płyną tam tylko z jej powodu?

Kapitan znowu się uśmiechnął.

- Prawdę mówiąc, jest kilka spraw, w których chcę się poradzić Mosh Zu. Przede wszystkim sądzę, że zdoła pomóc Lorcanowi.

- To znaczy wyleczy jego ślepotę?

- Mam na myśli tylko to, co powiedziałem, Grace. Mosh Zu pomoże Lorcanowi.

Grace zmarszczyła czoło. Czy kapitan sugeruje, że Lorcan pozostanie niewidomy? Że ten jego guru pomoże mu tylko pogodzić się z nową sytuacją? To nie wystarczy! Lorcan musi odzyskać wzrok! Wciąż czuła się odpowiedzialna za to, co zaszło.

- To nie twoja wina - powiedział, znów odgadując jej myśli. - Myliłem się wtedy, kiedy mówiłem, że tak...

- Moja - odparła żałośnie. - Oczywiście, że moja. Nie wychodziłby na światło dnia, gdyby nie próbował mnie ocalić.

- To może jest prawdą. Ale Lorcan nie stara się powrócić do zdrowia.

Grace przytaknęła. Aż nadto wyraźnie pamiętała swoją ostatnią duchową wizytę na statku. Noc Uczty. I Darcy, która mówiła, że Lorcan nie chce już brać krwi od swojego donora.

- Czy mogę cokolwiek zrobić, żeby mu pomóc?

- Tak - oświadczył kapitan ku jej zdumieniu. - Tak, oczywiście. I wiesz, co to takiego.

- Wiem?

- Szukaj odpowiedzi. Tkwi w tobie.

Nagle znowu stał się niespokojny. Rozpoznawała już ten stan - sygnał, że woli zostać sam.

- Chce pan teraz, żebym sobie poszła, prawda? - upewniła się.

- Nie chodzi o to, co chcę - odparł. - Są sprawy, którymi muszę się zająć, pytania, które muszę rozważyć...

- Związane z Lorcanem?

Pokręcił głową.

- Mam też inne ważne problemy, które wymagają mojej uwagi.

- Mogę pomóc? Wie pan, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kapitan oparł jej na ramieniu dłoń w czerwonej rękawiczce.

- Już pomagasz, Grace. Bardziej, niż się domyślasz.

# Rozdział 39

## Nowy przeciwnik

Kiedy Connor z resztą załogi Diabła zjawił się wieczorem w tawernie Mamy Kettle, wyglądała inaczej niż zwykle. Co prawda sala była normalnie zatłoczona, ale nastrój bardziej poważny. Zazwyczaj trzeba było krzyczeć, by być słyszany wśród gwaru rozmów, muzyki, błazeństw i drobnych sprzeczek. Ale dzisiaj głosy były przyciszone - wszyscy wiedzieli, co spotkało Porfiria Wrathe'a i jego załogę. Nikt nie potrafił w to uwierzyć.

- Witaj, Lucky! - Mama Kettle ścisnęła rękę Molucca.

Connor zauważył, że jest ubrana skromniej i bardziej konserwatywnie. Obok stała Ciasteczko z tacą drinków. Ona również ubrała się i umalowała mniej wyzywająco. Bez ostrego makijażu wydaje się jeszcze piękniejsza, pomyślał. Uśmiechnęła się do niego lekko, a Connor zakłopotany odwrócił wzrok.

- Czekają już na was - mówiła Mama Kettle.

- Wszyscy się zjawili. Wiedziałam, że przyjdą. Przemówisz do nich od razu, czy najpierw chcesz coś na wzmocnienie?

Molucco spojrzał na nią ze smutkiem i wzruszył ramionami. Najprostsza decyzja wydawała się torturą dla pogrążonego w żałobie pirata.

- Masz. - Mama Kettle podała mu kieliszek z tacy Ciasteczka. Zawierał porcję półprzejrzystej czerwonej ciecchy. - Korralowa brandy. Trochę dziwnie smakuje, ale daje kopa. Mówią, że po niej człowiek staje się mocny jak rafy koralowe. I jeden dla pana, panie Tempest. I dla ciebie, Bartholomew.

Ona sama i Ciasteczko wzięły ostatnie dwa kieliszki.

- Za Porfiria - wzniosła toast Mama Kettle.

Stuknęli się kieliszkami i wypili. Connor skrzywił się. Niewątpliwie był to najpaskudniejszy napój, jakiego kosztował w życiu. Ale kiedy wstrętny posmak zniknął, poczuł dziwne ciepło, ogarniające całe ciało.

- No to chodźmy. - Mama znowu wzięła Molucca za rękę.

Poprowadziła go na scenę pośrodku sali. Connor i Bart stanęli z boku, spoglądając na wypełniający tawernę tłum piratów.

- Przybyli tu z daleka - wyjaśnił Bart - żeby wesprzeć kapitana.

Connor obejrzał się na Molucca, który stanął na podwyższeniu.

- Naprawdę nim wstrząsnęło, co?

- Trudno się dziwić. - Cate stanęła przy nich. - To, co spotkało Porfiria, było straszne.

Connor przytaknął. Wciąż próbował zrozumieć. - Przyjaciele - zaczął Molucco, przebiegając wzrokiem po nierównych rzędach słuchaczy. - Dziękuję wam za to, że przybyliście tu dzisiaj. Wasze wsparcie wiele dla mnie znaczy w tej trudnej chwili. Strata ukochanego brata zawsze pozostawia głęboką ranę.

- Westchnął. - Ale stracić go w sposób tak potworny... Ten cios sięga samego serca.

Łza błysnęła mu w oku. Mama Kettle podeszła szybko i wsunęła mu w dłoń chusteczkę. Zacisnął ją w placach, ale pozwolił, by łza spłynęła po policzku. Wszyscy czekali cierpliwie, aż znowu zacznie mówić.

- Wybaczcie - rzekł. - Nie przyszedłem tu, by prosić o wasze współczucie.

- Już je masz! - zawołał któryś z piratów.

- Dziękuję. Bardzo jest pan uprzejmy, drogi panie, ale naprawdę nie chcę od was kondolencji. - Odetchnął głęboko. - Przybyłem tu, by skłonić was do działania.

- Powiedz tylko słowo! - krzyknął kolejny z piratów, stojący przed Connorem.

- Jasne! - dodał inny. - Pójdziemy za tobą!

- Tak! - huknęło razem kilkuset piratów.

Connor poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Nigdy jeszcze nie widział tak wielu ludzi zjednoczonych we wspólnym celu.

Ale zabrzmiał też jeden głos niechętny. Dobiegał z cienia.

- Zostawcie to Federacji. To Federacja Piracka powinna załatwiać takie sprawy.

Głos brzmiał znajomo, ale Connor nie potrafił go rozpoznać.

Molucco pokręcił głową.

- Po co mi Federacja, kiedy mam przyjaciół? Wspólnie pokonamy wroga.

Tłum krzykami poparł Molucca.

- Sądzę - ciągnął kapitan - że większość z was już wie, jaka zgroza miała miejsce dwie noce temu. Statek mojego brata zeglował przez straszliwy sztorm i szukał schronienia w zatoczce niedaleko stąd, w pobliżu latarni morskiej. Porfirio i jego dzielna załoga walczyli z żywiołem i spodziewali się, że latarnicy udzielą im pomocy. - Jego głos rozbrzmiewał teraz mocniej. - Ale obsługa latarni nie przyniosła pomocy. Przyniosła śmierć.

Kiedy Molucco urwał na chwilę, można by usłyszeć szpilkę spadającą na deski podłogi.

- Nie wiemy dokładnie, co zaszło. Z załogi liczącej stu pięćdziesięciu ludzi tylko siedemnaścioro mężczyzn i kobiet przetrwało tę noc. Rozmawiałem z nimi i jedynie nieliczni zachowali zdrowe zmysły. Powiedzieli mi, że okrucieństwa popełniane przez tych z latarni przewyższały wszystko, co oglądali przez całe swe życie na morzu. - Molucco zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę. - Przyjaciele, powiem to wyraźnie. Mamy do czynienia z przeciwnikiem nowego rodzaju. Przeciwnikiem zamaskowanym. Oni nie chcą złota. Nie chcą panowania na oceanie. Chcą jedynie krwi.

Te słowa wzbudziły w Connorze dreszcz - tak samo jak w każdym piracie, młodym czy starym, mężczyźnie czy kobiecie, którzy tego wieczoru trafili do tawerny Mamy Kettle. Ale Connor przeżywał je mocniej - myślał o Grace powracającej na statek wampiratów. A on przecież pozwolił jej na ten powrót. Co nie znaczy, że zdołałby siostrę powstrzymać, myślał smętnie. Co prawda Grace była absolutnie przekonana, że wampiraci są w zasadzie nastawieni pokojowo. Miał rozpaczliwą nadzieję, że się nie pomyliła, że tylko garstka renegatów pasuje do opisu kapitana Wrathe'a.

- Statek Porfiria znajduje się niedaleko - ciągnął Molucco. - Te potwory przejęły go i krążą teraz wzdłuż brzegu. Ale nie oddamy go! - Podniósł głos. - Nie odpłyną statkiem mojego brata! - huknął głośno.

- Dopadniemy ich! - zawołał któryś z kapitanów.

- Tak - potwierdził Molucco. - Tak, dotarcie do statku nie będzie trudne. Ale kiedy wejdziemy już na pokład, co wtedy?

- Molucco! - zawołał ktoś z boku sceny.

- Tak, kapitanie?

- Molucco, tam było... tak przynajmniej zrozumiałem... tylko pięć tych... demonów.

- Tak - potwierdził Wrathe. - Na pokładzie statku, tak. Wydaje się to niewiarygodne, ale rzeczywiście, ocaleni twierdzą, że całej rzezi dokonała ta piątka jedynie.



- Czyli nie możemy być pewni zwycięstwa.

- Nie. - Molucco potrząsnął głową. - Pięcioro może wydawać się garstką wobec nas wszystkich, ale to nie jest zwyczajna piątka. Nie używają mieczy i nie dadzą się nimi powstrzymać.

- Potrzebujemy innej broni - uznał kapitan.

Molucco przytaknął.

- Nowego rodzaju broni dla przeciwnika nowego rodzaju. Ale jakiej?

Nagle zapadła cisza, a potem gwar zaczął narastać jak fala przyływu, kiedy piraci dyskutowali nad możliwym wyborem skutecznej broni. Connor obserwował tłum. Pośrodku zauważył wysokiego mężczyznę w ciemnym skórzanym płaszczu i masce. Jednak mimo maski, czuł, że obcy patrzy wprost na niego - i tylko na niego. A jednocześnie jakiś głos wyszeptał mu w głowie: „Ogień”.

Connor miał wrażenie, że wzrok i słuch go mylą - może wskutek wypitej koralowej brandy. Ale zamaskowany przybysz wciąż się w niego wpatrywał, a niezwykle szept ponownie zabrzmiał w głowie.

- Powiedz im, Connorze. Ogień.

Chłopiec odruchowo otworzył usta i zawołał:

- Ogień!

Wszyscy zamilkli. Setki oczu zwróciły się ku niemu.

- Nie tutaj - wyjaśnił Connor. - To będzie nasza broń. Pokonamy ich ogniem.

- Tak! - wykrzyknął Molucco. - To jest to! Proste i skuteczne! Doskonały pomysł, panie Tempest. Naszą bronią będzie ogień. - Nagle wrócił do rzeczowego tonu. - Teraz poproszę kapitanów i oficerów zebranych tutaj, by wraz ze mną oddalili się i w spokoju omówili taktykę.

Connor znów spojrzał w głąb sali. Tłum zaczynał się już rozpraszać. Zamaskowany przybysz skinął mu głową.

- Connorze, chodź, zajmiemy jakieś miejsca - odezwał się Bart.

- Jasne. Zaraz do was dołączę. Chcę tylko z kimś porozmawiać.

- Z kim?

- Z tym człowiekiem, o tam. Tym w masce.

- W masce? Nie widzę nikogo w masce.

- No tam, na samym środku...

- Ktoś tu wypił chyba za dużo brandy.

Ale Connor opuścił już przyjaciela i ruszył w kierunku zamaskowanego mężczyzny. Ten skierował się w boczną część sali, po czym wspiął się schodami na piętro, do rzędu boksów. Wszedł do pierwszego, zaczekał na Connora, po czym zasunął kotary.

Connorowi serce biło jak szalone.

- Connorze... - Słowa spływały do głowy chłopca niczym topniejący lód.

Obcy wyciągnął rękę. Connor uściśnął ją.

- Jest pan kapitanem, prawda? - upewnił się. - Kapitanem statku wampiratów?

Kapitan przytaknął.

- Miło w końcu poznać cię osobiście, Connorze Tempest.

Szept znowu zabrzmiał bezpośrednio w głowie chłopca.

- Mnie pana również.

- Myślałem, że będziesz na mnie zły. - Zły? Dlaczego? Kapitan usiadł. - Ponieważ Grace wróciła na mój statek. Ponieważ nie umiała zostać z tobą. - Na początku byłem zły i rozczarowany - przyznał Connor. - Miałem nadzieję, że po wszystkim, co się nam przytrafiło, zostaniemy już razem. Ale wiem, że musiała tam wrócić. Byłem samolubny. Myślałem, że zostanę piratem, a ona będzie mi towarzyszyć.

W końcu jednak zrozumiałem, że musimy podążać innymi drogami, przynajmniej na razie.

Kapitan pokiwał głową.

- Widzę, że jesteś mądry, Connorze Tempest. Mądry, nie tylko silny.

- Ale nic jej tam nie grozi, prawda? To bezpieczne miejsce?

Kapitan zastanawiał się przez chwilę.

- Czy jakiegokolwiek miejsce jest w pełni bezpieczne?

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał Connor.

- Nie bądź taki zatroskany, Connorze. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by chronić Grace. Ma też na pokładzie innych przyjaciół, którzy czują podobnie. Poza tym Grace jest bardzo silna.

- Wiem - zgodził się chłopiec. - Jest silniejsza z nas dwojga. Zawsze była.

To stwierdzenie zaskoczyło kapitana. Connor sam był zdziwiony, że to przyznał.

- Powinienem już wracać - szepnął kapitan.

- Tak szybko? - zmartwił się Connor.

Nagle przyszły mu do głowy setki pytań, jakie chciałby zadać.

- Zawsze możesz złożyć nam wizytę. Będziesz miłym gościem.

- Ale jak was znajdę? Nawet Grace miała kłopoty z odszukaniem waszego statku.

Kapitan pokręcił głową.

- Wcale nie - odparł. - Wcale nie tak trudno nas znaleźć.

Podniósł się i zrobił krok w stronę wyjścia.

- Proszę zaczekać! - zawołał Connor.

Kapitan odwrócił się.

- Poradził mi pan, żeby użyć ognia.

- Tak.

- Ale ci... ludzie, którzy zamordowali Porfiria... to również wampiraci, prawda?

Connor był zdumiony, że maska kapitana potrafi tak wyraźnie przekazywać emocje.

Mężczyzna wydawał się smutny i znużony.

- Są wyrzutkami. Na pewien czas udzieliłem im schronienia. Już nie.

- Więc tak samo jak piraci chce pan, żeby zginęli? Czy mogą umrzeć po raz drugi?

Kapitan myślał chwilę, nim odpowiedział.

- Nie chciałbym krzywdzić ani zabijać żadnej żyjącej istoty - rzekł. - Ale w tym przypadku lękam się alternatywy. - Urwał na moment, nim podjął. - Jest coś jeszcze, Connorze. Coś bardzo ważnego.

- Tak? Co takiego?

- Wśród tych wyrzutków możesz spotkać kogoś o kim sądzisz, że go znałeś. Ale nie daj się oszukać. Nie jest tym, kim się wydaje, a jedynie echem. Musisz być silny, Connorze. Musisz wskazać im drogę. Nie pozwól, żeby przeszkodził temu, co ty i twoi towarzysze musicie uczynić.

- O co mu chodzi, zastanawiał się Connor. Dlaczego mówi zagadkami?

I jakby potrafił czytać w myślach, kapitan odpowiedział:

- Wszystkiego się dowiesz, Connorze. Kiedy nadejdzie czas, zrozumiesz i podejmiesz właściwe działania. Nie potrzebujesz tak wielkiej pomocy, jak sądzisz. Twoim przeznaczeniem nie jest podążać za kimś, ale przewodzić. - Wyciągnął rękę. - Do następnego spotkania, Connorze Tempest.

Connor uściskał dłoń w rękawiczce. I nagle poczuł przyływ siły i determinacji. To było niezwykle wrażenie - jakby emocje przelewały się bezpośrednio z żył kapitana do jego własnych. Odkrył też następną tajemnicę: kiedy ścisnął tę dłoń, ogarnęło go dziwne uczucie, niemające żadnego logicznego wytłumaczenia - był pewien, że trzymał tę dłoń już wcześniej.

# Rozdział 40

## Donor

Grace była zbyt niespokojna, by zasnąć. Odsunęła zasłonę i wyjrzała. Na zewnątrz panował dzień. Na statku wampiratów godziny dnia były czasem odpoczynku, ale nie zdążyła jeszcze przestawić swego cyklu dobowego.

Wstała z łóżka i narzuciła na siebie płaszcz od Darcy. Po wyjściu z kajuty przeszła kawałek korytarzem i otworzyła drzwi na pokład. Czując na twarzy chłodny wiatr, przestąpiła próg.

Dzień był rześki, ale bryza ją uspokajała. Rozwiewała włosy i masowała skronie, usuwając resztki bólu głowy. Szum wiatru i niespokojne fale pomagały uciszyć bezustanną gonitwę myśli. Dziewczyna obciągnęła rękawy płaszcza, by nie zmarzły jej ręce i podeszła do relingu.

Morze wokół było szare i wzburzone. Nie dostrzegła nawet śladu innego statku... i ani śladu lądu czy Sanktuarium, jakkolwiek mogło wyglądać.

Zastanawiała się, ile jeszcze zostało im do końca drogi. Czy wciąż są na zwykłym oceanie, czy wpłynęli już na nieznane wody?

Myśli zakłócił jej lekki dotyk na karku. Z początku sądziła, że to wiatr, który uniósł kołnierz swetra. Ale potem poczuła go znowu i zrozumiała, że to dłoń innego człowieka. Nikogo nie powinno tu być podczas dnia - nikogo prócz kapitana, a ten zawsze nosił rękawiczki. A przecież czuła, że dotyka jej gołą dłoń...

Trochę zalekniona, odwróciła się.

- Witaj - powiedziała drobna kobieta o delikatnych rysach.

Wyglądała znajomo.

- Witaj - odparła Grace.

Usiłowała skojarzyć rozmówczynię. Była niewysoka, bardzo ładna, ale też bardzo blada.

- Jestem Shanti - przedstawiła się. - Donor Lorcana.

Oczywiście! Teraz Grace ją poznała. Widziała ją z Lorcanem tamtej nocy, kiedy uczestniczyła w Uczcie. Zazdrościła jej wtedy - urody, a także zażyłości z Lorcanem. Teraz Shanti wydawała się starsza, bardziej krucha. Na czole pojawiły się linie zmarszczek.

- Jesteś Grace - stwierdziła, opierając się o reling.

- Lorcan często o tobie mówi.

Ta wiadomość ucieszyła Grace. Jednocześnie czuła się zakłopotana. Nigdy jeszcze nie rozmawiała z donorem. I chociaż kapitan wyjaśnił jej część związków łączących wampira z donorem, wciąż miała wiele pytań czekających na odpowiedź.

- Kiedy wróciłaś? - zapytała Shanti, spoglądając w szare niebo.

- Wczoraj.

- Czy tym razem już zostaniesz?

W głosie zabrzmiała ostra nuta. Czyżby Shanti była zazdrosna o Grace? Wyglądało, że to możliwe - choć z pewnością nie miała o co być zazdrosna. Mimo to, uznała Grace, należy postępować ostrożnie.

- Nie jestem pewna, jak długo mogę zostać - odparła zgodnie z prawdą. - To nie ode mnie zależy.

- Nie rozumiem - wyznała Shanti, bawiąc się kosmykiem swych długich, ciemnych włosów.

- Ja też nie. - Grace uśmiechnęła się do niej. - Dla mnie to także tajemnica.

Shanti wciąż spoglądała w dal.

- A co jeszcze jest tajemnicą?

- Ten statek. Wampiraci. Donorzy. Właściwie niewiele rozumiem. Nie wiedziałam nawet, że donorom wolno wychodzić na pokład.

- Pozwalają nam za dnia. Ale nie po Dzwonie Mroku. Dla naszego bezpieczeństwa. Poza tym musimy dobrze się wysypiać. Sen daje siły. Sen oczyszcza krew.

Grace kiwnęła głową. To wszystko miało sens.

- Zresztą to już nie ma znaczenia.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Grace.

Shanti wzruszyła ramionami, wciąż unikając wzroku Grace.

- Na co komu krew donora, jeśli wampir nie chce się żywić?

Wydawała się urażona. Oczywiście - Lorcan odmawiał przyjmowania krwi od dnia, kiedy został ranny. Jego donor powinien to przyjąć z ulgą, myślała Grace. Ale widząc Shanti, zrozumiała, że myli się całkowicie.

- Przykro mi.

- Nic mi z tego nie przyjdzie! - rzuciła Shanti. Miała łzy w oczach.

Grace wyciągnęła dłoń, by dotknąć jej ramienia, ale Shanti odsunęła się szybko.

- Zostaw mnie! - krzyknęła. - Nie potrzebuję od ciebie współczucia.

- Czuję się odpowiedzialna - wyjaśniła Grace. - Gdyby nie ja, Lorcan nie znalazłby się w takim stanie.

Shanti wreszcie zwróciła ku niej twarz. Łzy ściekały jej wolno po policzkach. - Doskonale zdaję sobie z tego sprawę - oświadczyła. - Martwisz się o Lorcan - odgadła Grace. Oczywiście... Jak można się o niego nie martwić? Ale Shanti pokręciła głową. - Nie nad nim płaczę. Chodzi o mnie. Dobrze mi się żyło na tym statku. Jeśli postanowi, że nie będzie pił mojej krwi, nie mam tu nic do roboty. Będę musiała odejść.

- Ale dokąd pójdziesz? - zdumiała się Grace.

- To interesujący problem, prawda? Nie mogę wrócić do miejsc, skąd pochodzę. One już nie istnieją, nie ma ich od powodzi. Nie mam już domu, nie mam rodziny... Nic nie mam. Statek był moją jedyną szansą.

- Lorcanowi w końcu wróci apetyt - zapewniła Grace. - Jestem przekonana. A nawet gdyby było inaczej, to przecież kapitan pozwoli ci chyba zostać...

Shanti pokręciła głową.

- Nie rozumiesz. Sama mówiłaś: to dla ciebie wciąż tajemnica. Dla mnie sprawa jest jasna jak słońce. Zawarłam umowę. Każdy donor zawiera taką samą. Dopóki dostarczasz krwi, wszystko w porządku. Ale jeśli zdarzy się coś, co przerwie ten proces... Cóż, wtedy nie jesteś im więcej potrzebna. Żegnaj i powodzenia.

Grace zaszokowało to wyznanie. Nie mogła uwierzyć, że kapitan aprobejuje takie rozwiązania. Zawsze był wobec niej taki uprzejmy i opiekuńczy...

- Nie możesz tego zrozumieć - ciągnęła Shanti. Każde jej słowo pełne było bólu i goryczy. - Czy możesz wiedzieć, jak to jest, kiedy nie ma się nic na świecie? Kiedy nie wiadomo, dokąd pójść?

Grace miała już odpowiedzieć, kiedy zdała sobie sprawę, że dziewczyna nie oczekuje odpowiedzi.

- Nie, nie zdołasz sobie tego wyobrazić. Kiedy nadeszły powódzie, straciłam wszystko, co miałam. Wszystko oprócz kości i krwi. Zawarłam umowę z diabłem. To była moja ostatnia szansa, naprawdę ostatnia. Owszem, to rozwiązanie miało swoje dobre strony. - Przerwała. Słowa płynęły tak gwałtownie, że musiała nabrać tchu.

- Oni wszyscy są nieśmiertelni, naturalnie. Stają się tacy od razu, kiedy przejdą na drugą stronę. Ale my... My to co innego. Jesteśmy nieśmiertelni, dopóki jesteśmy z nimi, dopóki ich żywimy. Kiedy przestają nas potrzebować, czas szybko nas dogania.

Więc dlatego wyglądała teraz o wiele starszej niż wtedy, kiedy Grace widziała ją na Uczcie. Ile naprawdę miała lat? Ile jeszcze jej zostało? Nic dziwnego, że taka jest zła na Lorcana... i na Grace.

- Shanti, przykro mi z powodu tego, co się stało. Naprawdę. Ale przybyłam tu, żeby uleczyć Lorcana. Wierzę, że wyzdrowieje.

Shanti pociągnęła nosem. Zdjęła dłonie z relingu.

- Może i tak. A może nie. To już dla mnie nieistotne. Bo przecież nawet jeśli postanowi znowu przyjmować krew, to nie o moją będzie mu chodziło, prawda?

Spojrzała gniewnie na Grace i zaczęła się oddalać. Grace pobiegła za nią.

- O co ci chodzi? Jeśli nie zechce twojej krwi, to czyją?

- Daj spokój - rzuciła niechętnie Shanti. - Podobno jesteś inteligentna.

Po czym odwróciła się i gwałtownie pchnęła drzwi. Po chwili zniknęła w korytarzu.

Jej słowa odbijały się echem w głowie Grace. Co chciała przez to powiedzieć? Że to jej krwi chce Lorcan? Czy jedyny sposób, by mu pomóc, to stać się jego donorem?

Przypomniała sobie, co mówił kapitan, kiedy spytała, jak może pomóc: „Szukaj odpowiedzi. Tkwi w tobie.”

Zadrzała. Nagle stała się świadoma krwi płynącej wszystkimi żyłami jej ciała. Czy tego potrzebuje Lorcan? Czy jeśli naprawdę chce go ocalić, taką musi zapłacić cenę?



# Rozdział 41

## Ogień

To był prosty plan, stworzony przez Molucca Wrathe'a i jedenastu innych pirackich kapitanów: otoczyć statek i zasypać go ze wszystkich stron gradem ognia. Tyle ognia, że potrzebny byłby ocean, aby ugasić jego żar. Nie pozostawić morderczym pasażerom żadnej drogi ucieczki. Molucco zdawał sobie sprawę, że sam statek - wraz z ciałami Porfiria i jego załogi - także zmieni się w popiół. Ale uznał, że po śmierci brata będzie to słuszny i właściwy koniec.

- Jak u piratów z dawnych czasów - oznajmił z powagą. - Statek będzie dla niego stosem pogrzebowym.

I tak owej nocy dwanaście statków rozwinęło żagle i popłynęło wzdłuż brzegu. Diabło oczywiście prowadził flotyllę. Na każdym pokładzie rozpalono dobrze osłonięte ognisko - gotowe na czas, kiedy każda z pirackich załóg zapali od niego pochodnie i ruszy do ataku.

Obserwując przygotowania, Connor wciąż myślał o tym, co powiedział mu kapitan wampiratów: „Wśród tych wyrzutków możesz spotkać kogoś, o kim sądzisz, że go znałeś. Ale nie daj się oszukać. Nie jest tym, kim się wydaje, a jedynie echem”.

O co mu chodziło? Jakim echem? I o kim w ogóle mówił?

„Musisz być silny, Connorze. Musisz wskazać im drogę. Nie pozwól, żeby przeszkodził temu, co ty i twoi towarzysze musicie uczynić”.

Kapitan był wyraźnie przekonany, że Connor potrafi pokierować innymi, ale przecież wciąż był nowy w załodze. To prawda, Molucco chętnie go słuchał, ale chłopak wcale nie był pewien, że w ogniu bitwy zdoła przewodzić reszcie towarzyszy.

„Kiedy nadejdzie czas, zrozumiesz i podejmiesz właściwe działania... Twoim przeznaczeniem nie jest podążać za kimś, ale przewodzić”.

Czy to prawda? I znowu Connor przypomniał sobie wizję siebie jako kapitana piratów. Być może dzisiaj czeka go pierwsza próba na drodze do tego celu.

Zawyła okrętowa syrena. To był sygnał - dostrzeżono porwany statek. Diabło zmienił kurs. Connor spojrzął za rufę i zobaczył coś niezwykłego: jedenaście statków płynących w zwartej formacji, niosących wśród nocy kręgi ognia wyglądające jak małe planety. \*

Zbliżyli się do celu i ustawili dookoła, niczym pszczoły w ulu. Statek dryfował po morzu ze zwiniętymi żaglami. Piraci nie zauważyli nawet śladu życia - jednak pusty pokład wciąż nosił straszne, krwawe ślady rzezi.

Zabrzmiała syrena. Na dwunastu statkach piraci uzbroili się w płonące żagwie. Drugi sygnał - i ze wszystkich stron na zakrwawiony pokład posypał się ogień. Po chwili dookoła zajaśniały płomienie.

- To za Porfirią! - zawołał Molucco i cisnął pochodnię prosto w maszt.

Piraci z Diabła krzyknęli z radości, kiedy zajęły się żagle. Krzyk podjęły załogi innych statków i wkrótce ściana dźwięku wzniosła się wokół kręgu ognia.

Nagle na pokład wybiegły jakieś postacie. Connor przyjrzał się dokładnie. Były cztery - trzech mężczyzn i kobieta. Cofali się przed płomieniami. Connor czujnie obserwował te demony... Wśród nich znajdował się wysoki czarny mężczyzna o srebrzystych włosach, odbijających płomienie. Obok jeszcze wyższy, ale młodszy. I dziewczyna - piękna dziewczyna, ale jednak potwór. I wreszcie... I wreszcie czwarty wampir. Connor otrząsnął się gwałtownie - to był Jez.

Obok niego Bart pobladł ze zgrozy. Connor zwrócił się do przyjaciela, który w szoku wskazywał palcem Jeza - czy raczej to, czym Jez się stał.

- To nie on - powiedział. - Wygląda jak Jez, ale to nie on.

Twarz Barta wyrażała zdumienie i dezorientację.

- Nie rozumiem. Popatrz na niego...

- To skomplikowana sprawa. - Connor zrozumiał nagle ostrzeżenie kapitana wampiratów.

- Kiedy Jez umarł, kiedy go pochowaliśmy, ktoś przywrócił go do życia. No, w każdym razie do czegoś.

Bart potrząsnął głową.

- Chcesz mi wmówić, że mój stary kumpel jest wampirem?

- Wampiratem.

- Z tych, którzy uratowali Grace?

Bart - co zrozumiałe - z trudem przyjmował fakty do wiadomości. Po chwili jednak Connor spostrzegł, że inni z załogi też zauważyli „Jeza” i wstrzymują atak. Musiał szybko coś zrobić - jeśli się cofną, któż wie, jakie zagrożenie może się pojawić?

- To nie on! - wrzasnął. - To nie Jez! - Wspiął się na wanty. - Wiercie mi, to nie Jez!

Piraci spoglądali na Connora, nie wiedząc, co myśleć. Wszyscy widzieli, jak Jez zginął. Widzieli, jak spada do morza jego trumna.

Z tamtego statku Stukeley patrzył na nich. niepewnie poprzez szalejące płomienie. Jego oczy wyrażały jednocześnie strach, zaskoczenie, zdumienie... I wtedy zobaczył Barta. Coś przebiło się przez oszołomienie.

- Bart! - zawołał. - Connor! Trzech Bukanierów!

To był wyraźnie głos Jeza.

- Brzmi jak on - stwierdził Bart. Wyraźnie cierpiał.

- Widziałeś, jak umarł - przekonywał gorączkowo Connor. - Pamiętaj o tym. Widziałeś, jak umarł. Razem rzuciliśmy za burtę jego trumnę. - Odwrócił się, by usłyszeli go pozostali. - To tylko sztuczka! Wszyscy wiemy, że Jez umarł! Wszyscy byliśmy na jego pogrzebie! To sztuczka, zapewniam was, okrutna sztuczka! To są potwory, które zamordowały Porfiria Wrathe'a i jego załogę! Musimy dalej atakować!

Była już taka chwila, kiedy sądził, że nie uda mu się ich przekonać. Ale nagle zobaczył, jak piraci znowu wznoszą pochodnie. Zawahali się jednak, spoglądając na Barta. To oczywiście - był najlepszym przyjacielem Jeza. Niech on wygłosi ostateczne wezwanie.

- Tak! - krzyknął Bart. - Connor ma rację! To sztuczka! Jez umarł w moich ramionach! To nie on! Rzucajcie!

Connor zdawał sobie sprawę, jaka to dla Barta straszna decyzja. Nastąpił ostateczny koniec Trzech Bukanierów. I kiedy piraci z nową siłą wznowili atak, on i Bart zamknęli oczy. Gdy po chwili otworzyli je znowu, nie dostrzegli już Jeza wśród płomieni.

Stopniowo ucichły też krzyki trójki jego towarzyszy.

Wydawało się, że cały statek zbudowany jest z ognia - od dziobu po rufę, od czubka masztu, poprzez żagle i olinowanie. Z wolna konstrukcja zaczęła się rozsypywać i zapadać w ciemne wody oceanu.

Zabrzmiała syrena. Dzieło zostało zakończone, statek zniszczony wraz z jego straszliwą załogą. Zemsta, myślał Connor, to bolesne przedsięwzięcie. Nie daje satysfakcji, pozostawia za

to uczucie odrazy, winy i zbrukania. Chciał, żeby Diabło odpłynął stąd jak najprędzej. Sprawa załatwiona.

Nagle jednak usłyszał przerażający ryk i zobaczył potężną postać, wynurającą się z samego środka pożaru. Wytrzeszczył oczy... To był Cezar - ten obcy, którego załoga Diabła spotkała u Mamy Kettle i który potem doprowadził ich do statku wampiratów, żeby uratować Grace. Cezar, który zniknął w tajemniczy sposób. Teraz Connor zrozumiał dlaczego. Musiał się jednak upewnić.

- Cezar! - wykrzyknął. - Cezar!

Inni piraci spoglądali na niego, a potem na płonący statek. Ci, którzy widzieli „Cezara”, kiwali głowami. Ale teraz pojawiło się też zrozumienie. Na tamtym statku działo się coś dziwnego - załoga nie była tym, kim się wydawała. Cóż, w końcu to demony...

Jedyny ocalały wampir zwrócił twarz w stronę Connora. Chłopiec miał wrażenie, że spogląda w oblicze diabła - w jego oczach jarzył się taki sam ogień jak ten, który pochłaniał statek. Próbował odwrócić głowę, ale widok, choć przerażający, przyciągał wzrok.

- Nie nazywam się Cezar, głupcze! Mam na imię... Sidorio!

Oczywiście! Wszystko nabrało sensu. To był wampir, który zaatakował Grace. Pierwszy ze-zbuntowanych wampiratów, wypędzony przez kapitana. Doprowadził ich do statku wampiratów nie po to, by ratować Grace, ale by zniszczyć dawnych towarzyszy.

- Dajcie pochodnię! - zawołał Connor do stojących niżej piratów. - Szybko, dajcie pochodnię!

Podali mu. Nagle poczuł się jak oficer.

- To za Grace! - krzyknął, rzucając pochodnię prosto w Sidoria.

Wylądowała na pokładzie u jego stóp.

- Następną! - zażądał Connor.

Dostał ją natychmiast.

- To za Jeza! - wrzasnął Connor, posyłając ją łukiem nad wodą.

Pochodnia trafiła Sidoria w bok. Ciało - czy to, z czego był zbudowany - zajęło się płomieniem. W górę wznosił się ciemny dym.

- Ogień! - usłyszeli głos Sidoria. - Ogień czyni mnie silniejszym!

- Następną! - krzyknął Connor. - Dajcie mi następną i zbierzcie wszystkie pozostałe!

Rzucimy razem!

Piraci podali Connorowi pochodnię i chwycili swoje. Connor spojrział z góry na załogę Diabla - w tej chwili to była jego załoga. Nawet Molucco czekał na jego znak.

- A to... - zawołał Connor, poprzez wodę i ogień patrząc na płonącego olbrzyma ...za Porfiria!

Cisnął żagiew przez nocne niebo. Poleciała stromym łukiem wraz z setką innych, rzuconych przez piratów. Deszcz ognia opadł na pokład dawnego statku Porfiria Wrathe'a. Niczego ani nikogo nie dało się zobaczyć wśród płomieni. Jedynym dźwiękiem były ich chciwe trzaski, jedynym zapachem smród dymu, gdy statek spalał się w nicość.

A potem, wśród huku ognia, rozległ się głośniejszy jeszcze ryk:

- Ogień czyni mnie silniejszym!

Ale brzmiał jakoś inaczej.

Sidorio jest próżny, myślał Connor. Będzie przechwalał się swą potęgą aż do końca, ale nie może przetrwać ostatniego ataku.

Jednak, ku jego zdumieniu, płomienie zaczęły formować się w sylwetkę potwora; miała pięć, dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści metrów wzrostu. Wznosiła się nad nimi.

- Śmierć nie może mnie zabrać - zahuczał olbrzym. - Śmierć nie może z powrotem przyjąć już, umarłych!

Gdy skończył, ogień przygasł nagle. Wizja Sidoria zniknęła. A Connor, z bijącym szaleńczo sercem, widział już tylko płonący statek - stos pogrzebowy Porfiria Wrathe'a i jego załogi. A także, pomyślał, w pewien sposób i Jeza.

Przez długi czas stał wysoko na wantach i patrzył, jak statek dogasa, jak łączy się z wodą, która go dotąd nosiła. Czy oceany były teraz znowu bezpieczne? Czy fala terroru Sidoria ustąpiła?

W końcu spojrział w dół. Na pokładzie pod nim stali Cate, Bart i Molucco.

- Zejdź! - zawołał kapitan. - Już po wszystkim.

Connor zsunął się po linie, nagle oszołomiony wszystkim, co się wydarzyło, zmarznięty i drżący od powstrzymywanych emocji.

Gdy stanął na deskach, Cate i Bart objęli go serdecznie. Właśnie czegoś takiego potrzebował.

- Byłeś świetny - stwierdził Bart.

- Prawdziwy bohater - dodała Cate.

Kapitan Wrath wyciągnął do niego ramiona.

- Dzięki panu wygraliśmy, panie Tempest - rzekł.

- Gdyby nie pan... Gdyby nie pan...

Connor pokręcił głową.

- Zrobiłem to, co zrobiłby każdy pirat dla swojego kapitana... i swoich przyjaciół.

Kiedy wpadł w objęcia Molucca, myślał o pytaniu, jakie zadał mu kapitan wampiratów:  
czy jakiegokolwiek miejsce jest w pełni bezpieczne?

Dreszcz przebiegł mu po karku. Skończyła się jedna bitwa, ale następna czeka pewnie już niedaleko. Byli piratami. A na tym właśnie polega bycie piratem.

Nad ramieniem Molucca widział flotyllę statków odpływających w mrok. Jestem częścią tego wszystkiego, myślał. Wybrałem taki los i wybrałbym go znowu i znowu, i znowu, nieważne, jakie czekają mnie niebezpieczeństwa.

# Rozdział 42

## Milion tajemnic

Grace czekała na pokładzie, aż dzień zaczął mijać i zapadł zmierzch. Żeglowali pomiędzy, szarym oceanem a szarym niebem, aż wpłynęli na jaśniejsze wody, wciąż jednak nie miała pojęcia, czy Sanktuarium jest jeszcze daleko, czy już blisko. Nie spotkała kapitana, więc nie miała kogo spytać. Był pewnie zajęty swoimi planami - a teraz ona także miała swoje.

Gdy słońce zanurzało się w obsydianowe fale, Grace patrzyła na galion statku, czekając, aż zbudzi się Darcy Flotsam. Zdarzyło się to kilka chwil po tym, jak słońce ostatecznie zniknęło. Grace usłyszała skrzypienie i zauważyła pierwsze poruszenie. Szyja Darcy uniosła się lekko, powodując cichy trzask. Potem jej koński ogon przesunął się z boku na bok. Ruch - skrzyp. Ruch - skrzyp. Następnie poruszyła rękami - skrzyyyyp - i wkrótce potem nogami. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, że jest obserwowana, gdyż odwróciła głowę i mrugnęła do Grace, zanim zanurkowała do wody.

Zniknęła pod falą i pojawiła się znowu kilka metrów dalej, wygładzając długie czarne włosy i rozglądając się z zaciekawieniem, jakby po raz pierwszy patrzyła na świat. Popluskowała się trochę, nim podpłynęła do burty, by wspiąć się po drabince i stanąć obok Grace.

- Dobry wieczór, Grace - powiedziała. Woda ściekała z niej na czerwone deski pokładu. - Wróciłaś na dobre?

- Tak, Darcy. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Więc o co chodzi? - spytała dziewczyna. - Potrafię czytać w tobie jak w książce, Grace Tempest. A prawdę mówiąc, nawet lepiej. I widzę, że jesteś taka po swojemu poruszona.

Grace uśmiechnęła się. Cokolwiek by się zdarzyło, Darcy - swoim niezwykłym zachowaniem i słowami - zawsze jakoś umiała poprawić jej samopoczucie.

- Darcy, chcę cię prosić o przysługę.

Darcy zmarszczyła nosek.

- Przysługę, tak? No to proś. Z pewnością rozważę to starannie i odpowiem ci toutesuite.

Mówiąc, zmierzała w stronę okrętowego dzwonu.

- Zaczekaj! - krzyknęła Grace.

Darcy stanęła jak wryta. Obejrzała się.

- Proszę, bądź cierpliwa. Wiesz, że moim obowiązkiem jest uderzyć w dzwon.

Odpowiadam za to przed załogą.

- Tak, wiem. To jest właśnie ta przysługa, o którą chciałam cię prosić.

Darcy zmarszczyła czoło.

- Przyznam, że chyba trochę się zgubiłam.

- Proszę cię, Darcy, czy możesz dziś poczekać z uderzeniem w Dzwon Mroku? Chcę przyprowadzić tu Lorcana i pomyślałam, że przyjdzie mi to z większą łatwością, jeśli będziemy mieli pokład tylko dla siebie.

- Och, Grace... - Darcy posmutniała wyraźnie.

- Myślałam, że wiesz. Lorcan nie wychodzi już na pokład. Za bardzo się boi po tym, co zaszło. Żyje w lęku przed światłem.

Grace kiwnęła głową.

- Wiem o tym. Ale nie mam zamiaru rezygnować. Z twoją pomocą on wyjdzie dziś na pokład. Nie uznaję żadnej odmowy.

Darcy uśmiechnęła się, choć łzy błysnęły jej w oczach. Rozumiała, do czego zmierza Grace.

- Jesteś wspaniałą osobą, Grace. Wspaniałym przyjacielem.

Wspaniałym przyjacielem, powtórzyła w myślach Grace. To, co chciała dzisiaj zaofiarować Lorcanowi, przewyższało nawet dar przyjaźni.

- Oczywiście, że spełnię twoją prośbę - zapewniła Darcy. - Zapalę tylko latarnie, żeby były gotowe. Później wrócę do siebie, przebiorę się w jakąś śliczną i suchą suknię, uczeszę włosy i umaluję się. Czy pół godziny ci wystarczy?

- Całkowicie. - Grace kiwnęła głową. - Dziękuję ci, Darcy. Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. A teraz idź już i wyciągnij porucznika Fureya z mroków jego kajuty.

Grace uśmiechnęła się do niej, po czym pobiegła do wnętrza. Stanowczym, choć cichym krokiem przeszła przez korytarz, a potem schodami w dół do kajuty Lorcana. Zapukała i otworzyła drzwi, nie czekając na odpowiedź.

Leżał w półmroku. Jedna świeca paliła się słabym płomieniem przy łóżku.



- Kto to? - zapytał. Głos miał słaby, znużony i smutny.

- To ja, Grace.

- Aha - rzekł bez śladu emocji. - Przybyłaś z kolejną wizytą?

- Nie. - Podeszła do łóżka. - Nie z wizytą. Tym razem wróciłam na dobre.

To zwróciło jego uwagę. Odwrócił ku niej twarz. Ranę miał świeżo zabandażowaną, opatrunek z białej tkaniny zawiązany równo z tyłu głowy. Skóra była niemal tak samo blada.

- Wróciłaś na dobre, mówisz? - Tak. Dotknęła jego ramienia. Zadrżał, ale wiedziała, że go przekonała. - Chodź - powiedziała. - Pora wstawać. Pokręcił głową. - Jestem zmęczony. - Oczywiście, że jesteś zmęczony, Lorcanie. Nie dbasz o siebie. Nie wychodzisz z kajuty. Nie przyjmujesz krwi. Nic dziwnego, że brakuje ci energii. No dalej, wstawaj. Zabieram cię na pokład.

Znieruchomiał.

- Nie, Grace.

- Nic ci nie będzie - zapewniła. - Wiem, że się lękasz, ale będę przy tobie na każdym kroku. Poza tym na górze jest całkiem ciemno. Nawet księżyc jeszcze nie wyszedł.

- Jak może być ciemno? Darcy nie uderzyła w Dzwon Mroku... Chyba że go przespałem.

- Nie - odparła. - Nie uderzyła w dzwon, bo ją oto poprosiłam. Uznałam, że przyjdzie ci to łatwiej, jeśli pokład będzie pusty.

Usiadł z wyraźnym trudem.

- Grace, jesteś dla mnie bardzo dobra, ale nie wyjdę na pokład.

- Wyjdiesz - odparła z większym przekonaniem, niż czuła w rzeczywistości. Pociągnęła kołdrę.

- Wstawaj! - poleciła najbardziej stanowczym tonem, na jaki było ją stać.

Widziała, że się zastanawia.

- Tam jest zimno...

- Włóżysz pelerynę. No już, siadaj, pomogę ci wciągnąć buty.

Bez specjalnego optymizmu odwróciła się do niego plecami i przeszła na drugą stronę kajuty. Znalazła buty i kiedy spojrzała na niego znowu, siedział z nogami spuszczone na podłogę; czekał na nią. Z radości mocniej zabiło jej serce. Chciała płakać ze szczęścia, ale musiała być silna i skupiona. Miała jeszcze wiele do zrobienia i mało czasu.

- Zaczynamy - powiedziała.

Uklękła, wsunęła do buta jego prawą stopę i zasznurowała. Następnie powtórzyła operację z lewą nogą. Wstała.

- Gotowe - oświadczyła. - Teraz musisz się podnieść.

Siedział nieruchomo i oddychał głęboko. Zdała sobie sprawę, że jest słabszy, niż sądziła.

- Pomóc ci? - spytała.

Wolno pokiwał głową. Zrobiła to chętnie, choć wystraszyła się, że tak bardzo osłabł. Czy to z powodu braku krwi, czy braku ruchu, Lorcan utracił całą swoją dawną żywotność. Nie była pewna, czy kiedykolwiek ją odzyska.

- Na trzy - powiedziała, wyciągając ręce. Chwycił jej dłonie. Palce miał chłodne jak zawsze. - Raz... dwa... trzy!

Zakołysał się, ale stanął na nogach. Przez chwilę czy dwie chwiały się pod nim, ale w końcu stał. Stał prosto.

- Brawo. - Poprawiła mu koszulę. - Teraz zajmujemy się peleryną.

Wzięła z krzesła ciężki płaszcz i narzuciła mu na ramiona. Pociągnęła za sznurki, żeby je związać, ale potrząsnął głową.

- Pozwól, ja sam.

- Oczywiście.

Włożyła mu w ręce oba sznurki i odstąpiła.

Palcami wymacał końce, ale przy pierwszej próbie doznał całkowitej porażki. Peleryna zsunęła mu się z ramion na podłogę. Grace schyliła się, podniosła ją i raz jeszcze narzuciła mu na ramiona.

- Dzięki - mruknął, zakłopotany i poirytowany.

Grace znów się cofnęła. Bardzo chciała zawiązać za niego sznurki, ale wiedziała, jakie to ważne, by choćby tę drobną czynność wykonał samodzielnie.

Prawdziwą torturą było przyglądanie się, jak nie może sobie poradzić po raz czwarty, piąty i szósty... Nie poddawał się jednak. Za każdym razem szeptała mu słowa zachęty, podnosiła pelerynę i wsuwała sznurki do rąk. Przy siódmej próbie zdołał wreszcie je splątać. Nie zyskałby pochwały na zajęciach z węzłów u kapitan Quivers, pomyślała Grace, ale peleryna trzymała się mocno, a to najważniejsze.

- Chyba jesteś gotowy - rzekła, otwierając drzwi kajuty.

- Tylko powoli - uprzedził. - W tych dniach nie stoję zbyt pewnie na nogach.

- Oczywiście. - Grace ujęła go pod ramię. - Po prostu oprzyj się na mnie.

I tak ruszyli w drogę, z początku bardzo wolno, przez korytarz i po schodach. Przyspieszyli trochę w korytarzu na wyższym poziomie, ale przez cały czas Lorcan wspierał się na niej. Był słaby i potrzebował pomocy.

- Stoimy teraz przed drzwiami na pokład - powiedziała, wyczuwając jego napięcie. - Wszystko w porządku, Lorcanie. Naprawdę. Nic ci nie grozi.

- Tam jest ciemno, tak? - upewnił się.

- Tak.

- Może sprawdź jeszcze raz. Zrób to dla mnie.

- Dobrze. - Uchyliła odrobinę drzwi. Na zewnątrz panowała ciemność. Świeciły tylko gwiazdy i cienki rożek księżyca. - Jest ciemno. Och, Lorcanie, to piękna, ciemna noc. Proszę, wyjdź na zewnątrz.

Otworzyła drzwi i czekała.

- Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób dla mnie.

Skinął głową. Wyciągnął do niej rękę i przestąpił próg.

- I gotowe. Jesteś teraz na pokładzie. Jakie to uczucie?

- Przyjemne - odparł, oddychając głęboko. - Przyjemne...

Doprowadziła go na skraj pokładu. Instynktownie wyciągnął rękę do relingu, chwycił go i pochylił się do przodu, jak tyle razy w przeszłości. Wystawił twarz na podmuchy wiatru.

- Brakowało mi tego - szepnął.

- Wróciłam - oświadczyła Grace. - I teraz ty również musisz wrócić.

- O co ci chodzi?

Nabrała tchu. Teraz albo nigdy...

- Musisz znów przyjmować krew. - Serce biło jej mocno. Ale jej los został przypieczętowany. Rozstrzygnął się już dawno. Nie miała odwrotu. - Rozmawiałam dzisiaj z Shanti.

- Shanti - powtórzył, jakby to imię budziło jedynie mgliste wspomnienie.

- Twoim donorem. Powiedziała mi, że przestałeś dzielić z nią krew.

Milczał. Uniósł tylko nieruchomą twarz. Trudniej było odczytać jego uczucia niż kapitana...

- Musisz znowu przyjmować krew - powtórzyła Grace. - Jeśli nie od Shanti, to... pij moją.

Zwrócił się ku niej. Choć bandaż przesłaniał mu znaczną część twarzy, widziała, że jest zaszokowany.

- Grace, nigdy nie przyjąłbym krwi od ciebie. Shanti jest moim donorem...

Grace kiwnęła głową. Łzy płynęły jej z oczu - nie była pewna, czy z bólu, czy z radości.

- Bo wiesz... Shanti myślała, że nie chcesz już od niej krwi. Ale że może zgodzisz się wziąć ode mnie. Że mogę zostać twoim nowym donorem.

- I zrobiłabyś to dla mnie?

Przesunął dłoń na relingu w stronę jej dłoni. Ich małe palce zetknęły się.

- Ocaliłeś mnie, Lorcanie - odpowiedziała Grace. - Uratowałeś mnie, opiekowałeś się mną, broniłeś mnie. Oczywiście, że zrobiłabym wszystko, by ci pomóc.

Spuścił głowę.

- Byłem głupi - stwierdził cicho.

- Dlaczego? O czym ty mówisz?

- Nie sądziłem, że wrócisz - odparł. - I tęskniłem za tobą. Tak bardzo tęskniłem...

Te słowa wzbudziły dreszcz. Oczywiście... Ale równocześnie poczuła ciężar wielkiej odpowiedzialności. Czy naprawdę przestał przyjmować krew nie z powodu swojej ślepoty, ale dlatego, że za nią tęsknił? Nigdy jeszcze nie była dla nikogo aż tak ważna - może oprócz Connora. Jej emocje były dziwnym, nieznanym połączeniem radości i lęku.

- Spójrz na ocean - powiedział. - Co widzisz?

Popatrzyła w dal.

- Właściwie niewiele... tylko ciemne wody, ciągnące się dalej i dalej, bez końca.

Kiwnął głową.

- Tak to wygląda dla mnie. Ale nie tylko ocean ciągnie się bez końca. To czas. Wyobraź sobie, że cały ocean jest mozaiką dni i nocy, godzin i minut. Sięga daleko przez czas, bez granic. Wyobraź sobie, że musisz stawić temu czoło, samotnie.

- Przecież nie jesteś sam...

- Teraz już nie - odparł, mocniej przyciskając swoją dłoń do jej dłoni.

Stali tak przez długą chwilę i milczeli. Łzy spływały Grace po policzkach, ale pozwalala, by osuszał je wiatr.

- Zimno mi - odezwała się w końcu i zadrżała.

- Chodź. - Wysunął ramię. - Schowaj się pod moją pelerynę.

Przytuliła się do niego, a on osłonił ich oboje grubym płaszczem.

- Oprzyj się na mnie - rzekł i objął ją mocniej.

Uśmiechnęła się.

- Znajdziemy dla ciebie lekarstwo - powiedziała.

- Po nie właśnie teraz płyniemy. Do miejsca zwanego Sanktuarium. Na spotkanie z przyjacielem kapitana, kimś, kto nazywa się Mosh Zu Kamal.

Lorcan odetchnął głęboko.

- To prawda? - upewnił się. - Płyniemy do niego? - Kapitan sam mi mówił. Nie zrezygnuje z ciebie tak łatwo. I ja też nie. Lorcan uśmiechnął się. - Witaj znowu na Nokturnie, Grace. Spojrzała na niego zdziwiona. - Nokturn? A co to takiego? - Tak się nazywa nasz statek, oczywiście. - Naprawdę? Nie wiedziałam nawet, że ma jakąś nazwę. - Och, Grace... Znajdziesz tu milion tajemnic, a dopiero zaczęłaś badać te najbardziej oczywiste. Powinnaś zostać dłużej, jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej.

Z uśmiechem wsunęła się głębiej pod ciepły płaszcz.

- Tak - przyznała. - Tak, myślę.